

Gdzie diabeł nie może...

PROJEKT
MEFISTO

MARCIN MORTKA

W
ydawnictwo
ab

Marcin Mortka

PROJEKT MEFISTO



Copyright © by Marcin Mortka, MMXVI

Wydanie I

Warszawa, MMXVI

Spis treści

[Prolog](#)

[Dzień pierwszy](#)

[Dzień drugi](#)

[Dzień trzeci](#)

[Dzień czwarty](#)

[Dzień piąty](#)

[Dzień szósty](#)

[Dzień siódmy](#)

[Dzień ósmy](#)

[Dzień dziewiąty](#)

[Dzień dziesiąty](#)

[Noc z dnia dziesiątego na jedenasty](#)

[Dzień jedenasty](#)

[Dzień dwunasty](#)

[Noc z dnia dwunastego na trzynasty](#)

[Dzień trzynasty](#)

[Dzień czternasty](#)

Prolog

Autobus PKS-u zatrzymał się na przystanku w chmurze spalin i z głuchym sapnięciem otworzył drzwi. Przez moment widać było kierowcę, niskiego, przygarbionego mężczyznę, który wyglądał jak zrosnięty ze swoim fotelem, ale szybko zasłoniła go pierwsza z wysiadających pasażerek. Wzięła torbę i zawołała wesoło przez ramię, na co kierowca uśmiechnął się szeroko i rzucił coś w odpowiedzi. Kobieta zeskoczyła na asfalt, przygładziła tlenione włosy i ruszyła przed siebie, machając kierowcy ręką. Po niej ostrożnie zeszła ze stopni starsza pani z torbą na kółkach, mimo upału ubrana w długi płaszcz, następnie potężny mężczyzna z wydatnym brzuchem i wyrazem niezadowolenia na twarzy, studentka ćwierkająca przez telefon i chłopak z ogromnymi słuchawkami, które upodabniały go do człękkształtnego owada. Przez jakiś czas w wąskim przejściu nie było nikogo, więc kierowca spojrzął dla pewności w lusterko.

Wtedy pojawił się on.

Był wysoki i szczupły, ale uwagę zwracała przede wszystkim twarz – zapadła i blada, z matowymi oczami i ciemnymi plamami nad wydatnymi kośćmi policzkowymi. Jasne, rzadkie włosy kleiły się do czaszki, przez co mężczyzna wydawał się niemal łysy. Czarny tani garnitur i cieniutki, przypominający wstążkę krawat dopełniały obrazu klienta zakładu pogrzebowego albo przynajmniej pacjenta, który urwał się ze szpitala po długiej rekonwalescencji.

Nic więc dziwnego, że kierowca odprowadził go uważnym spojrzeniem, facet z brzuchem ledwie zauważalnie pokręcił głową, a starsza pani przeżegnała się dyskretnie. Nawet studentka przyspieszyła kroku.

Mężczyzna zaś niczego nie zauważał. Stał na poboczu i wpatrywał się w łany złocistego żyta skąpane w blasku słońca, a potem powoli odwrócił głowę ku zielonej tablicy z napisem „Wypluty 1”, którą właśnie mijał parskający spalinami autobus. Uśmiechnął się bez wesołości i zrobił krok w jej kierunku, gdy dostrzegł drewnianą rzeźbę wznoszącą się kilkanaście metrów dalej.

Zamysłem nieznanego artysty było upodobnienie grubego słupa do słowiańskiego woja z podłużną tarczą, włócznią, długą brodą i srogą miną. Żywioły do spółki z wandalami zrobiły wszystko, by zatrzeć owoce jego pracy, ale mimo to rzeźba nadal trwała nad gąszczem przydrożnych chaszczy,

rozmazanym obliczem zwrócona ku ludziom wysiadającym na przystanku.

Ku mężczyźnie w czarnym garniturze.

Ten przez chwilę mierzył się z rzeźbą spojrzeniem, aż westchnął przeciągle, ze świstem, i odwrócił się w stronę przystanku. Betonowa wiata ze spadzistym dachem i wąskim wejściem usłanym kapslami wabiła chłodem.

Mężczyzna znów westchnął i wszedł do środka.

Dzień pierwszy

Jakieś dwa miesiące później pewien diabeł nazywany Zygmuntem zszedł na śniadanie do restauracji hotelowej.

Jako stworzenie z piekieł, a więc istota pozbawiona zwykłych ludzkich potrzeb, właściwie nie musiał tego robić, ale uznał, że warto. Fascynowali go jedzący ludzie. Bynajmniej nie dlatego, że jedli w jakiś szczególnie niekulturalny sposób. Owszem, tu i ówdzie widział kogoś, kto żuł tosta i nie zwracał sobie głowy zamykaniem ust lub wycierał dłoń w spodnie (co bawiło Zygmunta niepomernie), ale jego uwagę przyciągało głównie to, jak niewiele jedzenia ma miejsce w trakcie jedzenia.

Wypił łyk kawy, słabej, zalatującej supermarketową ceną, skrzywił się lekko i przyjrzał się kobiecie przy sąsiednim stoliku. Starannie uczesana, z powabnym dekoltem skrytym częściowo za kłapami beżowego żakieciku, zdecydowanie miała za sobą udaną noc z mężczyzną w marynarce, który siedział naprzeciwko niej, ale nawet na niego nie spojrzała. Jej uwagę niepodzielnie zawładnął zgrabny smartfon, od którego odwracała się tylko po to, by ugryźć kanapkę z dżemem.

Adonis w marynarce robił zresztą dokładnie to samo.

Zygmunt poczuł złość.

„Proszę – warknął w myślach. – Mija dopiero siódma godzina misji, a ja już mam niezbity dowód na to, że zarząd mentalnie nie wyszedł ze średniowiecza. Na całej sali nie ma ani jednego śmiertelnika bez elektronicznej zabawki, a nam każą wozić laptopy o rozmiarach płyty chodnikowej. Można mówić, apelować, pisać pisma, ale gdzie tam. Budżet rzecz święta, przekroczyć nie można”.

Rozparł się na krześle i rozejrzał dookoła. Przy długim stole pod ścianą kłębili się goście, jakby nadal wierzyli w to, że gdzieś między tanią szynką, białawym pomidorem i sztucznym dżemem znajdą coś wartego uwagi. Inni, siedzący przy stołach, napełniali salę cichą, sztucznie wesołą rozmową, przerywaną co chwila natarczywymi mailami.

Dziewczyna w żakiecie wyjrzała zza smartfona i z uśmiechem powiedziała coś do swego chłopaka. Pokazała mu ekranik. Chłopak zrewanżował się identycznym gestem, a potem oboje, jak na sygnał, wrócili do przewijania treści palcami.

Zygmunt pokręcił głową i dopił resztkę kiepskiej kawy.

„W tym jednym planiści bez wątpienia mieli sporo racji – pomyślał. – W mieście trudno będzie do ludzi dotrzeć. Pora więc ruszać”.

Wziął płaszcz z oparcia, podniósł teczkę i nie oglądając się za siebie, wyszedł z restauracji hotelowej. Zmierzał na dworzec kolejowy.

W stronę terenu operacyjnego.

Stojąc na przejściu dla pieszych, Zygmunt jeszcze raz przejrzał w myślach ekwipunek, powtórzył swoją tożsamość, a potem przypomniał sobie założenia zadania, na wszelki wypadek ułożone przez planistów w formę barwnego grafu. Był gotowy.

Poprawka. Wmówiono mu, że jest gotowy.

„Operacja szykowana przez pięć lat, może więcej, a zakończona trzymiesięcznym szkoleniem – pomyślał kwaśno. – Zdaniem trenerów nic nie może pójść źle. Ciekawe”.

Szare skłębione chmury buchnęły deszczem. Ktoś w tłumie czekających na zielone światło zaklął dosadnie, ktoś inny otworzył parasol z trzaskiem, jeszcze ktoś z troską przecierał ekranik smartfona. Samochody, jeszcze przed chwilą śmigające przez skrzyżowanie, zatrzymywały się teraz jeden za drugim, ale światło dla pieszych nadal było czerwone.

– Kurwa mać – niecierpliwił się młody wychudły mężczyzna w kozaczkach, obcisłych spodniach i dresowej bluzie, nerwowo poprawiając jasnoróżowy szal na długiej szyi. – No dalej, kurwa. Ile mam czekać.

Zygmunt przechylił nieco głowę. Po drugiej stronie ulicy, za oblepioną plakatami wiatą przystanku autobusowego, kryło się dwóch policjantów. Diabeł uśmiechnął się złośliwie, zmrużył oczy i uruchomił przekaz.

Idź, nie krępuj się. Bez sensu tak tu sterczysz. Przecież samochody stoją, nie widzisz?

Chłopak rozejrzał się, jeszcze raz zaklął i przebiegł przez jezdnię, ścigany zgorzonymi spojrzeniami reszty oczekujących – prosto w ramiona policjantów, którzy majestatycznie wyłonili się zza wiaty na jego spotkanie. Ktoś parsknął cichym śmiechem, ktoś pokręcił głową.

Światło zmieniło się na zielone.

„To może być łatwiejsze, niż sądziłem – pomyślał Zygmunt, mijając zaczerwienionego młodziana skrupulatnie legitymowanego przez policjantów. – Jeśli ludźmi rzeczywiście tak łatwo sterować, szast-prast i będę w domu, a potem tydzień urlopu, premia, awans może. Mój pociąg...

Zaraz...”.

Zerknął na zegarek, który pokazywał już czas ziemski.

„Mam dwanaście minut”.

Zygmunt był na ziemi raptem od kilku godzin, ale zorientował się już, że zaszły tu ogromne, niepokojące wręcz zmiany technologiczne. Ulżyło mu więc nieco na widok pociągu – czerwonej, metalowej gąsienicy z kwadratową mordą, nieróżniącej się niczym od tych, które dobrze zapamiętał z ostatniej wizyty. Przeszedł wzdłuż blaszanych ścian, powgniatanych tu i ówdzie jak od uderzeń wielkim młotem, porzewiałych na krawędziach, w kilku miejscach pokrytych barwnym graffiti, aż dotarł do drzwi i wskoczył do środka.

Potem z powątpiewaniem spojrzął na zegar na peronie.

– Pewnie znowu wyjedzie z opóźnieniem, co? – zwrócił się do starszej pani, która pracowicie ustawiała siatki na siedzeniu.

Pani obdarzyła go nikłym uśmiechem, który oznaczał jednocześnie niewiem-co-mam-panu-powiedzieć i mam-nadzieję-że-nie-będę-musiła-z-panem-rozmawiać, a potem zasłoniła się kolorowym czasopismem pod tytułem „Takie Bywa Życie”.

Zygmunt zastanawiał się przez moment, czy i na niej nie użyć przekazu, ale się rozmyślił.

„Znikoma operatywność – przypomniał sobie termin ze szkoleń. – Na nic mi się nie przyda”.

Zazgrzytały zasuwające się drzwi, pociąg sapnął i ruszył zgodnie z rozkładem.

Zaduch w wagonie momentalnie przybrał na sile. Zygmunt, choć przyzwyczajony do ciężkiego powietrza w piekle, źle znosił zapach śmiertelników. Prychnął z dezaprobatą i wstał, by otworzyć okno. Szarpnął kilkakrotnie za uchwyt, ale okno ani drgnęło. Dwóch wścazy w przybrudzonych dżinsach przerwało rozmowę o fuchach pod niemiecką granicą i przez chwilę przyglądało mu się z zaciekawieniem. Starsza pani również wyjrzała zza czasopisma i wymownym gestem poprawiła szalik. W jej powiększonych okularami oczach migotała nadzieja, że okno nie ustąpi.

Nie ustąpiło.

Zygmunt opadł na siedzenie i westchnął z rezygnacją.

– Przepraszam – szepnęła staruszka. – Czy mógłby pan domknąć drzwi do wagonu?

– Po co? – wycedził Zygmunt. – Żeby cały smród nie uleciał na zewnątrz?

Oburzona starsza pani w odpowiedzi zasłoniła się czasopismem. Serialowa aktorka uśmiechała się do Zygmunta znad nagłówka „Wygrała 500 milionów, ale nie uwierzyła w szczęście”. Wąsacze chrypieli na temat skrzyń biegów. Pociąg powoli, przerażająco powoli, toczył się po torach, a przewidziane rozkładem jazdy dwadzieścia siedem minut rozciągnęło się w wieczne męki potępieńca.

Czarne litery na białej planszy układające się w słowo „Wypluty” zamigotały niczym złoto w misce poszukiwacza. Zygmunt poderwał teczkę, wyuczonym gestem poprawił krawat i wyskoczył na peron. Kątem oka widział, jak starsza pani zerwała się niczym sprinterka, mało nie strącając siatek, i szczelnie domknęła za nim drzwi.

W ciągu dwudziestu siedmiu minut podróży z dworca głównego pogoda na szczęście zdążyła się zmienić. Szaruga i deszcz zostały gdzieś na rozległych polach pociętych drózkami i szeregami wierzb, a Zygmunta powitało ciepłe jesienne słońce.

Przeszedł po obłupanym jedynym peronie Wyplut, a potem przez stacyjną poczekalnię upstrzoną mniej lub bardziej akuratnymi wyobrażeniami męskich genitaliów i nazwami zespołów piłkarskich, aż stanął na asfaltowej uliczce w cieniu wielkiego kasztana. Przed sobą miał opuszczoną kamienicę, a po obu stronach gęste krzaki i starą przyczepę kempingową na sflaczałych oponach. Nad zamkniętym okienkiem widniał napis „Bistro”, a obok niego wisiało rozmazane od deszczu menu.

Diabeł odetchnął czystym powietrzem. Asfalt lśnił jak upstrzony złotym proszkiem.

„Do roboty” – pomyślał i szybkim krokiem skierował się w stronę głównej ulicy Wyplut.

Niespodziewanie krzaki zaszeleściły i wyłonił się z nich tęgi mężczyzna w swetrze i skórzanej kamizelce. Ze złością odgarnął mokrą gałąź, przesłaniającą zaczerwienioną twarz, i wytoczył się na chodnik. Ścigało go chrapliwe wołanie.

– Chuja się znają na budownictwie! – warknął, obrzucając Zygmunta pobieżnym spojrzeniem, i chwiejnie ruszył przed siebie.

Diabeł zmarszczył brwi, a przez jego usta przemknął ledwie zauważalny uśmiech.

„Pierwszy klient” – pomyślał i w kilku krokach dogonił wzburzonego mężczyznę.

– Coś się pan tak uniósł? – spytał i wyciągnął z kieszeni marynarki paczkę tanich papierosów.

– A bo, kurwa, z jełopami gadać nie będę – sapnął tamten. Czuć go było alkoholem, kiełbasą i old spice'em. – Tłumaczę im, kurwa, że do tynku tylko żwir zero dwa, a Albercik, kurwa, tłumaczy mi, że u jego szwagra większy dali i chata stoi. A jak długo, się pytam, co? Jak długo? A dziury w ścianach? Jak dla siebie budujesz, to nie ma, kurwa, zmiłuj, trzeba wyskoczyć z siana. Dla dewelopera to inna gadka, ale dla siebie?

Zygmunt podsunął zapalniczkę. Mężczyzna zapalił papierosa i zaciągnął się chciwie.

– Zgadza się. Jak to było? Pierwszy dom dla wroga, drugi dla przyjaciela, trzeci dla siebie?

Nieznajomy zmierzył go mętym spojrzeniem.

– Młody jesteś, to ci powiem. Trza tak robić, żeby już pierwszy był dla ciebie. Tak trza robić, żeby stara ci nie truła. Chyba że dla dewelopera robisz.

– A truje?

– Jakby nie truła – rozmówca Zygmunta chuchnął i czknął – tobym się w chacie napił. Jak człowiek, kurwa, z kulturą. Przed telewizorem. No ale ty młody jeszcze jesteś, co ty, kurwa, wiesz. Dzięki za fajkę.

– Spoko.

– Stąd jesteś? – Spojrzenie mężczyzny w skórzanej kamizelce nabrało ostrości. – Nigdy cię nie widziałem.

– Nie, nie stąd. Akwizycją się zajmuję.

– Akwizycją. Ale numer. – Rozmówca uniósł brwi z lekkim rozbawieniem, a potem jego twarz na moment znikła za kłębem niebieskawego dymu.

Zygmunt wykorzystał tę chwilę, by skupić myśli i uformować przekaz.

Wróć tam. Wróć i daj popalić tym durniom, z którymi rozmawiałeś. Wytłumacz, że masz rację, a jak będą się stawiać, chwyć jakiś kamień i przywal z całej siły. Co ci będzie jakiś Albercik przygadywał!

Krzaki zaszeleściły, niechętnie przepuszczając innego mężczyznę, drobnego wąsacza w dżinsowej kurtce. W rękę trzymał butelkę z brązowego szkła. W ślad za nimi wyjrzał trzeci, postury jeszcze drobniejszej, ale za to z pokaźną, skudloną brodą, który tanecznym krokiem wychynął z zarośli i zaczął się wypróżniać za przyczepą kempingową.

– Romek, co się tak unosisz? – wychrypiał wąsacz w dżinsie. – Romuś, mordo ty. No chodź tutaj, chodź. Nie obrażaj się, no.

– Jełopy – warknął Romek, zaciągnął się papierosem i ruszył w stronę krzaków, momentalnie zapominając o Zygmuncie. – A „przepraszam” gdzie, pizdo niedomyta?

Zygmunt z lekkim niedowierzaniem przyglądał się obu mężczyznom, którzy objęli się czule – choć Romek nadal z pewnym ociąganiem – a potem wspólnie ruszyli w kierunku krzaków, gdzie Albercik z kurtuazją ustąpił koledze miejsca. Romek, nim ponownie zanurzył się w zarośla, obrzucił jeszcze diabła spojrzeniem i bąknął coś, co mogło oznaczać zarówno: „widziałeś, Albercik, tego muła?”, jak i cokolwiek innego, ale interakcję przerwał Albercik, pociągając Romka do meliny. Resztę rozmowy zagłuszył brodac, który zaintonował chrypliwą piosenkę o orłach i sokołach.

Zygmunt stał jeszcze przez moment i nasłuchiwał, ale trzech biesiadnicy zgodnie dośpiewali utwór do końca. Libacji nie przerwały żadne odgłosy walki ani bólu. W końcu wzruszył ramionami i udał się w dalszą drogę.

„Bywa, że przekaz nie działa – pomyślał, przeskakując nad kałużą. – Zwłaszcza na zamroczone umysły”.

Pochylona nad kasą ekspedientka odgarnęła z furią farbowane na czarno włosy i walnęła pięścią w rolkę, której nie mogła wsunąć na miejsce.

– Niech się pani nie denerwuje – zagadnął ze spokojem Zygmunt i położył na ladzie teczkę. – Złość piękności szkodzi.

Ekspedientka uniosła głowę i rozchyliła usta, nie bardzo wiedząc, jak zareagować na zaskakujące słowa. Na wszelki wypadek uśmiechnęła się blado.

– Zaraz pana obsłużę, moment, tylko tą francę muszę...

– Ale ja nie w tej sprawie.

– Nie? – Ekspedientka uniosła głowę i otaksowała garnitur Zygmunta. Błysnęły zielone tipsy, gdy ponownie odgarnęła włosy. – Aha, dobra. Kapuję. Grażyyyyna!

Twarz wychodzącej z zaplecza Grażyny odbiła się w rzędach butelek rozstawionych na półkach.

– Co tam, Anetko? Znowu kasa się spieprzyła?

– Nie, ten pan tutaj do ciebie.

Grażyna zmierzyła przybysza nieufnym spojrzeniem i założyła ramiona na piersi, aż brzęknęły dziesiątki bransolet. Biła od niej wojowniczość i niezłomność, wykuwana podczas niezliczonych starć z pijaczkami chcącymi

wymigać się od płacenia, uzależnionym od oglądania piłki nożnej mężem i bezczelnymi babami próbującymi wepchnąć się przed nią do toalety podczas sobotnich zabaw. Zygmunt z trudem się powstrzymał od wciągnięcia powietrza głęboko w płuca.

„Idealna” – pomyślał, uśmiechnął się czarująco i płynnym, wyćwiczonym gestem otworzył teczkę.

– O co chodzi? – warknęła. – Jakież faktury jeszcze?

– Skądże, pani Grażyno. – Zygmunt błysnął zębami. – Przychodzę, by chwilę porozmawiać.

– Co? – Szefowa sklepu monopolowego Oaza rozdziawiła usta.

– O pani przyszłości, oczywiście. Kredyt, na który stać każdego, a zwłaszcza osobę tak zapobiegliwą i uporządkowaną jak pani, pozwoli na realizację...

Grażyna sięgnęła za ladę i z rozmachem postawiła przed nim starą tabliczkę z napisem: „Akwizytorom dziękujemy”.

– Od razu wiedziałam, ledwie zobaczyłam te adidasy do garnituru! – Aneta odrzuciła włosy dmuchnięciem. – Od razu wiedziałam, że akwizytor!

– A słyszałaś, jakie ma gadane? – Grażyna zadrobiła w miejscu z udawaną kokieterią. – Pani Grażynko, srutututu! Kredycik w pani rączki!

Zygmunt ze zdumieniem uświadomił sobie, że kobiety zachowują się tak, jakby go w sklepie nie było. Znów poczuł przypływ całkiem uzasadnionej złości, ale zaraz przypomniał sobie słowa powtarzane jak refren na szkoleniu: „Na czas wykonywania zadania honor i duma powinny być odstawione na plan dalszy. Przez czternaście dni liczy się tylko wynik! Tylko i wyłącznie wynik!”.

Z trudem przywołał uprzejmy uśmiech i zerknął na frustrometr, celując nim niepostrzeżenie w Grażynkę. Odczyt wahał się między sześć a sześć i pół. Nieźle.

– Zajebisty zegarek – stwierdziła Aneta. – Widziałaś, Grażynka? Pewnie dostał go na komunię. Ma jakieś fajne melodyjki?

– Nie chciałem zrobić złego wrażenia! – Diabeł się rozpromienił. – Gdyby zechciała pani choć zerknąć w...

– Kupuje coś czy nie? – Grażyna oparła mocne, spracowane dłonie na ladzie i zastukała długimi paznokciami, z których odłaził różowy lakier. – Bo jak nie...

Skrzypnęły drzwi, zagwizdał świstak zabawka, do sklepu wpadł najpierw podmuch chłodnego powietrza, potem woń przetrawionego alkoholu, a na końcu Albercik.

– Grażynko, królowo mego wszechświata! – wybełkotał. – Sprawę mam, niecierpiącą, taka jej mać, zwłoki.

Zygmunt dotknął odpowiedniego przycisku i uruchomił zniknięcie.

Klatka schodowa śmierdziała szczynami, kocimi odchodami, schabowym i cebulą. Zygmunt beznamiętnie przyjrzał się skrytej za brudną, pękniętą szybką poszarzałej tabelce z nazwiskami lokatorów, która spokojnie przetrwała pojawienie się ustawy o ochronie danych osobowych, po czym wzruszył ramionami i wspiął się po schodach. Przełożył teczkę do drugiej ręki i wcisnął dzwonek.

Po drugiej stronie drzwi rozległo się tłumione ćwierkanie, które na moment przerwało wrzaski dzieci. Po chwili mlasnęła uszczelka odklejająca się od framugi i oczom Zygmunta ukazał się kilkunastoletni krótko ostrzyżony chłopak, który na widok gościa rozdziawił usta.

– Dzień dobry! – odezwał się Zygmunt z uśmiechem. – Mam dobrą wiadomość...

– Mama! – rozdarł się chłopak. – Jakiś pan! Jehowy chyba!

I znikł. Zygmunt zdążył jeszcze dojrzeć główki dwojga innych dzieci, które zerkały na niego z zaciekawieniem spoza harmonijkowych drzwi dużego pokoju, oraz ekran telewizora z menu jakiejś gry wideo. Potem wszystko zasłoniła postać kobiety o bladej nieufnej twarzy, wycierającej dłonie w ręcznik kuchenny.

– Słucham? – spytała krótko, oschle.

– Mam dla pani dobrą wiadomość – oznajmił Zygmunt z przekonaniem. – W naszym konkursie została pani nagrodzona tym oto budzikiem na baterie...

Nachylił się, by wyciągnąć rzeczony budzik z teczki, i podniósł wzrok w samą porę, by ujrzeć zamykające się drzwi.

Czekali na niego przy pozbawionej okien ścianie bloku mieszkalnego, który przed chwilą odwiedził. Stali przy zardzewiałym trzepaku obok krytego falistą blachą budyneczku na kontenery ze śmieciami. Na jego widok przerwali rozmowę. Niedopałki potoczyły się po chodniku i z sykiem zatrzymały w kałuży.

Zygmunt stanął i odruchowo zerknął na frustrometr. Pięć u pierwszego, pięć i pół u drugiego.

Nieźle.

– I co, kurwa? – spytał pierwszy z nich. Jego przymrużone oczy ziały agresją tak prymitywną i tępą, że nie było sensu dociekać jej genezy. Sportowe buty, spodnie dresowe wpuszczone w białe skarpetki, czapka z daszkiem niemal zasłaniającym chudą twarz uzupełniały obraz. – Zgubiłeś tu coś, cipo?

Zygmunt cofnął się o krok, bynajmniej nie ze strachu, ale by przygotować linię obrony. Przekaz nie wchodził w grę – rzadko działał na ludzi pobudzonych emocjonalnie. Z podobnych względów nie mógł liczyć na kamuflaż – w końcu młodzi ludzie wpatrywali się prosto w niego. Na pranie było za mało czasu. Pozostawało jedynie spalenie lub...

„Na czas wykonywania zadania honor i duma powinny być odstawione na plan dalszy”.

– Co się, kurwa, szwendasz? Myślisz, kurwa, że co? – napierał młodzian w czapce, któremu emocje najwyraźniej uniemożliwiały budowanie zdań dłuższych niż cztery wyrazy.

– Wyskakuj z fajek, pizdo – warknął drugi, równie nabuzowany, różniący się od pierwszego właściwie tylko ordynarnym tatuażem na szyi. – I z portfela.

– Jebnij mu, Seba! – darł się piskliwym głosem trzeci, najwidoczniej niepełnoletni, przez co niewykryty frustrometrem. – Na co czekasz, jebnij mu!

– No i co, ciapaty? Doigrałeś się! – wychrypiał Seba. Wyłuskał smartfona i podał chudzielcowi z tyłu. – Potrzyj, Uszol, tylko nie grzeb.

– Ciapaty? – zdziwił się uprzejmie Zygmunt.

Wśród ogólnych wytycznych, które otrzymują agenci terenowi, była również informacja o tym, że ciemniejszy kolor skóry, kojarzący się z południowym pochodzeniem bądź zamiłowaniem do sportu, dobrze oddziałuje na kobiety. Zygmunt był jednym z wielu, którzy skorzystali z podpowiedzi.

– Jaki znów ciapaty? – rzucił pojednawczo, choć w jego wnętrzu huczały już rozbudzone ognie piekielne.

„Zadanie zadaniem, ale nie dam się tknąć tym...”.

– Uchodźcie pewnie jakiś, kurwa! – wycedził Seba. – Albo, kurwa, inny Żyd.

Zygmunt zamknął na moment oczy, żeby się skoncentrować. Błąd.

Niespodziewane kopnięcie wytrąciło mu teczkę z ręki. Upadła z trzaskiem na chodnik i się otworzyła.

Chłopak z tatuażem znieruchomiał i rozdziawił usta, pokazując imponujące braki w uzębieniu. Agresję natychmiast zastąpiło zaskoczenie przechodzące w szok.

– Ty, Seba, zobacz tylko... – zaczął bełkotać, ale Zygmunt zareagował błyskawicznie, jak uczono na szkoleniu.

Pchnął w agresora przekaz nakazujący mu natychmiast zapomnieć o zdarzeniu, błyskawicznie podniósł teczkę i skupił uwagę na drugim z napastników, szykując się do uruchomienia spalenia.

Ten chyba wyczytał w oczach Zygmunta coś, czego nie rozumiał, a z czym wolał nie mieć do czynienia. Zawahał się.

– Straszny! – zapiszczał trzeci z napastników. – Seba, ja pierdołę, Straszny idzie!

Powietrze przeciął ostry okrzyk:

– Hoffman! Matuszak!

Seba spojrzał przez ramię. Jego wytatuowany kolega uczynił to samo. Ich pewność siebie słabła z każdym uderzeniem serca, a najmłodszy z trójki już umykał w stronę klatki schodowej.

Zygmunt kopnięciem zamknął leżącą na chodniku teczkę, wychylił się zza szerokich barów wytatuowanego i ujrzał idącego ku nim nieznanego mężczyznę. Wzrostem dorównywał obu agresorom, a pokaźny brzuch i krzaczasta broda czyniły go jeszcze większym. Dopiero po chwili diabeł zauważył, że nieznanomy jest stosunkowo młodym człowiekiem, a w jego głosie, donośnym i mocnym, pobrzmiwa przeświadczenie o słuszności działania.

Seba i jego kumpel odwrócili się powoli, z ociąganiem.

– Nudzi wam się? Mało kłopotów jeszcze macie? – wyrzucał z siebie brodacz. – Hoffman, chcesz, żeby matka zawału dostała, jak znowu posterunkowy do was zapuka? Chcesz, by się MOPS wami zainteresował? A ty, Matuszak? Znowu robisz wszystko to, co ci Hoffman każe, młotku jeden? Pamiętasz, czym to się na ogół kończy?

Zygmunt z zainteresowaniem śledził rozwój wydarzeń. Już otworzył usta, by spróbować rozładować napięcie, ale wtedy jego wzrok padł na frustrometr.

I zamarł.

Nie widział tego, jak przybysz pokazuje grubym paluchem wejście na klatkę schodową, a tamci odchodzą niechętnie, przeklinając pod nosem.

Oprzytomniał dopiero, gdy ujrzał ogromną dłoń nieznajomego na swoim ramieniu.

– Wszystko w porządku? Nic się panu nie stało? – pytał brodac.

– Nie, nie... – Zygmunt pokręcił głową z uśmiechem. – Nie, skądże.

– Na ogół nie są niebezpieczni, ale wobec obcych... Może pan oczywiście zgłosić to na policję, wiadomo, ale w sumie to niewiele da. Zresztą policja tutaj... A pan? – W głosie nieznajomego brodacza pojawiła się nowa energia, jakby ucieszył się, że może zmienić temat. – Dlaczego pan nie zareagował?

Nieco zaskoczony Zygmunt uświadomił sobie, że ostatnie pytanie skierowane jest do staruszka w brązowej marynarce, który siedział na ławeczce na skraju mizernego trawnika i przyglądał się zajściu z fascynacją. Słyszając pytanie brodacza, odwrócił spojrzenie i udał, że słowa nie były skierowane do niego.

Brodacz westchnął ciężko i pokręcił głową.

– Przykro mi, ale tak to już jest w małych miejscowościach. Sam pan rozumie.

– Nie – rzekł diabeł. – Sęk w tym, że chyba nie wiem. Czy miałby pan chwilę, by...

– By posłuchać pańskiej oferty? – Brodacz zrobił krok w tył i omiół wzrokiem tani garnitur, obuwie sportowe oraz teczkę. – Nieźle, nieźle. Wybacz pan, ale dziękuję. Proszę na siebie uważać.

Odwrócił się tak szybko, że Zygmunt nie zdążył już nawiązać kontaktu wzrokowego, niezbędnego przy przekazie. Chciał za nim zawołać, ale ten już był daleko i otwierał drzwi niewielkiego samochodu; po chwili zawieszenie stęknęło pod jego ciężarem.

– Panie! – odezwał się staruszek z ławki. – A jakieś kalendarze pan masz?

– Kalendarze? – Zygmunt zamrugał. – Jasne, są i kalendarze. Prosto z Częstochowy. Podpisane przez samego biskupa – dodał z promiennym uśmiechem i podniósł wyżej teczkę. – Niech mi pan tylko powie, gdzie znaję tego przemilego człowieka?

Zygmunt odciągnął zabezpieczenie i uniósł ciężki ekran laptopa. Zaszumił głośniczek, pisnął uruchamiany system operacyjny Hellion, zamigotały diody bezpiecznego połączenia internetowego. Diabeł, już uwolniony od ludzkiej postaci, rozparł się na hotelowym krześle i upewnił się, czy zasłony są szczelnie zasunięte.

„Cały dzień – pomyślał ze zmęczeniem. – Całutki dzień i tylko jeden sensowny kontakt...”

Podczas szkoleń ostrzegano ich nieraz, by nie ulegali przedwczesnej nadziei, i tłumaczono, że wyszukanie pierwszego kontaktu może trwać bardzo długo. Zygmunt, odnalazłszy człowieka o tak wysokim wskaźniku frustracji, właściwie powinien się cieszyć, ale jakieś podskórne przeczucie mówiło mu, że po prostu miał szczęście. Ze szkoleniowcy, według których agenci powinni przejmować się nie tym, czy wypełnią zadanie, ale tym, ile zdobędą punktów i jak wypadną w ostatecznej klasyfikacji, być może nie zdawali sobie sprawy, o czym mówią.

System operacyjny się załadował i oczom diabła ukazała się tapeta przedstawiająca zdjęcie satelitarne Wyplut. Położył kosmatą dłoń na ciężkiej żelaznej myszce i najechał kursorem na jedną z nielicznych ikon.

Pojawiła się prośba o wpisanie hasła.

– Jasna cholera! – wycedził Zygmunt. – Po co te ceregiele? A niby kto miałby chcieć się łączyć do naszego systemu? Potępione dusze?

Palcami o imponujących szponach wystukał hasło na klawiaturze. Ekran zamigotał, a potem pokazał menu użytkownika programu Mefistofeles 2.0.

Zygmunt w pierwszej kolejności uruchomił opcję „Sprawdź punktację”.

„Na dzień pierwszy października dwa tysiące szesnaście czasu ziemskiego odnotowano: 10 punktów. Kliknij tutaj, by wyświetlić szczegóły”.

– 10 punktów? – jęknął Zygmunt. – Tylko?

Okazało się, że punkty otrzymał jedynie za młodego człowieka, którego zmusił go przejścia przez ulicę na czerwonym świetle i pchnął w ręce policji. Wyświetlone szczegóły ujawniły godzinę, lokalizację określoną przez GPS, niewyraźne zdjęcie oraz listę potencjalnych konsekwencji: wściekłość wywołana mandatem mogła doprowadzić do: a) awantury w związku uczuciowym, b) napięcia w pracy skutkującego pogorszeniem atmosfery i obrotów, c) przejawów agresji wobec innych użytkowników ruchu drogowego, d) inne.

Innymi słowy, słabo.

Nawet wzmianki o całym dniu w Wyplutach. Zygmunt zgrzytnął ostrymi kłami i z całej siły powstrzymał się od walnięcia pięścią w stół.

„Żadnych aktów agresji! – napomniał go w myślach głos trenera. – Pod żadnym pozorem nie wolno ściągać na siebie uwagi. Nasz projekt jest przygotowywany od wielu lat i nie wolno go narazić na porażkę nieprzemyślanymi zachowaniami!”.

– W istocie od wielu lat – mruknął Zygmunt i uruchomił opcję kontaktu

z konsultantem. Gdy pojawiło się odpowiednie okienko, wstukał pospiesznie:

„Przekaż reszcie, że kamuflaż «akwizytor» się zdezaktualizował. Sądząc po reakcjach śmiertelników, stało się to dobrych parę lat temu. Mam nadzieję, że pozostałe mają większy sens. W przeciwnym razie może się okazać, że planowaliście Mefista o wiele za długo i wyjdziemy na durniów”.

Czytałem dziś ogłoszenia o pracę w internecie.

Oczywiście nie w Wyplutach. Ogłoszenia na oficjalnej stronie gminy nie zmieniły się od ponad roku i znam je na pamięć. Wiedziony niezdrową ciekawością zaglądam do nich raz na jakiś czas i ze zgrozą uświadamiam sobie, że podane stawki nawet nie drgnęły. Innymi słowy, gówniana pensja za gównianą pracę stała się jeszcze bardziej gówniana, za co oczywiście winę ponosi inflacja. Wszak potencjalny pracodawca, gdyby mógł, na pewno zapłaciłby więcej. Kryzys, panie.

„Gówniany” to fajny przymiotnik, nawiasem mówiąc. Pasuje jak ulał do wyników moich dzisiejszych poszukiwań. Wielki świat jest zainteresowany przedstawicielami handlowymi, kurierami, recepcjonistami, telemarketerami, kierowcami przeróżnych kategorii i sprzedawcami, którym za umiejętność pracy w grupie, dyspozycyjność, znajomość języków obcych i nowoczesnych technologii oraz ukierunkowanie na cel oferuje się rozbudowany system szkoleń i umowę o pracę. Gdzieś wśród jej paragrafów kryje się pensja – gówniana brutto, netto jeszcze bardziej gówniana.

Nie wiem, po co ja to w ogóle przeglądam.

Może kieruje mną jakaś idiotyczna, absurdalna nadzieja, że w którymś z ogłoszeń wyczytam: „Szukamy absolwenta historii na skraju wypalenia zawodowego, któremu zapłacimy sporo forsy, by robił to, na co ma ochotę”.

Ba, ciekawe, co bym z taką propozycją zrobił. Bo ja nie wiem nawet, na co mam ochotę.

Bieganie po lasach jest w porządku, jak dotąd przynajmniej, ale za to chyba nie płacą.

Zresztą o czym ja w ogóle piszę. Gdybym naprawdę chciał się stąd wyrwać, już dawno bym to zrobił, bez względu na to, czym musiałbym się zajmować. Utknąłem w Wyplutach na dobre.

I co z tego, że do dużego miasta mamy zaledwie dwadzieścia kilka minut drogi pociągiem? Co z tego, że w każdej chwili mogę tam pojechać? Pies na smyczy też jest w stanie odbiec parę kroków w bok, by się wysikać, ale zaraz wróci. Ze mną jest podobnie.

Co mnie tak naprawdę różni od Seby i tego drugiego? Magisterka? FCE? Zdjęcia z Erasmusa? Po co mi to wszystko było?

Dzień drugi

Był wczesny wilgotny poranek i ulice miasta zalało drżące słoneczne światło obiecujące miły jesienny dzień, ale jakoś bez przekonania. Zygmunt, skupiony na ułożonym przez noc planie działania, uznał, że uczestnictwo w śniadaniu śmiertelników raczej nic mu nie daje, tym bardziej że po miejscowej kawie miał całkiem ludzką zgagę. Bez wahania opuścił więc hotel, by złapać wcześniejszy pociąg. Po chwili znów stał na czerwonym świetle w tłumie przebierających nogami, spiętych pieszych pod spojrzeniami ukrytych po drugiej stronie ulicy dwóch policjantów.

– No – burknął do telefonu stojący za nim mężczyzna. – Nie. Uhm. Co ty. Nie. Dobra. Dobra. Nie no, kurwa. No, dobra.

Czerwone światło wpatrywało się bezczelnie w tłumek pieszych. Samochody zwalniały przed skrzyżowaniem i skręcały na nim.

– Kurwa, przestań. Gdzie tam. Bo głupi jest. Dobra, o czwartej. Spoko. Siema.

Zygmunt zerknął przez ramię. Mężczyzna westchnął ciężko i wsunął telefon do kieszeni marynarki.

– Nieźle – odezwał się do niego diabeł.

– Co nieźle? – Nieznajomy wbił w niego nieprzychylne spojrzenie.

– Jeszcze trochę, a będziesz w stanie prowadzić rozmowę bez używania słów. – Zygmunt pokiwał głową z udawaną aprobatą.

– A ty co? – najeżył się tamten, uświadomiwszy sobie, że chyba został obrażony. – Masz jakiś problem?

Sygnalizator przełączył się na zielone światło i Zygmunt, porwany tłumem spieszących się ludzi, nie zdołał już niczego wyjaśnić. Zdążył natomiast wysłać przekaz:

Oddzwoń do rozmówcy, przeproś za zdawkowość i wyznaj mu bezgraniczną, tłumioną od lat miłość.

Zamysłem człowieka, który zaprojektował budynek gimnazjum w Wyplutach, zapewne było to, by krynica wiedzy przytłaczała maluczkich i wywoływała w nich nabożny lęk przed mądrościami, które wbijać w nich będzie legion

surowych, wypranych z poczucia humoru nauczycieli. Miały temu służyć czerwona cegła budząca skojarzenia z drylem i dyscypliną, wieniec potężnych kasztanów przypominających człowiekowi o jego marności i ciemne jak paszcza wejście, nad którym widniał pociągnięty złotą farbą krzyż.

Grupki uczniów zmierzających do szkoły ze wszystkich stron miasteczka najwyraźniej nie zdawały sobie sprawy z powyższego zamysłu. Niektórzy, wpatrzeni w ekraniki smartfonów, skręcali ku wrotom szkoły jak wytresowani, niemal nie unosząc głów. Inni snuli się powoli na boisku szkolnym bądź skupiali wokół kolegów, którzy osiągnęli najwyższy poziom w grze na PSP. Ktoś kopnął zapomnianą piłkę w wyschnięte krzaki. Po drugiej stronie ulicy rżała głośno grupa dopalających papierosy gimnazjalistów w bluzach z kapturem.

Zygmunt rozejrzał się uważnie i zerknął na zegarek. Do ósmej brakowało jeszcze kilku minut.

– No dalej – mruknął i poprawił szalik. Poranne słońce, niedawno drżące i niepewne, świeciło coraz mocniej, ale poranek nadal był chłodny. – Gdzie jesteś?

Ze sprawdzonego w internecie planu lekcji wynikało, że Łukasz Straszny, nauczyciel historii w gimnazjum w Wyplutach, rozpoczyna pracę o ósmej zero zero z klasą pierwszą C w sali dwunastej. Chyba że...

Jest!

Diabeł dopiero teraz zwrócił uwagę na nierówny, pokryty rozległymi kałużami parking za szkołą, gdzie kręcił się teraz niewielki żółty samochód, ten sam, który wczoraj zatrzymał się przy śmietniku. Zygmunt ruszył ku niemu szybkim krokiem, mijając grupki uczniów. Kątem oka zauważył, że niektórzy byli na tyle zaintrygowani, że na moment odrywali oczy od telefonów, by na niego spojrzeć.

„Zachowaj anonimowość – odezwał się w jego głowie trener technik survivalu miejskiego. – Dbaj o to, by nikt cię nie skojarzył. Wtapiaj się w rolę. Scalaj z tłumem”.

„Zapraszam – pomyślał ze złością Zygmunt. – Zapraszam na ten padół, nierobie. Pokaż mi, jak to się robi”.

Samochodzik z desperacją rozjeżdżał kałuże, próbując znaleźć miejsce wśród niedbale zaparkowanych aut. W końcu wcisnął się między okazałego renaulta a ogrodzenie z zardzewiałej siatki, spoza której sterczały ostre gałęzie. Kierowca z niemałym trudem wyślizgnął się na zewnątrz, uważając, by nie porysować drzwiami boku renaulta, potem zaklął, cofnął się po teczkę, znów się wydostał, upuścił kluczyki w błoto, zaklął, podniósł je i zaczął się

wycyfywać ku wolnej przestrzeni.

Wtedy zahaczył nogawką o ubłocony kołpak renaulta.

– Kurwa! – warknął po raz trzeci i kopnął samochód z taką siłą, że ten aż zadygotał.

„Doskonale” – pomyślał Zygmunt.

Straszny odwrócił się ku niemu. Wściekły błysk w oku i czerwony rumieniec stały w ostrej sprzeczności z koszulką z rozpromienionym diabłem tasmańskim i przytuloną do obfitej piersi teczką z napisem „sprawdziany”.

– Dzień dobry! – powiedział Zygmunt i zrobił ku niemu krok z wyciągniętą dłonią. – Pamięta mnie pan?

– Tttak – mruknął nauczyciel i niezdarnie przesunął teczkę pod pachę, by ucisnąć diabłu rękę. – To pan miał wczoraj kłopoty z tymi nierobami. Wszystko w porządku? Złożył pan skargę na policję?

– Tak, jak najbardziej! – Diabeł obdarzył go najszczerzym ze swoich uśmiechów, który zdaniem szkoleniowców sam powinien skłaniać ludzi do oddawania dusz. – Znaczy nie, policji nie informowałem. Uświadomiłem sobie jednakże, że nie zdążyłem panu podziękować za pomoc.

– Nic takiego. – Straszny uśmiechnął się z zażenowaniem. – Serio. Rozumie pan, muszę już lecieć, bo...

– Wie pan, tak się składa, że jestem dziennikarzem – ciągnął Zygmunt niezrażony. – Prowadzę różne śledztwa reporterskie, piszę felietony, a ostatnio pracuję dla „Tygodnika Powszedniego”, który zlecił mi cykl reportaży o życiu ludzi z pasją. Czy mógłby pan mi udzielić wywiadu?

– Ja? – Nauczyciel o mało nie upuścił teczki w błoto.

– Nie widzę w otoczeniu nikogo bardziej odpowiedniego – rzekł Zygmunt, wskazując ledwie dostrzegalnym gestem uliczkę idącą do rynku. – Wie pan, czytelnicy w dużych ośrodkach miejskich nie mają pojęcia o tym, co tak naprawdę motywuje ludzi w małych miejscowościach. Ani też o tym, co ich wkurza – dodał znacząco.

Ostatnie zdanie przełamało opór młodego nauczyciela.

– Dobra – oznajmił. – A zacytuje mnie pan z nazwiska?

– Niekoniecznie.

– Zresztą i tak się domyślą. Dobra, wchodzę w to. – Oczy Straszego błysnęły. – Kończę o czternastej dwadzieś... Nie, mamy radę pedagogiczną. O siedemnastej. Co ja gadam, siedemnastej trzydzieści, jak się uda. Da pan radę czy to już za późno?

– Będę czekał przed szkołą – obiecał diabeł.

Rozmowie położył kres rozpaczliwie głośny, chrapliwy dzwonek szkolny.

Bielutki żwir, którym wysypano placyk z samochodami na sprzedaż, chrzęścił i chrupał pod nogami Zygmunta. Diabeł spacerował między zaparkowanymi modelami, pochylał się, udając, że ogląda maskę, przyglądał się widocznym przez przednią szybę zwisającym z lusterek opisom. Od czasu do czasu wsuwał dłoń do kieszeni lekkiej marynarki i ugniatał bezwonną kulkę, którą później dyskretnie wsuwał do rury wydechowej. Jednocześnie skupiał uwagę na innych osobach na placu – przede wszystkim na właścicielu oraz jedynym kliencie.

Właściciel, potężny mężczyzna w czarnej skórzanej kurtce, stał przed bramą i rozmawiał przyciszonym głosem z kierowcą lawety, obracając portfel w mięsistych, włochatych łapskach. W pewnym momencie wyłuskał z niego kilka banknotów, klepnął rozmówcę w ramię i odwrócił się ku klientowi, wysokiemu mężczyźnie z wydatną grdyką, który od dłuższego czasu kręcił się przy wysłużonym golfie.

– No co tam? – spytał tubalnym głosem. – Coś pan sobie wybrał, kolego?

– Ten tu. – Klient nerwowo zatarł dłonie. – Co pan może o nim powiedzieć?

– Tam w środku wszystko pisze. – Widać, że szef komisju ma niemałą biegłość w szacowaniu statusu majątkowego klientów, gdyż natychmiast stracił zainteresowanie rozmową. – Sprowadzony z Niemiec. Opłacony, niezarejestrowany. Na własnych kołach przyjechał. Nówka cewka, panie, nic nie stuka, nic nie puka. Brać, póki jest.

– Bity?

– Kolego, u mnie? – Właściciel komisju zmiażdżył rozmówcę wzrokiem.

– A ten... – Klient przełknął ślinę. – A na wymianę pan by audika wziął?

– Audika? – Właściciel komisju westchnął głęboko, aż zatrzeszczały szwy jego kurtki. – No pokaż pan tego audika, kolego.

Wyszli za bramę komisju, za którą stało ciemnozielone audi B4 z niedomkniętym oknem. Kierowca lawety zdążył już zawrócić i przejechał z rykiem silnika, zasnuwając uliczkę niebieskawymi obłokami spalin.

– Dobry samochód! – zachwalał nowo przybyły drżącym z nerwów głosem.

– Sto czterdzieści tysięcy ma nakulane i ani pół więcej, jak Boga kocham. Blachowa super, silnik super, nawet zimowki dorzucę.

– Skoro taki super jest – burknął właściciel komisju i uklęknął z kolejnym ciężkim westchnieniem, które miało pokazać, jak wiele go te oględziny kosztują – to czemu się go pan pozbywasz?

Zygmunt w iście diablím odruchu błyskawicznie znalazł się za ich plecami.

– Przecież to widać – oznajmił głośno. Obaj mężczyźni odwrócili się ku niemu. – Tu było malowane, tam też. I tu. Nie musisz pan się nachylać, szefie, stąd widzę, że wydech wisi na sznurku. Słyszał pan, jak silnik rzeził, jak tu podjeżdżał? Masakra jakaś. Gównó, nie samochód. Bity minimum dwa razy, a nie zdziwiłbym, gdyby więcej.

Właściciel komisó wydał wargi i parsknął, jakby doskonale sam to wszystko wiedział, ale ucieszył się, że nie musi brać udziału w rozmowie, na którą i tak nie miał ochoty. Odwrócił się i ruszył kaczkowatym powolnym krokiem w kierunku kantoru. Właściciel audi B4 obdarzył Zygmunta nienawistnym spojrzeniem i już otworzył usta, jakby chciał obrzucić go stekiem przekleństw, ale zawahał się, gdy ujrział jego uśmiech.

Nie ten szkolony, nie ten promowany przez trenerów. Najprawdziwszy, będący kwintesencją złościwośó, herbem diabelstwa, esencją radośó z czynienia zła, potężniejszy od wszelkich talentów i magicznej broni.

Niedoszły klient przełknął ślinę i bez słowa usiadł w samochodzie. Trzasnął drzwiami, aż szyba zjechała jeszcze niżej, odpalił silnik i odjechał.

Miriady kropelek wilgoci migotały na samochodach w blasku słońca, jakby cieszyły się wraz z diabłem. Zygmunt zaś patrzył przez jakiś czas w ślad za znikającym autem i napawał się wizją konsekwencji swych czynów, potem zaś spowaźniał, wyprostował się i ruszył w dalszą drogę. W końcu miał jeszcze wiele zadań przed końcem rady pedagogicznej.

Mniej więcej w tym momencie uświadomił sobie, że ktoś go obserwuje.

Wnętrze poczty wykończono mdłymi pastelami, co być może miało zniechęcić petentów do częstszych wizyt. Technika ta, w połączeniu z duchotą, zapachem kurzu i godzinami urzędowania od dziesiątej do szesnastej, wydawała się stosunkowo skuteczna, gdyż oczom Zygmunta ukazało się pomieszczenie prawie puste. Przy jedynym okienku stała starsza pani w płaszczu z krótkimi loczkami farbowanymi na jasny błękit, która perorowała coś przyciszonym głosem. Pracowniczka poczty słuchała jej uważnie i kiwała głową w regularnych odstępach czasu, jakby urzędniczym odruchem aprobowała zasłyszane informacje.

Zygmunt minął stolik do adresowania listów, na którym ułożono w równych kupkach niewielkie druczki, i stanął w kolejce.

– ...kazałam mu jeszcze raz przeczytać wyniki – tłumaczyła Pani

w Płaszczu, poprawiając okulary. – Zwłaszcza cholesterol, wie pani. A on mi na to: Mama za dużo masła je!

Zygmunt omiół wzrokiem tablicę korkową na ścianie obwieszoną plakatami reklamującymi usługi poczty, a potem zerknął na rzeczy ułożone za szybą po obu stronach zasłuchanej urzędniczki. Lektury szkolne w twardej oprawie. Płowiejące, choć nadal różowe romansidło z popularnej serii. Książka kucharska z przepisami siostry Gertrudy. Czasopisma ogrodnicze. Kieszonkowe wydanie Biblii.

– A ja mu na to, że jem tyle, ile powinnam! – ciągnęła Pani w Płaszczu, opierając łokcie o parapet przed okienkiem. – Wyniki nie są gorsze niż te poprzednie, pani kochana. A jak się zmienia, to poproszę doktora o nowe tabletki.

Pracowniczka zaakceptowała informację, z zaangażowaniem kiwając głową. Zygmunt przestąpił z nogi na nogę. Kolorowanki ze świętymi. Krzyżówki. Długopisy. *Przepisy na najlepsze ciasta świąteczne.*

– A do którego doktora pani chodzi? – spytała z zaintrygowaniem urzędniczka.

– Do doktora Fałszczaka, pani Halinko – odparła Pani w Płaszczu z namaszczeniem, poprawiła okulary i pokiwała lekko głową, jakby potakiwała samej sobie. – Różia mnie namówiła, droga pani, bo z początku miałam opory. Przecież to rozwodnik, wie pani...

– Różia spod siódemki? – upewniła się pani Halinka.

– Tak, Walczakowa. Pytałam ją raz, po tym, jak Czesławski...

– Przepraszam! – Zygmunt odsłonił uśmiech w czarującym uśmiechu. – Nie chcę paniom przeszkadzać, ale chciałbym kupić kilka znaczków.

Pani w Płaszczu smagnęła diabła spojrzeniem, odwróciła głowę, jakby szukała wsparcia w obliczu tak niesłychanego zuchwalstwa, i odstąpiła mu kilka centymetrów parapetu.

– Super – ucieszył się diabeł. – Dwa... Albo nie, pięć miejscowych proszę.

Pani Halinka przechyliła nieco głowę i wbiła w niego świdrujące spojrzenie. Był to trenowany przez dziesiątki lat, nieosłabiony przez mętną szybę wzrok osoby, która poświęcała każdą chwilę na gromadzenie danych o innych. Zygmunt czuł, jak jej spojrzenie unosi go i wbija gdzieś na właściwą półeczkę ogromnej bazy danych urzędniczki, rozciągającej się na całe Wypluty z przyległościami, po czym natychmiast opatruje go wszelkimi dostępnymi informacjami o statusie małżeńskim i majątkowym, pokrewieństwie, kontaktach i regularności wizyt w kościele. W przypadku diabła było ich zaskakująco niewiele. Zygmunt widział, jak pani Halinka

marszczy czoło z wysiłku, próbując przypisać go do kogokolwiek bądź czegookolwiek, ale w końcu musiała się poddać i uznać, że widzi go po raz pierwszy.

Nic więc dziwnego, że w jej oczach zaiskrzyło nowe ożywienie.

– Zwykle czy priorytet? – spytała z nadzieją, że może to banalne pytanie nakłoni Zygmunta do zdradzenia czegoś więcej na swój temat.

– Zwykle – odparł uprzejmie diabeł. – I jeszcze pięć kopert. Takich małych, na listy.

Zapłacił, podziękował, ukłonił się Pani w Płaszczu, która nadal trwała w obrażonej pozie, i zabrał się do adresowania kopert. Obie panie podjęły rozmowę, ale ciszej, mniej śmiało, co chwila obrzucając nieznanego badawczymi spojrzeniami, ale jednocześnie udając, że go nie ma. Zygmunt zaś, zaprzątnięty adresami, odruchowo zerknął na frustrometr.

Niskie odczyty.

„Typowe dla osób niezwykle z siebie zadowolonych – pomyślał. – Czyżby zaczęły się schody?”

– To w sumie nie jest nawet złe miasto – powiedział Łukasz i pociągnął z butelki. Potem westchnął i pociągnął ponownie.

Zygmunt nie odezwał się ani słowem. Pamiętał z zajęć z psychologii werbunku, że ludzie, a zwłaszcza mężczyźni, potrzebują czasu, by podzielić się skrywanymi głęboko krzywdami. Powiódł więc jeszcze raz wzrokiem dookoła, jakby w nadziei, że otaczająca go zabudowa skrywa tajemnice, których dotąd nie zauważył.

I wreszcie odkryje, dlaczego mu się wydaje, że jest obserwowany.

Apteka z zielonym neonem nad drzwiami, który migotał rażno, jakby chciał z pewnym wstydem zatuszować to, że w środku nie ma już nikogo. Ciemny front sklepiku odzieżowego z ledwie widocznymi dwoma manekinami przypominającymi okaleczonych ludzi. Kolejna fasada z oknami zabitymi płytami OSB, odrapane wejście do biblioteki, następny front, zasłonięty bujnymi warkoczami wierzby płaczącej, i wejście do Oazy, jasno oświetlone, zapraszające. Przy warzywniaku krzątał się jakiś człowiek – z pośpiechem wnosił do środka ostatnie skrzynki i rozglądał się spłoszony, jakby czuł się winny, że zamyka interes jako ostatni.

– Tu chodzi o ludzi – dodał Łukasz i zapatrzył się w kostkę brukową. Stuknęła odstawiana butelka.

Zygmunt powstrzymał westchnienie. Przez rynek przejechał jakiś samochód, zwolnił przy Oazie, wślizgnął się na puste miejsce parkingowe obok ciemnego posągu Jezusa. Diabeł uważnie przyjrzał się kierowcy.

„Nie – pomyślał. – To nie ten. To nie on mi się przyglądał, kiedy wychodziłem z komisju”.

– I znów, niech pan mnie źle nie zrozumie, tu nie chodzi o mieszkańców tego miasta – dodał Łukasz. – O ludzi w ogóle. Pali pan?

– Okazjonalnie.

– To tak jak ja! – ucieszył się Łukasz. Obszukał kieszenie obszernych bojówek i wyłuskał z nich paczkę papierosów. – Widzi pan – dodał, gdy jego twarz znikła na moment w dymie. – Ludzie się ograniczają. Z wyboru. Na początku życia, gdy rozpoczynamy edukację, mamy możliwość zrobienia absolutnie wszystkiego. Każdy z nas, cholera. Nikt ci nie mówi: ty zostaniesz budowlańcem, a ty będziesz wywoził szambo. Nie, wszyscy mamy dokładnie takie same szanse. Nawet dwunaste dziecko z patologicznej rodziny. Wystarczy, że będzie się uczyć. Wystarczy, że dojrnie jakoś do końca gimnazjum i niczym się do tego czasu nie ograniczy. Tymczasem otoczenie (koledzy, rodzina, bywa też, że szkoła) jest w stanie ograniczyć je w okamgnieniu, i to tak skutecznie, że dziecko nigdy sobie nawet nie uświadomi, że kiedyś miało wolność w zasięgu ręki. Wie pan, o czym mówię?

– Nie.

– Chodzi o drobne rzeczy. Po co się uczyć, skoro można grać w Minecrafta czy przewijać fejsa? Po co wziąć książkę, skoro można postać przed blokiem i pluć na chodnik? Po co się starać, skoro wujek i tak załatwi robotę w żwirowni, a na zabawie w domu kultury znajdzie się kandydatkę na żonę? Człowiek zamyka się na wszelkie możliwości. Przyjmuje to, co łatwe, co nieskomplikowane, co nie wymaga wysiłku, co przed nim zrobili inni. A potem narzeka. Nagrywa to pan?

– Co? Nie... Znaczą się tak.

Łukasz nie zauważył potknięcia Zygmunta. Wpatrywał się w jesienne chmury snujące się nisko nad okopconymi dachami, najeżonymi antenami telewizji cyfrowej.

– O pasji miałem panu opowiedzieć.

– Może być o pasji – rzekł Zygmunt.

Jedno z okien się otworzyło, starsza pani ułożyła na parapecie poduszkę, otuliła szyję szalem i podjęła obserwację rynku z przenikliwością strzelca wyborowego.

„Nie. Ona też nie”.

– Jestem historykiem – rzekł z goryczą Łukasz. – Z powołania, cholera. Chciałem pokazywać ludziom nasze związki z historią, uświadamiać co do roli, jaką odgrywamy, pokazywać, jak można unikać błędów z dawnych czasów.

– Rozumiem – odparł Zygmunt.

Zaczynał się niecierpliwić, więc odruchowo sprawdził umówione miejsce pod ławką, gdzie wedle instrukcji zarząd miał zostawiać dla niego dodatkowe informacje. Niczego nie wymacał. Szkolenia nastawiały go na długie oczekiwanie, ale rozkład jazdy był nieubłagany.

– A wszystko przez ten gród. Słyszał pan o grodzie Świkły?

– Nie.

Dwóch pijaczków, którzy podawali sobie butelkę z ciemnego szkła na ławeczce, ochryplymi okrzykami powitało trzeciego, chwiejnym krokiem zmierzającego w ich kierunku. W połowie drogi trzeci zawahał się, jakby sobie o czymś przypomniał, zadrobił w miejscu i skręcił za słup ogłoszeniowy, majstrując przy rozporku.

– Przestrzeń publiczna, kurwa jej mać – mruknął Łukasz. – No, mniejsza o to. Wychowałem się w Wyplutach. Wie pan, trwała epoka przedinternetowa, a więc spędzałem czas na czytaniu książek, snuciu marzeń i bieganiu po lesie. I wtedy przez przypadek odkryłem wały starego grodu. Znaczący się, odkryłem to chyba za dużo powiedziane. Miejscowi o nich wiedzieli, nawet zaznaczono je na starych mapach turystycznych z lat siedemdziesiątych, ale wszyscy gdzieś to mieli. Łaziłem dookoła nich całe dni, próbowałem coś wykopywać, a w domu czytałem na ten temat, rysowałem, układałem nawet krótkie historyjki o tym, co się tam mogło dziać. Ba, miecz sobie zrobiłem. Gdyby nie ów gród, pewnie nie przyszłoby mi do głowy, by pójść na historię.

– Uhm – rzekł Zygmunt. Upił łyk piwa i powąchał dłoń. Nadal śmierdziała farba.

– Jeszcze w trakcie studiów próbowałem zainteresować burmistrza i radnych tym miejscem. Roztaczałem przed nimi wizję atrakcji turystycznej, która mogłaby rozświetlić miasto, zwiększyć zatrudnienie w gastronomii i hotelarstwie oraz stworzyć zapotrzebowanie na pracę sezonową. Słuchali mnie i kiwali głowami. Nic ponadto. Uznałem, że może trzeba konkretnie. Pisałem biznesplany, szukałem, za nich, kurwa mać!, dotacji unijnych, osobiście próbowałem zorganizować prace społeczne, by udrożnić dojazd. Żadnej reakcji poza jednym jedynym pismem, w którym urząd gminy stwierdzał bezcelowość podejmowania prac nad rewitalizacją i utylizacją

turystyczną grodu Świkły. Czy jakoś tak.

– Aha.

– Rozumie mnie pan już? – Łukasz odstawił butelkę z głuchym stuknięciem. – Po co ktoś miałby robić coś, co wykracza ponad przeciętność, skoro tak już jest dobrze? Ludzie z urzędów mają swoje pensje, stołki, trzynastki, urlopy i ściśle wyliczony czas do emerytury. Mają też dobrze opracowaną listę obowiązków, która bardzo dokładnie wyznacza ich horyzonty myślowe. Czy może raczej powinienem powiedzieć: ogranicza ich horyzonty. Bo wie pan, na takiej posadzie robi się tylko to, co trzeba. Nie to, co można.

Przez chwilę obaj milczeli. W końcu Łukasz wstał, wziął obie butelki po piwie i ciężkim krokiem podszedł do kosza na śmieci. Wrzucił je do środka z brzękiem, który zaalarmował pijaczków po drugiej stronie rynku.

– Choć trzeba przyznać, że podjęli pewien wysiłek – rzekł, siadając. – I to błyskawicznie. W jedynym miejscu, w którym można by poprowadzić drogę do grodziska, zniwelowali grunt, wysiali trawę i wzniesli ołtarz papieski. Trzy zajęcia za jednym strzałem, mówię panu. Uwolnili się od problemu na przyszłość, przypodobali miejscowemu ojcu dobrodziejowi i urządzili sobie miejsce na majówki. Mega.

Ciemniało. Starsza pani schowała poduszkę i zrezygnowała z obserwacji. Okna na piętrach kamieniczek jaśniały niebieskawą emanacją telewizorów, tu i ówdzie migotała dziko gra komputerowa. Ulice cichły, nawet rżenie połączonej już trójki pijaczków stawało się mniej wyraźne, senniejsze.

– I tak już ze wszystkim. – Łukasz rozdeptał niedopałek obok kilku innych i zmiotł je nogą w cień pod ławką. Kapsle i kawałki szkła mieniły się w blasku latarni wszędzie dookoła, jakby ktoś je z worka rozsypał. – Moja dyrektorka, na przykład, to najlepszy dowód...

– Pora – przerwał mu Zygmunt, który uznał, że czas narzucić rozmowie wyraźniejszy kierunek – by podjął pan działanie.

– Jakie? – parsknął Łukasz i obrzucił diabła spojrzeniem, w którym tańczyło niedowierzanie zmieszane z kpiną i rezygnacją. – Mam pisać do ministerstwa kultury? Słyszał pan, jaki de...

– Nie o tym myślę. – Zygmunt westchnął i wyprostował się, a potem spojrzął na Łukasza zmrużonymi oczami. – Daj sobie pan spokój z listami. Mam wrażenie, że gdzieś po drodze sam pan sobie narzucił ograniczenia.

– Ja? – warknął nauczyciel. – Ja musiałem się tylko pogodzić z tym, że...

– Dość – powiedział diabeł cichym, ale stanowczym głosem. – Dość już wyjaśnień, tłumaczeń i żalów. Nie sądzi pan, że należałoby po prostu wziąć

sprawy we własne ręce?

Jego oczy znów błysnęły.

Zajaśniały reflektory skierowane na posąg Jezusa, ale zaraz przygasły, przyćmione smugami cuchnącego dymu z pobliskich kominów. Powietrze zgęstniało od przekazu.

Zygmunt przebiegał palcami, patrząc, jak szpony migoczą w świetle nocnej lampki. Stojący przed nim komputer szumiał, a przez ekran przemykały kolejne komunikaty uruchamiającego się powoli systemu operacyjnego Hellion. Gdy pojawił się wreszcie ekran startowy, diabeł złapał metalową myszkę.

– Policzmy – szeptał. – Graffiti na Osiedlu, pozapychane rury wydechowe w kilkunastu samochodach, trzy listy z informacją o rychłej wizycie kontroli skarbowej na wniosek sąsiada, list erotyczny od doktora Fałszczaka wsunięty do kieszeni Pani w Płaszczu oraz upokorzony właściciel audi B4. Do tego nawiązany obiecujący kontakt z najbardziej sfrustrowanym człowiekiem w Wyplutach i kilka pomysłów na jutrzejszą rozróbę. No, ciekawe, jak szefostwo oceniło moje działanie...

Nie do końca rozumiał zasady, wedle których program Mefistofeles oceniał postępy agentów terenowych i przydzielał im punkty. Przypuszczał, że może to mieć jakiś związek z technologią GPS, ale z drugiej strony Piekło zawsze wiedziało zaskakująco dużo o działalności swych wysłanników, nawet w epoce konnej poczty i plotek w karczmach. Pozostawała tylko nadzieja, że teraz, gdy technologia poszerza możliwości Piekła, ocena będzie tym bardziej sprawiedliwa.

– Stówa będzie jak nic, a jutro to dopiero się posypią punkty!

Mimo tych wniosków nie mógł powstrzymać drżenia kosmatej dłoni, gdy uruchamiał opcję „Sprawdź punktację”.

„Na dzień drugi października dwa tysiące szesnaście czasu ziemskiego odnotowano: 30 punktów. Kliknij tutaj, by wyświetlić szczegóły”.

– Co?! – Zygmunt się poderwał. W jego oczach buchnęły płomienie piekielne.

„Skłonienie osobnika płci męskiej do wyznania miłości malarzowi podwykonawcy, godzina siódma osiemnaście. Stwierdzone konsekwencje: zerwanie kontraktu, przestój w pracy, trzy kłótnie wywołane koniecznością znalezienia kolejnego podwykonawcy, pobicie wyżej wspomnianego osobnika

przez ekipę ofiary oraz zniszczenie mienia o wartości sześciu tysięcy złotych”.
Ani słowa o działaniach w Wyplutach.

Ktoś napisał sprayem na ścianie mojego bloku „Seba to chuj”.

Nie.

Sebastian Hoffman, absolwent Gimnazjum imienia Cierpiących za Słuszną Sprawę w Wyplutach, nie jest chujem. Jest ofiarą tego systemu edukacji, tej mentalności i tego społeczeństwa. Innymi słowy, ofiarą tego kraju.

Gdyby stawiał jakikolwiek opór – gdyby nie narzucił sobie żadnych ograniczeń, a wbił do głowy nieco więcej wiedzy, gdyby przebrnął chociaż przez zawodówkę, poszedł do wojska na zawodową służbę albo pożyczył trochę forsy i pojechał do roboty za granicę, gdyby zadał sobie odrobinę jakiegokolwiek trudu, nikt nie pisałby po ścianach na jego temat. Miałby kasę i jakąś tam pozycję.

Tymczasem obrał sobie inny los.

Ciekawe, czy o mnie też ktoś kiedyś napisze. Pewnie nie na murze, pewnie też nie przy użyciu takich inwektyw, ale na pewno moje nazwisko pojawiło się dziś w kilku zdaniach. Na pewno zapisała je wielce szanowna pani dyrektor – widziałem wyraźnie jej spojrzenie, gdy na radzie pedagogicznej wspominała o paru młodych nauczycielach, którzy powinni czynniej zaangażować się w życie szkoły. Zapamiętała je pewnie też pani Różia Walczakowa, która bacznie przyglądała mi się dziś ze swego okna. Cóż to za porządki? Nauczyciel pije piwo w miejscu publicznym? Niedaleko figury Jezusa? I to jeszcze z jakimś nieznanym? Skandal.

Cud – może powinienem przypisać go Jezusowi? – że nie zadzwoniła na policję. Szkoda, bo i oni zapisaliby sobie moje nazwisko.

Myślę natomiast, że nie zapisał go ani razu ów człowiek, który miał teoretycznie przeprowadzić ze mną wywiad.

Może i dobrze, bo chyba nie chcę, by ktoś łączył ze mną to, co powiedziałem. Po moich wszystkich staraniach w sprawie grodu i tak do końca życia będę uchodził za rewolucjonistę, ale mimo to nie chcę, by ktoś mi kiedyś wymachiwał przed oczami jakimś artykułem. Nie w tym cholernym mieście. Za ciasno tu na takie rzeczy.

A może jednak chcę? Może dość mam biegania za własnym ogonem?

Może jednak go posłucham?

Łeb mi pęka. Muszę pogadać z Natalią. Pewnie pomoże. Zawsze pomaga.

Dzień trzeci

Wiatr, który hulał nad miastem i wydymał kurtki policjantów, niewzruszenie niczym posągi strzegących przejścia dla pieszych przy hotelu, dotarł w ślad za Zygmuntem do Wyplut, ale diabeł z początku nie zwrócił na niego większej uwagi. Wyskoczył z pociągu i natychmiast uruchomił kamuflaż, postanawiając w duchu, że dziś poprowadzi łowy inaczej niż dotychczas.

Wbrew radom szkoleniowców.

„Jasne, jasne – myślał, brnąc ulicą pod wiatr. – Wiem, że nie ma innego sposobu na pozyskanie klienta niż rozmowa, ale... Sorry, chłopaki. Dziś wolałbym się skupić na dyskretnych poszukiwaniach”.

Płaszcz z zestawu „poważny człowiek interesu” łopotał mu dookoła łydek, spodnie od garnituru przenikał wiatr, lakierki przepuszczały wodę. Zygmunt kłął pod nosem, ale rozglądał się czujnie. Tego dnia – trzeciego dnia działania w terenie – chciał się zamienić w łowcę.

Najpierw jednak musiał przetestować sprzęt.

Roman, przygodny znajomy sprzed dworca, witał się z jakimś znajomym pod sklepem, którego asortyment zdradzał zarówno ciężki zapach niedający się nawet ostremu wiatrowi, jak i naklejka na witrynie przedstawiająca uśmiechniętego, zwiniętego w znak zapytania szczupaka. Zygmunt przebiegł na ich stronę ulicy i minął rozmawiających powolnym, spokojnym krokiem, a nawet skinął Romanowi głową.

Spojrzenie Romka prześlizgnęło się po nim i nie zatrzymało. Facet chyba naprawdę go nie zauważył.

„Działa!” – ucieszył się Zygmunt i zatarł w myślach dłoń.

– Wszystko zależy od pogody – grzmiał rozmówca Romana, potężny mężczyzna z pokaźnym brzuchem, ubrany w kurtkę z czarnej skóry. – Papierów na wycinke nie mam, ale załatwię. Mnie tam słuchają w tym starostwie, dziady pieprzone. Wiedzą, kto jestem, a jak się który postawi, Romuś, dzwonię ci ja do burmistrza i mówię: Piotruś, sprawa jest. A on: Wal, Przemciu. No i po sprawie.

– Pewnie, panie Kacprzak – powtarzał Roman, ewidentnie uszczęśliwiony.
– Pewnie.

– No – sapnął człowiek nazywany panem Kacprzakiem, zadowolony z wrażenia, jakie wywołał. – No to do soboty, no nie?

– Jasne. Wezmę Albercika, on ma pilarkę, wie pan, szast- -prast i po

sprawie.

– Dobra, Romuś, jesteśmy umówieni. Zetniemy drzewko raz-dwa.

– A ten, no... – Romek oblizał się nerwowo. – A ile pan da?

– Ile? – Kacprzak przewrócił oczami, udając, że się zastanawia. – Nie no, kierowcy muszą coś dać i na paliwo wyłożyć. Wiesz, Romuś, takie rzeczy nie są za darmo. Nawet dla mnie.

– To ile?

– No, po dwie dychy na łebka. Może być?

– Może – zgodził się niechętnie Romek.

– Dobra – powiedział Kacprzak, wyraźnie z siebie zadowolony. – Muszę lecieć, bo w urzędzie czekają. No, to widzimy się w sobotę przed dziesiątą, no nie? No, żeby się uwinąć przed mszą.

Dłoń Romana, bynajmniej nie mała, całkiem zniknęła we włochatym łapsku rozmówcy. Ten potrząsnął nią oszczędnie, a na jego szerokiej, nalanej, zaczerwienionej twarzy malowała się lekka wzgarda przemieszana z absolutnym przeświadczeniem o własnej doskonałości. Wszystko w tym człowieku – od czarnej kurtki z drogiej skóry, przez bujne, siwawe wąsisko, aż po ostrzyżone na kilka milimetrów włosy – budowało obraz kogoś, kto całkowicie wypełnia swoją osobą obwieszony balonami sale bankietowe, zakurzone mównice na posiedzeniach gminy czy ławy za podniszczonymi stołami oblepionymi przez amatorów wódki. Zygmunt wycelował w niego frustrometr i nie zdziwił się, gdy ujrzał odczyt na poziomie bliskim zera.

„Kolejny człowiek całkowicie z siebie zadowolony – pomyślał. – Kompletnie bezużyteczny”.

Liczyło się coś zupełnie innego. Kamuflaż, aplikacja frustrometru, w pośpiechu zainstalowana przed opuszczeniem Piekła, najwyraźniej się sprawdzał.

Diabeł nie miał pojęcia, jak urządzenie działa, gdyż podczas szkoleń z obsługi frustrometru napomknięto jedynie o jego istnieniu, zupełnie jakby nie do końca ufano jego skuteczności bądź – co Zygmuntowi wydawało się nieco bardziej prawdopodobne – zarząd nie do końca rozumiał potrzebę korzystania z jakiegokolwiek technologii pomagającej kryć się wśród ludzi. Skoro od tysięcy lat wysłannicy Piekła korzystali jedynie z własnych umiejętności, by zamaskować się w ludzkich społeczeństwach, dlaczego mieliby teraz posługiwać się elektronicznymi cackami?

– Durnie! – mamrotał Zygmunt. – Pieprzeni, niedouczeni durnie. Zaścianek. Wielka, czarna dupa.

Ludzie, których mijał, odwracali się, słysząc jego głos, i rozglądali się, ale

nikt nie był w stanie zaczepić na nim wzroku. Z tego, co Zygmuntowi udało się stwierdzić, wbudowane we frustrometr urządzenie kamuflujące nie obdarzało niewidzialnością, ale czyniło użytkownika trudno rozpoznawalnym i prawie niemożliwym do zapamiętania. Mijani ludzie widzieli go jako rozmazaną plamę o niewyraźnych rysach, a to dawało całkiem nowe możliwości.

Diabeł zatarł w duchu dłonie, ale natychmiast stłumił entuzjazm i wyculił zmysły, główne te diabelskie. Oprócz nowych klientów musiał wszak odnaleźć tego, kto go obserwował. Jak na prawdziwego łowcę przystało, rozpoczął łowy tam, gdzie pachniało jedzeniem.

Skierował kroki do największego (i zarazem jedyne) supermarketu spożywczego Wyplut.

Z powodów tyleż niejasnych, co niestotnych supermarket nosił nazwę Dejmi i stanowił idealny teren działań, które podczas szkoleń określano mianem prowokacyjnych, tym bardziej że pomimo wczesnej pory panował tam spory ruch. Zachwycony diabeł przez moment bawił się w klienta – kroczył majestatycznie wzdłuż regałów uginających się pod ciężarem kolorowych produktów, z zapalem grzebał w pudłach z odzieżą, ujmował jakieś słoiki, którym przyglądał się podejrzliwie pod słońce – aż przypomniał sobie o zadaniu. Znów wyteżył zmysły.

– I tak właśnie należy głosować! – perorował starszy pan przy stoisku z mrożonkami. – Wreszcie, proszę pani, rząd jest taki, jak należy. Wezmą się za Niemców i innych łobuzów, którzy od lat nas zarzynają. Gospodarkę nam rozwalają. Duszą nas, proszę pani! Myśli pani, że to porządne, polskie jabłka? Otóż nie!

Podniósł przy tym głos i rozejrzał się wojowniczo po alejce, szukając innych słuchaczy, ale oprócz nierozpoznawalnego Zygmunta w pobliżu były jedynie dwie starsze panie, które chłoneły wywód od początku, skwapliwym kiwaniem siwiuteńkich głów pointując każde zdanie mówcy.

– A słuchała pani wiadomości wczoraj? – spytał starszy pan.

Złapał bliższą słuchaczkę za łokieć i przysunął do siebie celem poprawienia jakości przekazu.

Zygmunt również podszedł bliżej, ale po to, by wyłuskać mu z kieszeni portfel, który następnie podrzucił do koszyka zafrapowanego młodziana, który stał przed produktami dla niemowląt i cierpliwie znosił telefoniczną tyradę

żony. Potem Zygmunt wyciągnął z walizeczki serię nalepek, dzięki którym radykalnie obniżył ceny pomidorów, jabłek i cukinii, wreszcie, udając, że poprawia sznurowadło, połączył cienutką żyłką czyjś wózek sklepowy z paletą, na której misternym sposobem poustawiano butelki z piwem. Dyskretnie zamknął drzwi na zaplecze i wbił niewielki klin między drzwi a futrynę, a potem rozejrzał się w poszukiwaniu materiału na kolejną czynność prowokacyjną... kiedy nagle tknęło go osobliwe przeczucie.

To samo, które nawiedziło go w chwili opuszczania komisu samochodowego.

Diabelski instynkt, od tysiącleci szlifowany podejrzliwymi spojrzeniami księży zapaleńców, kuty w ogniu świętej inkwizycji, polerowany nadzieją na pochwały i nagrody najwyższych struktur piekielnych, nie mylił się nigdy. Ktoś go obserwował.

Pomimo kamuflażu.

Zygmunt znieruchomiał, walcząc z pokusą uwolnienia swej prawdziwej postaci, w której – na co również wskazywały doświadczenia tysiącleci – wszelkie problemy rozwiązywało się łatwo i skutecznie. Rozejrzał się powoli i ostrożnie niczym myśliwy, który usłyszał trzaśnięcie gałązki w najdzikszych ostępach.

Widział twarze w skupieniu analizujące oferty cenowe. Przyciskane do uszu telefony. Terkoczące wózki. Kołysane przewiewem kartki informujące o promocjach. Ciemne, beznamietne oko przypuszczalnie zepsutej kamery.

Nikt na niego nie patrzył.

Chwilowa uciecha wywołana zabawą wśród regałów supermarketu wyparowała błyskawicznie i Zygmunt, coraz bardziej zaniepokojony, wyszedł na parking, przyciasnawy, bo obliczony na o wiele mniejszą liczbę samochodów niż ta, która się po nim przesuwiała. Kierowcy, którzy jeszcze przed chwilą pokornie milczeli w kolejkach do pikających kas, teraz, skryci za szybami swych pojazdów, obrzucali się wzgardliwymi spojrzeniami i seriami gestów udowadniali sobie nawzajem braki w umiejętności prowadzenia oraz inne deficyty.

Nie patrzył na niego żaden z nich. Nie spojrziała na niego kobieta pchająca wyładowany wózek w stronę wysłużonego seicento, nie spojrzęło też dwóch starszych panów, którzy z westchnieniami ulgi otworzyli butelki z piwem obok miejsc parkingowych dla rowerów. Nie spoglądał na niego nikt z okien szarych bloków Osiedla, które wznosiły się za rzędem targanych wiatrem lip.

Przyklejone do okien sklepowych ulotki zachęcające do zakupu trzech sześciopaków piwa Krzepkie w cenie dwóch furkotały na wietrze. Dźwięk ten

przypominał Zygmuntowi histeryczny suchy kaszel puszczony w przyspieszonym tempie.

Ktoś wiedział o jego istnieniu. Ktoś się mu przyglądał. Ktoś niewidzialny i niewykrywalny.

Niedobrze.

„Znajdę cię – obiecał sobie w myślach diabeł. – Znajdę cię i wypruję z ciebie duszę. W tradycyjny sposób”.

Ruszył w stronę rynku. Wiatr powiał mocniej, niemal zagłuszając brzęk tłuczonego szkła we wnętrzu Dejmi.

Świadomość, że śledzi go ktoś, kogo on nie jest w stanie namierzyć, błyskawicznie przerodziła się w obsesję i Zygmunt rzucił się do biegu. Otulony dobroczynną aurą kamuflażu, gnał po uliczkach Wyplut niczym forpocza jesiennych wichrów, roztrącał ludzi, skakał nad kałużami zdyszany, zasapany, toczący naokoło przekrwionym spojrzeniem. Co kilka kroków przystawał, wciągał ze świstem powietrze, rozglądał się, wietrzył.

Nic. Irytujące, wściekłe nic.

Ktoś nadal na niego patrzył. Przez cały czas, bez względu na to, gdzie diabeł się znajdował, patrzył nieustannie, niezmiennie.

I znów pędził. Kopnął uchylane właśnie drzwi restauracji Dyżurna, wpychając do środka wychodzącego człowieka, przesadził stragan ze zniczami i środkami czystości z Niemiec, charcząc, przemknął po pasach przed maską dostawczego mercedesa, zawirował wokół własnej osi, parsknął, tryskając kropelkami śliny, zatupał.

Nic.

Odruchowo zmienił taktykę. Przyczaił się za grubym węzlastym pniem wielkiej wierzby płaczącej, jedyne drzewa na rynku, potem skrył za posągiem Jezusa, potem za kubłami śmieci przy Oazie, za warczącym głucho starem wywrotką, w końcu za stertą gruzu w którejś z bocznych uliczek. Znieruchomiał, uspokoił oddech, wyostrzył kamuflaż do oporu, wyteżył zmysły.

Nic. Nadal nic. Wciąż czuł na sobie nieprzyjemny, natrętny wzrok, wyizolowany, pozbawiony źródła, oblepiający go niczym warstwa lepkiego mazutu.

Diabeł westchnął ze złością i spojrzął na szare chmury, pędzone porywami wichru. Zgrzytnął ostrymi zębami, gotów wyzwolić swą prawdziwą postać

i uruchomić tradycyjne, starodawne dzieło zniszczenia, czyli to, przed czym tak dobitnie przestrzegali szkoleniowcy. Zacisnął pięści i w chwili, gdy rozrastające się szpony nakłuły już delikatnie skórę dłoni, niezdefiniowane spojrzenie umknęło.

Zygmunt niemal odetchnął z ulgą.

Rozparł się wygodnie na oblepionym resztkami betonu pustaku i potrząsnął głową. Diabelska krew tętniła wściekle, wciąż rozbuchana atakiem furii, ale myśli płynęły już uporządkowanym strumieniem.

„Co to, do cholery, było? Anioł jakiś, archanioł może? Gdzie tam, wedle danych PUS-u od kilkuset lat nie prowadzą działalności na ziemi z wyjątkiem corocznych misji mirakuryjnych. Kamery monitoringu ponoć nie wychwytyują kamuflażu, a nawet gdyby wychwytywały, nie czułbym aż tak wielkiego dyskomfortu. Przecież to tylko elektroniczne zabawki! Człowieka też bym wykluczył, bo... Bo ludzie to tylko ludzie. W najlepszym razie klienci. Więc co?”

Westchnął przeciągle.

Przy końcu uliczki otworzyły się drzwi, za kontenerem na plastik mignęła jakaś postać, ledwie widoczna w szczelinie między pojemnikiem a szarą ścianą. Zygmunt wypatrzył czerwone pończochy, czarną sukienkę i włosy upięte w kok. Potem nad kontenerem pojawił się obłoczek niebieskawego dymu, natychmiast rozpędzony podmuchem wiatru.

„Ludzie to w najlepszym razie klienci” – powtórzył w myślach Zygmunt, wstał i otrzepał płaszcz z pyłu. Ruszył szybkim krokiem ku szkole, po drodze rzucił zaciekawione spojrzenie na palącą dziewczynę. Miała zaczerwienioną twarz i opuchnięte oczy. Papieros lekko drżał w jej dłoniach.

Zygmunt uśmiechnął się pod nosem i zawahał się nieco. Nie musiał wyciągać frustrometru, by rozpoznać błysk żyły złota. Diabelski instynkt podpowiadał mu, że dziewczyna jest w rozsypce, a przez to idealnie nadaje się do jego celów. Przez chwilę krótką jak strzał z bicia zastanawiał się, czy nie zboczyć z kursu i nie przysiąc się do nieznanym, ale wtedy w jego głowie rozległ się głos szkoleniowca:

„Pamiętaj, by nie rozmienić się na drobne. Ha, ha, ha, rozumiesz dowcip? Na drobne, nieźle. Owe przysłowiowe drobne w tym przypadku to działania nieskuteczne, nieskoordynowane, chaotyczne. Pochwyciwszy jednego klienta, eksploatuj go do końca, do momentu, gdy nabierzesz pewności, że już nic z niego nie wyciągniesz. Wtedy i tylko wtedy szukaj innych. Nigdy wcześniej. I nie martw się, że inni klienci wydają się potencjalnie lepsi. Dobrze prowadzony klient, nawet mało obiecujący na początku, może przynieść

mnóstwo korzyści firmie. Poza tym historia zna setki przypadków agentów, którzy przez cały czas działalności sterowali jednym tylko klientem i osiągnęli niezwykle rezultaty. Czytałeś *Sprawozdania watykańskie* razem ze statystykami na końcu?”

– Nie, nie czytałem. I niech cię szlag trafi – mruknął do siebie Zygmunt, wyłączył kamouflaż i podszedł do nieznajomej. Jego wzrok pospiesznie rejestrował i przetwarzał szczegóły. Widział lekkie, nieco przykurzone baleriny, ładną, choć niewyszukaną spódniczkę, skromny dekolt i krzywo przyciętą, dodającą zawadiackości grzywkę, co razem tworzyło niewyzywający, ale mocny, spójny styl, wyraźnie odcinający się od szarości i bylejakości Wyplut. Uwagę diabła przyciągnęły jednakże przede wszystkim zaczerwienione, zapłakane oczy.

„Tylko ostrożnie – napomniał się w myślach niczym myśliwy podchodzący płochliwą zwierzynę. – Ostrożnie, ostrożniutko...”

Przez jego umysł przesunęło się kilka z wyuczonych strategii nawiązywania kontaktu z klientem płci żeńskiej w stanie wzburzenia emocjonalnego, ale żadna nie wydawała się stosowna. Zygmunt wciągnął mocno powietrze, czując całkowicie nieoczekiwany stres, gdy z kłopotu wybawiła go sama dziewczyna. Uniosła wzrok, wyrzuciła niedopalonego papierosa, a potem wydmuchała hałaśliwie nos i spojrzała na Zygmunta pytająco.

– Wejście do restauracji jest z drugiej strony – powiedziała sucho, ochryple.

– Ja nie do...

– Aha. To przepraszam. – Dziewczyna wstała, poprawiła spódniczkę i ruszyła po schodach na górę.

Zygmunt wzruszył ramionami.

„Dobra, nie udało się, i tyle” – pomyślał.

Na uliczkę wtargnął wiatr, zamieniając ją w przeraźliwie zimny tunel aerodynamiczny, wyszarpując z kątów strzępy kartonów i okrągłe pudełka po pasztetach, turlając niedopałek. Między jednym podmuchem a drugim rozległ się odległy dzwonek szkolny.

– Eee... Do szkoły to tędy? – spytał Zygmunt, czując, że robi z siebie jeszcze większego idiotę. Budynek z czerwonej cegły był wszak doskonale widoczny.

Dziewczyna położyła dłoń na kłamce z aluminium i spojrzała na niego, ale tym razem w jej martwym spojrzeniu pojawiło się coś innego. Podejrzliwość? Czujność? Niedowierzenie?

– Tak – wychrypiała. – Tędy.

– Nie mogę teraz z tobą rozmawiać! – Łukasz dopiął kurtkę i ustawił się bokiem do wiatru. Jego spojrzenie umknęło ku oknom na piętrze budynku gimnazjum. – Mam dyżur.

Zygmunt rozejrzał się uważnie. Na betonowym, pociętym spłowiałymi liniami boisku nie było żywego ducha. Na schodach przez chwilę kręciła się grupka zakutanych w kurtki pierwszoklasistów, zapewne wyrzuconych przez nauczycielkę dyżurującą, by zaczerpnęli świeżego powietrza, ale rezolutne dzieci szybko przypomniły sobie o bocznym wejściu do szkoły i zniknęły w środku równie szybko, jak się pojawiły. W strefie rzutu za trzy punkty wirowały pierwsze jesienne liście.

– Dlaczego? – spytał diabeł.

Łukasz, jakby w odpowiedzi, zerknął ponownie na to samo okno. Zygmunt dopiero teraz zauważył, że pnący się po ścianie bluszcz omijał je sporym łukiem, co wydawało się podkreślać jego symboliczne znaczenie.

– Szefowa się gapi – mruknął niechętnie nauczyciel. – Jestem tu trochę na cenzurowanym, wiesz. Olałem pewną szkolną imprezę i ciut mi się oberwało na wczorajszej radzie.

– Jaką imprezę? – spytał diabeł. Profilaktycznie przyjrzał się oknu, ale upewnił się, że to nie stąd jest śledzony.

– Szkoła nosi imię Cierpiących za Słuszną Sprawę – wyjaśnił Łukasz. – Niestety chyba tylko ja dostrzegam, jak szeroka jest ta definicja. Problem się zaostrza co roku, gdy trzeba przygotować inscenizację przedstawiającą postacie takich właśnie cierpiących, co tradycyjnie koordynują nauczyciel historii z katechetką. Wyobrażasz sobie?

– Nie – odpowiedział szczerze diabeł, walcząc z pokusą zerknięcia na frustrometr. Czuł, że mógłby ujrzeć rekordowy odczyt.

– Zaproponowałem Skłodowską-Curie, bo w końcu nacierpiała się za sprawę jak najbardziej słuszną, przez którą umarła, ale gdzie tam. Gdzie tam, kurwa! Święty Wojciech i święty Stanisław. Bo jak mi wyjaśniła katechetka, dzieci mają już stroje z ubiegłych lat, a poza tym po co im w głowach mieszać. Takich rzeczy jak ta cała Skłodowska to przecież będą na fizyce uczyć. To może chociaż Pilecki, tłumaczę. Rotmistrza Pileckiego przedstawmy. Dzieciaki powinny znać najnowszą historię. Patrzą na katechetkę i widzę, że ta nie ma pojęcia, o kim mówię. Opowiadam, przytaczam dowody, tłumaczę... Gówno tam! – Łukasz ekscytował się coraz bardziej. – Żeby się na tym skończyło... Najwyraźniej to babsko szepnęło co

niecو szefowej, bo dziś rano zmieniły się dyżury. Codziennie mam boisko na dużej przerwie. A idzie, kurwa, zima. – Znowь spojrzął na okno. – Jeśli mnie zobaczy, jak z tobą gadam, znowu mnie opieprzy za zaniechywanie obowięzków nauczyciela dyżurującego – powiedział.

Zygmunt nagle sobie uzmysłowił, że nauczyciel zrezygnował z formy grzecznościowej „pan”, co między nieznanymi właściwie nie powinno się wydarzyć, nawet w chwilach skrajnej wrogości. Jedną z nielicznych rzeczy zapamiętanych ze szkolenia socjolingwistycznego było zdanie: „Jesteś pan popierdolony”.

– No i co z tego? – spytał diabeł, przyglądając się nauczycielowi z zaintrygowaniem. – Wybatoży cię? Ogoli? W smole obtoczy?

– Nie, ale...

Łukasz odwrócił się ku diabłu, a ten, ku swemu wielkiemu zaskoczeniu, ujrzał w jego oczach bezdenną pustkę, której nie było tam wczoraj. Jakby coś, co się kiedyś w nich tliło, wygasło bezpowrotnie, a słowa o dyrektorce, szkolnej imprezie i konsekwencjach służbowych były jedynie zasłoną dymną, pustą, tragicznie rozrzedzoną, nieudolnie kryjącą coś prawdziwego. Coś, czym Łukasz wstydziliby się podzielić.

Serce diabła zabiło żywiej.

„Emocje są niczym wodze – opowiadał ekspert od psychologii werbunku. – Złap którąś i szarpnij mocno, a klient zaprowadzi cię dokładnie tam, gdzie chcesz”.

Łukasz wpatrywał się w niego suchymi, pustymi oczami.

– Możesz to opisać w tym swoim artykule. Wszystko opisz – rzucił nagle, po czym się zawahał. Zmrużył lekko oczy i uśmiechnął się bez wesołości. – Nie będzie żadnego artykułu, co?

– Nie – rzekł diabeł i uruchomił przekaz. – Ale mam ci do zaoferowania o wiele więcej. Coś, co pozwoli ci poukładać wszystko to, co się rozwaliło.

Wiedział, że jego oczy błyszczą teraz intensywnie, wręcz metalicznie. To właśnie owo spojrzenie – a nie kopyta czy ogon – było znakiem rozpoznawczym diabłów działających na ziemi od zarania dziejów. To właśnie dzięki niemu pękały ostatnie opory wahającego się śmiertelnika, dzięki niemu grzech stał się motorem napędowym dziejów. Dzięki niemu Piekło nigdy nie cierpiało na brak zajęć.

W przeciwieństwie do przekazu, sztuki trudnej i subtelnej, polegającej na wtłoczeniu klientowi konkretnego polecenia, diabelski wzrok krył w sobie tylko jedno.

„Chodź za mną. Nie wahaj się, odrzuć strach. Chodź”.

Łukasz z wysiłkiem wciągnął powietrze i zamknął oczy. Naraz rozdarł się dzwonek, tak głośny i niespodziewany, że nauczyciel niemalże podskoczył.

– Muszę lecieć – mruknął. – Zadzwoń do mnie.

Sklepek z telefonami komórkowymi w suterenie starej kamienicy wypełniało ostre światło lamp jarzeniowych, które odbijało się od pustawych szklanych gablot z najnowszymi modelami aparatów dotykowych, od lady i oczu sprzedawcy. Ten ostatni, ubrany w naśladowczą elegancję koszulę w barwach operatora, z założenia miał być żywą czarującą kopia czarujących postaci z reklam telewizyjnych, ale zamysł przypuszczalnie krzyżowała wysokość pensji brutto. Zygmunt przebywał na ziemi od trzech dni, ale jeszcze nie widział człowieka tak skrajnie znudzonego. Jego zniechęcenie odbijające się w szklanych, rybich oczach i chorobliwie blada skóra były tak odrażające, że diabłu nie chciało się nawet wyciągnąć frustrometru.

Instynkt podpowiadał mu, że z tego klienta nie wyciągnąłby zgoła nic.

O ile zmusiłby go w ogóle do wstania z krzeselka.

– To najnowszy model – powiedział wysokim, niemal kobiecym głosem sprzedawca, podsuwając Zygmunтови kolorowe pudełko. Otworzył usta, jakby chciał coś dodać, ale tylko westchnął i wyciągnął kilka zadrukowanych kartek wyplutych przez drukarkę. – No i umowa. Proszę o podpis tu i tu. I tu.

– A... taryfa? – Zygmunt przypomniał sobie odpowiednie pojęcie z zajęć z kultury społecznej.

– To se pan onlajn wybierze. Wystarczy się zalogować – odrzekł sprzedawca.

Jego wzrok już umknął w stronę przesuwającej się płynnie rzeki portalu społecznościowego na ekranie komputera.

– Gdzie mam się zalogować? – spytał uprzejmie Zygmunt. Niebezpiecznie uprzejmie.

– Gdzie? – Młody człowiek odwrócił się ku niemu powoli i znów westchnął, jeszcze boleśniej niż poprzednio. – Na stronie operatora.

– Czyli gdzie?

W rybich oczach sprzedawcy zamigotały jakieś dowody istnienia życia intelektualnego.

– No, na stronie operatora – powtórzył z niedowierzaniem. – Pan wie, którą sieć obsługuję?

– Nie.

Kolejne westchnienie zabrzmiało jak syk flaczejącego pontonu.

– Nie? – Sprzedawca pokręcił głową. – Nie widział pan logo ani... Ani w ogóle?

– Nie.

– Ale wie pan, czym jest operator? No, sieć?

– Nie.

Młody człowiek oblizał spierzchnięte wargi, co Zygmunt wziął za objawy autentycznego zdumienia i konsternacji – sprzedawca najwyraźniej nigdy wcześniej nie miał styczności z klientem, sądząc po wyglądzie niestarym i stosunkowo zamożnym, który nie miał pojęcia o istnieniu sieci telefonii komórkowej. Diabeł przyglądał się chłopakowi z narastającym zaciekawieniem, a wywołanie u niego konfuzji sprawiło mu mnóstwo zdrowej, złośliwej przyjemności. Miał wielką ochotę uciszyć głosy szkoleniowców pouczających go na każdym kroku o konieczności zachowania dyskrecji oraz pracy dla wyniku i wreszcie zrobić coś po swojemu. Tak, jak należy. Tak, jak wypada.

By pokazać temu gówniarzowi to i owo.

Sprzedawca wyciągnął rękę po telefon, jakby chciał się z kimś skonsultować w kwestii zaistniałego dylematu, ale zrezygnował. Znów westchnął i oparł się obiema dłońmi o szklany blat, od dawna niemyty, połyskujący tysiącami odcisków palców.

– Ale co to jest internet, to pan wie? – spróbował.

– Nie.

– Gdzie pan był przez ostatnie dziesięć lat? – Sprzedawca uniósł wzrok ku migoczącym wściekle jarzeniówkom.

– W piekle.

– Aaa. No. Eee... dobra. Wie pan co, najlepiej będzie, jak pan kogoś poprosi o pomoc. Wnuczka może albo nie wiem. Karta czy gotówka?

Nie czekając na odpowiedź, przyciągnął terminal. Nie zwrócił uwagi na to, że w oczach Zygmunta, który od początku rozmowy ani razu nie zmienił pozycji, buchnęły płomienie.

„Spalę go. Tak po prostu, dla zabawy. Spalę cały ten cholerny sklep razem z...”.

Oczyrna wyobraźnia widział już żarłoczne płomienie, pochłaniające łuszczącą się farbę, pękające szkło, wciśniętego w kąt przerażonego do granic sprzedawcę, plamy czerwieni rozlewające się na jego skórze i siebie, trwającego w środku owego pandemonium niczym czarny obelisk. Nabrał tchu, skupił się, odepchnął natrętny głos szkoleniowca, coraz cichszy, coraz

słabszy.

Na twarzy sprzedawcy pojawił się lekki niepokój z rodzaju tych, których powód ma się jeszcze nadzieję jakoś logicznie wytłumaczyć.

– Woli pan gotówką?

Zygmunt syknął głucho niczym budzący się smok.

W tej samej chwili otworzyły się drzwi i do środka wpadł jesienny wicher. Diabeł odwrócił lekko głowę i kątem oka dojrzał sportowe buty, które zamigotały na stopniach.

– Siemanko, Krychu. Doładuj mi za dychę, co?

Chuda, szczurza twarz, brakująca górna trójka, mętne oczy, wszystko litościwie zasłonięte daszkiem czapki, spod której wystawały okrągłe, komicznie niewielkie uszy. Dresowa bluza, butelka piwa wystająca z kieszeni, szalik jakiegoś klubu piłkarskiego, odbierający nadzieję na jakikolwiek dialog.

– Cześć, Seba – bąknął sprzedawca. – Poczekaj, tylko pana obsłużę.

– O! – Przybysz, wyraźnie skonfundowany, zerknął na Zygmunta i zamrugał, gdy uświadomił sobie, na kogo natrafił. Otaksował go pospiesznym spojrzeniem, zerknął na telefon w pudełku, na teczkę stojącą między nogami diabła, a potem uśmiechnął się z udawaną szczerością i machnął brudną dłonią.

– Nie no, spoko, to nic pilnego. Obsłuż se tu pana, a ja przyjdę za chwilę. Muszę jeszcze coś załatwić

I wybiegł na zewnątrz. Trzasnęły plastikowe drzwi. Zygmunt, tknięty nowym pomysłem, wygasił płomień huczące w jego umyśle i zwrócił się do sprzedawcy z niemalże przymilnym uśmiechem.

– Może być gotówka.

Stali na zewnątrz. Ten z tatuażem opierał się o mur w miejscu, gdzie się kończyła schludna elewacja sklepika, a zaczynały plakaty reklamujące piątkowy koncert zespołu Czaders. Seba niecierpliwie drobił w miejscu pod napisem „Legia huje”, a trzeci, ów niepełnoletni, palił chciwie papierosa i pluł na chodnik, tuż obok plecaka z Batmanem. Cała trójka najwyraźniej czekała, aż Zygmunt wyjdzie ze sklepu.

Diabeł, trzymając pudełko z telefonem pod pachą, dopiął płaszcz, ujął mocniej teczkę i ruszył ku nim z szerokim uśmiechem.

– Miło mi znów panów widzieć – oznajmił. Pudełko trzymał w ten sposób,

by widać było zarówno markę, jak i model telefonu. – Jak rozumiem, mamy jakąś niedokończoną sprawę. Z Osiedla.

Płomienie, przygaszone przed chwilą, skwierczały cicho, gotowe eksplodować lada moment. Zygmunt nigdy nie należał do najcierpliwszych diabłów, a bezskuteczna gonitwa po mieście i brak wymiernych rezultatów dotychczasowych działań obudziły w nim złość, którą musiał w jakiś sposób rozładować. Doświadczenie podpowiedziało mu najlepszy i zarazem najprostszy sposób, a usłużny umysł podsunął pokrętne uzasadnienie.

„Wielokrotnie napominano, by nie atakować i nie prowokować – pomyślał z uciechą. W jego wspomnieniach płynęły twarze szkoleniowców ożywione sztucznym entuzjazmem. – Nie przypominam sobie natomiast, by próbowano nam wybić z głowy działanie w samoobronie”.

– Jak rozumiem, chcielibyście, panowie, tę sprawę dokończyć – dodał i wsunął teczkę między nogi, by wymownie potrząsnąć pudełkiem z telefonem, który, jak zapamiętał z zajęć z kultury ludzkiej, był jednym z najbardziej pożądanых trofeów i sposobów na podniesienie statusu.

Ze zdziwieniem spostrzegł, że spojrzenie Seby, niespodziewanie ostre, ześlizguje się z pudełka, omiata niby od niechcenia teczkę i wraca na górę.

– Nie, gdzie tam – bąknął wyrostek i wyszczerzył pożółkłe zęby. – Nie no, wszystko gra.

– Głupio wyszło dwa dni temu, wiesz pan – dołączył kolega z tatuażem na szyi. – Myśleliśmy, żeś pan ciapaty jest.

– Ciapaty? – zdziwił się uprzejmie Zygmunt.

– No, Żyd.

Obaj pokiwali energicznie głowami, uśmiechając się jeden przez drugiego. Ich niepełnoletni kolega charknął głośno, najwyraźniej chcąc zaznaczyć swój status, ale plwocina, zamiast dołączyć do innych na chodniku obok plecaka z Batmanem, ściekła mu po brodzie.

– Było mówić, że jesteś pan swój – ciągnął Seba. – Bo my dobre chłopaki jesteśmy. Czasem nas tylko co wkurwi, co nie, Siwy?

– No. Czasem.

– Bo z nami to, kurwa, nikt nie zadziera – zapiszczał Uszol, sprawnie otarłszy oblicze rękawem. – Nawet psy.

– Nawet psy. – Zygmunt pokiwał ze zrozumieniem głową i lekko zmrużył oczy. Ochota na awanturę w piekielnym stylu niespodziewanie przygasła, a zastąpiła ją niebezpieczna ciekawość.

– My tam żadnych problemów nie chcemy. – Seba wyciągnął dłoń, znów zerkając na teczkę. – No, facet, graba.

– No to graba. – Diabeł uśmiechnął się samymi ustami, a jego spojrzenie skryzalizowało się w bardzo wyraźny przekaz.

Gdy tylko odejdę, rąbniesz w gębę tego, którego nazywasz Siwym. A potem tego drugiego, który się opluł.

Zygmunt nie panował na sobą.

– Jaja sobie robisz, co? – syczał, a drobinki śliny padały na ekran laptopa, formując migotliwy ospowaty wzór na twarzy rozmówcy.

– Nie – odparł tamten i wyprostował się. Obraz był słaby, a do tego hotelowe łącze internetowe zamieniało transmisję w serię nerwowo przeskakujących obrazów, ale Zygmunt miał niemal pewność, że jego rozmówca, pracownik biura bezpośredniego kontaktu z agentem terenowym, uśmiechnął się szyderczo. – Wina musi być po twojej stronie.

– Zaraz mnie szlag trafi! – wycharczał Zygmunt. – Miałem najlepsze wyniki z przekazu w grupie! Sprawdź sobie w bazie danych!

Asystent pokiwał głową, musnął dłonią kosmatą brodę i wyklikał jakąś opcję na drugim monitorze.

– Taa – mruknął zaintrygowany. – No, rzeczywiście. Dziewięćdziesiąt dwa procent skuteczności.

– Widzisz? – Zygmunt wbił szpony w blat biurka. – Widzisz? Ten cały przekaz to jakaś lipa! Dziś skierowałem go na potencjalnego klienta o umyśle prostym jak linia na autostradzie, a potem go jeszcze dwa razy powtórzyłem! Pół godziny czekałem, aż coś się zacznie dziać, i nic!

– No i co z tego? – spytał asystent. – Nie wyszło to nie wyszło, i tyle.

– Ale to nie był jedyny raz! Zastosowałem przekaz na kilku innych klientach, również bez efektu!

– Czego się po mnie spodziewasz?

– Wyjaśnię się spodziewam! – warknął diabeł. – Większość naszej technologii to szmelc zapóźniony o jakieś dziesięć lat, a rewelacje ze szkoleń również nie budzą zaufania. Kontaktuję się, by dać znać, że przekaz, niby taka rewelacja, stosowany w warunkach terenowych też jest do bani.

– Przekaz jest do bani – powtórzył powoli asystent, nie kryjąc drwiny. – W chwili obecnej w naszym sektorze działa czterystu sześćdziesięciu agentów terenowych. Projekt Mefisto trwa od trzech dni i jak do tej pory nikt nie zameldował o wadliwości działania przekazu. Mamy raporty co do bugów w Hellionie, zgubiły się dwie teczki, jeden idiota zepsuł frustrometr, ale...

Zygmunt zacisnął powieki, by zdusić ognie piekielne.

– Ale o przekazie nie było mowy – w głosie asystenta zaczynał pojawiać się chłód niebezpiecznie nasycony ironią. – Jesteś pierwszy. I przyznam, potraktowałbym twoją reklamację poważnie, gdyby nie...

Umilkł i klikał przez chwilę, a potem skrzywił się szydlerczo.

– No właśnie. Gdyby nie twoje wyniki. Trzydzieści punktów? Co ty tam, kurwa, robisz w tych Wyplutach? Nosisz wodę w dziurawym dzbanku?

– Czy ty mnie, kurwa, w ogóle słuchasz?! – ryknął Zygmunt. – Czy w tym cieplutkim piekiełku dociera w ogóle...

Urwał, gdyż rozpixselowane oblicze pracownika biura bezpośredniego kontaktu z agentem terenowym zamarło nagle, a potem z głośnika laptopa dobył się zgrzyt i ekran zalał błękit upstrzony rzędami białych liczb. Diabeł wypuścił powietrze z płuc, wypluł z siebie długą serię przekleństw, grzmotną kosmatą pięścią w przycisk reset, zapobiegawczo wzmocniony żelazem, i jeszcze raz zaklął.

Człowiek zajmujący sąsiedni pokój załomotał w ścianę.

– Zamkniesz ten ryj czy mam na recepcję dzwonić? – rozległo się stłumione wołanie. – Ja mam jutro workshopy od rana, kurwa mać, a potem prezentacje sprzedażowe, a ten drze mordę.

W oczach diabła zamigotały płomienie. Przez jego umysł przemknął szalony pomysł, by przebić się przez lichą ściankę z płyty gipsowej i zapoczątkować legendę o pokoju hotelowym, w którym ludzie tracą zmysły, ale powstrzymało go dziwne, natarczywe brzęczenie.

Jarzący się jasno telefon przeszyły trzy rytmiczne konwulsje. Nim ekranik zgasł, diabeł zdołał dostrzec żółtą kopertę.

Nie wiem, kim jest ten człowiek. Na pewno nie dziennikarzem, tego jestem pewien. Może jakimś pedziem, może werbuje do sekty, a może po prostu się nudzi. Tak czy owak, nie ufam mu za grosz.

Ale mnie ciekawi.

I nie wiedzieć czemu, chce mi się z nim gadać.

Z jakiegoś powodu czuję, że ma dla mnie jakieś rozwiązanie. Jakieś pomysły. Cokolwiek, co mogłoby mi pomóc wyrwać się z tego błędnego koła.

Czuję się jak chomik, który zapieprza na tym swoim idiotycznym kółku, choć wie, że to nie ma najmniejszego sensu. Chce zleźć, ale i to nie wychodzi. Przestaje więc biec, przewraca się w hamującym kółku, obija sobie mordę, a potem siedzi

i siedzi, bo nie ma pojęcia, jak tego ustrojstwa zleźć.

Kurwa, ale mi źle.

Wysłałem jej chyba ze dwadzieścia SMS-ów, a potem odważyłem się i zadzwoniłem. Żadnej reakcji.

Pieprzę, odpiszę temu Zygmuntowi.

Dzień czwarty

W trakcie swej długiej kariery wysłannika Piekła Zygmunt poznał różne rodzaje wściekłości. Było ich w istocie tak wiele, że kiedyś, gdyby znalazł w sobie dość cierpliwości, mógłby napisać na ten temat dysertację, którą zapewne uzupełniałby do końca życia. Był też przekonany, że w ostatnim rozdziale opisałby wściekłość mroczną.

Był to stan, który nachodził go kilka godzin po szczególnie ciężkim zawodzie, kiedy dopalały się już inne, bardziej bujne i efektowne formy furii. Pozostawało po nich ciężkie, niezmierzone i nieukozone poczucie krzywdy, które ciążyło mu jak mokry koc i nie pozwalało o sobie zapomnieć, popychając go do niezliczonych aktów zimnej, wyrachowanej złośliwości. Bywało, że ustępowało po kilku dniach, bywało też, że towarzyszyło mu całymi miesiącami.

Tym razem miał na nie zaledwie dziesięć dni.

„Dziesięć dni! – myślał, wychodząc z hotelu. – Za dziesięć dni mam się zameldować w Piekło i przedstawić zarządowi raport. I co ja w tym raporcie napiszę, skoro oficjalnie niczego nie dokonałem? I jak mam czegokolwiek dokonać, skoro na wyznaczonym mi terenie nie działają moje umiejętności?”.

Przekaz, półlegendarny talent pozwalający diabłu pchnąć każdego śmiertelnika w objęcia grzechu, był znakiem rozpoznawczym ich rodzaju i wszystkie inne umiejętności były wyłącznie talentami pomocniczymi. Bez przekazu diabeł mógł liczyć tylko na zwykłą ludzką manipulację, a do tego brakowało mu cierpliwości.

„I czasu – pomyślał z furją. – Kiedyś montowaliśmy intrygi całymi miesiącami, a teraz? Wynik, wynik, wynik! Presja czasu, awans, punkty, tabele... Obłąd!”.

Sygnalizacja świetlna na skrzyżowaniu jakby odebrała jego myśli – zajaśniała czerwienią. Fala pieszych zbliżająca się do krawędzi jezdni zatrzymała się z niechęcią, samochody, wypełniając tajemniczy zamysł projektanta skrzyżowania, również. Dwaj policjanci w jaskrawozielonych kamizelkach bacznie śledzili tłum.

Zygmunt zaś bacznie śledził policjantów.

Gdy światło zmieniło się na zielone, przeszedł przez ulicę powoli, majestatycznie, niemal ostentacyjnie, a potem bez wahania podszedł do stróżów prawa.

– Ładnie przechodzimy? – spytał.

Obu funkcjonariuszy, choć przebieg kariery powinien przygotować ich na wszystko, najwyraźniej zatkało. Stali z lekko rozchyłonymi ustami i pospiesznie szukali jakiegokolwiek odpowiedzi, która pozwoliłaby na wybrnięcie z sytuacji bez utraty autorytetu.

– Proszę nie przeszkadzać – burknął jeden z nich i spojrzał nad ramieniem Zygmunta, udając, że go nie dostrzega.

– Przeszkadzać? – Diabeł nie dał się zbić z tropu. – Ale w czym?

– W pełnieniu czynności służbowych.

– Jakże to? Proszę się rozejrzeć, panowie, wszak to skrzyżowanie funkcjonuje wprost znakomicie. Wasza cicha, ofiarna służba przyniosła wspaniałe rezultaty! Jako uczestnik ruchu pieszego chciałem wam serdecznie podziękować, gdyż dzięki wam czuję się bezpiecznie, wręcz beztrąsko.

Brwi starszego funkcjonariusza zjechały się na czole w wyrazie nieufności, tworząc bruzdę.

– Niech pan idzie w swoją stronę – oznajmił. – Zbiegowisko pan robi.

– Nie odejdę, póki się nie dowiem najważniejszego. – Diabeł tupnął nogą. – Czy jesteście z nas, pieszych, naprawdę zadowoleni? Czy sądzicie, że tak ofiarna służba jak wasza przynosi należyte rezultaty? Czy szef was chwali?

Policjant zlustrował różowy szalik typu komin, wycięty sweterek na guziki i przyciasnawo fioletowe spodnie, strój określany w procedurach Piekiła nazwą „człowiek idący z duchem czasu”, a potem cofnął się o pół kroku.

– Stanowczo, człowieku – rzucił, rezygnując ze służbowej nomenklatury – powinienes trochę wyluzować. Co, kawka była za mocna?

– Kawka? – odparł diabeł. – Ja tu o uczuciach, a pan z kawką wyjeżdżasz?!

Bez namysłu przypadł do policjanta, złapał jego wielką, kędzierzawą głowę w żelazny uścisk i wycisnął pocałunek na jego nieogolonym policzku. Potem pochwycił drugiego, oniemiałego, i wpił mu się w usta, a następnie odszedł w podskokach w stronę dworca. Wściekłość mroczna falowała. Ludzie dookoła udawali, że się spieszą i niczego nie widzą.

Dworzec jak zwykle przywitał go szumem przecinanym metalicznymi komunikatami o ruchach pociągów i ostrzeżeniach przed pozostawianiem bagażu bez opieki oraz zapachem kawy, ciastek i pośpiechu. Zygmunt nie musiał się spieszyć – z SMS-a od Łukasza wiedział, że ten kończy pracę dopiero po południu – postanowił więc nakarmić swą furję kolejnym dzikim

wyskokiem.

I wtedy go dostrzegł.

Rozsiadł się na jednym z plastikowych krzesełek w poczekalni kolejowej tuż obok ciastkarni z horrendalnymi cenami i tunelu prowadzącego do toalet. Na pierwszy rzut oka przypominał zwykłego podróżnego, ale Zygmunt natychmiast wychwycił zielone crocsy, białe skarpetki, ciemnogranatowe dresowe spodnie i wpuszczoną w nie flanelową koszulę, co wraz z wypchaną torbą na kółkach składało się na zestaw „działkowicz”. Zygmunt uśmiechnął się lekko pod nosem, odepchnął mroczną wściekłość na bok i ruszył szybko w kierunku podróżnego.

Ten zauważył go z iście diabelską bystrością i wstał.

– Czołem! – oznajmił, ściskając dłoń Zygmunta. – Od razu zwróciłem na ciebie uwagę, ale nie byłem pewien. Siedzieliśmy obok siebie na szkoleniach z kultury, nie?

– A potem z działalności ziemskich struktur porządkowych – uzupełnił Zygmunt. – Jaki ci dali kryptonim?

– Marian.

– A mi Zygmunt, wyobraź sobie. Co za jełopy.

Przez moment rzeli w zgodnym duecie, aż Zygmunt, który opanował się pierwszy, machnął ręką w kierunku ogromnej niebieskiej tablicy z rozkładem jazdy i oznajmił:

– Mam jeszcze prawie godzinę do pociągu. Skoczmy na kawę?

– Na kawę? – zdziwił się Marian. – No, w sumie czemu nie? Kawy jeszcze podczas tej wizyty nie piłem. To ty się całowałaś z policjantami na tamtym skrzyżowaniu?

– Ja – odparł Zygmunt i poprawił różowy szalik.

– Ale jazda – pochwalił Marian i złapał torbę na kółkach. – Masz fantazję.

Oba diabły – działkowicz i człowiek idący z duchem czasu – skierowały się w stronę dworcowej kawiarni sieciowej, nieświadomi spojrzenia zbaraniałej doktorantki, która siedziała na krzesełku obok i słyszała całą rozmowę. Tam zgodnie zarżały raz jeszcze, gdy wysoki, chorobliwie chudy młodzieniec z obsługi wywołał ich imiona, a potem, równie zgodnie, powąchały zawartość tekturowych kubków.

– Niezła – mlasnął Zygmunt. – W hotelu serwują totalne siki. Jak ci idzie? – Spojrzał na kompana pochylonego nad parującym kubkiem.

– Mam jeszcze połowę – odezwał się tamten. – A co? Chcesz łyka?

– Nie, chodziło mi o zadanie.

– Aaa... – Marian się rozpromienił. – Nieźle, nieźle. To znaczy z początku

było nieźle, ale wczoraj wyrwałem dwieście punktów. Jak dobrze pójdzie, będę w Piekło przed upływem tygodnia, choć wolałbym zostać.

– Dwieście? – Zygmunt znieruchomiał. Mroczna wściekłość wróciła tak gwałtownie, że aż zakręciło mu się w głowie.

– Dwieście dwadzieścia tak naprawdę. – Marian uśmiechnął się szeroko, odsłaniając dwa złote zęby, co oznaczało, że do charakteryzacji podchodził bardzo poważnie. – Wiesz, jaki numer odwałem? Przydzielono mi Tarmosice, a tam wielu ludzi się buduje. Typowi frankowicze, wiesz, zabiegani, wyliczeni co do grosza, nudni w cholerę. Podpowiedziałem jednemu, by podrzucił śmieci z budowy na teren rodzinnych ogródków działkowych, które leżą w pobliżu. Potem przeszedłem się na te działki i podsunąłem działkowiczom, by swoje śmieci podrzucili tamtym.

– Jak ci się to udało? – Zygmunt upił łyk, nie zwracając uwagi na to, że gorący napój parzy mu podniebienie.

– Normalnie. Wiesz, jak to na działkach. Mówili nam na szkoleniach, co to za mentalność. Ludzi wkurwia to, że ktoś się buduje. Gadają, że hałas, że się kurzy i tak dalej, ale to wszystko bzdury. Forsa w oczy kole, i tyle. Jak frankowicze zobaczyli wory cudzych śmieci u siebie, skrupulatnie rozsypane po całej budowie, to ich szlag trafił. Zebrali się, poszli do urzędu miasta i gminy, a tam biurwa im mówi, żeby przyczepili sobie tabliczki: „Zakaz wyrzucania śmieci”. Bo to zawsze pomaga!

Marian śmiał się tak bardzo, że po policzkach płynęły mu łzy.

– Byś ty to widział! Wczoraj loguję się w Hellionie, a tu lecą punktasy. Jeden frankowicz ze złości pobił żonę, drugi zwolnił bez powodu kilku pracowników i naraził się na proces, trzeci wziął się na odwagę i włomotał jakiemuś miejscowemu, na co ci spuścili wpierdol jego budowlańcom. Dzieje się, dzieje! Tak mi się spodobało, że postanowiłem zostać prezesem ROD-u. Po powrocie z Piekła poproszę o przydział.

– Ja pytałem o co innego – rzekł Zygmunt śmiertelnie poważnie. – Korzystałeś z przekazu?

– A niby jak inaczej? – zdziwił się Marian. – Chłopie, ja nie mam czasu na bieganie za tymi wiochmenami. Robię swoje i wracam do domu. Ty, a słyszałeś, co za numer wyciął Kazimierz? – Urwał i zarżał. – Kazimierz, ale kryptonim, ja nie mogę. Odciął zasilanie bloku mieszkalnego podczas jakiegoś ważnego meczu! W ciągu piętnastu minut miał sześć przypadków przemocy domowej, he, he, he!

– Marian, przestań i skup się na moment, bo mam ważne pytanie. – Zygmunt odsunął kubek z kawą, która nagle przestała mu smakować. – Czy

miałeś jakiegokolwiek problemy z przekazem?

– Nie, gdzie tam. – Marian dopił swą porcję i otarł usta rękawem koszuli. – A co? – Wbił przenikliwe spojrzenie w rozmówcę. – U ciebie nawala?

– Nie, nie – pospiesznie zaprzeczył Zygmunt, rugając się w myślach.

W społeczności Piekła od wieków trwała zacięta rywalizacja i zdradzanie jakichkolwiek słabości, nawet przed innym agentem terenowym, nie było zbyt mądrym posunięciem.

– Ach, nie! – Oczy Mariana zajaśniały ironią. – Oczywiście, że nie. O, ogłaszają mój pociąg. – Wstał ze stęknieniem godnym działkowca i złapał swój wózek. – Może to przez dietę? – spytał, upychając koszulę w spodniach dresowych.

– Co?

– Ludzie ciągle gadają, że tych... no, glutów nie wolno jeść. Czy glutenów, nie pamiętam już. Zmień dietę, Zyguś, to może przekaz wróci?

Łukasz czekał na dworcu w Wyplutach. Na widok Zygmunta zeskakującego na peron z nieodłączną teczką wsunął książkę do kieszeni bojówek, a potem mężnie opanował grymas zdumienia, gdy ujrzał strój przybysza. Idący ku niemu Zygmunt zmarszczył czoło. Jako diabeł nie potrafił odczuwać wstydu, choć rozpoznawał jego przejawy (na szkoleniu z moralności katolickiej poznał teoretyczne podstawy tego zachowania), ale w wyniku spojrzenia młodego człowieka zaczynał sobie powoli wyobrażać, jak miałyby wyglądać ten wstyd.

Nie spodobało mu się wcale. Co więcej, na razie nic nie wskazywało na to, by zadziałał przekaz wysłany podczas spotkania na rynku. Diabeł znów poczuł złość.

– Cześć – powiedział z nieco nienaturalną swobodą i wyciągnął do Łukasza rękę. Ten ścisnął ją mocno. – Sorry, pociąg mi się lekko spóźnił.

– Nie ma sprawy. A właściwie jest. Słuchaj, spiesz ci się? – zapytał.

– Co?

– No, czy masz czas, pytam? – Łukasz podrapał się po czole. – Miałem telefon od ciotki. Ponoć z wujkiem Czesiem coś nie tak. Moglibyśmy do niego na moment podjechać?

– Pewnie. – Diabeł wzruszył ramionami i mimo lekkiego rozdrażnienia uśmiechnął się w duchu. Na szkoleniach opowiadano, że ludzie z niewielkich społeczności szybko zaczynają uważać, że znasz ich wszystkich krewnych

oraz znajomych z okolicy, przez co bez skrępowania używają ich imion w rozmowach. Zdaje się, że Łukasz bardziej wrósł w lokalny grunt, niż mu się wydawało. – Chętnie poznam twojego wujka.

Wzrok Łukasza zdradzał, że wujek być może będzie nieco mniej zachwycony, ale nauczyciel nie powiedział ani słowa. Po chwili obaj siedzieli już w niewielkim żółtym samochodzie. Zachręścił pęk kluczy, zarzęził silnik, samochód przeszło drzenie. Z przykurzonych głośników buchnęła agresywna muzyka gitarowa.

– Odpala od razu nawet w największe mrozy – wyjaśnił Łukasz z goryczą. – Nie wiem, co ludzie mają do matizów.

– Ja też nie – rzekł diabeł uprzejmie. – Gdzie mieszka twój wujek?

– Niedaleko. W sumie pieszo byśmy przeszli, ale...

– Ale co?

– Nic, nieważne.

Samochód ze skrzypnięciem osi zjechał z chodnika i dojechał do skrzyżowania, gdzie zatrzymało go czerwone światło. Grupa młodych ludzi przy okrągłym słupie ogłoszeniowym, oblepionym grubą warstwą nekrologów, wyblakłych plakatów koncertowych i informacji o kredytach obejrzała się na samochód i parsknęła głośnym śmiechem.

– Nie wiem, po co zainstalowano tutaj te światła – burknął Łukasz i pogłośnił muzykę. – O, widziałeś tego debila? Skręcał bez kierunkowskazu.

Ulicą majestatycznie przetoczył się traktor ciągnący cysternę z szambem, a po nim długie kombi z betoniarką na przyczepce. Młodzi ludzie nadal się śmiali, piski dziewcząt przebijały się przez charkot z głośników.

– Piąteczek – mruczał Łukasz. – Czas się po mieście pobujać, co? Barany.

Światło zmieniło się na zielone i nauczyciel z ulgą wdusił pedał gazu.

– Ja pieprzę, wolniej już jechać nie możesz, co? – warczał, zgarbiony nad kierownicą. – Po co ty sobie w ogóle zawracasz głowę kierunkowskazami, przymule jeden. O, jeszcze zwolnij, super. Widzisz ten sklep, Zygmunt?

– Co?

– Pytam, czy widzisz ten sklep. Ten rybny, o tam! Ostatnio wyszła z niego jakaś baba i o mało nie wpakowała mi się pod koła. Kompletnie bez wyobraźni, kompletnie. Nawet nie spojrzała, gdzie idzie. Słuchaj, za głośno muzyka leci?

– Co?

– Za głośno – skonstatował nauczyciel i ściszył nieco odtwarzacz. – Szatańska muza, co? – spytał w przerwie między utworami.

– Tak, jasne.

Łukasz zamilkł. Jechali powoli przez labirynt szarych uliczek, wśród innych, snujących się wolno pojazdów, obok błakających się po chodnikach ludzi. Zygmunt miał wrażenie, że wypatrzył smutną dziewczynę z zaplecza restauracji niosącą zakupy, która na widok samochodu zatrzymała się, postawiła siatkę i przyjrzała się im uważnie, odrzucając grzywkę, ale znikła niemal natychmiast. Zygmunt nadal bez zainteresowania przyglądał się prymitywnym graffiti, obłupanym fragmentom elewacji i betonowym klombom.

– Macie tu działki? – spytał, gdy mijali kościół z imponującym krzyżem wyrastającym tuż na granicy przestrzeni publicznej. Twarz Jezusa oświetlona popołudniowym słońcem wydawała się wyrażać zdegustowanie.

– Na sprzedaż?

– Nie, takie ogródki działkowe. Wiesz, ROD.

– Mamy – mruknął Łukasz i zamilkł. Najwyraźniej nie miał ochoty podjąć tego tematu.

Po chwili wyjechali spomiędzy zabudowań i samochód minął jakiś niewielki, niezidentyfikowany zakład produkcyjny, z którego wylewali się właśnie poklepujący się po plecach, rozbawieni czymś pracownicy. Potem asfalt stał się drogą gruntową i znienacka otoczyły ich wysokie kasztany i buki, odcinając ich migotliwą czerwienią od wszelkich oznak cywilizacji. Łukasz z jakiegoś powodu włączył światła i przyspieszył, pomimo głośnych protestów obciążonych osi.

– No, jesteśmy – oznajmił po pięciu minutach.

Dom, przed którym stanęli, był starą piętrową kamienicą ze skośnym dachem, jakby nieco zgarbioną ze strachu przed otaczającym ją światem. W istocie, ze wszystkich stron napierał na nią zdziczały ogród (bujne, dawno nieprzycinane jabłonki, krzaczaste tuje, zastępy pokrzyw), który kilkanaście kroków dalej przeradzał się w groźny, ciemniejący las, górujący nad budynkiem. Ten trwał jednak dzielnie – z jednego komina unosiła się strużka dymu, w którymś z okien na parterze jaśniała kuchnia, w oknie dachowym migotały refleksy programu telewizyjnego. Przy wyłożonej kostką ścieżce stał drewniany woj z tarczą i włócznią, czujnie przyglądający się przybyszom.

Łukasz zatrzymał samochód przy płocie z przerdzewiałej siatki, za którym szalał niewielki wiejski kundelek. Wyłączył silnik i spojrzał na pasażera.

– Zobaczę, co u wujka, a potem pogadamy – powiedział. Nie było nawet piętnastej, a mimo to wydawało się, że w tym miejscu już się ściemnia. Twarz nauczyciela rozmywała się w półmroku. – Mówiłeś, że jesteś w stanie mi pomóc, tak?

– Tak.

– Dobra. Zaczekaj, to nie potrwa długo – oznajmił Łukasz i wyszedł.

Do samochodu wślizgnęła się bogata woń bukszpanu i jarzębiny. Ostre trzaśnięcie drzwi. Pies natychmiast przestał ujadać i powitał gościa pracowitym machaniem ogona. Na ganku zapaliło się światło i pojawiła się na nim starsza pani z lekką nadwagą i troską malującą się na twarzy. Wytarła dłonie w fartuch i pomachała do gościa, który otworzył furtkę, minął starą huśtawkę oraz zasypaną liśćmi piaskownicę i serdecznie uściskał kobietę.

Zygmunt rozparł się na siedzeniu i uchylił nieco okno.

Łukasz oraz starsza pani – pewnie jego ciotka – rozmawiali cicho i choć diabelski słuch przewyższał ludzki, niewiele dawało się usłyszeć. Zwrócił jednak uwagę, że w pewnym momencie ciotka uniosła ręce, jakby wołała o pomstę do nieba, i wykrzyknęła:

– To wszystko wasza wina! Twoja i tych twoich łobuzów, którzy...

Łukasz uciszył ciotkę, kładąc palec na ustach, a potem ucisnął ją ponownie, ucałował i zniknął we wnętrzu. Kobieta, marszcząc badawczo brwi, przez moment przyglądała się pasażerowi, ale dała spokój, gdy ten obronnym gestem poprawił komin.

Trzasnęły cicho drzwi wejściowe. Piesek szczeknął jeszcze kilkakrotnie, po czym kaczkowatym chodem podreptał ku swojej kryjówce wśród bujnych liści łopianu. Do samochodu wślizgiwała się błoga cisza chłodnego, gasnącego popołudnia, przyprawiona ćwierkaniem ptaków i odległym, ledwie rozpoznawalnym dudnieniem muzyki. Wysoko na niebie huczał samolot.

Zygmunt odetchnął i nachylił się, by poszukać dźwigni opuszczającej siedzenie.

Sekundę później znieruchomiał, bo świadomość, że jest obserwowany, spadła nań z mocą skalnej lawiny.

Wyprostował się tak gwałtownie, że niemal uderzył głową w dach. Rozejrzał się szybko, ale nigdzie, ani w żadnym z okien, ani też w gąszczu po drugiej stronie drogi nie zobaczył nikogo. Złapał klamkę, chcąc wyskoczyć z samochodu, ale wtedy dostrzegł rozchylające się na piętrze firanki. Wyjrzała spomiędzy nich męska twarz z siwą grzywą opadającą aż na krzaczaste brwi i z sumiastymi wąsiskami.

– To ty? – szepnął diabeł. – To ty na mnie patrzysz?

Zafalowała zasuwana firanka. Rozległ się cichy trzask drzwi zamykanych gdzieś we wnętrzu domu i wrażenie znikło jak nożem uciął.

Gdy nauczyciel wsiadł do samochodu jakieś piętnaście minut później, serce diabła nadal szybko biło. Udając obojętność, spojrzął na Łukasza.

– Wszystko gra? – spytał.

– Taaak – rzekł nauczyciel i westchnął ciężko, jakby sam nie wierzył we własne słowa.

– Serio? Może trzeba lekarza ściągnąć? – nie ustępował diabeł.

– Co? Nie, nie. To... – zawahał się Łukasz. – To zupełnie inna sprawa.

W jego oczach znów pojawiła się pustka, ta sama, którą diabeł dostrzegł wczoraj na szkolnym boisku, uporczywie maskowana swobodnym tonem i przekleństwami za kierownicą.

„Coś go dręczy – pomyślał Zygmunt. – Coś wielkiego”.

– Wujek cierpi na coś w rodzaju depresji przerywanej stanami lękowymi – odezwał się Łukasz. Dobrze jest wtedy wpaść do niego, usiąść przy nim, pogadać. Lepiej się po tym czuje. Oczywiście do lekarza nie pójdzie, bo to... A zresztą co ci będę gadał. Nie twój biznes.

– Naprawdę? Słuchaj, znam jednego specjalistę, który...

– Kim ty właściwie jesteś, co? – przerwał mu Łukasz. Jego spojrzenie nagle stało się ostre, przenikliwe, wręcz niechętnie.

– To dość skomplikowana historia. – Wszystkie elementy ziemskiej tożsamości Zygmunta, pracowicie przyswojone przed materializacją na ziemi, wskoczyły na miejsce. – Co cię konkretnie interesuje?

– Nie jesteś jakimś pedziem, co?

Zygmunt dotknął różowego szala i skrzywił się.

– Słuchaj, jeśli ci to przeszkadza, to chętnie go wyrzucę.

– Nie, dobra. Do sekty werbujesz?

Pytania Łukasza znajdowały się w pierwszej dziesiątce pytań, które wedle szkoleniowców współcześni klienci mieli zadawać werbującym ich wysłannikom Piekła, i Zygmunt nie był w najmniejszym stopniu zaskoczony. Na każde z nich miał gotową odpowiedź.

– Nie – rzekł i położył dłoń na klamce. – Nie reprezentuję żadnej sekty, ale rozumiem twoje obawy. Jeśli nie chcesz ze mną rozmawiać, powiedz, a zniknę w jednej chwili.

– Stój, nigdzie nie idź! – zawołał Łukasz i z lekkim niepokojem zerknął na las. – Nie tu, w każdym razie. Poczekaj, pogadać mieliśmy. Mówiłeś, że mi pomożesz.

– Tak.

– A w czym? – Ton nauczyciela stał się nieco napastliwy. – W czym niby? Dziennikarzem nie jesteś, sekciarzem też nie, a więc po co uganiaasz się za mną po całych Wyplutach? Jak chcesz mi pomóc i po co? Co takiego dla mnie masz? Ofertę pracy?

- Nie.
- Obietnicę lepszego życia?
- Nie wiem, czy lepszego. Na pewno innego. – Oczy diabła zaświeciły się lekko.
- A na czym miałyby polegać różnica?
- To już ustalisz sam. Widziałeś *Podziemny krąg* – spytał Zygmunt, przypominając sobie jedyny tytuł z listy pozycji obowiązkowych załączonych do szkoleń o kulturze ziemskiej, który mu się spodobał.
- *Fight Club*? – zdziwił się Łukasz. – Tak, a czemu pytasz?
- Pamiętasz, o co chodziło w tym filmie?
- Tak, ten gość spotyka kolesia, który pod koniec filmu okazuje się...
- Nie o to pytałem – uśmiechnął się bez wesołości diabeł. – Ten film opowiada o buncie. O zerwaniu z normami. Dość ekstremalnym, nawiasem mówiąc, bo ja, chcąc się sprzeciwić temu światu, wolałbym nie nadstawiać własnej gęby pod czyjeś pięści. Wolałbym, na przykład, coś rozwalić i patrzeć, jak płonie.
- Do czego zmierzasz? – spytał Łukasz niepewnie.
- Pamiętasz naszą rozmowę na rynku? Rozwodziłeś się nad tymi ograniczeniami, chłopie. Narzekałeś na cały świat, na wszystkich ludzi. A posłuchaj sam siebie: jesteś równie ograniczony jak reszta, na którą psioczysz.
- Co? To nieprawda! Ty nie wiesz, jak to jest w tym mieście!
- Każde miasto jest takie samo – parsknął diabeł. – Weź się w garść, chłopie, i zacznij od sporządzenia w myślach listy największych wrogów. Mogą to być ludzie, mogą to być instytucje, a nawet przedmioty. Słuchałem uważnie twoich słów i wiem, że ta lista może być dość długa. Potem, kiedy ją sporządzisz, wyobraź sobie, że masz spędzić resztę życia ze świadomością, że ci ludzie nadal istnieją i świetnie się mają, a ty nadalnosisz w sobie gorycz, którą ci zaszczepili. Pomyśl o tym, że przez wiele lat twoje serce będzie wiedło na myśl o instytucjach, które cię pognębiły i nawet tego nie zarejestrowały. Wyobraź sobie życie w niewidzialnym kagańcu, życie z jarzmem wstydu. Fajnie?
- Nadal nie wiem, o co ci chodzi – bąknął Łukasz, choć jego mina wskazywała na to, że zaczyna się czegoś domyślać.
- Teraz dla odmiany – diabeł zaczął szeptać – wyobraź sobie życie ze świadomością, że się na swoim prześladowcy odegrałeś. Nie wyrządziłeś mu jakiegokolwiek wielkiej krzywdy, ale zrobiłeś coś, co go zabolalo. Nie dość, że kopnąłeś go porządnie w dupę, to jeszcze zrobiłeś to tak, by nikt tego nie

widział, a już najbardziej on sam. Wyobraź sobie to wszystko.

Przygryzł wargę, kiedy poczuł, jak w jego sercu narasta gniew.

„Gdyby przekaz działał jak należy, nie musiałbym wygłaszać tych kretyńskich przemówień – pomyślał. – Czuję się jak skończony idiota!”

Łukasz odwrócił wzrok. Diabeł zobaczył, że jego grdyka podjeżdża wyżej i opada, a ogromne, mięsiste dłonie z chrzęstem zacisnęły się na kierownicy.

– Wyobrażam sobie – wychrypiał. – Oj, nie masz pojęcia, jak dobrze. Nie mogę sobie wyobrazić tylko jednej rzeczy, a mianowicie tego, co ty z tego mógłbyś mieć.

„Sprytny – pomyślał diabeł z nieudawanym podziwem. – Sfrustrowany, drczony jakimś wielkim problemem, ale mimo to niegłupi”.

Na szczęście szkolenia z psychologii werbunku przewidziały takie pytania.

– Serio? – spytał. – Mało masz własnych zmartwień? Jeszcze chcesz posłuchać o moich?

Łukasz odwrócił głowę.

– Tak, zmartwień mam dość – powiedział po chwili, z trudem. – Co gorsza, przybywa ich z każdym dniem, ale nie myśl, że jestem jakimś idiotą, który da się wpuścić w maliny.

– Nie rozmawialibyśmy, gdybyś był idiotą.

– To się nie dziw, że nalegam. Może i jestem małomiasteczkowym frustratem, ale wiem, że w tym świecie nikt nie zadaje sobie trudu, jeśli nie miałby z tego jakichś korzyści.

– Przesadzasz. Ja...

– Po co ci to wszystko? – Łukasz nie dał mu dojść do głosu. – Twierdzisz, że nie jesteś z sekty, tak? To po co to robisz? Śledztwo dziennikarskie prowadzisz? Prowokację policyjną? Zwykłym czubkiem jesteś? Nie mieszaj mi w głowie, po prostu odpowiedz.

Diabeł odetchnął ze znużeniem.

„Nie ujadę z tym gościem – pomyślał. – Muszę odzyskać przekaz. Muszę, do cholery, bo zapiszę się w annałach Piekła jako diabeł samarytanin”.

I naraz tknęła go nowa myśl.

– Opowiem ci o wszystkim – rzekł i wbił w nauczyciela magnetyczne spojrzenie. – Obiecuję. Ale nim zabierzemy się za twoje marzenia, zajmiemy się moimi. Raczej mało skomplikowanymi. Słuchaj, Oaza jest jeszcze otwarta?

– No raczej – prychnął Łukasz. – Prędzej urząd miasta tu zamkną niż Oazę.

– Dobra – zdecydował diabeł. – Podrzucić mnie tam. Dosłownie na chwilę.

– Twoje marzenie kryje się w całodobowym sklepie monopolowym? – Łukasz uniósł brew i przekreślił kluczyk.

– Tak.

Nauczyciel wrzucił pierwszy bieg i matiz zaczął zawracać, omiatając światłem reflektorów krzaki. Niespodziewanie wewnątrz samochodu rozświetlił blask telefonu leżącego obok dźwigni hamulca ręcznego. Łukasz zerknął w bok i natychmiast zapomniał o całym świecie. Porwał telefon i zaczął pospiesznie odpowiadać na wiadomość. Jego oczy zajaśniały nadzieją, zarośnięte policzki spurpurowiały. Zygmunt obserwował to nieporuszony jak gad.

Łukasz wreszcie zablokował klawiaturę, odłożył telefon i westchnął.

– A więc do Oazy – oznajmił niemal wesoło. – Po marzenia.

Gdy odjeżdżali, Zygmunt jeszcze raz zerknął na okna domu w dzikim ogrodzie. Nikt nie patrzył.

Gdy Łukasz zaparkował samochód przy krawężniku, był już wieczór i na bocznej uliczce z ociąganiem ożywały latarnie, zalewając chodniki światłem poznaczonym cieniami koszy na śmieci i pojazdów. Zygmunt, który przemyślał po drodze cały swój plan, oparł teczkę na kolanach i wsunął do niej dłoń, a potem przymknął oczy i wyobraził sobie odznakę policyjną.

– Idziesz? – spytał nauczyciel z ożywieniem.

Wiadomość, którą otrzymał, zapewne musiała wiele dla niego znaczyć, gdyż apatia i niechęć do całego świata znikły. Przez całą drogę ani razu nikogo nie zwymyślał ani nawet nie zaklął, a zamiast tego pogwizdywał wesoło pod nosem.

– Idę – mruknął diabeł i wyciągnął odznakę z teczki, a tę zamknął z cichym szcęknięciem. Zerknął na Łukasza, ale nauczyciel nie zwracał na niego uwagi. Rozglądał się dookoła i zerkał na ekran telefonu, jakby czekał na ciąg dalszy rozmowy. – Zaraz wracam. Te drzwi to tylne wejście do Oazy?

– Tak. Te obok tego vana.

Diabeł podziękował skinieniem, otworzył drzwi i wysiadł.

Plan był banalnie prosty. Zastuka do tylnych drzwi, machnie Grażynce lub Anetce odznaką przed oczami i zażąda dostępu do nagrań z kamery sklepowej rejestrującej klientów. Odnajdzie nagranie sprzed trzech dni, podczas którego za pomocą przekazu usiłował nakłonić Grażynę do kupna ubezpieczenia, i zarekwiruje je na potrzeby rzekomego śledztwa, a potem wyśle z hotelu do Piekła.

„Podczas ćwiczeń na jeńcach mówiono, że przekazy udany i nieudany

różnią się od siebie jakością i poziomem częstotliwości – przypominał sobie diabeł. – Te zaś da się odczytać z plików MP4 i innych. Wyślę to cholerstwo do Piekła i niech mi odpowiedzą, mądrule, dlaczego przekaz mi nie wychodzi, choć powinien. Błąd na pewno nie leży po mojej stronie – wszak w mieście udaje mi się go zastosować za każdym razem”.

Skądś dochodziło dudnienie muzyki. Zygmunt przeciął ulicę, stanął przed drzwiami, odchrząknął, chcąc uzyskać odpowiednio męski ton, i podniósł rękę, by zastukać.

 Nie zdążył.

Cios, który trafił go w potylicę, był niespodziewany i zastanawiająco mocny.

Dzień piąty

Długo nie bolało.

Dla większości diabłów – nie licząc tych, które zwyczajnie to lubiły – ból fizyczny był zjawiskiem zbliżonym do kichania, zauważalnym, nieco uciążliwym, ale znośnym. Zygmunt potraktował więc uderzenie w tył głowy jako drastycznie przekazaną informację, że właśnie nastąpiła radykalna zmiana w przebiegu misji, błyskawicznie stłumił ochotę, by odwrócić się i spopielić niewidocznych napastników, i posłusznie osunął się na ziemię, udając nieprzytomnego. Jego diabli instynkt wyczuwał mnóstwo emocji, a to oznaczało, że mógł natrafić na potencjalną żyłę złota. Na klientów, którzy pomogą mu zakasować Mariana i innych durniów, a nie będą tyle pytać co Łukasz. Klientów, których da się omotać pomimo niedziałającego przekazu. Pomimo...

Zduślił narastającą złość, udając nieprzytomnego. Wyostrzył zmysły.

Delikatny zapach kobiecych perfum, ledwie wyczuwalny, zapewne pamiątka po porannej toalecie, a do tego rozmyta woń gorącej kuchni. Potem mocny, wręcz ordynarny antyperspirant, wyschnięty żel, przetrawiona kawa, papier i kurz. Szybkie oddechy, cmoknięcie rozwijanej taśmy.

– Ale go pierdolnąłeś – szeptął męski głos, wysoki i łagodny, drżący z napięcia. – Aż echo poszło.

– Wiąż go, Jaro, potem pogadamy – odpowiedział głos dziewczęcy, stanowczy, mocny, wręcz zły, zachrypnięty od papierosów. Skądś znany. – Pospiesz się.

Dłoń, męska, ale raczej drobna, braki w sile nadrabiająca brutalnością, odciągnęła jego ramiona do tyłu, potem żarłoczna taśma oplotła nadgarstki. Zaryczał potężny silnik, buchnęły spaliny, zgrzytnęły otwierane drzwi samochodu.

– Chodź tu, Rychu! – Znowu dziewczyna. – Pomóż. Jeszcze się Jaro oberwie od dźwigania!

Wszystkie zapachy przytłumiła woń od dawna niepranego swetra i gumiaków od dziesięcioleci nurzanych w błocie, zapach kilku paczek papierosów dziennie, piwa zagryzanego bułką z pasztetem, długich wieczorów przed telewizorem i nader okazjonalnych kąpieeli. Jedna dłoń, ogromna, wręcz potężna, złapała Zygmunta za sweterek, druga usiłowała pochwycić materiał nogawki.

– W co się ten piździelec ubiera? – warknął niski, nieprzyjemny głos. – Rurki-srurki. Jaro, łap gnoja za nogę, bo...

Człowiek nazwany Jaro złapał go za kostkę. Zygmunt poczuł, że odrywa się od ziemi, a potem grzmotnął o cuchnącą błotem i rybami metalową podłogę samochodu dostawczego. Huknęły zamykane drzwi, ryknął silnik i diabeł poczuł, że odjeżdżają.

Uchylił powieki i dostrzegł niewyraźny, tonący w półmroku zarys nadkola, stos worków na podłodze i czyjeś przybrudzone lakierki. Ich właściciel postukiwał rytmicznie i nerwowo obcasem. Samochód gnał ulicami Wypłut, diabeł turlał się targany siłą odśrodkową, właściciel lakierki z trudem bronił się przed upadkiem z nadkola, na którym siedział. Zygmunta kusilo, by wstać i rozejrzeć się albo chociaż odezwać do porywacza, ale postanowił zachować milczenie.

Zapomniał o nagraniu ze sklepu. Był zaintrygowany jak rzadko.

Po kilku minutach van pokonał jeszcze jeden ostry zakręt i zahamował. Człowiek w lakierkach podniósł się i otworzył drzwi, wpuszczając do środka zimne powietrze wieczoru i dudniącą muzykę, o wiele głośniejszą niż przy rynku. Ktoś darł się do mikrofonu, a odpowiadały mu chóralne okrzyki i gwizdy.

– Bierzcie go! – rozkazała dziewczyna.

Znów męskie dłonie, zarówno te silne, jak i te drugie, delikatniejsze, ostre szarpnięcia, brzęczenie pęku kluczy, skrzypnięcie zawiasów, szurnięcie jakiegoś mebla po podłodze. Zygmunt poczuł, że jest sadzany na krześle, a potem oplatany sznurem. Mało nie parsknął śmiechem.

– Nie włączaj światła – powiedziała dziewczyna.

– Pstryknij lepiej tą lampę na biurku – odezwał się zachrypnięty mężczyzna. – Nie tą. Tą drugą, młotku.

– Musicie mnie po kątach rozstawiać? – parsknął trzeci z obecnych. – Nawet w takiej chwili?

– Cicho bądź. Budzi się.

Zygmunt w istocie zamrugał oczami i uniół powoli głowę, jakby odzyskiwał przytomność. Rozejrzał się ostrożnie.

Niewielka lampka na zagraconym biurku nie dawała dużo światła, ale Zygmunt wypatrzył rzędy kurtek przeciwdeszczowych na ścianach, kilka starych metalowych szafek, pęki wędek w stojakach i wiecierz rozwieszony pod sufitem. Pod jedną ze ścian leżał monstrualnie długi kajak, którego nos wjeżdżał pod turystyczny stolik z elektrycznym czajnikiem i kolekcją nieumytych garnków. W pomieszczeniu cuchnęło stęchlizną i wilgocią.

Zygmunt zmrużył powieki i skupił się na ludziach, którzy go tu przyprowadzili.

Dziewczynę rozpoznał od razu. Choć widział ją tylko raz, w chwili jej nerwowego załamania, od razu rozpoznał nierówno obciętą grzywkę i zacięty wyraz twarzy. Była szczupła, niemal chuda, a w jej postawie kryło się zdecydowanie, wręcz buńczuczność. Stała z rękami założonymi tuż pod dekoltem i przechylała lekko głowę, jakby przebierała myślami wśród sposobów okrutnej inwigilacji.

Zygmunt umknął spojrzeniem w bok, nadal chcąc odgrywać rolę uległej ofiary, ale dziewczyna zaintrygowała go bardzo. Żałował, że nie może sięgnąć po frustrometr – instynkt łowcy podpowiadał mu, że uzyskałby albo odczyt bardzo wysoki, albo graniczący z zerem.

Spojrzał więc na pozostałych obecnych. Mężczyzna, który miał na sobie lakierki i pachniał antyperspirantem, oparł się o ścianę w nonszalanckiej pozie i wymachiwał siekierką, ale dłoń zaciśnięta na trzonku był drobna i raczej delikatna. Facet miał lekką nadwagę i pucułowatą twarz, nad którą rzedniały uformowane w dziwny kształt włosy, a jego biała koszula była przybrudzona w kilku miejscach.

Trzeci z obecnych, woniejący rybą i ogólnym zaniedbaniem, był sporym człowiekiem o długich rękach i rozrośniętych barach, ale uwagę przyciągała przede wszystkim twarz. Zygmunt, na ogół obojętny na względy estetyczne, z niedowierzaniem spoglądał na niskie czoło, obwisłe policzki i oczy rozstawione tak szeroko, że wydawały się znajdować niemal na skroniach. Obrazu dopełniały usta wykrzywione w literę „u” oraz gigantyczna brodawka na brodzie, aż prosząca się, by trącić ją palcem.

– No? – przerwała ciszę dziewczyna.

– Co no? – szepnęła słabo Zygmunt i odkaszlnął, by dać do zrozumienia, że z trudem dochodzi do siebie.

– Słuchamy. Przedstaw się, powiedz coś o sobie.

Diabeł przewrócił oczami. Ochota do dalszego wcielania się w rolę ofiary nagle minęła, przegnana przez narastającą złość.

– Cóż, nazywam się Zygmunt Nowak, lat trzydzieści siedem, urodzony w Białoborze, ojciec Zenon, matka Łucja, dzieci brak... I tak dalej – urwał nagle i przechylił lekko głowę. – Wszystkich tych informacji mógłbym wam udzielić dobrowolnie. Nie musielibyście mnie walić po łbie, wozic w śmierdzącym vanie i pętać. A skoro już zostałem walnięty i spętany, mogliście dowiedzieć się wszystkiego z mojego dowodu osobistego. Mam go tu, w kieszeni. Odnoszę więc wrażenie, że chodzi o coś zupełnie innego.

O co?

Wbił w dziewczynę zły wzrok. Ta przez chwilę znosiła jego spojrzenie, aż przygryzł wargę.

– Nie ma co się szczypać – odezwał się olbrzym nazywany Rychem. – Powiedz mu, młoda.

– Widziałam cię na uliczce za restauracją – oznajmiła dziewczyna. – Spytałeś mnie, czy to droga do szkoły, a potem ruszyłeś w tym kierunku.

– Za to się w Wyplutach zbiera łomot?

– Łomot – odezwał się Rychu – to ty dopiero możesz zebrać. I to ode mnie. Bo widzę, że Natalia nie przyłożyła się zbytnio.

– Dobra, rozumiem – oznajmił Zygmunt. – Od tej pory żadnych żartów, tylko powaga z odpowiednią nutą pokory. A więc co zrobiłem nie tak?

– Skąd wiedziałeś, że tam jest szkoła? – zapytał napastliwie chłopak w koszuli.

– Widać było. – Zygmunt miał ochotę wzruszyć ramionami, ale więzy wrzynały się w skórę. – Jest w tym coś dziwnego?

Spojrzenia, którymi wymieniła się cała trójka, uzmysłowiły mu, że było, i to bardzo.

– Gdybyś spojrział na mapę Wyplut – powiedziała dziewczyna o imieniu Natalia – zrozumiałbyś, że z ulicy Bocznej za cholere nie da się dojść do szkoły.

– Nie?

– Nie. Szkoła leży dwie ulice dalej, i to jakieś czterysta metrów na lewo.

– Każdy zwykły człowiek zobaczy tam tylko ślepa uliczkę, a nad nią okna pustostanu – dodał Rychu.

– W całym Wyplutach jest tylko kilka osób – chłopak z siekierą rozcapierzył palce lewej dłoni – które są w stanie ujrzeć i wykorzystać zagięcie przestrzeni, przerzucające kilkaset metrów dalej.

– Skrót – warknął Rychu. – Skrót zobaczyć. Nie wymądrzaj się, Jaro.

– Cicho bądźcie obaj! – Natalia z trudem panowała nad sobą. Zaciskała dłonie tak mocno, że kłykcie białały. – Skąd wiesz o skrótce? Po co przyjechałeś do Wyplut? Wiemy, że łazisz to tu, to tam, wypytujesz o coś ludzi, kręcisz się, knujesz... Kim ty, do cholery, jesteś?

Rychu warknął groźnie.

– No? – odezwał się Jaro wysokim tonem. – No, kim? Płanetnikiem? Chobołdem? Mamunem?

Zygmunt wyteżył umysł. Wymienione nazwy z czymś mu się kojarzyły, ale

nie potrafił sobie przypomnieć niczego konkretnego. Odnosił niejasne wrażenie, że to postaci z miejscowego folkloru, które straciły na znaczeniu po pojawieniu się chrześcijaństwa, a potem znikły całkowicie, ale zdaniem prowadzącego szkolenie z zagrożeń we współczesnym świecie były jeszcze tu i ówdzie spotykane, choć na ogół nieświadome swego dziedzictwa.

– Latawiec? Licho? – indagował Jaro.

Każde następne wypowiedziane słowo uwalniało u diabła kolejne wspomnienia.

„Spóźniłem się wtedy. Spóźniłem się albo pomyliłem sale, nie pamiętam. Facet wygadywał jakieś pierdoły i chciałem się zerwać po podpisaniu listy, ale było sporo śmiechu, więc zostałem. Gadał o Leśnej Babie i o rusalkach, czerwienił się przy tym, jakby miał jakąś obsesję. Potem o wampirach i kłobukach. I innych. I coś powiedział na koniec, coś cholernie ważnego. Tylko co?”

– Strzygunem może? Possać może masz ochotę?

– Jaro, zamkniesz mordę czy ja mam ci ją zamknąć?

Zygmunt zmrużył oczy.

„Już wiem. Mówił, że trzeba ich unikać. Nawet nam, diabłom. Że to, kurwa, zagrożenie, rzadkie, ale poważne. Większe od aniołów i reszty piździajstwa z nieba”.

Resztki ciekawości, dla której udawał bezwolną ofiarę, znikły. Diabeł rozchylił powieki, otaksował najpierw Natalię, potem obu mężczyzn. Ich kolejne pytania zagłuszył huk płomieni, które wezbrały w jego czarnym sercu, nabierając mocy, gotując się, by buchnąć na świat i zniszczyć trójkę szaleńców sprzed wieków, którzy ośmielili się podnieść na niego rękę. Nie miał przed sobą klientów, ale wrogów. Tych zaś należało niszczyć.

Natalia jako pierwsza odgadła, że dzieje się coś niedobrego. Cofnęła się o krok, podniosła rękę, zawołała coś do Jaro.

Diabeł uśmiechnął się szpetnie.

„Za późno” – pomyślał i uwolnił spalanie, najbardziej niszczycielską broń, jaką powierzono wysłannikom Piekła.

Nic się nie wydarzyło.

Mocno bijące serce Zygmunta nagle zamarło.

Nic. Kompletnie nic.

Naparł na wieży, krzesło zatrzeszczało, zakołysało się. Rychu wyciągnął zza pasa długi nóż o szerokim ostrzu, Natalia wzniosła rękę i coś krzyczała, Jaro zbliżał się z siekierą i twarzą wykrzywioną w straszliwym grymasie.

Diabeł uświadomił sobie swoją skrajną bezsilność.

I wtedy, po raz pierwszy na ziemi, Zygmuntem zawładnęła skrajna panika.

Taśma, która próbowała utrzymać jego pęczniejące nadgarstki, pękła z cichym trzaskiem, ale nie spadła, bo przykleiła się do futra. Pierwsza z linek, którymi go obwiązano, strzeliła i spadła na ziemię, pozostałe poddały się cięciu ostrych pazurów. Trzasnęło odrzucone krzesło, kopyta załomotały na linoleum podłogi, Jaro wrzasnął, wznosząc siekiere.

Na ciemniejącym niebie zamigotały fajerwerki. Ich blask przedarł się przez brudne okno i podkreślił ostre rysy pyska Zygmunta. Ślepią diabła zamigotały.

– To diabeł! – wrzasnęła Natalia, rozpoznawszy go wreszcie. – Diabeł w ludzkiej postaci!

– Jaro, dawaj wodę święconą! – huknął Rychu. – Nie ta szafka, kurwa!

Gdyby Zygmunтови pozostała choć odrobinę zdrowego rozsądku, ryknąłby śmiechem i wytłumaczył brygadzie wypłuckiego ruchu oporu, że bardziej od wody święconej zaszkodziłby mu domestos, ale panika pochłonęła resztki rozsądku. Rozpędzony Zygmunt odepchnął Rycha, ciosem pięści wyważył drzwi, susem przesadził vana i znikł w ciemnościach.

Gdzieś po minucie szaleńczej ucieczki odkrył, że reakcje w jego wzburzonej diablej duszy ulegają gwałtownej zmianie, jakby chemik dołał kroplę wybuchowej substancji do już kotłującej się cieczy. Zwolnił nieco, rozejrzał się, parsknął dziko, zmrużył pałające złościwością oczy.

Trwała noc, skądś dobiegała muzyka, przecinana raz po raz wzmocnionym głosem didżeja oraz wiwatami ludzi. Po nocnym niebie przemykały światła reflektorów,

„Impreza – przemknęło Zygmunтови przez myśl. – Tłum. I mnóstwo klientów”.

Zawrócił tak gwałtownie, że niemal wydarł betonową płytę z chodnika. Z łomotem racic i szumem sierści gnał przez noc, a wiatr świstał na jego rogach. Drzewa śmigwały.

Na moment zapomniał o szkoleniach, programie zdobywania punktów i nastawieniu na wynik. Znów był diabłem, pradawną istotą, która wreszcie, po pięciu dniach maskarady, zdobyła się na uwolnienie swej prawdziwej natury.

Kątem oka zauważył starszą panią, która zmagala się z kluczem w drzwiach kamienicy i niewielkim pieskiem szarpiącym za smycz. Odbił się,

wylądował tuż przed nią, uniósł włochate ramiona i zawył głośno.

„Nie najgorzej – odezwał się w jego głowie głos szkoleniowca. – Choć w tym przypadku trudno oszacować wymierną korzyść dla Piekła. Niewykluczone, że starsza pani będzie się starała zapomnieć o tym zdarzeniu, ale być może uda się do kościoła i wypowiedzi księdzu. Ten zaś wygłosi natchnione kazanie i pchnie wiernych do poszukiwań Złego. W przeszłości ktoś zazwyczaj trafiał na stos, dziś dojdzie do wzmocnienia istniejących animozji. Sporo punktów, sporo”.

– Zamknij się! – wyryczał diabeł.

Wyskoczył, odbił się racicami od maski jakiegoś samochodu. Machnięciem ogona zmiotł wycieraczki i lusterko.

„Nieco lepszy wybór – mówił trener. – Naprawa pojazdu to kosztowna sprawa, zwłaszcza jeśli właściciel nie ma polisy. Niewykluczone, że wyląduje złość na członkach rodziny albo znajdzie sobie «winnego» i się zemści. Nieźle, Zygmunt Kolejne punkty”.

Diabeł zaryczał i przyspieszył. Wyciągnięte ramię zmiotło jakiś znak drogowy.

„Cóż, jeśli się zastanowić, to również nie był błąd – ciągnął szkoleniowiec. – Zniszczyłeś znak stopu, co zważywszy na częstą wśród kierowców nieumiejętność oceny sytuacji na drodze, może doprowadzić do wypadku. Zdarza się, że kierowcy z wysoką wrażliwością na krzywdę pozywają wówczas urzędy miast i gmin, a nie muszą chyba mówić, ile emocji i złych myśli pociągają za sobą procesy”.

Zygmunt drapał się wściekle po głowie, by pozbyć się dokuczliwego głosu. Zawrócił, obalił jakiś płot, przemknął przez czyjeś podwórko, rozpędzając senne kury i wbijając psa do budy, obalił kolejny płot, wpadł między drzewa, znów ogłuszyła go muzyka.

„A wystarczyłoby trochę wyobraźni – mówił trener ze zniecierpliwieniem. – Wyobraźni i odwagi! Owinąłbyś, Zygmunt, głowę ręcznikiem i wpadłbyś do kościoła w niedzielę, wrzeszcząc «Allah Akbar». Wziąłbyś butelkę z benzyną...”.

Muzyka zagłuszyła wreszcie słowa w jego głowie. Zygmunt, sapiąc głucho jak rozjuszony bizon, gnał ku tańczącym, gotów przebić się przez tłum, przeorać go rogami i pazurami, szaleć jak przed wiekami, podczas wydarzeń, które później uzyskiwały jałowe nazwy w podręcznikach historii.

Wtedy spod jego nóg smyrnął bażant.

Zygmunt nie miał pojęcia, dlaczego rzucił się w pogoń za ptakiem. Być może żądza krwi zawładnęła nim bardziej, niż sądził, a może powodem był

nagły podmuch wiatru, który popchnął go do pościgu. Bażant umykał z wprawą i doświadczeniem, które pozwalały mu nawet zatrzymać się na ułamek sekundy, odwrócić głowę i spojrzeć na ścigającego. Zygmunt pędził za nim i sapał głucho, wyciągając kosmate, pazurzaste łapska.

W pogoni za bażantem wbiegł na niewielki pagórek, który okazał się wałem powodziowym. Zmienacka pojawiła się ciemna, migotliwa tafla jakiegoś stawu i idące ostro w dół, kończące się gąszczem pokrzyw zbcze. Zygmunt wiedział, że zdoła wyhamować, ba, był o tym przekonany, ale jego pewność siebie zrujnowało głośnie klaśnięcie.

Diabeł uzmysłowił sobie, że stracił równowagę i toczy się w dół.

Wbił pazury w ziemię, spowolnił zjazd, ale wtedy powierzchnię wody rozbił gwałtownie wynurzający się z niej kształt. Na kosmatej nodze Zygmunta zacisnęła się potężna dłoń.

Ta sama co niespełna godzinę temu na zapleczu Oazy.

– Chodź tu, diabełku – wysyczał Rychu. Jego skóra była połyskliwa, zielonkawa. – Na wodę święconą zabrakło czasu, to może zwykła cię pokona.

Złapał go mocno jak wijącego się wściekle węgorza i bez pardonu wduślił pod powierzchnię wody.

Większość tortur była dla diabelskiego rodzaju właściwie obojętna, a niektóre wręcz stanowiły źródło przyjemności, ale wody, która w Piekło była żywiołem właściwie nieobecnym, diabły bały się bardzo. Tak bardzo, że zgoła zapomniały, iż istocie, która nie potrzebuje oddychać powietrzem atmosferycznym, nie grozi utonięcie.

Zygmunt stracił panowanie nad sobą po raz drugi tej nocy, a to – podobnie jak poprzednim razem – wyzwoliło w nim ogromną moc. Wciśnięty pod oszałamiająco zimną wodę, otoczony milionami bąbelków, zaczął wierzgać z niewyobrażalną furją. Któraś z jego racic ugodziła Rycha wystarczająco mocno, by ten stracił równowagę i przyklęknął na kolano, a wtedy druga wyrznęła go w podbródek.

Sekundę później ociekający wodą diabeł gnał już w stronę najbliższych drzew. Wpadł w gąszcz, przesadził zapomnianą parkową ławkę i znieruchomiał obok przewróconego kosza na śmieci z rozsypaną zawartością.

Dosłownie znieruchomiał.

Jedną z umiejętności, którą każdy wysłannik Piekła opanował do perfekcji, była podobna do gadziej sztuka zamierania w bezruchu na długi czas. Diabeł, którego funkcje życiowe diametralnie różniły się od ludzkich, mógł w ten sposób trwać przez wiele godzin, a nawet dni, nie zwracając niczyjej uwagi.

Zygmunt słyszał opowieści o swoich kamratach, którzy przez całe tygodnie udawali zamkowe rzeźby lub gargulce na katedrach, by w odpowiednim momencie zaskoczyć ofiarę.

Zygmunt nie chciał jednak zastawiać na nikogo pułapki. Chciał odpocząć i się uspokoić.

Wyciszył łomoczące serce, rozpedził kotłujące się myśli i powoli, starannie powrócił do ludzkiej postaci. Wrażenia opadły go w jednej chwili – szum wiatru wśród liści, głębokie basy, tłum rozbawionych ludzi powtarzających muzyczną rymowanąkę o majteczkach w kropeczki, chłód na skórze.

Zygmunt zaklął. Przeistaczając się w diabła, formę o wiele większą i potężniejszą od ludzkiej, musiał się liczyć z tym, że każde ubranie pójdzie w strzępy, nie mówiąc już o rzeczach tak obcisłych jak te, w których rozpoczął dzień piąty swej misji. Co gorsza, wraz z ubraniem znikł noszony na nadgarstku frustrometr z wbudowaną opcją kamuflażu. Rozpaczliwie potrzebował teraz swojej teczki, a ta...

– Niech to anieli wezmą! – warknął.

Powiał wiatr, ciało nagiego Zygmunta pokryła gęsia skórka. Diabeł podniósł się i rozejrzał, próbując ustalić, pod którą postacią lepiej pokazać się ludziom – włochatego, kosmatego diabła czy nagiego mężczyzny. Wtedy usłyszał czyjeś śmiechy.

Przykucnął za przewróconym koszem na śmieci i wyteżył wzrok.

Po chwili jego oczom ukazał się Seba, który zgarbiony parł przed siebie i ciągnął świecą cekinami, wydekoltowaną dziewczynę, w której diabeł po chwili rozpoznał Anetę z Oazy. Młody człowiek odwrócił czapkę daszkiem do tyłu i rozglądał się dookoła, dopalając łąpczywie papierosa.

– Tam! – Wskazał ławkę. – Szybko. No, chodź!

– A jak ktoś nas zobaczy? – protestowała słabo Aneta, nie próbując jednak bardziej zdecydowanie powstrzymać absztyfikanta.

– Co? – Chłopak odwrócił ku niej głowę. – No to w ryj zarobi. Tu, o tu. No chodź!

Z energią zaczął majstrować przy tasienkach z przodu spodni dresowych, więc Zygmunt uznał, że już dłużej czekać nie może.

– Hej, Seba! – syknął i wysunął głowę zza kosza.

Aneta wrzasnęła i odskoczyła, pobrzękując bransoletkami, a Seba odwrócił się, wstrząśnięty, o mało się przy tym nie przewracając. Jego spojrzenie, jeszcze bardziej zmatowiałe i rozmyte niż za dnia, nabrało ostrości, gdy rozpoznał rysy twarzy Zygmunta.

– A ty, kurwa, co tu robisz? – warknął odruchowo. – W mordę chcesz,

kutafonie?

– To ten od kredytów! – Aneta oddychała pospiesznie, kładąc dłonie na rozkołysanym biuście. – Ten ze sklepu! W białych, kurwa, adidasach do gajerku! A teraz jeszcze zbokol!

– Już ja mu przypierdolę! – Seba przygarbił się, zwarł pięści i zacisnął zęby. – Jebany ciapaty...

– Spokój – warknął Zygmunt, wstając. – Pamiętasz teczkę, która cię tak bardzo zainteresowała, Sebuś?

Młody człowiek znieruchomiał, w jednej chwili zapominając o ochocie zarówno do bójki, jak i do uciech cielesnych.

– No i? – burknął.

– Przynieś mi ją – cedził diabeł. – Jest w samochodzie tego waszego nauczyciela, Straszego. Wiesz, w którym?

– No.

– Dobrze. Przynieś mi ją. Wyciągnę coś ze środka, a potem ci ją oddam. Na zawsze.

Seba przekrzywił lekko głowę.

– Nie zalewasz?

– Nie.

– A skąd mam niby mieć pewność?

– Pomyśl, Sebuś. – Oczy diabła załśniły dziko, metalicznie. – Czy ja wyglądam na człowieka, który by mógł nie dotrzymać obietnicy?

Seba przygryzł wargę, jakby chciał w ten sposób powiedzieć, że nie ma bladego pojęcia.

– Dobra – burknął. – Gdzie parkuje ta cipa?

– Ostatni raz widziałem go za Oazą.

– No to czekaj tu! – burknął Seba i rzucił się do biegu, migając piętami chińskich adidasów.

– Seba, co ty odpierdalasz?! – wrzasnęła za nim Aneta. – Wracaj tu! Chcesz mnie zostawić z tym zbokolem?

Rozpędzony Seba znikł za drzewami. Przez moment diabeł i dziewczyna spoglądali po sobie, ona zdeglustowana i wystraszona, on zaintrygowany, a ciszę lasu przerywało dudnienie nieodległego festynu. Aneta odetchnęła raz i drugi, odzyskując panowanie nad sobą, i omiotła wzrokiem Zygmunta. Jej spojrzenie spełzło w dół.

– Ech, w sumie, skoro Seba się zmył... – mruknęła do siebie i zrobiła krok do przodu. Jej bransoletki zabrzęczały kusząco. – Nie zimno ci, przystojniaczku? – spytała miękko głosem, przechylając lekko głowę. –

Chcesz, by cię ciocia Anetka rozgrzała?

Nim diabeł zadecydował, co odpowiedzieć, Aneta zatrzymała się i odwróciła głowę.

– Seba? – spytała niepewnie.

Ścieżką przez lasek ktoś nadchodził. Kobieca postać, szczupła, wręcz chuda, stąpająca pewnie i mocno pomimo lekkich balerin. Zygmunt zaklął w myślach i rozmył się w ciemnościach.

– A ty czego tu szukasz, zdziro jedna? – warknęła Aneta, ale nowo przybyła nawet nie zwolniła kroku.

Uniosła rękę i machnęła palcami, jakby odganiała niesfornego insekta, a ekspedientka z Oazy natychmiast pochyliła głowę, odwróciła się i odeszła, potykając się o własne nogi.

Natalia zatrzymała się i zaczęła się bacznie rozglądać.

„Wiedźma – uświadomił sobie Zygmunt. – Mam przeje...”.

Nie dokończył myśli, gdyż Natalia zamarła wpatrzona dokładnie w to miejsce, w którym się ukrywał. Potem uniosła dłonie i splotła palce w jakiś nieznany znak.

Diabeł nie potrzebował dalszej zachęty. Instynkt samozachowawczy wzbogacony o strzępy wiedzy ze szkoleń mówił mu wyraźnie, że każdego, kto włada czarną magią, trzeba obejść szerokim łukiem. Choćby dlatego, że nikt w całym Piekło nie wiedział, czym ta cholerna magia właściwie jest.

Gnał przez lasek, nie bacząc na to, że gałęzie smagają go po ludzkim obliczu, a pokrzywy palą jego gołe łydki. Muzyka łomotała coraz bardziej, już widział tłum zgromadzony pod sceną, na której podrygiwał mężczyzna w różowej koszuli z podniesionym kołnierzykiem i z zamkniętymi oczyma śpiewał do mikrofonu:

– Będę twoim amatorem, czekaj, tylko cię rozbiore, czekaj, stanik ci zabiorę, o jejeje!

– Co tak cicho w tych Wyplutach?! – wrzasnął drugi z występujących, który przebierał palcami po strunach elektrycznej gitary. – Mamy piątek, kurwa, piątunio! Cała sala...

– Zapiardala! – ryknął oszołomiony z zachwyty tłum.

Reflektory nad sceną zamigotały, z urządzeń u stóp zespołu buchnął dym. Zygmunt gnał jak szalony. Skądś wiedział, że wiedźma jest tuż za nim, ale bał się odwrócić.

– Stanik twój czerwony, za eurosy zakupiony, jejeje!

– Wypluty, dajecie! Dajecie!

– Pedał! – wrzasnęła jakaś kobieta w wydekoltowanej bluzce w lamparcie

cętki. – Patrzcie, pedał!

– Wy-plu-ty!

– Pedał! Brać go!

Rozpędzony Zygmunt dostrzegł kątem oka kilku ogolonych na łyso osiłeków, którzy rzeli z czegoś przy zasnutych dymami grillach. Zaalarmowani wrzaskiem pospiesznie podopijali piwo z plastikowych kubków i rzucili się do pościgu.

– Odbiorę ci cnotę! A jak nie dziś, to w sobotę! Śpiewamy, Wypluty, śpiewamy!

– W sobotę! W sooooboooootę!

Muzyka ryczała, świat migotał, gdzieś wyły psy. Zygmunt roztrącał ludzi, odpychał ich, przeskakiwał nad stolikami, przemknął obok samochodu straży pożarnej. Jakaś tajemna siła otworzyła przed nim drzwi karetki, by go zatrzymać – był pewien, że to sprawka goniącej go wiedźmy – ale wyrwał je z zawiasów jednym ciosem. Między nogami śmignął mu bażant i niemalże go przewrócił, ale diabeł zdołał go przeskoczyć. Z pokrytego rzesą zbiornika retencyjnego, który mijał ponownie, wystrzeliło pazurzaste ramię, ale ześlizgnęło się z jego kostki.

Zygmunt gnał przed siebie. Muzyka stopniowo cichła, ochryple wołanie ścigających go osiłeków również, pozostał tylko rzęzący oddech i głośnie walenie serca.

Uciekał w noc.

Nie miał pojęcia, jak do tego doszło, choć przypuszczał, że całkiem przez przypadek natrafił na kolejny skrót przestrzenny – naraz znalazł się na opustoszałym rynku. Zdyszany zwolnił i oparł się o pień starej wierzby. Powróciły doznania – ostre kapsle pod nagimi stopami, drżące światło latarni ulicznej, aromatyczne, chłodne powietrze nocy, spojrzenia wstrząśniętych żuli spod Oazy.

I zmęczenie.

Oddychał głęboko i bezwiednie muskał dłonią wierzbowe witki, opadające dookoła niego niczym włosy nachylającej się nad nim opiekunki. Oparł się potylicą o pień, położył dłoń na korze tu i ówdzie poznaczonej szczerbami po scyzorykach. Z powodów, który nie rozumiał, zachciało mu się spać.

Z powodów, których nie rozumiał tym bardziej, postanowił owej pokusie ulec.

Na moment krótki jak wybuch wściekłości ujrzał to samo drzewo wiele, wiele lat wcześniej, młode, prężne; w miejscu, gdzie teraz ciągnęły się płyty chodnikowe, kołysały się spokojne wody leśnego jeziora. Rozejrzał się

zdmiony i ujrzał inne drzewa, piękne i silne, a dalej mokradła i zasnuty mgłą skraj nieodległego lasu. Wdychał bagienne powietrze, mocne i soczyste, słyszał plusk wody i pokrzykiwania ptaków.

A potem ujrzał jego.

Mężczyzna z sumiastymi wąsiskami szedł wśród brzoź, muskał ich pnie potężnymi dłońmi, szeptał do nich. Ubrany w szary strój, brudny i nierówno pozszywany, wydawał się równie dziki jak otaczająca go przyroda, groźny, nieujarzmiony. Potem spojrzął na diabła i uśmiechnął się ze smutkiem.

Zygmunt skądś go znał. Potrząsnął głową, próbując sobie przypomnieć, ale obraz niespodziewanie odpłynął.

Znów zajaśniały neony nad sklepami i kule latarni ulicznych. Skądś dobiegały chrapliwe okrzyki żuli, ulicą przejechała motorynka, ktoś z trzaskiem zamknął okno. Zimny wiatr szczypał nagą ludzką skórę.

Natalia wyłoniła się z mroku i oparła dłonie na biodrach. Rychu w mokrym swetrze nadszedł z innej strony, nieopodal pojawił się Jaro. Otaczali Zygmunta, odcinali mu drogę ucieczki.

– Jeśli myślisz, że...

– Co tu się wyrabia? – zapytał Łukasz, biegnąc ku nim kaczkowatym chodem. Zygmunt obrzucił go pospiesznym spojrzeniem i przez chwilę wydawało mu się, że jego twarz jest bardziej zarośnięta niż zwykle, ale wrażenie minęło, gdy nauczyciel podszedł bliżej. Był wzburzony jak nigdy. – Co tu się, kurde, wyrabia? – wysapał i ze zdumieniem obrzucił wzrokiem nagiego Zygmunta. – To wyście go sprzątnęli spod sklepu? Do cholery, oddajcie mu ubranie!

– Odsuń się – oznajmiła stanowczo Natalia. Bardzo stanowczo.

Łukasz drgnął, jakby w pierwszej chwili chciał usłuchać polecenia, ale zaplótł ramiona na piersi i przekrzywił hardo głowę.

– Nie – powiedział cicho. – Nie odsunę się. A czas, kiedy mi rozkazywałaś, zdaje się, minął.

W jego drżącym głosie kryła się tajemnica, wstydliva i rozdzierająca rany. Ta sama tajemnica zamigotała w oczach Natalii.

– Łuki, odsuń się – polecił Rychu. – Ty nie masz pojęcia, kim jest ten koleś.

– No właśnie. – Łukasz spojrzął za siebie. – Więc może byście mi wyjaśnili?

Pięć palców Jaro, podniesionych w chwili, gdy mówił o zagieciach przestrzeni. On sam, Rychu, Natalia, przypuszczalnie też Łukasz. Pozostawała piąta osoba. Wąsacz z lasu. Wąsacz. Znajomy wąsacz. Znajomy uśmiech.

– To diabeł – szepnęła Natalia. – A wiesz, co powinniśmy zrobić z diabłami?

Człowiek w oknie. Depresja i stany lękowe. Drzewo. Ostatnie drzewo

ocalałe z wielkiego boru.

– Nie – odparł hardo Łukasz. – Nie wiem. I ty też nie wiesz.

„Zetniemy drzewko raz-dwa”.

– Łukasz – odezwał się cicho Zygmunt. – Ja chyba wiem, co dolega twemu wujowi.

Dzień szósty

A więc to diabeł.

Nie dziennikarz czy reporter, nie sekciarz ani pedał, nie sprzedawca polis ani jakiś zwykły czubek. Diabeł. Wysłannik piekieł. Łowca dusz.

Ujmę to tak: na tym etapie życia nic mnie już nie zdziwi. Nie byłem szczególnie zaskoczony, gdy Natalia powiedziała mi o wszystkim. Ruszyło mnie tylko to, w jaki sposób mi to przekazała. Na chłodno. Ze wzdargą wręcz. Jakbym powinien o wszystkim wiedzieć, jakbym powinien sam to rozgryźć.

„Widziałam cię z nim w czwartek po południu – wysyczała, miażdżąc mnie spojrzeniem. – Jakbyście byli starymi kumplami. Myślałam, że szlag mnie trafi, kiedy dostałam twojego wesolutkiego SMS-a z piętnastoma uśmiezkami. Do Oazy go wiozłeś, tak? Wódeczki chciałeś się napić z nowym koleżką?”

Nie umiałem jej niczego wytłumaczyć. Nie uwierzyła mi, że dodałem uśmiezki do SMS-a tylko z radości, że napisała do mnie jako pierwsza. Że nabrałem nadziei. Nie chciała mnie słuchać, gdy mówiłem, że znam się z diabłem zupełnie przelotnie. Że rozmawialiśmy ze sobą, bo najpierw wierzyłem, że jest dziennikarzem, a potem po prostu szukałem bratniej duszy, kogoś, kto pozwoli mi pokonać zawód. Jak w pieprzonym Fight Club. Nie uwierzyła, gdy mówiłem, że nie dałem mu się zwieść.

Jej zdaniem po prostu zawałem sprawę. Naraziłem miasto oraz całą naszą grupę, a do tego zrobiłem z siebie idiotę.

Idealnie dopasowała sobie wszystkie elementy tak, by pasowały do jej tezy. Wszystkiego bym się spodziewał, ale nie aż takiej przewrotności.

A najgorsze jest to, że trochę jej zazdrozczę. I trochę ją podziwiam. Zaimponowała mi, cholera, wczoraj na rynku. Chyba rzeczywiście nie mam tego czegoś. Chyba nie mieszczę się w jej lidze. Nawet to mi nie wyszło.

W całym tym zamieszaniu niewielką pociechą jest to, że ten diabeł to zwykły idiota. Czekam z niecierpliwością na to, aż sam dostrzeże absurd rzekomo genialnego planu, jaki nam wczoraj zaproponował.

Zygmunt był w nastroju, obrazoburczo mówiąc, anielskim.

Garnitur, który pożyczył od Łukasza, był o wiele za duży i poranny ziąb

wnikał w nogawki, ale poza tym wszystko wróciło do normy. Na rękę miał zegarek z frustrometrem, który znalazł na podłodze w klubie wędkarskim obok swoich podartych ubrań. Aplikacja uruchamiająca kamuflaż, co sprawdził natychmiast, działała doskonale, ale tego pięknego sobotniego poranka ani myślał ją uruchamiać. Odnalazł też teczkę, która – jak się okazało – nadal leżała na podłodze w samochodzie Łukasza, obsypana okruchami szkła z rozbitej szyby. Najwidoczniej Seba próbował ją wyciągnąć, ale coś mu w ostatniej chwili przeszkodziło.

Zygmunt był w zbyt dobrym nastroju, by w ogóle się tym przejąć. Wszystko układało się idealnie. Nie dość, że przeżył spotkanie z drużyną wrogich istot, to jeszcze zdobył ich zaufanie, przekonał do planu, który mógł przynieść korzyści obu stronom, i odzyskał swoje gadzety. Co więcej, przygotował intrygę, dzięki której mógł zakasować Mariana, Kazimierza oraz pozostałych pyszałków i wrócić do Piekła przed nimi.

Szedł przez rynek w Wyplutach rozkołysanym krokiem, wymachiwał teczką i emanował naokoło pogodą ducha. Pomachał grupie mało wyraźnych amatorów porannego piwa, którzy trwali na ławce pod zeschniętym krzakiem bzu, niewykluczone, że od wczoraj. Ukłonił się grupce starszych kobiet, które rytmiczne kiwały głowami, wsłuchane w ciche, wyważone słowa Pani w Płaszczu. Te, zdumione i zdezorientowane, odprowadziły go podejrzliwymi spojrzeniami, a Zygmunt przeskoczył kałużę, wykonał piruet i pozdrowił wesoło grupę dzieci maszerującą w stronę kościoła. Prowadząca je młoda nauczycielka zerknęła na niego nieufnie i ostro pogoniła maruderów, ale diabeł zdążył się jej przyjrzeć. Miała włosy ściągnięte w koński ogon tak mocno, że oczy zdawały się wychodzić jej z orbit, a zwarte pięści, zaciśnięte usta i nerwowość w ruchach z miejsca zdradzały w niej katechetkę.

„Doskonale – myślał Zygmunt. – Doskonale!”.

Poranne jesienne słońce rozbłyskiwało nad dachami, świeża rosa wypłukiwała z miasta osad po koncercie Czadersów, nadchodził cudowny dzień. Diabeł czuł, że musi się napić kawy.

Przebiegł przez ulicę i wskoczył do Dyżurnej.

– Dzień dobry! – zawołał głośno.

Cztery osoby znajdujące się w środku – przedstawiciel handlowy nachylony nad laptopem, starszy pan niemal niewidoczny zza gazety, hydraulik mocujący się z kaloryferem i Natalia zaabsorbowana kasą fiskalną – uniosły na moment głowy. I wszystkie natychmiast je opuściły, by odciąć się od czyjejs niezrozumiałej, niepokojącej wesołości. Jedynie Natalia utrzymała dłużej kontakt wzrokowy, a w jej spojrzeniu błysnęła skrajna

niechęć.

Zygmunt zatrzymał się przy ladzie.

– Poproszę kawę – oznajmił.

Natalia wyprostowała się z ostentacyjną powolnością.

– Jaka? – spytała, przechylając lekko głowę. Jej wzrok mówił: „wiem, kim jesteś, i nienawidzę cię. Nawet jeśli wymyśliłeś coś, co podchodzi pod sensowne”.

– Dobrą! – oznajmił Zygmunt promiennie.

– Espresso? Latte? Cappuccino? Macchiato? – wyliczyła dziewczyna ze wzgardliwą obojętnością.

– Nie mam pojęcia – zmartwił się diabeł. – Może wszystkie naraz? Tak, to doskonały pomysł. Poproszę wszystkie jednocześnie.

– Odbiło ci? – Natalia przysunęła się bliżej i syknęła tak cicho, by nikt jej nie słyszał: – Jaja sobie robisz? Nikt nie zamawia kilku kaw jednocześnie!

Pachniała pudrem, papierosami i złością. Dopiero z bliska Zygmunt ujrzał dobrze zamaskowane ciemne kręgi pod oczami, co oznaczało, że minioną noc wiele ją kosztowała.

– Nie – powiedział najszczerzej, jak umiał. – Ja chyba... Chyba lubię kawę. Znaczący tak mi się wydaje.

– Zrobię ci espresso. – Natalia parsknęła jak dziki kot. – Dziesięć złotych.

Zygmunt wsunął rękę do teczki, wyciągnął banknot i podał go dziewczynie, która złapała go i wpakowała do kasy.

– No, idź już stąd! – warknęła. – Przyniosę ci do stolika.

Zygmunt uśmiechnął się ponownie i usiadł przy oknie, gdzie między przyklejonymi do szyby literami, układającymi się w hasło: „Śluby, stypy, komunie, roczki”, widział rynek. Starsze panie nadal wspólnie kiwały głowami, dwóch pijaczków próbowało podnieść trzeciego, posąg Jezusa migotał, upstrzony kropelkami rosy. Nadal cisza i spokój.

Wzrok Zygmunta powędrował ku zegarowi na wieży kościelnej. Do dziesiątej brakowało jeszcze dziewięciu minut.

„Jeszcze jest chwila – pomyślał. – Chyba że Romek z Albercikiem zalali wczoraj pałę i nie stawiają się do roboty. W końcu dwie dychy to raptem dwie kawy u Natalii”.

Omiótł wzrokiem restaurację, której wystrój niejasno kojarzył się z którąś z minionych epok. Lustro przykręcone do ściany poznaczone było tłustymi odciskami palców, radio ukryte wśród rzędów kolorowych butelek mruczało dyskotekowymi przebojami, w kącie wisiał nieco sflaczały balon, pamiątka po ostatnim weselu. Pastelowe kolory ścian były spłowiałe, firanki brudne,

ale kwiaty na stolikach ku zaskoczeniu diabła okazały się prawdziwe.

Podeszła Natalia i postawiła przed nim filiżankę.

– Tylko naczynia nie zeżryj – warknęła półgłosem.

Hydraulik, przed chwilą celujący w klientelę pośladkami wystającymi z przybrudzonych spodni, usłyszał wypowiedź Natalii i poderwał się zaskoczony, uderzając potylicą o parapet.

– Obiecuję – odparł uprzejmie Zygmunt i przysunął białą cukierniczkę z napisem GS, a potem zerknął bacznie na dziewczynę. – Pamiętasz, co do ciebie należy? – szepnął.

Ta odpowiedziała wzgardliwym prychnięciem.

– To dobrze – ciągnął niemalże bezgłośnie diabeł. – Postaraj się, a resztę zostaw mnie.

Uniósł filiżankę do ust, ale wtedy kątem oka dostrzegł srebrny samochód terenowy, który parkował na rynku. Za nim zatrzymała się półciężarówka z dźwigiem. Kropla kawy pociekła diabłu po podbródku, otarł ją niecierpliwym gestem.

– Od wycierania mamy chusteczki – powiedziała chrapliwie dziewczyna. – Może jednak nauczyć cię kilku towarzyskich umiejętności? Na krzesła, jak widać, siedzieć potrafisz. Jak sobie radzisz z widelcem i nożem?

– To on – szepnął diabeł. – Kacprzak.

– No pewnie. – Natalia wydeła usta. – Kto inny podjeżdża pod kościół terenówką, która zajmuje dwa miejsca parkingowe? Trzeba być nie lada bucem, żeby...

– O, są pozostali. – Zygmunt dostrzegł Romka i Albercika, którzy nieśli pilarkę i drabinę. Szli w stronę wierzby, gdzie powitał ich po gospodarstwu Kacprzak, tym razem w odświętnym garniturze. – Natalia, czas na ciebie.

– Halo! – odezwał się gniewnie starszy człowiek, składając starannie gazetę. – Kiwam na panią już od dłuższej chwili.

Natalia spojrzała na klienta z wahaniem.

– Zaraz podejść, panie Henryczku, tylko...

– Nie żadne zaraz, bo ja czekać nie lubię – oznajmił mężczyzna, sięgając po portfel. – Rachunek mi pani da.

Na zewnątrz zawyła pilarka. Kacprzak śmiał się z czegoś.

– Idź! – Diabeł szturchnął kelnerkę w bok, a sam z szuraniem krzesła odwrócił się do klienta i uśmiechnął promiennie. – Pan wybaczy, panie Henryku!

Starszy mężczyzna zmarszczył brwi tak efektownie, że Zygmunt spodziewał się usłyszeć chrzęst. Pokazowo wydał wargi i przeniósł spojrzenie na plecy

oddalającej się kelnerki.

– Pani Natalio, proszę natychmiast wrócić! Czy mam napisać list ze skargą do pani kierowniczk?

– List psist – burknął hydraulik, grzebiąc w torbie z narzędziami.

Pan Henryczek, już czerwony na twarzy, podniósł się gwałtownie.

– A proszę pamiętać, że ja i pani Żaneta znamy się od dawna, a pani zatrudnienie...

Zygmunt z zachwytem patrzył, jak słupek frustrometru podjeżdża wysoko, aż na czerwone pole, ale jego zachwyty przerwało wycie pilarki na zewnątrz. Wsunął rękę do teczki i wyciągnął kupony totalizatora sportowego, które położył na gazecie nieznanego.

– Pssst – szepnął. – Natalia zaraz wróci, a pan tymczasem niech sobie poogląda te kuponiki. Wie pan, ile było w puli czwartkowej? No, niech pan mi zrobi przyjemność!

Mężczyzna poprawił sztruksową marynarkę i przetarł chustką czoło. Wpatrywał się w Zygmunta, wściekły o przerwanie pieniackiego wystąpienia, a jego usta otwierały się i zamykały, jakby dobierał słowa tyrady. Jego wzrok jednakże zahaczył o kupony i Zygmunt wiedział, że człowiek wpadł w sidła własnej ciekawości.

„Już nie człowiek, ale jego wyższa forma – pomyślał, wybiegając z restauracji. – Klient”.

Albercik trzymał terkoczącą pilarkę w ręku, a Romek skwapliwie częstował się papierosem z paczki wyciągniętej przez Kacprzaka. Stara rozłożysta wierzba płacząca z obwisłymi, sięgającymi bruku gałązkami i porytą scyzorykami korą wydawała się prostować dumnie w obliczu śmiertelnego zagrożenia.

„Dalej, Natalia! – myślał podekscytowany diabeł, ustawivszy się dyskretnie za plecami starszych pań, które wpatrywały się w niecodzienne widowisko, a bardziej obyte tłumaczyły koleżankom koligacje rodzinne trzech jego aktorów. – No dalej, dziewczyno, na co czekasz?”.

Zęby piły w ręku chichoczącego Albercika zbliżały się nieubłaganie do pnia. Kacprzak wymachiwał rękami i coś krzyczał, z kościoła wyległy dzieci wraz z katechetką oraz niziutkim, siwym księdzem. Z Dyżurnej wymknął się pan Henryczek i popędził w stronę najbliższej kolektury.

Nic. Nadal nic.

„Niech to anieli wezmą...”.

Niespodziewanie drzewo otoczyła poświata tak intensywna, że Albercik wrzasnął, upuścił piłę i uskoczył do tyłu, odbijając się od szerokiej piersi

Romka, a z ust Kacprzaka wypadł papieros. Mężczyzna odwrócił się w stronę ciężarówki z dźwiękiem, jakby był przekonany, że jej kierowca włączył długie światła, ale i on wpatrywał się oniemiały w poświatę.

– To ona! – szepnął Zygmunt z udawaną egzaltacją. Starsze panie odwróciły się ku niemu. – Święta Donata! Patronka Wyplut!

Jasność skupiała się, aż zgęstniała do postaci kobiety, która powoli uniosła ramiona ku niebu, a potem opuściła głowę.

– Powróciła! Powróciła! – bełkotał diabeł już na kolanach. – Powróciła!!! – rozdarł się. – Wszyscy ją widzicie? Czy panie ją widzą?

Coraz więcej kobiet odwracało się ku niemu, aż wreszcie uczyniła to Pani w Płaszczu.

– Święta, przenajświętsza Donata! – Zygmunt zastanawiał się, czy nie zacząć toczyć piany z ust, ale uznał, że mogłoby to za bardzo wstrząsnąć szacownym gronem. – Znają panie opowieść? Słyszały panie tę historię? Ukazuje się nielicznym, by wybrać spośród nich najświętszą, tę prawdziwie bez grzechu, a potem przyglądać się jej będzie przez miesiąc i jeden dzień, by obiecać jej we śnie błogosławione życie wieczne!

Starsze panie wpatrywały się w niego z nieufnością i lekkim przestraczeniem, ale były zaintrygowane. Niektóre przełykały ślinę lub odruchowo sięgały po różaniec. Kacprzak usiłował robić zdjęcia smartfonem, Romek i Albercik stali jak oniemiały, wokół zatrzymywały się samochody i rowery. Ktoś upuścił siatkę z zakupami, ktoś uciekał z wrzaskiem. Katechetka uklękła i syknęła na dzieci, by zrobiły to samo, ale wstała pospiesznie, ze skruczą, gdy warknął na nią ksiądz. Pośród westchnień i okrzyków zdumienia świetlista święta zaczęła rzednąć.

Diabłu, który zerwał się, wyminął starsze panie i ruszył w kierunku Kacprzaka, wydawało się, że rozplywająca się zjawa zdążyła unieść środkowy palec.

„Tylko bez przegieć, Natalia!” – pomyślał i złapał Kacprzaka za łokieć.

Ten oderwał się z trudem od widowiska i odwrócił ku niemu.

– A pan to co za jeden? – Skrzywił się, widząc nieznaną twarz.

– Inwestor, podobnie jak i pan. – Diabeł uśmiechnął się zimno. – Zostaw pan w spokoju to drzewo. Ba, płotem je pan ogródź i pilnować każ. To żyła złota, mówię panu.

– Żyła złota? – burknął z niedowierzaniem Kacprzak. – Co pan pierdolisz?

– Drzewo, w którym pojawiają się objawienia? – Uśmiech Zygmunta stawał się coraz szerszy. – Serio pan nie rozumiesz? Jeśli nie, to znajdziemy jakieś ustronne miejsce, żeby pogadać. Może w Dyżurnej?

Na czerwonej, nalanej twarzy Kacprzaka pojawił się grymas niezadowolenia.

– W Dyżurnej? – prychnął. – Jak ciul jakiś? Jak się panu o pieniądze rozchodzi, to u mnie pogadamy. Tam zaparkowałem. Wsiądź pan i zaczekaj, bo ja tu muszę jeszcze coś załatwić.

Diabeł uśmiechnął się do siebie i ruszył w stronę srebrnej toyoty. Czuł na sobie badawcze, nieufne spojrzenia Pani w Płaszczu oraz jej świty, wiedział, że skądś patrzą na niego również Natalia, Łukasz i spora część populacji Wyplut.

„Nieźle, nieźle – myślał diabeł. – Popędzę kota tym wszystkim Marianom”.

Gdzieś za sobą słyszał tubalny głos Kacprzaka:

– Romuś, weź mi, kurwa, głupot nie opowiadaj. Za co ci mam zapłacić, co? Drzewko zostawimy, bo widzisz, okoliczności się zmieniły. Trza będzie, to zadzwonię i zetniemy, ale nie dziś. Kierowcy zresztą już musiałem zapłacić za benzynę i w ogóle. No, do następnego.

Zygmunt kładł dłoń na klamce samochodu, gdy usłyszał za sobą zdyszany głos:

– Panie! Ej, panie! Zaczekaj pan!

Odwrócił się i ujrzał zdyszanego hydraulika, który ścigał go z podzwaniającą torbą narzędzi.

– Panie, a nie miałbyś pan jeszcze takich kuponów? – spytał z mieszaniną nadziei i oburzenia. – Takich jak te, coś pan dał temu mądrali, co tak wyleciał, że drzwi mało nie rozwalił?

Zygmunt zrobił wielkie oczy.

– To ja mu dałem wszystkie? – jęknął. – Och, nie! Niech pan go goni! Jeden z kuponów miał być przecież dla pana!

Wedle jednej z najczęściej powtarzanych rad szkoleniowców potencjalnemu klientowi należy się dać wygadać. Zygmunt, choć do cierpliwych nigdy nie należał, siedział więc i słuchał.

A raczej udawał, że słucha.

Przemysław Kacprzak, rozparty wygodnie za starym, zniszczonym biurkiem, którego blat zakrywała przyciśnięta szybą mapa powiatu, wymachiwał mięsistą dłonią i perorował bez końca. Słońce, wpadające między szczebelkami żaluzji, rozjaśniało kropelki potu na czole i tłustej, opiętej białym kołnierzykiem szyi.

– Burmistrz, panie, to swój chłop – opowiadał. – Idę do niego i mówię: Piotruś, jest sprawa. A on do mnie: A co cię, Przemku, sprowadza? I tak sobie żyjemy od lat, on i ja. Potrzeba jakiegoś papiórka, to Piotruś sprawę załatwi. Potrzeba mu przysługi, że tak się wyrażę, albo elektoratu, to ja się biorę do roboty. Niewiele po prawdzie trzeba, bo ludzie mnie znają, panie, i szanują. – Nastroszył brwi, jakby sobie coś przypomniał, i podniósł papierosa, dopalającego się na brzegu kryształowej popielnicy. – A co mają nie szanować – podjął niemalże gniewnym tonem. – Tutaj – wbił palec w jakąś miejscowość na mapie – mam cukrownię. Tu – wskazał inną – mój tartak stoi. Tu, w Lemieszowie, otworzyłem żwirownię. Mój starszy, Aruś, prowadzi firmę budowlaną, a młodszy, Robercik, sadami się zajmuje. Dwieście osób zatrudniamy razem jak nic, panie...

– Zygmuncie.

– No, Zygmuncie, racja. Zapomniałem. – Kacprzak rozgniół papierosa wśród innych i wytarł ubrudzone popiołem palce w spodnie. – A to mało. Myślisz pan, Zyguś, że ołtarz papieski to z gminnej forsy? Ani z gminnej, ani z unijnej, panie, ja za wszystko zapłaciłem. I co pan na to?

Rozłożył ręce i ewidentnie czekał na odpowiedź. Zygmunt, który wodził wzrokiem po zakurzonych półkach regału wypełnionych lekturami szkolnymi i kryminałami z lat siedemdziesiątych, drgnął i spojrział na rozmówcę.

– Imponujące – rzekł. – A zdaje pan sobie sprawę z potencjału ruchu pielgrzymkowego?

Kacprzak zamrugał pośpiesznie i odruchowo sięgnął po paczkę papierosów, co zdaniem Zygmunta oznaczało, że nie zrozumiał pytania.

– Byłem w Częstochowie – burknął. – Trzy razy. Niech mi pan, Zyguś, nie gada, że się na pielgrzymkach nie znam.

Zaszurały plastikowe drzwi harmonijkowe, które oddzielały gabinet od reszty domu. Między nimi a futryną pojawił się czubek srebrzystego damskiego bucika, desperacko próbującego owe drzwi odsunąć. Brzęknęło szkło, rozległo się stłumione przekleństwo.

– Przemek, możesz mi pomóc z tymi, kurwa...

– Patrzcie ją! – sapnął Kacprzak. – Przy nieznanym kląć będzie.

Zygmunt zerwał się zwinnie z plastikowego, ogrodowego krzesła i szarpnął za klamkę. Drzwi odsunęły się z głośnym hurkotem i do środka wkroczyła pani domu, kobieta o pochmurnej twarzy, przypuszczalnie mocno wierząca w to, że obcisła, kusa sukienka pozwoli zamaskować nadwagę, a niebotyczne obcasy pomogą odwrócić uwagę od innych mankamentów figury. Niosła tacę z dwiema parującymi szklankami w plastikowych koszyczkach, którą

postawiła obok popielniczki, i wyszła bez słowa, nawet nie zerkając na gościa.

– No – ucieszył się Kacprzak. – Jest i kawka.

Wsunął mięsisty paluch w uszko i uniósł szklanę do ust. Wciągnął z lubością zapach, a potem postawił szklanę na blacie między cukrownią a tartakiem i zaczął sypać do niej cukier.

– To o czym żeś pan chciał rozmawiać? – spytał między czwartą a piątą łyżeczką. – O pielgrzymkach?

– Nie tyle o pielgrzymkach – Zygmunt również podniósł kawę, ale udał, że jest jeszcze zbyt gorąca, i odstawił na tacę w nadziei, że gospodarz nie poczyta tego za nietakt – ile o pieniądzach, jakie z tego płyną. Widział pan cud, prawda? Widział pan świętą Donatę?

– Co widziałem – Kacprzak zawahał się, ale dosypał ósmą łyżeczkę, a potem zaczął hałaśliwie mieszać – to widziałem.

– Co doskonale o panu świadczy. – Diabeł się uśmiechnął. Poszczególne podpunkty zajęć z technik perswazji układały mu się w głowie w logiczny konspekt. – Człowiek interesu powinien zachować dystans do tego, co widzi. Nie można pozwolić, by sentymenty zakłóciły zdrowy osąd. Nie sądzę jednak, by wszyscy ci, którzy widzieli cud, podzielali naszą wstrzeźliwość.

– Zyguś, a mógłbyś pan do meridium przejść? – Kacprzak siorbnął kawę.

– Na naszych oczach zdarzyło się coś niezwykłego – ciągnął Zygmunt. – Coś niewytłumaczalnego, co trzeba ludziom należycie wytłumaczyć. Przypuszczam, że całe Wypluty nie mówią już o niczym innym, a więc musimy kuć żelazo, póki gorące, i tchnąć życie w kult świętej Donaty.

– Czyli co? – Na nalanej, lekko spoconej twarzy Kacprzaka malowała się podejrzliwość.

– Masz pan kontakty w urzędzie gminy? Doskonale. Trzeba by i księdza w to wszystko wciągnąć, by i dla siebie coś uszczknął, nieprawdaż? – opowiadał diabeł, a serce wyło mu z radości. – Trzeba mediom dać znać, do prasy jakiś komunikat puścić, po parafiach info rozpuścić, na stronie internetowej napisać, a sam pan zobaczy. Pierwsi pielgrzymi pojawią się zaraz po pierwszej ekipie filmowej, a potem forsa popłynie szerokim strumieniem. Na wszystkim się da zarobić, panie Kacprzak, na wszystkim! Na świętych obrazkach, na witkach uciętych ze świętej wierzby, na biografii świętej Donaty, na gastronomii... Panie, na pana miejscu jeszcze dzisiaj zadzwoniłbym do burmistrza i ustalił, gdzie zbudujecie hotel!

Serce mu biło pospiesznie z nadmiaru entuzjazmu.

„Zrób to! – wył w myślach. – No dalej, wyrachowany gnoju! Zbuduj

falszywy kult i zacznij wysysać z ludzi pieniądze, a zapewnisz mi tytuł agenta roku, Przemek!”.

Ten jednakże nadal wpatrywał się w diabła czujnie. Zygmunt miał wrażenie, że słyszy chrobot kół zębatych w jego głowie.

– A pan, Zyguś, po co mi to mówi? – spytał w końcu. – Samemu nie łaska wziąć się do pracy?

– Gdzie mnie tam do pana – westchnął Zygmunt i opuścił głowę. – Nie mam ani pańskiego kapitału, ani też obycia, kontaktów, swobody w robieniu interesów. Z chęcią natomiast zostanę pańskim agentem. Za najniższą krajową!

Ostatni argument wyraźnie przykuł uwagę człowieka interesu. Widać było, że walczy ze sobą, aż sapnął i rzekł:

– Dobra, wiesz pan co, Zyguś? Ja sobie to przemyślę i zadzwonię do pana. Na razie muszę lecieć, na mszę chciałem zdążyć. Gizela pana odprowadzi.

Gizela płynęła przed siebie niczym gwiazda teledysków z lat osiemdziesiątych, tylko czekać, aż spod obcasów jej niebotycznych błyszczących trzewików buchną pierwsze kłęby pary. Minęli klatkę z dwoma rozjuszonymi rottweilerami, a potem szklarnię i zarośnięte oczko wodne, w którym kilka karpów desperacko ssało powietrze.

– Ma pani niezły ubaw z tym człowiekiem – mruknął Zygmunt do przebijającego przez materiał zapięcia stanika. Zerknął na frustrometr. Wysoki wynik, bardzo wysoki.

„Gdybym nadal władał przekazem, jeszcze dziś podałyby mu środek nasenny i nawiała z walizką wypchaną banknotami” – pomyślał.

Gizela zatrzymała się przy furtce, której strzegły dwa złote lwy na kolumnach.

– To pan wczoraj biegał na golasa podczas koncertu? – spytała suchym głosem.

– Ja? – Zygmunt po mistrzowsku udał zdumienie. – Ale skąd!

– Mój mąż ma swój rozum – wycedziła kobieta. – I pewnie sam już cię przejrzał. Ja od siebie dodam tyle: won stąd, zboczeńcu!

– Ale...

– Won! I nie gap mi się na cycki!

Przepuściła diabła w furtce i zatrzasnęła ją z furją, a potem odwróciła się ze skrzypnięciem skórzanej spódniczki i odeszła.

Zygmunt odprowadził ją wzrokiem, a potem pokręcił głową i się rozejrzył. Stał na drodze wyłożonej nierównymi betonowymi płytami, otoczonej szpalerem koślawych, spękanych wierzb. Przedpołudniowe słońce wspinało się coraz wyżej i wypijało resztki wilgoci z okolicznych łąk. Unosząca się mgła odsłaniała lasek. W oddali majaczyły dachy jakichś zabudowań.

Zygmunt westchnął i wyciągnął z kieszeni telefon, po czym odnalazł numer Łukasza.

– Cześć – rzucił do słuchawki, gdy usłyszał głos nauczyciela. – Słuchaj, ty wiesz, gdzie ten cały Kacprzak mieszka?

– Każdy wie – padła metalicznie zniekształcona odpowiedź.

– A mógłbyś ten tego... No, podjechać po mnie?

– Co? Nie no, co ty. Seba wybił mi szybę w samochodzie. Nie mówiłem ci?

– Mówiłeś – westchnął diabeł z narastającym zniecierpliwieniem. – Ale od kiedy to brak bocznej szyby w czymkolwiek przeszkadza?

– A wiesz, jakie są mandaty za jazdę ze zbitą szybą? Na trasie do Kacprzaka zresztą często stoją. Sorry, nie dam rady. Słuchaj, masz GPS?

– Nie wiem.

Za plecami diabła zaryczał silnik. Obok przemknęła toyota Kacprzaka, spowijając go tumanami kurzu. Diabeł zaklął po ludzku.

– Co? – dopytywał się Łukasz.

– Nic. Co to jest GPS?

– Nawigacja. – Łukasz westchnął. – Słuchaj, wbij sobie adres mojego wujka. To dość blisko, a po południu i tak wszyscy się tam spotkamy. Ja, Rychu, Jaro i eee... no, Natalia. I ty też.

– Ja też?

– Tak. Musimy pogadać. Wiesz, o wierzbie i tych twoich pomysłach.

Obsługa nawigacji okazała się banalnie prosta, a rezydencję Kacprzaków od domu wujka Czesia dzieliło wedle najszybszego wariantu zaledwie trzy i siedem dziesiątych kilometra. Niestety, bateria padła mniej więcej w połowę trasy i Zygmunt uświadomił sobie, że nie ma pojęcia, którą drogą iść dalej.

Przez wiele godzin błądził więc po drózkach i bezdrożach wokół Wyplut. Czasami wydawało mu się, że już dostrzega zabudowania i zaczyna się zbliżać do cywilizacji, ale wówczas drogę przesłaniał kolejny akacjowy gaj lub następny brzozowy lasek. Diabeł błąkał się piaszczystymi ścieżkami wśród strzelistych sosen, mijał zapomniane kapliczki drogi krzyżowej

i rozebrane do fundamentów, zarośnięte trawą gospodarstwa, brnął przez łąki, opędzając się od robactwa, przeskakiwał przez rowy melioracyjne i przełaził przez druty okalające pastwiska, śledzony beznamietnym wzrokiem krów.

Słońce grzało, garnitur Łukasza był niewygodny, a czas umykał. Diabeł wędrował i klął po ludzku.

Jak na złość, przez cały ten czas nie spotkał nikogo, z kim mógłby choć słowo zamienić. Jedynym zauważonym człowiekiem był starszy pan w gumiakach, berecie i wysłużonej marynarce, który jechał dróżką na poskrzypującym rowerze, ale na widok diabła zawrócił czym prędzej i odjechał. Zygmunt zadał sobie wówczas pytanie, czy przypadkiem ze złości nie wrócił do diablej postaci. Nachylił się więc nad kałużą i odkrył, że nie – dalej jest człowiekiem. Prostując się, poślizgnął się i wpadł kolanem w błoto. Znow zaczął kląć.

Gdy więc ujrzał zardzewiałą siatkę, stare jabłonki i ogrodowy gąszcz, napierający na szary dom ze skośnym dachem, miał ochotę wrzasnąć z radości. Mały piesek, który wysunął pyszczek spod liści łopianu i podbiegł do płotu, również się ucieszył, na co wskazywały konwulsyjnie szybkie ruchy kikuta ogonka. Łukasz, który stał oparty o furtkę i palił papierosa, zareagował o wiele chłodniej, zwłaszcza gdy ocenił stan garnituru.

– I w co ja się ubiorę w Dzień Patronów? – spytał sucho.

Diabeł mierzył go spojrzeniem, w którym kryło się wszystko z wyjątkiem zainteresowania wymienioną akademią.

– Nigdy w życiu nie zabłądziłem – oznajmił. – Nigdy do czasu przybycia do tych cholernych Wyplut.

Łukasz powstrzymał się od komentarza.

– Chodź – machnął ręką. – Reszta już jest.

Podobnie jak wiele innych miejsc w Wyplutach kuchnia w domu wujka Czesia zatrzymała się w czasie, ale w przeciwieństwie do pozostałych przechowała w ten sposób odrobinę magii. Na blacie obok starej kuchenki gazowej leżała wyszczerbiona deska do krojenia, a na niej zapomniana kromka chleba, dalej słoik z ogórkami, drewniana solniczka i kalendarz zatrzymany na połowie sierpnia. Do emaliowanego zlewu rytmicznie kapały krople z cieniutkiego kranu, w kącie mruzczała lodówka. Gałęzie rosnącej pod ścianą domu akacji dotykały niemal okna, gdy trącał je wiatr. Z szybek

kredensu spoglądały stare zdjęcia i widokówki. Na jednym, czarno-białym i już lekko pożółkłym, widać było lnianowłosego chłopca w krótkich spodenkach, trzymającego zabawkowy miecz.

Diabeł zasiadł na krześle wskazanym mu przez Łukasza, chrząknął znacząco i oparł łokcie na pokrytym ceratą blacie stołu. Spojrzał na Natalię, która zdążyła się przebrać w dżinsy i czarną bluzkę, ale wydawała się jeszcze bardziej zmęczona niż wcześniej, a potem przeniósł wzrok na Rycha, ubranego w ten sam sweter co wczoraj, milczącego i wpatrującego się w diabła badawczo, i na Jaro, który uśmiechał się głupkowato i bawił telefonem. Łukasz stał za jego plecami, oparty o pomalowaną na biało, łuszczącą się nieco futrynę.

– Zapewne – zagaił diabeł – chcielibyście dowiedzieć się o mnie czegoś więcej.

Odpowiedziało mu milczenie.

– Wbrew temu, co mówi na nasz temat opinia publiczna, jesteśmy dość szczerzy. Fakt, że na ogół zajmujemy się manipulacjami, ale doprawdy nie wiem, czym miałyby nas to odróżniać od, powiedzmy, agentów ubezpieczeniowych, którzy...

– Do rzeczy – przerwała mu sucho Natalia.

– No właśnie, do rzeczy – przytaknął diabeł i odpowiedział jej czarującym uśmiechem. Skorupa niechęci na twarzy dziewczyny nawet nie drgnęła.

Jeszcze podczas przedzierania się przez krzaki postanowił, że opowie im wszystko. Szkoleniowcy, zwłaszcza ci zajmujący się bezpieczeństwem operacji, surowo przestrzegali przed zdradzaniem ludziom jakichkolwiek szczegółów i grozili poważnymi konsekwencjami, ale Zygmunt uznał, że warto podjąć ryzyko. Po pierwsze, nie miał przed sobą zwykłych ludzi, tylko niedobitków z zamierzchłej przeszłości, których bez trudu mógł zaszantażować ich własną tajemnicą. Po drugie, szczerowość, towar o dziwo nadal ceniony wśród ludzi, mogła mu pomóc we wciągnięciu ich w następne intrygi.

– Może zabrzmie to dziwnie, ale w kwestii Piekła Kościoła nie rozmija się z prawdą – oznajmił. – Oczywiście wizja Dantego to metafora poetycka, a lansowany przez duchownych obraz kotłów z gotowanymi grzesznikami to groteskowa propaganda, ale Piekło bez wątplenia istnieje i zasiedlają je diabły, którym zależy na waszych duszach. No, może nie tyle waszych, ile zwykłych ludzi.

Prawda, zawarta w prostych, zwiezłych słowach, poruszyła wszystkich. Jaro niemal upuścił telefon, Rychu założył mocarne ramiona na piersi,

a Natalia zmrużyła oczy jak dziki kot.

– Jak sami wiecie – Zygmunt pozwolił sobie na ledwie zauważalny ironiczny uśmiezek – świat toczy zaraza laicyzacji. Ludzie, skupieni na spłacaniu kredytów, poprawianiu swoich profili na portalach społecznościowych, życiu gwiazd kina i oczekiwaniu na sobotniego grilla, stają się coraz bierniejsi, coraz mniej zauważalni, coraz bardziej banalni. Tych, o których możemy mówić z dumą, podziwem czy zazdrością, jest coraz mniej, a i wobec nich zalecany jest dystans, bo kto wie, czy nie są przypadkiem bohaterami wykreowanymi przez media albo zwykłymi oszustami. Bo przecież nie da się ucziwie, prawda? Każdy ma coś na sumieniu.

Zerknął uważnie na zebranych, którzy słuchali go w napięciu. Ich spojrzenia mówiły, że dobrze wiedzą, o czym mówi.

– Nie zdziwi was zapewne to, że Piekło świeci pustkami – oznajmił i zrobił dramatyczną przerwę, wierząc palcem w ceracie. – Prawdziwych grzeszników teraz tyle co kot napłakał. Od czasu do czasu trafia się jakiś pedofil, bokser konkubent czy mistrz metody „na wnuczka”, gościmy piratów drogowych, kłusowników i sprzedajnych polityków, ale to wciąż za mało.

– Boicie się, że ktoś zrobi wam audyt i zamknie to Piekło? – Jaro zachichotał nerwowo.

– Nie. – Zygmunt przeniósł na niego gadzie spojrzenie. – Boimy się, że staniemy się tacy jak wy. Bez wyobraźni i polotu. Bierni. Zobojętniali. Sfrustrowani, obrażeni na cały świat, a mimo to bezsilni z własnego wyboru. Rzygający żółcią. Zjednoczeni nienawiścią, otepiali, skundleni. Pogodzeni z tym, że zawsze trzeba na coś czekać, i rozczarowani tym, co w końcu nadchodzi.

Jaro, mamrocząc, odwrócił się i wsunął do gniazdka ładowarkę do telefonu.

– Zarząd podjął więc decyzję o wszczęciu pewnych działań, by rozruszać nieco ludzkość – ciągnął Zygmunt weselszym tonem. – Rzesze diabłów takich jak ja, rzutkich, przedsiębiorczych i obdarzonych wyobraźnią, zostały odpowiednio przeszkolone i wysłane na ziemię, by nakłaniać ludzi do grzeszenia.

– I to jedno wystarczy – warknęła Natalia – by cię zatłuc.

– Po pierwsze – Zygmunt wbił w nią ostre, nieprzyjemne spojrzenie – nie jest to wcale takie proste. Nawet dla zdolnej więdmy. Po drugie, niby czemu miałoby cię to szczególnie poruszyć?

– Popraw mnie, jeśli się mylę, diabełku, ale siedem grzechów głównych to

pycha, chciwość, nieczystość...

– I tak dalej. Który z nich miałby ci zaszkodzić?

– Każdy! – parsknęła dziewczyna. – Każdy, do cholery! Zrozum, przybłądo, ten świat jest wystarczająco nie do zniesienia. Dość mam codziennego zadzierania nosa! Dość mam trąbienia na pieszych, dość mam ochlejęw na rynku i nadętych buców, którzy uważają zostawianie napiwku w knajpie za frajerstwo! Dość mam polityków, którzy zaglądają mi w majtki i uczą moralności z telewizorów. A ty jeszcze chcesz to wszystko rozdmuchać? – mówiła coraz głośniej, z coraz większą złością. – Nakłaniać ludzi, by grzeszyli jeszcze bardziej? Zamienić już zepsuty świat w coś jeszcze gorszego?

– Tak naprawdę nasza misja...

– Misja! Trzymajcie mnie! – Natalia poczerwieniała, a jej oczy zalśniły nienawiścią.

– ...ma na celu wyzwolenie ludzi z okowów społeczeństwa, uświadomienie im, że grzesząc, wyzwalają swoje prawdziwe ja, pokazanie im drogi do prawdziwszego życia, a przy tym...

– A przy tym nabicie wam punktów w tej waszej korporacyjnej strukturze!

Diabeł uniósł brwi. Oczy dziewczyny lśniły hipnotycznie – czyżby ta wiedźma potrafiła czytać w myślach?

– Interesujące – rzekł. – Wyczuwam w tobie bunt, wściekłość wręcz. A mimo to jesteś gotowa bronić tego świata przede mną. Chcesz stanąć po stronie buców, ochlejęw i telewizyjnych kaznodziei.

– Nie stoję po niczyjej stronie. – Dziewczyna zacisnęła powieki. – Ja po prostu nie chcę, by ten świat zszedł na psy jeszcze bardziej!

– Czyj świat?

– Co ty pieprzysz? – warknęła Natalia, otwierając szeroko ziejące chłodem oczy.

– Ten świat? – Diabeł zatoczył łuk ręką. – Czy może twój własny? Śmiem twierdzić, że ten własny bez trudu udałoby się naprawić. Wystarczyłoby...

– Co?! – wrzasnęła z furją Natalia, nachylając się ku Zygmunutowi, aż jej długie włosy musnęły ceratę. Kartki w kalendarzu zafurkotały, zamigotała lampa jarzeniowa nad zlewem. – Co wystarczyłoby? Może mam podpalić Dyżurną, zatańczyć tryumfalnie na ulicy, resztę życia spędzić w pierdłu, a po nim trafić do Piekła jako markowy produkt?

– Nie mówię o czynach tak drastycznych. – Zygmunt machnął ręką, udając bez troskę, choć widać było, że jest zaintrygowany emocjami dziewczyny. – Mogłabyś natomiast sama pokierować postępowaniem niektórych osób, by...

– Dosyć – warknął Rychu. – Dość tego.

– Czego? – Diabeł spojrział na mężczyznę.
– Tych twoich gadek. Zachowaj je sobie na baby pod kościołem.
– Przecież my tylko rozmawiamy! – Zygmunt rozłożył ręce.
– Nie. Jesteś pod dachem naszego przyjaciela, a więc głupio jakoś po mordzie ci nakłaść, ale jeszcze jeden tekst w stylu „zmień swój świat”, a przepchnę cię przez dziurkę od klucza.

„Sprytni są” – pomyślał Zygmunt i rozparł się na krześle. Przez jakiś czas jedynymi dźwiękami były ciche buczenie lodówki i czyjeś szurające kroki na górze.

– To o czym będziemy rozmawiać? – spytał w końcu diabeł.

– O niczym nie będziemy z tobą rozmawiać. – Natalia się skrzywiła. – Spotkaliśmy się, żeby ustalić, co z tobą zrobić. Moje zdanie brzmi jasno – won.

– Won? – Powtórzył Zygmunt. Serce biło mu mocno, gdy uświadomił sobie, że rzucono mu otwarte wyzwanie. – Tak po prostu? Won, i tyle?

– A co jeszcze chcesz usłyszeć? – Dziewczyna wzięła się pod boki. – Bierz te swoje zabawki i idź czarować baby, ale pod innym kościołem! Swój własny świat, jeśli będę chciała, sama sobie zmienię, bez pomocy rogatego pajaca z katechizmu, a ten, który nas otacza, zostaw w spokoju. Świętym, że tak się, kurwa, brzydko wyrażę.

Rychu uniósł krzaczaste brwi, a Jaro śledził wymianę zdań oniemiały. Zygmunt wyczuł jakiś ruch za plecami, zupełnie jakby Łukasz odepchnął się od ściany i podniósł rękę, by coś powiedzieć. Powstrzymał go gestem i wstał, by spojrzeć Natalii prosto w oczy.

– Nie odejdę, póki nie skończy się mój czas – powiedział cicho, dobitnie. – I nie sądzę, byś ty, nawet z pomocą reszty, była w stanie mnie do tego zmusić. Szanuję jednak wasze prawo do terytorium i dlatego chciałem zaproponować współpracę.

Jarzeniówka nad zlewem zgasła, blask popołudniowego słońca zbladł, zszarzał. Niebieskie oczy dziewczyny migotały wściekle, odpowiadał im błysk ślepi diabła. Powietrze zgęstniało.

Ktoś schodził po schodach.

– Współpraca – wycedziła Natalia – sprowadzi się do tego, że będziesz próbował nas wmanewrować w kolejne intrygi.

– Wasz kolega Ryszard dopilnuje, jak sądzę, by tak się nie stało. – Zygmunt się skrzywił i spojrział na obojętnego Rycha. – Poruszyła mnie sugestia przepchnięcia przez dziurkę od klucza. A co do współpracy... Nie sądzicie, że intryga z dzisiejszego poranka zakończyła się obopólnym sukcesem? Każdy

zyskał coś: wy macie ostatnią wierzbę z waszego boru, a ja zarzuciłem sidła na najbogatszego mieszkańca okolicy i jeszcze paru innych. Nieprawdaż?

Odpowiedziała mu zaskakująca cisza. Zygmunt zdążył jeszcze zauważyć, że kącik ust Natalii podjechał nieco wyżej, jakby dziewczyna chciała się szyderczo uśmiechnąć, a Rychu głośno wypuścił powietrze przez nos.

– Serio zarzuciłeś sidła na Kacprzaka? – odezwał się Jaro, nawet nie siląc się, by ukryć sarkazm. – I jak to wyglądało, powiedz mi? Nie powiedział ci aby, że zadzwoni? Nie spytawszy o numer telefonu?

W tej samej chwili otworzyły się drzwi i w progu stanął wujek Czesiu.

Zygmunt w jednej chwili zapomniał o słowach Jaro. Widział wujka tylko dwa razy, z czego raz z oddali, a drugi raz w sennym widzie, ale nie miał wątpliwości, że to on. Co ciekawe, nie zdradziły go bynajmniej sumiaste wąsiska. Człowiek nazywany wujkiem Czesiem miał pospolitą, pobrużdżoną, nieco ogorzałą twarz typową dla pięćdziesięciolatka spędzającego dużo czasu na świeżym powietrzu, a czoło zakrywały mu krzywo przycięte kosmyki ciemnych, siwiejących włosów. Uwagę zwracały jednak niebieskie oczy, wiecznie przymrużone, okolone pajęczyną zmarszczek, ale niebywale jasne, skrzące niczym gwiazdy. Wystarczyło, by zerknął na Zygmunta, a diabeł natychmiast rozpoznał to spojrzenie.

– Co? – spytał Czesław. – Drzewo stoi?

– Stoi – odpowiedział, o dziwo, Rychu. – I długo nikt się za nie weźmie, Czesiu. Ten tu to sprawił. Ten, którego żeś wypatrzył. Diabeł, jak się okazało.

Wskazał gościa sękatym palcem, a Zygmunt poczuł ukłucie niepewności.

Czesiu jednak wzruszył ramionami, odwrócił się i otworzył szafkę nad zlewem.

– Diabeł nie diabeł – mruknął i rozstawił pięć niewielkich szklaneczek na ceracie. – I co z tego? Grunt, że drzewko stoi, trza to oblać. – Z głośnym stuknięciem postawił na stole oszroniałą butelkę bez etykiety, a potem przeliczył szklanki i zerknął na Natalię. – Młoda, pijesz?

– Nie – odparła dziewczyna i przecisnęła się za jego plecami. – Po raz pierwszy w życiu mam wrażenie, że nie pasuję do tej bajki.

Wydawało się, że chce jeszcze coś powiedzieć – ostrzec towarzyszy być może – ale westchnęła tylko głucho i wyszła, ściągawszy z wieszaka kurtkę.

Trzasnęły drzwi.

Łukasz zerwał się, jakby chciał pobiec za nią, ale osadziło go w miejscu przenikliwe spojrzenie wujka.

– Nie pękaj, Łuki – mruknął Czesiu, odpieczętowując butelkę łokciem. – I siadaj. Komu jak komu, ale jej nic nie będzie. Przydałoby się tylko coś pod

tę wódeczkę... Marysiu, dasz jakieś ogórki?

Za oknem z odrapaną ramą rozlewała się jesienna noc, zimna, niespokojna i pełna tajemnic. Jarzeniówka nad zlewem migotała kapryśnie, o szybę tłukła się zrozpaczona mucha. Wódki ubywało.

– Uuuch – powiedział Rychu i odstawił kieliszek. – Powiem ci, Czesiu, że tak to ci się jeszcze żadna nie udała.

Łukasz otarł spocone czoło, wyłowił ogórek ze słoika i ugryzł go łapczywie. Jaro, który wypadł kilka kolejek temu, zachrapał z kąta, a Czesiu uśmiechnął się, pokiwał głową filozoficznie i ujął butelkę. Zygmunt obserwował z zainteresowaniem, jak wujek ostrożnie, niemalże z gracją uzupełnia zawartość kieliszków. Alkohol działał na niego o wiele słabiej niż na ludzi, ale Zygmunt zaczynał tego żałować, gdyż w skrytości ducha doszedł do wniosku, że Rychu ma rację. Gdy pałący smak wódki przygasał, a w brzuchu rozlewało się ciepło, pijący czuł niezwykłą błogość. Oplatał go subtelny dotyk babiego lata, muskała pieszczota jesiennego wiatru, a na języku czuł wspomnienie pszczelego miodu, herbaty z kwiatów róży i ciasta z rabarbarem. Jego myśli splatały się w subtelne rymy i umykały w świat fantasmagorii.

– No – przytaknął Czesiu i otarł wąsiska. – Chyba tak. Udała się.

Mimo kilku kieliszków, które wlał w siebie bez najmniejszego wysiłku, oczy wujka wręcz skrzyły. Nieziemski smak wódki, pełne namaszczenia ruchy Czesia oraz cisza panująca wokół stołu sprawiały, że pospolite opróżnianie flachy przeistoczyło się w magiczny rytuał. Z tego też względu Zygmunt milczał. Jego ciekawość, rozbudzona wyzwaniem rzuconym przez Natalię, znów narastała. Szósty zmysł mówił mu, że zaraz wydarzy się coś niezwykłego.

Wtedy Czesław, jakby i on czytał w jego myślach, odwrócił się ku niemu.

– A więc jesteś diabłem – powiedział i wsadził paluchy do słoika z ogórkami.

– Ale niegroźnym – rzekł Zygmunt. – Wbrew temu, co sądzi ta wasza Natalia.

Oczy Łukasza rozbłysły, ale Czesław uspokoił go jednym spojrzeniem, po czym znów skupił się na grzebaniu w słoiku.

– Sprytnie żeś wykolegował Kacprzaka – ciągnął Czesław. – Nie ruszy już mojej wierzby, powiadasz, diable?

– Nie.

– A jak żeś odkrył, że mi na niej zależy?

– Przypadek. Wpadłem na nią i... – Zygmunt zmarszczył czoło. Przyzwyczajony do wyciągania tajemnic z ludzi, sam niechętnie dzielił się własnymi. – I miałem coś jakby wizję. Ujrzałem, jak pan... eee... jak ty... Znaczy się, jak wujek...

Czesław nie wypowiedział się co do właściwej formy, miał tego przeszywał diabła migotliwym, odbierającym pewność siebie wzrokiem.

– ...jak zajmuje się lasem – dokończył, cokolwiek skonfundowany Zygmunt. – Wielkim, starym lasem, w którym ta wierzba była jeszcze młoda. A potem wszystko pokojarzyłem.

– Wiesz, kim jestem? – spytał Czesiu, wyłowiwszy wreszcie upatrzony ogórek.

– Nie.

– Kiedyś takich jak my zwano leszymi. Wyglądaliśmy jak zwykli ludzie, ale umieliśmy przeistaczać się w zwierzęta i znaleźliśmy wszystkie, nawet najdrobniejsze sekrety lasu. Prawdziwą tragedią jest to, że lasy powycinano, a leszy nadal trwają. Większość już dawno zapomniała o swym dziedzictwie, ale niektórzy... – Wgryzł się w ogórek i chrupał przez chwilę, ścierając sok z brody. – Ale niektórzy wciąż próbują bronić tego, co pozostało. Ta wierzba na rynku to ostatnie drzewo wielkiej ongiś puszczy. Mojej ukochanej.

– Uhm – rzekł Zygmunt.

Jego myśli wirowały niczym rozjątrzone osy wokół usłyszanych przed chwilą słów, usiłując odnaleźć w nich coś dla siebie, coś, na czym można zbudować kolejną intrygę, ale gasły, rozpędzane przenikliwym spojrzeniem leszego.

– Często choruję, wiesz? – rzekł zamyślony Czesiu.

– Wiem. Łukasz mi mówił.

– Ostatnio znów źle się poczułem. A nawroty mojej choroby z reguły zwiastują złe rzeczy. Złe dla mnie, dla nas wszystkich i dla lasu. Wiedziałem, że się coś wydarzy, ale nie miałem pojęcia, co to będzie. Trafiłeś z tym planowanym zamachem na wierzbę, bo teraz, gdy została ocalona, jest mi lepiej. Chyba jestem twoim dłużnikiem.

– To fajnie – rzekł Zygmunt i otworzył usta, ale Czesiu przerwał mu machnięciem ręki.

– Nie. Nic już nie gadaj. Słuchaj lepiej. Nie mam szczególnego powodu, by przepadać za ludźmi, którzy wycięli mi las, a teraz szczają pod ostatnią wierzbę, ale nie pozwolę ci na szaleństwo. Natalia ma trochę racji, tak,

słyszałem waszą jazgotaninę. Jak za mocno poszczujesz ludzi na siebie, diable, wyniknie wiele złego. Ktoś powinien cię pilnować. Zrobimy więc tak: możesz kłusować w Wyplutach, ale pod nadzorem Łukasza.

Nauczyciel, tępo wpatrujący się w telefon, drgnął i spojrzał na wujka z niedowierzaniem.

– Co? – wybełkotał. – Że jak?

– A co, kurwa, ja mam za nim biegać? – warknął Czesiu tak groźnie, że Łukasz o mało z krzesła nie spadł. – Podobno dobrze się dogadujecie.

– Bardzo dobrze. – Diabeł uśmiechnął się paskudnie.

Łukasz pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Ale ja mam teraz niezły zapierdół w robocie! I poza tym...

– Poza tym Natalia nie lubi diabła – dokończył wujek. – Jasne. Wielkie mi, kurwa, rzeczy. Rychu, otwórz. No, chłopaki, chluśnij pod tę wierzbę.

Znów wściekłe uderzenie gorąca i goryczy, a po nim pszczeli miód, herbata z kwiatu róży i ciasto rabarbarowe, znów koniec lata i wonny wiatr, znów poezja i obrazy. Zygmunt uśmiechnął się, sam nie wiedząc dlaczego.

Drzwi się otworzyły i do kuchni, szurając kapciami, weszła starsza pani z zatroskaną twarzą, która poprzedniego dnia przyjęła Łukasza na ganek. Na jej widok Czesław poderwał się, a po nim Rychu, odruchowo wygładzając sweter.

– Marysiu, my już kończymy! Żadnego opilstwa nie będzie, my tylko tak dla smaku... – zaczął Czesław, ale Marysia przerwała mu machnięciem pulchnej spracowanej dłoni.

– Cicho już bądź, opoju jeden! – zrugła go bez większego zaangażowania. – Moglibyście chociaż okno otworzyć, bo śmierdzi tu jak w stajni! Któryś tu palił?

– Nie – zaprzeczyli zgodnym chórem Rychu i Łukasz.

– Jakiejś herbaty wam może zrobię – gderła Marysia i ze zgrzytem przekręciła klamkę okna, a potem zgarnęła okruchy z blatu. Do środka wpadło chłodne powietrze nocy, ostre niczym kryształ. – Albo po kanapce chociaż. Z baleronom. A tego biedaka w rogu to mi natychmiast na dwór wyprowadzić. Jeszcze mi kuchnię zarzyga.

Czesław, który przez chwilę śledził żonę rozkochanym spojrzeniem, zerknął na Zygmunta i Łukasza.

– No, na co czekacie, młodzi? Brać Jaro na ganek. Przykryjcie go tylko jakimś kocem, żeby się nie przeziębił. A my, Rysiu – złapał za butelkę – walniemy se jeszcze po maluchu.

W nocy można było odnieść wrażenie, że zdziczały ogród przeistoczył się we wściekły las i bez reszty opanował świat. Drzewa kołysały się i cięły światło księżyca, które zalewało trawnik i drogę migotliwymi srebrnymi plamami. Między pniami coś chrobotowało, coś szeleściło, coś opowiadało historie w języku niezrozumiałym dla człowieka. Mały piesek wypęzł spod łopianu, dla porządku obwąchał buty trzech mężczyzn i wrócił pospiesznie do kryjówki.

Jaro miał lekką nadwagę i Łukasz ze złością upuścił go na leżak, a potem narzucił na niego koc. Potem wysupłał wygniecioną paczkę papierosów, zapalił jednego i oparł się łokciami o łuszczącą się balustradę.

Diabeł przyglądał mu się z uśmiechem. Dawno nie czuł się tak rozluźniony.

– Skoro jesteśmy partnerami, to chyba powinienem wiedzieć o tobie coś więcej – zagadnął, wpatrzony w gwiazdy przykrywane co chwila podartymi chmurami.

– A co cię tak frapuje? – W półmroku spocona twarz Łukasza robiła ponure wrażenie.

– Wujek jest leszym. Rychu najprawdopodobniej wodnikiem. Natalia wiedźmą, a Jaro jakimś pomniejszym demonem. A ty? Kim ty jesteś w tej waszej mitologii?

– Człowiekiem skazanym na twoje towarzystwo. – Łukasz westchnął bezsilnie i zaciągnął się łapczywie.

– Nie sądzę, by wyniknęło z tego dla ciebie coś złego – rzekł diabeł i oparł się o ścianę. – Wręcz przeciwnie, nadal możesz na tym skorzystać. O ile dobrze pamiętam, byłeś chętny.

– To było wieki temu. Zanim dowiedziałem się, kim jesteś.

„I zanim Natalia nie dała wyrazu swojej niechęci do mnie – pomyślał diabeł. – Oni kiedyś byli parą. Ba, chyba niedawno. To tłumaczy humory Łukasza”.

Do szumu rozkołysanych drzew dołączył jakiś niepokojący odgłos. Coś przedzierało się przez krzaki. Łukasz zeszywniał, wpatrzony w ciemność, ale po chwili pokręcił głową i uśmiechnął się krzywo.

– I co z tego, że jestem tym, kim jestem? – Oczy diabła rozbłysły. – Nadal mogę ci pomóc, chłopie. Pozwolisz jednak, że najpierw zajmę się tym durniem Kacprzakiem.

– Pozwolę, a jakże. – Łukasz zaśmiał się głucho, bez wesołości. – Baw się dobrze, ale informuj mnie na bieżąco. Nie chodzi nawet o to, że wujek kazał

mi cię pilnować. Ja po prostu chcę to widzieć.

– Co takiego? – spytał Zygmunt. Dobroczynne działanie bimbru Czesława sprawiło, że pogodnie przyjął sarkazm w głosie nauczyciela.

– Jak się odbijesz od ściany.

– Nie wierzysz we mnie?

– Nie.

Ktoś ze zgrzytem otworzył furtkę. Piesek wypadł spod łopianów i zaszczekał kilkakrotnie, ale bez przekonania, i natychmiast wrócił do kryjówki. Zygmunt ze zdumieniem dostrzegł wysokiego, szpakowatego mężczyznę w mundurze i wysokich butach, który szedł w stronę drzwi wejściowych, stukając obcasami. Błysnął orzeł ze swastyką na prawej piersi, mignęła kabura pistoletu i pagony feldfebla.

– Wiedziałem, że wywęszy wujkowy bimber, moczymorda cholerny – mruknął Łukasz.

– Guten Abend – rzekł nowo przybyły, ukłonił się z kurtuazją i wszedł do środka.

Zygmunt spojrział na Łukasza ze zdumieniem.

– A ten to co za jeden?

– To – oznajmił Łukasz, rozbawiony – to dopiero zapowiedź tego, co jeszcze zobaczysz w Wyplutach.

Dzień siódmy

Jękliwa pieśń wzbiła się pod sklepienie kościoła i wibrowała nad głowami zgromadzonych. Zygmunt westchnął głęboko i spojrzał na Łukasza.

– Zawsze to tak wygląda? – spytał szeptem.

Nauczyciel odwrócił ku niemu głowę. Jego spojrzenie było nadal rozmyte, a oddech, pomimo pracowitego szorowania zębów w ciasnej łazience wujka, cuchnął tak, że łzy napływały do oczu. Najwidoczniej spożywanie wujkowego bimbru miało bardzo poważne skutki uboczne. Na swą obronę diabeł mógł powiedzieć tylko tyle, że podobnych wyziewów, wspomnień po sobotnich spotkaniach rodzinnych, wyczuł w kościele jeszcze kilka.

– Co mówisz? – wymamrotał Łukasz.

– Czy to zawsze tak wygląda? No wiesz, te śpiewy i w ogóle.

– Zawsze. Znaczy chyba zawsze. Nie bywam tu często. Ty chyba też, co?

Obrzucił Zygmunta kolejnym zaciekawionym spojrzeniem, ale pokręcił głową i oparł się o chłodną ścianę. W głębi duszy nauczyciel chyba liczył na to, że diabeł stanie w płomieniach w chwili przekroczenia progu świątyni, ale nic takiego się nie wydarzyło. By pogłębić jego frustrację, Zygmunt zanurzył nawet palce w wodzie święconej, chociaż potem starannie wytarł je w spodnie. Nie bał się ziemskich bakterii, ale zdaniem behapowca było ich tam o wiele za dużo.

Przez moment celował w najbliższe osoby frustrumetrem, ale nie natrafił na obiecujące wyniki. Mocna szóstka u pani śpiewającej falsetem w ławce z przodu, piątka u potężnego mężczyzny z okrągłą twarzą, który pobekiwał jedynie refren, sześć i pół u młodej kobiety, która ustawicznie warczała na wiercące się dzieci. Diabeł znudził się i wyłączył urządzenie, by nie rozładować baterii.

– A po co mnie tu zaciągnąłeś? – szepnął.

– Zobaczysz.

– Żebyś spłonął?

– Nie. Żebyś na własne uszy się przekonał.

– O czym?

– Cierpliwości.

Falset z ławki przed nimi odwrócił się gwałtownie i smagnął rozmawiających oburzonym spojrzeniem. Diabeł uśmiechnął się rozbrajająco i wskazał Łukasza.

– To on mnie zagaduje! – szepnął konspiracyjnie. – W ogóle do kościoła nie chodzi, wie pani?

Kobieta omiotła Łukasza spojrzeniem, które oznaczało: zostałeś zarejestrowany i będziesz dokładnie omówiony. Dalszej obserwacji przeszkodził proboszcz, który uniósł ręce i zaintonował modlitwę, wzmocnioną brzmieniem organów.

Znudzony Zygmunt wrócił myślami do ostatniej nocy. Przypomniawszy sobie sierżanta Hansa, który zasiadł na krześle wskazanym mu przez Rycha i jednym płynnym ruchem niczym na defiladzie wlał w siebie zawartość podsuniętej mu przez wujka szklanki. Pamiętał rechot obu starszych mężczyzn, rozmowę ni to po polsku, ni to po niemiecku, kolejną flaszkę przyniesioną przez wujka, tym razem z nieco ordynarniejszą zawartością, pamiętał kolejne szklanki, toasty, zamazujące się kolory. Pamiętał czerwone ze śmiechu policzki, kiedy Rychu podsunął mu słoik i powiedział: „No, naści diabłu ogórek”. Pamiętał znużoną reprimendę cioci Marysi, gdy ktoś, chyba Łukasz, strącił słoik na ziemię, potem bełkotliwe przeprosiny wujka, pamiętał Łukasza, który z sobie tylko znanych powodów dopominał się, by Zygmunt powiedział mu „dobranoc” i rżał przy tym tak, że mało się nie udławił, pamiętał drogę po skrzypiących schodach na górę, drzwi do pokoju i kanapę ze skrzypiącymi sprężynami. Ze ściany spoglądał na niego Jezus w cierniowej koronie, w kącie migotały kryształki na meblościance, nad łóżkiem górował niedziałający zegar z wahadłem.

Upił się, co się diabłom praktycznie nie zdarzało. A potem zapadł w sen, co zdarzało się jeszcze rzadziej.

Próbował dojść do tego, czy libacja w jakikolwiek sposób pomoże mu w zdobyciu punktów, ale doszedł do wniosku, że nie. Dla tych ludzi picie wódki nie miało nic wspólnego z grzechem. Co więcej, jednało ich i wzmacniało.

Odetchnął ciężko i przymknął oczy. W kościele pachniało kadzidłem, świecami i środkami na mole. Ludzie wierzili się, rozglądali, ktoś ziewał, inni patrzyli przed siebie wzrokiem bez wyrazu. Łukasz chrapnął cicho, zebrał kopniaka w kostkę, otworzył oczy, zamrugał.

– O, teraz – szepnął. – Posłuchaj.

– Czego?

– Kazania.

Ksiądz, niewysoki człowiek o okrągłej twarzy i niewyraźnych oczach rozmytych przez szkła okularów w rogowych oprawkach, dysponował grzmiącym, potężnym głosem. Niestety nie posiadał umiejętności układania

spójnych wypowiedzi i przez następnych kilka minut wiódł wiernych przez rozmaite tematy, od zbliżających się Wszystkich Świętych przez obmierzłą ideę małżeństw ludzi tej samej płci, aż po opowieści o grobach powstańców. Od czasu do czasu żartobliwie zwracał się do któregoś z siedzących w pierwszych ławkach dzieci, czym na moment zwracał uwagę wszystkich słuchaczy, kilkanaście sekund później powracających w stan błógiego odrętwienia.

Ani słowa o świętej Donacie i objawieniu w drzewie.

Zygmunt zamrugał z niedowierzaniem i spojrzał na Łukasza, który wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: „A nie mówiłem?”.

Wstał i dyskretnie wyslizgnął się z kościoła.

Wokół potężnych korzeni wierzby wnikających głęboko w ziemię i ciągnących się daleko pod betonowymi płytami rynku nie było ani jednego znicza, ani jednej świeczki czy świętego obrazka. Zygmunt stał nieruchomo i wpatrywał się w drzewo z niedowierzaniem.

To, że msza dobiegła końca, a ludzie zaczęli wypływać ze świątyni, zauważył dopiero po chwili, gdy Łukasz stanął za nim i klepnął go w ramię.

– Uratowałeś drzewo, co do tego nie ma wątpliwości – rzekł. – Ale coś mi się nie wydaje, żebyś zyskał coś dla siebie.

– Jak to możliwe? – Zygmunt odwrócił się ku niemu. W jego oczach gęstniał mrok. – Zafundowałem im pieprzony cud! Powinno być tu gęsto od zawodzących babć uzbrojonych w różańce! Co się stało?

– Pamiętasz naszą pierwszą rozmowę? – spytał Łukasz. – Kiedy jeszcze myślałem, że jesteś dziennikarzem? Świat tych ludzi jest bardzo dokładnie wytyczony. Zrozumieją konieczność otwarcia nowego sklepu czy zakładu pracy, pogodzą się z malowaniem fasad czy remontem drogi, ale uruchomienie kultu świętego wyprzedza ich o kilka długości. Nie ogarną tego, nie poradzą sobie. Tym bardziej że...

Uśmiechnął się gorzko i pokręcił głową, wpatrzony w tłum wylewający się z kościoła. Ludzie witali się ze sobą, dzieci pokrzykiwały z ulgą, ciesząc się z zakończenia mszy, warczały uruchamiane silniki samochodów. Gdzieś zamajaczył potężny Kacprzak rozmawiający z kilkoma osobami, gdzieś mignął ksiądz, przez tłum przebijał się skulony człowiek, który ukradkiem rozdawał jakieś ulotki.

– Tym bardziej że co?

– Że to nie wyszło od księdza. Wierz mi, czarcie, gdyby księżulo oznajmił ze swojej ambony, że drzewo jest święte, natychmiast otoczyłyby je wieniec zniczy. Natalia nie musiałaby nawet wyczarowywać świętej postaci, a ty nie musiałbyś klęczeć w błocie.

Zygmunt kręcił głową z niedowierzaniem. Odruchowo, niemal obronnym gestem zerknął na telefon. Żadnych połączeń.

– Chodź coś zjeść – zaproponował Łukasz.

– Możemy pójść do Dyżurnej – rzekł diabeł.

– Nie. – Nauczyciel się zatrzymał. – Po pierwsze, Natalia za tobą nie przepada, a ja nie pozwolę, byś się kręcił w jej pobliżu. Po drugie, nie chcesz wiedzieć, skąd tam biorą wędlinę na kanapki.

– Akurat tego to chciałbym się dowiedzieć – zaciekawiał się diabeł. – Wiesz, jaką można by chryję rozdmuchać?

– Nie wiem. I powtarzam, ty też nie chcesz tego wiedzieć.

– Dobra – powtórzył zmarkotniały diabeł. – Rozumiem. Długo byliście razem?

– Odpieprz się.

Obaj, jakby na komendę, usiedli na skraju klombu z zeschniętymi różami i zamilkli. Diabeł wbił wzrok w samotną wierzbę, która nagle wydała mu się zapomniana i mało istotna. Niespodziewanie zrozumiał, że mijała połowa jego pobytu na ziemi, a on jeszcze niczego nie osiągnął. Zupełnie niczego.

Uświadomił sobie również, że siedzący obok niego pogrążony w mrocznych myślach człowiek jest jego ostatnią i jedyną nadzieją.

– W sumie niedługo – odezwał się niespodziewanie Łukasz. – Ale wystarczyło.

Zygmunt pokiwał głową.

– Nietrudno się domyślić. – Roześmiał się pusto. – O co poszło?

– Nie. – Łukasz pokręcił głową, jakby niespodziewanie przebudził się z głębokiego snu. – Dość. Nie jesteśmy przyjaciółmi, diable, i nie sądzę, byśmy kiedykolwiek nimi zostali. Wujek kazał mi cię nadzorować, więc będę to robił, a potem, gdy wszystko dobiegnie końca, znikniesz z mojego życia. I wierz mi, nie pozostawisz po sobie żadnych wspomnień.

– W porządku – odparł diabeł i uśmiechnął się do siebie.

„Wszystko jasne – pomyślał, olśniony nagłym wnioskiem. – Wszystko jasne jak słońce. Wystarczy spojrzeć na ciebie, płacziwy, zgrywający mrocznego twardziela baranie, i na nią, wredną, zimną sukę, by odgadnąć prawdę. Do pięt jej nie dorastasz, Łuki, i założę się, że zrobiłbyś wszystko, by zasłużyć na jej uczucie”.

Wierni odpalali kolejne samochody, pierwsi z nich próbowali już wyjechać na ulicę, krzywiąc się i obrzucając innych niechętnymi spojrzeniami. Nad dachy kamienic napływały ciemne chmury, rozlewając się na niebie niczym atrament. W powietrzu czuć było nadchodzący deszcz.

„Podczas niepogody przekaz działa najlepiej” – przypomniał sobie nagle Zygmunt.

Zacisnął powieki, zwarł pięści, sięgnął w głąb siebie i zaczerpnął mrocznej esencji, dzięki której wysłannicy Piekła zmieniali rzeczywistość wokół siebie. Myśl potężniała, nabierała kształtu, aż buchnęła i pomknęła w stronę Łukasza.

Zrób coś ze sobą. Wstań i rozwal coś. Dokucz jakiemuś wrogowi, przywal mu z całej siły. Pokaż jej, że potrafisz działać ze zdecydowaniem.

Łukasz potrząsnął zmierzwioną czupryną, jakby się budził ze snu. W jego oczach znów pojawiła się rozpaczliwa pustka, ale tym razem diabeł wiedział już, skąd się brała. Podniósł się i otrzepał spodnie.

– Pora na mnie – powiedział. – Niedaleko mojego hotelu jest pralnia chemiczna. Oddam garnitur do czyszczenia i odwiozę ci go jutro.

– To znaczy, że nie zobaczę cię aż do jutra? – Łukasz uniósł głowę.

– Tak.

– Super.

Jedyną pamiątką po tłumie przed kościołem były trącane wiatrem karteczki, pomięte i rzucone na ziemię. Idący w stronę dworca diabeł podniósł jedną z nich.

„Koniec świata nadchodzi!” – krzyczały litery wypisane popularną czcionką.

Zygmunt uśmiechnął się krzywo i wcisnął kartkę do kieszeni.

Strasznie mnie korci, by złapać jakąś pałę i coś rozpieprzyć.

Moje życie i tak nie zmierza w żadnym konkretnym kierunku, a więc w sumie mógłbym wziąć się w garść i pokazać sobie i światu, że wcale nie jestem beznadziejnym złamasem. Mógłbym na przykład potłuc szyby w samochodzie dyrektorki. Przecież wiem, gdzie ta mała mieszka.

Och, Zygmunt byłby ze mnie dumny.

A Natalia? Nie, ona jest na takie sztuczki zbyt mądra. Już ją widzę, jak się krzywi, już słyszę, jak mówi: „Podarowałbyś sobie te dziecinne demonstracje. Na kim ty chcesz zrobić wrażenie, co? Co ty niby chcesz udowodnić? Może chciałbyś

się przypodobać swemu przyjacielowi diabłu?”.

Zresztą, kurwa, o czym ja myślę? Przecież niedługo koniec miesiąca, powinienem się przejmować innymi rzeczami. Ważniejszymi. Zygmunt twierdzi, że jest diabłem, i opowiada o swej misji nakłaniania ludzi do grzechu. Tymczasem w porównaniu z niektórymi ludźmi jest wręcz sympatyczny.

Patrzę w kalendarz, potem na konto, jakbym oczekiwał cudu, i naprawdę zaczynam się bać.

Może rzeczywiście coś rozwalę? Raczej nie mam nic do stracenia.

Pociąg wyruszył ze stacji Wypluty, ale zatrzymał się kilkadziesiąt metrów za końcem peronu, na wysokości otoczonej betonowym płotem, przypuszczalnie niedziałającej już fabryczki. Kilku podróżnych skwitowało ten fakt głośnym jęknięciem, a reszta udawała, że ich to nie dotyczy.

– Dzień dobry, osoby dosiadające się poproszę o okazanie biletów! – zaczęła konduktorka, z wprawą odsuwając ciężkie drzwi między wagonami.

Zygmunt oderwał wzrok od szarych zabudowań fabrycznych, na których ciągnęły się niewyraźne, wypłowiałe slogany z minionej epoki, i spojrzał na kobietę. Była niewysoka, może nieco zbyt zaokrąglona, ale modna fryzura, miły uśmiech i skrzące, rozpromienione oczy sprawiały, że nawet mundur konduktorki dodawał jej urody. Diabeł dyskretnie wycelował w nią frustrometr.

Jedynka. Odczyt śladowy.

– Poproszę bileciki! – Konduktorka wycelowała promień skanujący w bilety dwóch chłopaków pochłoniętych przewijaniem portalu społecznościowego, a potem ujęła bilet pokornie podany przez Zygmunta. Zręcznie niczym rewolwerowiec podrzuciła wiszący u paska przyrząd, wycelowała nim w kod kreskowy biletu i oddała go diabłu.

– To bilet tygodniowy! Jutro się panu kończy ważność! – zaśpiewała i przeszła do kolejnych podróżnych.

„Zakochana – pomyślał Zygmunt. – Na bank zakochana. Kompletnie bezwartościowa”.

Wrócił myślami do ostatniej rozmowy z Łukaszem. Przypomniał sobie wzrok, jakim tamten usiłował przeniknąć brudne szyby Dyżurnej, upór, z jakim trwał na ganku przed domem wuja, bojąc się wejść do tego samego pomieszczenia co ona, a potem zawziętość, z jaką się poderwał, by za nią

wybiec. Jako diabeł Zygmunt nie rozumiał ludzkich uczuć – znał ich objawy i umiał je rozpoznawać, potrafił nimi sterować, ale nie potrafił wnikać w ich materię. Nie pojmował mechanizmów, które sprawiały, że ludzkość była tak chwiejną i wzburzoną, a z drugiej strony tak bardzo przewidywalną gromadą.

Jego zadumę przerwał telefon brzęczący w kieszeni. Zygmunt wyciągnął go leniwie, odblokował i przekonał się, że Łukasz wysłał mu zdjęcie. Wywołał je na ekran.

Zdjęcie było mało wyraźne – ewidentnie zrobiono je podczas deszczu – i przedstawiało żółty samochód z wgniecioną przednią szybą i porozbijanymi reflektorami. Podpis głosił: „Zygmunt, musimy pogadać”.

„O czym tu gadać? – Diabeł uśmiechnął się do siebie i schował telefon do kieszeni. – Zrobiłeś, chłopie, krok naprzód. Jutro się spotkamy i opowiesz mi, czyj to był samochód. Stawiam na dyrektorke”.

Z uśmiechem nasyconego drapieżnika wpatrywał się w fabryczny krajobraz, rozmywający się w jesiennych ciemnościach.

„A więc przekaz jednak działa. Jednak nie jest ze mną tak źle..”.

– Ja pierdołę, jutro znowu mam test z chemii – stęknął jeden z chłopaków, wpatrzony w rozmigotany ekranik.

– A ja, kurwa, z tej... z historii – odparł drugi, również zajęty telefonem. – Łeb mnie nakurwia na samą myśl.

– To jest, kurwa, nic. Muszę jeszcze rozprawkę na anglika najebać.

– Z netu se ściągnij. Od chuja tego jest.

– No przecież. Nie mam, kurwa, w chacie co robić? A z kim macie biologię?

– Z tą nową. Nudna w chuj.

Zygmunt przysłuchiwał się przedziwnej rozmowie, toczonej bez kontaktu wzrokowego, i uśmiechnął się krzywo. Przez pociąg przeszło lekkie drżenie, krajobraz za oknem zaczął się przesuwać.

Pogryźcie te swoje telefony.

„Miłość to zła rzecz. Wręcz niebezpieczna. Jeśli chcę mieć wpływ na Łukasza, nie mogę dopuścić do tego, by zszedł się z tą wiedźmą” – pomyślał, opierając głowę o szybę.

W młodych zębach trzaskał plastik. Skądś niosły się okrzyki zdumienia i zgrozy. Pociąg dudnił na torach. Myśli w głowie diabła śmigają dziko.

Gdy Zygmunt wysiadł z pociągu na Dworcu Głównym, trwał już niedzielny

wieczór, powoli dobiegający końca, a przez to coraz bardziej nerwowo. Samochody zbijały się przed czerwonymi światłami w warczące stada, a ludzie skuleni gnali przed siebie, jakby umykali przed chmurami przetaczającymi się po niebie. Nad wszystkim jaśniała poświata lamp ulicznych, wzbogacona rytmicznym migotaniem ledowych reklam.

Diabeł szedł chodnikiem i wymachiwał teczką.

„Przekaz działa – uświadomił sobie. – Nakłoniłem Łukasza do pierwszego radykalnego kroku, a jednocześnie uruchomiłem intrygę, która ma się kręcić wokół forsy i religii, dwóch najważniejszych rzeczy w życiu tych ludzi. I co z tego, że nie chwyciła od razu? Co z tego, że ksiądz nic nie mówił na kazaniu, a wokół cholernego drzewa nie było zniczy? Powoli. Dajmy sobie trochę czasu, a na jutro zaplanuję kilka manewrów, coby kult świętej Donaty rozdmuchać. A teraz na pewno porządnie zapunktowałem. Marian może się gonić”.

Mimo to na samą myśl o otwarciu komputera i sprawdzeniu konta serce zaczynało mu bić żywiej.

„Pieprzone zadanie. Dlaczego, cholera, dali nam tylko dwa tygodnie? Przecież to robota na miesiące, na lata może nawet – wściekał się. – O, jest jeszcze ten hydraulik, którego wysłałem w ślad za człowiekiem z kuponami. Może się pobili. Zawsze kilka punktów więcej”.

Złapał się na tym, że przyspieszył. Zmusił się więc, by zwołać do bardziej statecznego kroku, i wstąpił do całodobowej pralni, gdzie zostawił garnitur Łukasza, wyciągnięty na oczach zaskoczonych pracownika z teczki. Następnie pozdrowił schowanych za wiatą znajomych policjantów, którzy na jego widok wyraźnie stracili rezon, karnie poczekał na zielone światło dla pieszych i wszedł do hotelu.

Kilkanaście minut później, nie tracąc czasu na zmianę postaci, zasiadł przed laptopem, otworzył go z namaszczeniem i ujął ciężką, żelazną myszkę. Z napięciem, stukając paznokciami o blat biurka, czekał na pojawienie się menu Hellionu.

Niespodziewanie głośniczki zabuczały sygnałem alarmowym, a na ekranie zamiast menu pojawił się komunikat na czerwonym tle.

„Natychmiast skontaktuj się z biurem bezpośredniego kontaktu z agentem terenowym”.

„Ki anioł?” – pomyślał Zygmunt i zaintrygowany kliknął ikonkę uruchamiającą wideorozmowę.

W pierwszej chwili odniósł wrażenie, że hotelowe wi-fi działa wolniej niż zwykle. Minęła dłuższa chwila, nim mieszanina szarych pikseli uspokoiła się

i wyostrzyła na tyle, by diabeł mógł dostrzec obraz. Konsultant pochylał się ku ekranowi, ale co chwila oglądał się za siebie, a za jego plecami trwało jakieś zamieszanie. Zygmunt słyszał huki, stęknienia oraz zduszone przekleństwa, wydawało mu się też, że nad ramieniem konsultanta śmignęła jakaś macka.

– Co tam się u was dzieje? – spytał, zaskoczony.

– Nic! – wrzasnął konsultant i znów spojrzął za siebie. – Zupełnie nic. Mieliśmy ten tego... Nieprzewidzianą wizytę z innego wymiaru. Ale już wszystko pod kontrolą. Pozamiatane. Co za kutas, no...

Zygmunt był przekonany, że ostatnie słowa nie są skierowane do niego, ale nie miał sposobności, by to przemyśleć, gdyż obraz wyostrzył się ostatecznie, a konsultant pochylił się nad ekranem i w pełni wszedł w swą rolę.

– No i co? – spytał ostro.

Zygmunt rozparł się na krześle, aż to zatrzeszczało.

– Co z czym?

– Nie zalogowałeś się od dwóch dni.

– A od kiedy to trzeba się logować codziennie? Zajęty byłem.

– Naprawdę? – Konsultant się skrzywił. – A niby czym, jeśli można wiedzieć?

– Jeśli można wiedzieć? – parsknął Zygmunt. – Co to za bzdury? Czy ten wasz wspaniały system nie pozwala śledzić działań każdego z nas?

– Pozwala.

– No to co głupie pytania zadajesz? – warknął Zygmunt. Nie podobała mu się ta rozmowa, czuł, że gotuje się w nim jak w czajniku.

– Owszem, widzimy wszystko. Wiemy w związku z tym, że Zenon działający na sąsiednim terenie załatwił miejscowego internistę i przez ostatnie trzy dni, jako jego zastępca, przepisywał pacjentom środki na przeczyszczenie, które przedmuchałyby mamuta. Starsi panowie dostawali od niego leki na potencję, dzięki czemu miejscowe kółko oazowe skurczyło się do trzech najbardziej zasuszonych uczestniczek!

Konsultant wrzeszczał, nachylony nad ekranem. Drobinki jego śliny syczały na ekranie.

– Mieczysław wkręcił się jako sędzia na mecz „Lawiny” Grychulce z Dziarskimi Męczydół. Sędziował, że się tak obrazowo wyobrażę, chujowo i gdy w drugiej połowie zarządził karnego, doprowadził do takiej rozróby na trybunach, że karetki z uszkodzonymi wryły koleiny w asfalcie! A wiesz, jaki numer odwalił Stefan?

– Nie – wychrypiął Zygmunt. – Ale pewnie mi powiesz.

Konsultant opadł na fotel i sapnął, jakby odzyskiwał panowanie nad sobą.

– Stefan – rzekł, pocierając czoło. – Stefan miał dobre chęci. Wkupił się w łaski miejscowego proboszcza i został kościelnym, dzięki czemu szybciotko zebrałby odpowiednią liczbę punktów i wrócił do domu. Wyobraź sobie te wszystkie rzeczy, które można wtłoczyć przekazem ludziom podczas zbierania ofiary! Niestety ministranci pokazali Stefanowi X-boxa i odtąd nie zalogował się już ani razu. Cóż, dzisiaj dystrybutor wysłał po niego patrol.

– Ty do czegoś zmierzasz, tak? – wycedził Zygmunt. W jego oczach zapłonęły ognie.

– Idiota by się połapał. Spójrz tylko na siebie. Przebywasz w ludzkiej postaci.

– Spieszyłem się i...

– Gówno prawda. Nawet człowiek po zabawie karnawałowej ściągnie z gęby maskę po wejściu do domu. A ty diabłem jesteś, Zygmunt. Diabłem!

– Jak tylko wrócę do Piekła, znajdę cię i... – wychrypiał Zygmunt, ale konsultant machnął dłonią, jakby był do podobnych gróźb przyzwyczajony i nic sobie z nich nie robił.

– Do Piekła możesz trafić o wiele szybciej, niż sądzisz. Obawiam się jednak, że podróż umili ci patrol.

– Przecież ja nie zrobiłem nic złego! – Zygmunt huknął pięściami w blat. Trząśł się z wściekłości.

– Nie? – Konsultant przechylił lekko głowę. – A nie zasmakowałeś może w miejscowej wódeczce? Może polubiłeś jakiś narkotyk albo wpadłeś w oko jakiejś miejscowej dziewoi? Wiesz, jak to z nami diabłami bywa. Z początku jesteśmy odporni na ludzkie pokusy, ale z biegiem czasu zaczynamy być na nie podatni. To dlatego macie tylko czternaście dni na wypełnienie zadania, jełopie! Badania statystyczne mówią, że przeciętny diabeł zaczyna rozglądać się za...

– Powtarzam, jestem zajęty jedynie wypełnianiem zadania! – wycharczał Zygmunt. – Jeśli tego nie widzicie, pora chyba zrestartować system!

– Serio? – Konsultant wygiął krzaczaste brwi, a jego pazury przebiegły po klawiaturze. – Mamy tu kilka punktów za wycałowanie dwóch policjantów (nieźle cię pogięło, nawiasem mówiąc) oraz jeszcze kilka za nakłonienie jakichś młodzików do zjedzenia smartfonów. Pierwszy wyczyn miał miejsce w drodze do Wyplut, a drugi w drodze powrotnej. Nie ma nic o Wyplutach. Co tam się dzieje, Zyguś? Wódeczka? Hazard? Podcieranie się po krzakach?

– Nic się, kurwa, nie dzieje!

– To wielka szkoda, Zyga, bo ty masz tam robotę do wykonania! – wrzasnął

konsultant. – Wynik! Masz dowieźć wynik! Myślisz, że zarząd będzie zainteresowany twoimi wyjaśnieniami?

– Nie widzisz, że się staram!? – Z zaciśniętych pięści Zygmunta snuły się smużki dymu. – Nic tam nie ma w tych twoich zasranych raportach o świętej Donacie? O hydrauliku, który pogonił za gościem z kuponami totka? Ani o pewnym nauczycielu, który rozwalił samochód dyrektorki szkoły?

– Nie, Zygmunt. Nie ma. Na tę chwilę masz wszystkiego osiemdziesiąt punktów. Od ostatniego w tabeli niedojdy Ludwika dzieli cię jakieś trzysta. I niniejszym chciałem cię ostrzec. – Konsultant przybliżył twarz do monitora. Na ekranie rytmicznie wykwiwały plamki żółtawej pary. – Jesteś pod lupą, Zyga. Do wtorku masz wyrwać pięćset punktów. Jeśli będzie choć o jeden za mało, wysyłam po ciebie patrol.

– To chyba jakieś kpiny! – zawył Zygmunt. – Jak to patrol! Pojechało was w tej latrynie?

Ktoś załomotał w ścianę.

– Pojechało to ciebie! – rozległ się stłumiony, wysoki głos. – Przystaniesz się wydzierać czy nie? Melisy się, kurwa, napij! Tu się pracuje, ja mam prezentację sprzedażową jutro z rana! Jeszcze jeden taki ryk i dzwonię na recepcję!

Zygmunt opuścił pazurzastą łapę (nie zauważył nawet, że zmienił postać) na pokrywę laptopa i zatrzasnął go z furją, a potem poderwał się, przewracając krzesło. Warknął głucho, strzelił parą z nozdrzy i uderzył w ścianę.

Nie planował, nie kalkulował, nie myślał o konsekwencjach. Całkowicie zawładnęła nim dzika, piekielna furia, buchająca z siłą, której nie doświadczył nigdy wcześniej.

Szedł przez ścianę, rozrywając płytę gipsową i gnąc profile, parskając i sycząc. Dwa uderzenia serca później trzymał już chudziutkiego mężczyznę w rozpiętej białej koszuli, spodenkach i skarpetkach, który na widok diabła bezwolnie osunął się na kolana z cichym piskiem. Cisnął go na łóżko, a potem raz jeszcze zwarł pięści i przymknął oczy.

Łóżko stanęło w płomieniach.

„Spalenie działa – pomyślał z zaskakującą klarownością. – Proszę. A jednak”.

Furia gasła równie szybko, jak się pojawiła. Diabeł stał nieruchomo i przyglądał się swej ofierze, która odzyskała panowanie nad sobą. Mężczyzna zeskoczył z płonącego łóżka, odruchowo zerwał z siebie palącą się koszulę, a teraz biegał po pokoju i tłukł się po głowie, na której szalały karmione

zelem płomienie. Gdzieś wył alarm, zraszacze na suficie parsknęły i siknęły strumieniami wody.

„Czas się ulotnić” – pomyślał diabeł.

Kamuflaż zadziałał jak należy.

Zygmunt, ściskając w ręce teczkę, a pod pachą laptopa, przepchnął się przez gęstniejący, zaniepokojony tłum w lobby, przepuścił trzech strażaków prowadzonych przez pobladłego pracownika hotelu i wyślizgnął się na chłodne powietrze wieczoru.

– Na dwór! Na dwór! – krzyczała zachrypnięta recepcjonistka i niemalże wypychała gości, niektórych już w piżamach. Ktoś pospiesznie wycierał włosy po przerwanej prysznicu, ktoś podniesionym głosem odwoływał spotkanie przez telefon, ktoś inny domagał się rozmowy z kierownikiem. – Na dwór! *Outside*, jełopy, *outside!* *Raus*, kurwa!

Przed hotelem parkowały samochody policyjne, z wyciem nadjechała karetka pogotowia. Migoczące światła odbijały się w kałużach, z okien na piętrze buchały gęste kłęby dymu. Zgarbiony Zygmunt szedł przed siebie szybkim krokiem.

„Ale się porobiło” – myślał ponuro.

W głowie miał mętlik. Ostatnie słowa konsultanta dudniły mu pod czaszką i podsycaly rozdrażnienie, które co chwila przeradzało się w chłodny lęk.

„Dwa dni. Dwa cholerne dni, zanim przyślą po mnie patrol. Niech to wszystko anieli wezmą! Czy to dzieje się naprawdę? Ostatni w tabeli, za pieprzonym Ludwikiem, lebiegą, który nie umiał posługiwać się myszką i co chwila przytrząskiwał sobie ogon drzwiami”.

Zerknął przez ramię na hotel, którego górne piętra ginęły wśród kłębow dymu. Przechodnie przerywali rozmowy i przyglądali się zajściu z uwagą, niektórzy już przyspieszali, dobywając telefony. Do migających świateł samochodów dołączyły flesze.

„Dobrze – uznał diabeł. – Może jednak dobrze się stało. Skoro mam ostry deadline, przeniosę się do Wyplut”.

– Do Wyplut? – zachrzącił głośnik pełnym zdumienia głosem kasjerki po

drugiej stronie szyby. – Dopiero rano. Piąta czterdzieści pięć regionalny do Szczezui lub późniejszy...

– Jak to rano? – Diabeł pokręcił głową. – Serio nie ma już żadnych połączeń?

– Ostatni pociąg pojechał dziesięć minut temu – odparła kasjerka i podniosła szklankę kawy ze spodeczka, jakby chciała w ten sposób dać do zrozumienia, że rozmowa dobiegła końca.

Diabeł jęknął w duchu i rozejrzał się po holu dworca w poszukiwaniu natchnienia. Minęła go elegancka kobieta interesu podkreślająca swą pozycję terkotem ciągniętej walizki na kółkach. Młoda dziewczyna zamykała sieciowy sklepik z bułkami i ciastkami, podróżny z wielkim plecakiem wciskał kolejne monety do biletomatu i klął pod nosem, pracownicy ochrony wyprowadzali zataczającego się menela, którego powitali z entuzjazmem koledzy koczujący pod wiatą przystanku autobusowego. Nieliczni ludzie przycupnięci na rzędach siedzeń drzemali, gapili się w ekrany telefonów bądź wznosili wzrok ku górującej nad nimi niebieskiej tablicy z najbliższymi połączeniami.

Szklane drzwi rozsunęły się przed wracającymi ochroniarzami i wtedy Zygmunt ujrzał szereg taksówek. Tknięty nową myślą, ruszył biegiem w ich kierunku.

– Dobry wieczór! – zawołał. – Do Wyplut proszę.

Taksówkarze, co do jednego postawni, łysiejący mężczyźni w różnych stadiach ciąży spożywczej, przerwali rozmowę i zmierzyli diabła spojrzeniami pełnymi niedowierzania i rozbawienia.

– Gdzie? – spytał najbliższy, wąsacz w krótkich spodniach i klapkach.

– Do Wyplut.

Jeden z taksówkarzy przewrócił oczami, drugi pokręcił głową i sapnął, trzeci zapalił papierosa.

– Do Wyplut? – odezwał się rozmówca Zygmunta takim tonem, jakby właśnie zaproponowano mu wytarzanie się w zwierzęcych zwłokach.

– Paaanie – drugi rozciągnął słowo tak, by zmieścić w nim jak najwięcej wzdargi. – Przecież to ze czterdzieści kilometrów.

– Dwadzieścia kilka. Zapłacę.

– Gdzie tam będę po nocy taki hektar jeździł – burknął taksówkarz. – Pociągiem se pan jedź.

Z tymi słowami odwrócił się do kolegów, kręcąc głową z niedowierzaniem.

Z oczu Zygmunta buchnęły płomienie. Skupił myśli, chcąc uformować właściwy przekaz i zmusić taksówkarza do posłuszeństwa, gdy piąty z grupki, wodzący grubym paluchem po ekraniku telefonu, zawołał:

– Panowie, słyszeliście? Ponoć ktoś podpalił hotel Orbita!

Taksówkarze jak na komendę wyciągnęli telefony.

– Pewnie ciapate jakieś, kurwa – burknął któryś.

„Misja, którą wykonujecie, nie daje wam immunitetu – w głowie Zygmunta odezwał się mocny, zdecydowany głos trenera technik obronnych. – W wypadku konfliktu z ludzkimi służbami bezpieczeństwa jesteście zdani na siebie. Jeśli zostanieie zamieszani w czyny uznawane przez ziemskie prawo za przestępcze, sugeruję natychmiastową ucieczkę. Skupcie się na tym, by nie wywołać absolutnie niczych podejrzeń”.

Diabeł przygryzł wargi i przekształcił przekaz.

Pozamieniajcie się spodniami.

Kilka sekund później siedział na ławce po drugiej stronie ulicy i wybierał numer Łukasza. Nauczyciel odebrał po dwóch sygnałach.

– Cześć, Łukasz – szepnął do słuchawki. – Jesteś zajęty?

– Tak. Głównie czekaniem na twój telefon. Dostałeś zdjęcie?

– Tak, super. Naprawdę jestem z ciebie dumny. Słuchaj, Łukasz, czy mógłbyś po mnie przyjechać pod dworzec?

Przez kilka sekund nie było odpowiedzi.

– Co mam, kurwa, zrobić? – zawołał nauczyciel z niedowierzaniem.

– No, doszło tu do małego zamieszania – powiedział diabeł i uniósł wzrok. Najgrubszy z taksówkarzy podskakiwał na jednej nodze, ściągając spodnie, a jego koledzy, wszyscy w majtkach, rozkładali na chodniku zdjęte portki i kłócili się, który włoży czyje. – Niedużego. Muszę się przedostać do Wyplut, cholera, a ostatni pociąg mi zwiął.

– Czy ty się, Zygmunt, z chujem na łby pozamieniałeś? – spytał Łukasz zmęczonym głosem.

– Przecież pamiętam o tej twojej szybie, stary. Ale w nocy policja rzadko stoi przy drodze. Raz-dwa będziesz na miejscu i...

– Wywołaj jeszcze raz to zdjęcie i obejrzyj je sobie dokładnie.

– Po co?

– Bo ten rozwalony samochód to mój.

– Ale... – Diabeł zbaraniał.

– Chcesz się dostać do Wyplut, to idź pieszo, czarcie. Albo poczekaj na regionalny o piątej czterdzieści pięć.

Dzień ósmy

Szarzało już, kiedy spotkali się pod starym, jeśli wierzyć przerdzewiałemu rozkładowi, wciąż czynnym, przystankiem PKS-u. W półmroku ustępującej nocy przypominał betonową norę z ciemniejszym wejściem, z którego załatywało chłodem, wilgocią i moczem. Ze spłowiałego plakatu patrzyli rozradowani członkowie grupy Czaders, obok nich spoglądał zapomniany, mało wyraźny kandydat na radnego o idealnie owalnej twarzy i aparycji gangstera. Treść innych plakatów nikła w mroku. Nieco dalej wznosił się potężny woj piastowski o nierozpoznawalnym obliczu, z niejasnych powodów budzący grozę, a za nim wznosiła się tablica z napisem „Wypluty 1”.

Łukasz ze zrozumiałych względów siedział na zewnątrz. Palił papierosa.

Na widok nadchodzącego Zygmunta nawet nie podniósł głowy.

– Uff – westchnął Zygmunt ze szczerą ulgą. – Dzięki, że po mnie wyszedłeś. Nie chciałbym znów zabłądzić tak jak wtedy, kiedy szedłem od tego całego Kacprzaka.

– I tak nie spałem.

– Serio? – Diabeł usiadł obok niego.

– Nie, dla żartów.

Zygmunt wyłuskał papierosa z Łukaszowej paczki i wsunął sobie do ust, a potem skupił się i rozżarzył go dzięki swej mocy. Zaciągnął się głęboko. Nie smakowało źle, przynajmniej w porównaniu z dymami i wyziewami, z którymi miał do czynienia na co dzień, a lekki zawrót głowy był nawet przyjemny. Poza tym, o ile dobrze pamiętał rady szkoleniowców, palenie było rytuałem integrującym ludzi, zwłaszcza mężczyzn, a w zaistniałej sytuacji Zygmunt potrzebował wszystkiego, co mu zapewni jakąkolwiek przewagę bądź punkt oparcia.

– Mam przejebane – powiedzieli jednocześnie ku szarzejącemu niebu i jednocześnie parsknęli chrapliwym śmiechem.

Diabeł zerknął na twarz nauczyciela. Łukasz był blady i co chwila przymykał oczy, jakby walczył z falami... No właśnie, czego? Rozpaczy? Bólu? A może snu? Pustka, którą Zygmunt parokrotnie widział w jego spojrzeniu, ustąpiła silnym, wręcz skrajnym emocjom. Z jakiegoś powodu Łukasz znalazł się na krawędzi.

– Mów pierwszy – powiedział diabeł i wypuścił dym ku kłębowi mgieł nad polami.

– To wszystko przez nią – rzekł Łukasz i znów przymknął oczy.

Diabeł strzepnął popiół na dłoń i zmarszczył brwi. Wyobraził sobie Natalię, niewysoką, przygarbioną i permanentnie wściekłą, a potem przypomniał sobie zdjęcie przysłane mu przez Łukasza.

– Ona ci rozwalila samochód? – zapytał z niedowierzaniem.

– Nie ona. Miśki od Piniewskiego.

– Od kogo?

Łukasz milczał przez dłuższą chwilę, jakby musiał się przełamać, by podzielić się tą informacją.

– To taki gość od kredytów. Chwilówek i innych takich. Wiesz, o czym mówię? Macie to w Piekło?

Zygmunt pokiwał głową powoli, jak człowiek, który owszem, słyszał to i owo, ale nic konkretnego. Jego myśli tymczasem rozpoczęły szaleńczą gonitwę. Tak zwane chwilówki były jedną z podstawowych technik długofalowych, zalecanych przez specjalistów do spraw akwizycji. Mało który diabeł był nimi szczególnie zainteresowany, gdyż wymagały starannego planowania i przynosiły wynik dopiero po długim czasie, ale teraz Zygmunt usiłował sobie przypomnieć jak najwięcej szczegółów.

– Kupiłem mieszkanie – wydusił z siebie Łukasz. – Nieduże, dwudziestoletnie, czterdzieści parę metrów. Na Osiedlu. Pamiętasz? Tam, gdzie Seba chciał ci wklepać.

– Pamiętam. – Diabeł zaciągnął się i znów strzepnął papierosa na dłoń, na której zgromadziła się już kupka popiołu.

Po polu zasnutym siwymi pasmami mgły uwijały się malutkie szare króliki. Nieco dalej, na krawędzi plamy gęstszej mgły, zastygły nieruchomo sarny. Ćwierkały niewidzialne ptaki.

– Odłożyłem sporo forsy – ciągnął Łukasz, wpatrując się niewidzącym wzrokiem w dal. – Pracowałem trzy sezony na wykopkach archeologicznych, miałem też sporo korków, rodzice dorzucili kilka tysięcy. Ale nadal brakowało osiemnastu. Musiałem pożyczyć, bo... Bo czas leciał. Kręciłem wówczas z Natalią, a ona... Cóż, jest konkretna. Praktyczna – mówił z coraz większym trudem. – Uczucia są dla niej ważne, ale jeszcze ważniejsza jest stabilizacja. Musiałem kupić jakieś mieszkanie. Musiałem jej pokazać, że nie jestem byle gołodupcem. Nauczycielem z wiejskiej szkoły. Złamasem.

– I pożyczyłeś od tego Piniewskiego? – domyślił się diabeł.

– Tak – parsknął nauczyciel. – Nie masz pojęcia, jaki byłem z siebie zadowolony, gdy pokazywałem jej te dwa pokoje i opowiadałem o remontach, którymi się zajmę.

– A ona?

– Trochę kręciła nosem. Z początku nie wiedziałem, o co jej chodzi, i poczułem się naprawdę urażony. Wiesz, na łbie staję, kredyt biorę, by babie dogodzić, a ta marudzi. Minęło mi jak ręką odjął, gdy powiedziała, że jej zdaniem takie klitki są mało... No, mało przyszłościowe. Wiesz, o co jej chodziło?

– Nie.

– O przyszłość! – Łukaszowi załamał się głos. – Naszą przyszłość, diable!

Siedzieli przez chwilę w milczeniu. Ptaki darły się coraz głośniejsze, a sarny trwały jak zaczarowane, niepomne dobiegającego z oddali warkotu traktora.

– O dzieci – dodał nauczyciel i pokręcił głową, jakby nie wierzył w to, co mówi. – Nigdy w życiu nie byłem szczęśliwszy niż wtedy, gdy zrozumiałem jej słowa.

Diabeł milczał. Słuchał najcierpliwiej, jak mógł.

– Zamieszkaliśmy razem. Trochę się kłóciliśmy, bo obcięli mi godziny i nie było tylu korków co rok temu, przez co ciężko było uskładać na remont. Mój ojciec przyjechał, żeby zająć się białym montażem, ale bajzlu tylko narobił i sam musiałem kończyć... Nie, nieważne. Wierz mi, to były dobre chwile. Oddałbym wszystko za te kłótnie. Bo miesiąc temu dostałem list, od którego wszystko zaczęło się walić.

– Jaki list?

– Od Piniewski Securex. Powołując się na jakiś ustęp w umowie, którego szczerze powiedziawszy, nie zauważyłem w trakcie podpisywania, domagali się spłaty połowy długu z należnymi odsetkami w terminie czterech tygodni. Nie miałem nawet jednej dziesiątej tego, co chcieli. Pisałem prośby o odroczenie, dzwoniłem, nawet osobiście się zjawiłem, by ubłagać tego chuja o więcej czasu, ale nic to nie dało. Odpowiedź od rzecznika ochrony praw konsumenta kazał mi sobie w dupę wepchnąć. „Chyba że nie wiesz jak – mówi. – Moje miśki mogą ci pomóc. Pożyczyłeś, młody, to teraz płać. Nie nauczył cię ojciec?”.

Znów zamilkł. Z porannych mgieł wyłoniły się najpierw żółte ślepie traktora, a potem sam pojazd ciągnący srebrną cysternę z szambem. Podskakując na nierównościach terenu, wjechał na pole.

– Jest już miesiąc po terminie. Zapłaciłem, ile mogłem, ale w odpowiedzi przyszedł kolejny list. Podwyższyli mi procent. A wczoraj rozwalili mi samochód. Debile! – ryknął niespodziewanie.

Jego wrzask poniósł się nad polami, spłoszył sarny i przyciągnął na moment uwagę traktorzysty w gumiakach, który mocował się z pokrętłem

cysterny.

– Debile – powtórzył cichym głosem. – Już go wystawiłem w internecie. Dostałbym za niego parę tysięcy, resztę bym skądś doskładał. A teraz?

Diabeł nabrał tchu. Myśli, rozbiegane niczym stado spłoszonych nietoperzy, uformowały niespodziewanie prosty strumień.

– A teraz gotów jesteś zawrzeć pakt z diabłem? – spytał z krzywym uśmiechem.

O dziwo, Łukasz odpowiedział tym samym grymasem.

– Nie wiem tylko, czy dobrze to wszystko zorganizowałem. Jest grubo po północy, a do rozstajów dróg daleko. – Wskazał grubą dłonią niknące we mgle skrzyżowanie z kapliczką. – Nie wiem, czy to dobre miejsce na podpisanie cyrografu.

– Nie dbam o szczegóły – rzekł Zygmunt. – Tym bardziej że jak już nadmieniałem, sam też mam przejebane. Zrobimy tak: pomogę ci się wyrwać z tego bajzlu, jeśli ty pomożesz mnie.

– A co miałbym zrobić? – Nauczyciel spoważniał.

– Mnóstwo fajnych rzeczy – odparł diabeł, wessał popiół z dłoni i wylizał ją łapczywie, a potem wytarł rękę o spodnie.

Łukasz przyglądał mu się z obrzydzeniem. Otworzył usta, jakby chciał skomentować, a potem nagle zmienił zdanie i spytał:

– A mój garnitur?

– Oddałem go do prania – rzekł wymijająco diabeł. Odpędził wspomnienie płonącego hotelu i wstał. – Ruszamy. Do Wyplut mamy kawałek drogi, a ja... Cóż, napiłbym się chyba kawy.

– Dobry pomysł. – Nauczyciel dźwignął się, otrzepał spodnie i raz jeszcze spojrzał na diabła. – A jak właściwie masz zamiar mi pomóc? Wiesz, bo ja z tym cyrografem nie żartowałem. Naprawdę jestem gotów oddać duszę, by...

– Nie pierdol. Idziemy na kawę. – Diabeł podniósł teczkę i laptopa. – Potem będziemy gadać.

Omiótł spojrzeniem ścianę przystanku, gdzie między plakatem gwarantującym skup wszelkich pojazdów i spłowiącą reklamą agrotargów w Szczezui wisiało zawiadomienie o rychłym końcu świata.

„Co wy, kurwa, wiecie o końcu świata?” – parsknął w myślach.

– Na kawę – zgodził się nauczyciel. – Ale najpierw załatwię sobie L4, żeby odespać tę cholerną noc.

Ruszyli przed siebie poboczem drogi gminnej. Traktorzysta wreszcie uporał się z pokrętłem i na zaorane bruzdy buchnęła struga szamba. Ptaki się darły. Wstawał dzień.

Z głębi przystanku ktoś za nimi wyjrzał, ale natychmiast się schował.

Kobięcy głos z głośniczka telefonu Łukasza był tak wysoki, zgrzytliwy i napastliwy, że mógł należeć wyłącznie do nauczycielki zbliżającej się do wieku emerytalnego. Łukasz wysłuchał cierpliwie tyrady, przewracając oczami co drugie zdanie, bąknął coś wymijająco w odpowiedzi i przerwał połączenie.

Stojący obok niego Zygmunt lekko uniósł brwi.

– Nawet nie pytaj – uciał nauczyciel. – Już chyba wolę rozmawiać z miškami Piniewskiego niż z wicerdyrą. A kto weźmie za pana dyżur? A kogo mam dać na zastępstwo? A co z przygotowaniami do Dnia Patronów?

– W Piekłe mamy dla takich miejsce – mruknął diabeł.

– Jak się nazywa?

– Dział kadr.

Razem weszli do przychodni, grzecznie odczekali, aż rejestratorka zakończy rozmowę telefoniczną z koleżanką i wyda im pomięty numer, a potem usiedli na krzeselkach w poczekalni. Wzrok diabła błędził po pokrytych obłazącą seledynową farbą ścianach, plakatach namawiających do szczepień przeciwko pneumokokom i ostrzegających przed kleszczami, aż spoczął na trzech starszych paniach, które na widok dwóch mężczyzn przerwały prowadzoną szeptem rozmowę.

– Do doktora Fałszczaka? – spytał Łukasz i spojrzał na wymięty zalaminowany numer, jakby miał nadzieję, że dowie się z niego czegoś więcej.

Jedna z pań niechętnie skinęła głową, ale pozostałe wpatrywały się w nich z podejrzliwością, jakby odmawiały ludziom młodszym od siebie prawa do czekania na wizytę w przychodni.

– A który pan ma numer?

– Szesnasty.

– O, to wchodzi pan po mnie – ucieszyła się starsza pani i przeniosła spojrzenie na diabła.

Ten uśmiechnął się szeroko i pochylił się ku niej.

– Wiem, skąd mnie pani zna – oznajmił konspiracyjnym szeptem. – To ja biegałem na golasa podczas festynu.

Starsza pani zmiażdżyła go spojrzeniem i odwróciła się do koleżanek. Przez moment otwierała i zamykała usta, jakby nie wiedziała, od czego zacząć

kolejny wywód, ale z kłopotu wybawiły ją otwierane drzwi gabinetu, zza których wyszła młoda, znekana, pobladła dziewczyna trzymająca się za brzuch. Wzrok trzech pań zdradzał, że bez najmniejszych wątpliwości sklasyfikowały dolegliwość jako ciążę pozamałżeńską.

– Cześć, Łukasz – bąknęła dziewczyna.

– Cześć, Małgośka – odparł tamten i nachylił się do diabła: – Musiałeś wyjeżdżać z tym festynem? – spytał, oparłszy głowę o ścianę. Najwyraźniej walczył ze snem.

– Musiałem.

– Dobra, to zanim się rozbierzesz, by podkreślić wagę swych słów, może skoczysz po jakąś kawę, co? Na dworcu jest kawomat, może będzie działał.

Droga na dworzec wypadła przez rynek. Zygmunt rozglądał się uważnie, ale nigdzie nie dostrzegł żadnych zniczy ani świętych obrazków, co oznaczało, że być może Łukasz miał rację i kult świętej Donaty nie został uznany przez miejscowego proboszcza i przez to spalił na panewce. Pokręcił głową z niedowierzaniem i narastającą irytacją i przyspieszył kroku.

Jeśli miał się wywiązać z obietnicy danej Łukaszowi, musiał się dowiedzieć czegoś – czegokolwiek – o owym Piniewskim i jego ludziach. I to szybko, bo czas dany mu przez konsultanta miał się niedługo skończyć.

Wtedy dostrzegł Sebę.

Bohater sobotniej nocy stał przy nieczynnym kiosku z czapką nasuniętą na oczy tak bardzo, że spod daszka wystawał jedynie podbródek. Obok niego stał jego kompan z tatuażem na szyi oraz dwóch innych młodych ludzi w sportowych butach, białych skarpetkach, dresach i bejsbolówkach, którzy wyglądali, jakby zeszli z tej samej taśmy produkcyjnej. Wszyscy z wyjątkiem Seby pękali ze śmiechu i klepali go po plecach.

Diabeł natychmiast zapomniał o kawie i skręcił w ich stronę.

– Dzień dobry – odezwał się, gdy stanął kilka kroków przed nimi.

Wesołość trzech osiłeków urwała się w jednej chwili. Wszyscy trzej obrócili się błyskawicznie ku diabłu, a Seba poderwał głowę.

Zygmunt wędrował przez całą noc i nie zdążył włożyć żadnego ze strojów rekomendowanych przez instrukcje dołączone do zadania. W zwykłych dzinsach, ciemnym swetrze i rozpiętej skórzanej kurtce, z teczką w ręce – laptopa zostawił pod opieką Łukasza – wyglądał jak urzędnik spóźniony do pracy, a mimo to cała czwórka zamarła w niespokojnym bezruchu, jakby miała naprzeciwko siebie bestię z innego wymiaru.

„Co w sumie nie jest dalekie od prawdy – pomyślał diabeł. – Może wcale nie są tacy głupi”.

Wzrok tego, którego nazywano Siwym, musnął jego teczkę. Pozostali dwaj wpatrywali się w nią bez skrępowania, nawet Seba uniósł głowę. Odgłosy miasta – terkot nieodległego pociągu, pomruk okrążających rynek samochodów, pokrzykiwania ekipy układającej płyty chodnikowe – niespodziewanie stały się odległe, pozbawione znaczenia. Zygmunt poczuł na sobie pełną wagę czterech niespokojnych, chciwych spojrzeń i uśmiechnął się do siebie.

Uwielbiał być diabłem.

– Dzień dobry – powtórzył.

– Dzień dobry – wymamrotało czterech wyrostków.

– Jak widzę, są panowie żywo zainteresowani zawartością mojej teczki – ciągnął swobodnie Zygmunt. – Czemu w sumie trudno się dziwić, zważywszy na to, że jeden z panów miał okazję w nią wejrzeć. Nie mylę się?

Spojrzenia całej czwórki stężały. Siwy zerknął ponad ramieniem Zygmunta na ulicę, jakby oceniał sytuację.

– Drugi z panów miał z kolei zostać obdarowany jej zawartością – ciągnął diabeł. Jego wzrok przebijał daszek zasłaniający facjatę Seby.

Ten poderwał głowę.

– Miałem ją w rękach! – wykrztusił drżącym głosem. – Rozjechałem tę szybę, łapię, kurwa, za rączkę, patrzę na Straszego, a ten...

– ...wygląda jak Predator! – dokończył za niego któryś z koleś i cała trójka zarżała. Seba znów naciągnął czapkę na twarz.

– Przykro mi. Mam jednak coś, co cię pocieszy – kontynuował diabeł. Serce zabiło mu mocniej, jak zwykle, gdy wyczuwał okazję do rozwinięcia kolejnej intrygi. – Chciałem więc zaproponować układ. Otworzę tę teczkę i wręcę każdemu z panów dokładnie to, czego sobie zażyczy.

– A co za to? – wypalił któryś z nieznanym, oblizując spierzchnięte usta. Miał podbite oko i grubą, pulsującą żyłę na czole.

– Nie gadaj z nim, Beton! – zapał Seba, obrzucając diabła spłoszonym spojrzeniem. – Nie gadaj, bo, kurwa, pożałujesz. To jakaś, kurwa, pierdoła, i tyle.

– Seba przechodzi trudne chwile. – Siwy klepnął kumpla w plecy, niemalże przyginając go do ziemi. – Najpierw chciał se zaruchać w sobotę, ale nie wyszło, a potem...

– Zamknij ryj, Siwy!

– Obaj się, kurwa, zamknijcie! – warknął czwarty, groteskowo wręcz szczerbaty, i szarpnął za daszek czapki, jakby chciał wyregulować fale mózgowie. – Czego pan chcesz?

- Opowiecie mi o niejakim Piniewskim.
 - Nigdy o nikim takim nie słyszałem – oznajmił szczerbaty młodzian i spojrzął w szare niebo przecinane przez furkoczące stadko gołębi.
 - Aha. – Zygmunt sięgnął w głąb teczki, skupił się, pogmerał chwilę i wyciągnął biały gadżet. – No to naści ajfonika. Zadzwoń do kogo trzeba, dowiedz się wszystkiego i opowiedz mi później.
 - A jak nie? – Szczerbaty wypiął chudą pierś.
 - To ci nie dam ładowarki.
- Błysk w mętnych oczach Szczerbatego zdradził, że konfrontacja zakończyła się pomyślnie dla diabła.

Do przychodni Zygmunt dotarł w chwili, gdy otworzyły się drzwi i wyszła z nich starsza pani, czytając w skupieniu receptę. Zdążył dostrzec człowieka w kitlu, który siedział za zasłanym papierami biurkiem i coś pisał. Miał niezdrową cerę i rozmyte rysy twarzy, a trzymająca długopis dłoń wydawała się miękka jak galareta.

- Następny! – warknął lekarz. – I drzwi zamyka, bo przeciąg jest!
 - Łukasz dźwignął się z trudem, odłożył laptopa, którego miał na kolanach, i spojrzął na kubki kawy w rękach Zygmunta.
 - Mogłeś mi chociaż hasło podać – westchnął i odłożył komputer na krzeselko obok. – Poczekaj. Coś mi mówi, że to nie potrwa długo.
 - Ile? – burknął lekarz, nadal nie podnosząc głowy, nim Łukasz zdążył zamknąć drzwi.
 - Co ile?
 - Ile zwolnienia chce?
- Wizyta w gabinecie lekarskim zamknęła się w niecałej minucie, po czym dwaj spiskowcy wyszli na ostre, jesienne powietrze. Łukasz wypił podaną mu kawę niemal duszkiem, zgniótł kubek i wrzucił do przepelnionego kubła.
- Mam tydzień wolnego – powiedział, ziewając szeroko. – Chciałem jeden dzień, ale Fałszczak nigdy nie daje mniej. Dla jednego dnia nie opłaca mu się sięgać po blankiet. Natalia chciała kiedyś od niego skierowanie na morfologię, to ją wyrzucił z gabinetu. Powiedział, że po skierowanie to człowiek przychodzi, jak jest chory, i nie będzie dupy zawracał...
 - Dobra, potem mi to wszystko opowiesz – przerwał mu diabeł. – Idź się wyśpij, a ja...
 - Hej! – rozległo się chrapliwe wołanie. – Hej, gościu!

Chodnikiem biegł Seba, wymachując jakimś kolorowym pudełkiem.

– Gościu! Mogę to wymienić na gie-te-a piątkę? – wołał zdyszany. Na jego policzkach pojawił się rumieniec. – Mati mówi, że ma gie-te-a, to ja bym wziął batelfranta! Albo dżirsoftor! Albo...

Łukasz zszedł stopień niżej. Seba na jego widok zatrzymał się jak wryty i pobladł momentalnie, jakby ktoś obsypał mu oblicze mąką. Odwrócił się i popędził jak wariat przed siebie, gubiąc po drodze zarówno grę, jak i czapkę.

Diabeł spojrział pytająco na Łukasza, a ten wzruszył ramionami.

– W sobotę w nocy wybił mi szybę w samochodzie, to go trochę pogoniłem – oznajmił, nie patrząc diabłu w oczy.

Zygmunt omiół wzrokiem jego sylwetkę, skupiając się głównie na wydatnym brzuchu i ogromnych, choć miękkich pięściach. Pokiwał głową z udawanym zrozumieniem, karbując sobie w pamięci, że ma jeszcze niejedną tajemnicę do sprawdzenia.

– Idź spać, Łukasz – powiedział. – I weź mojego laptopa. Raczej mi się dziś nie przyda. Obiecuj, że nie będziesz przy nim grzebał.

– Obiecuję. – Nauczyciel przejął ciężkie urządzenie. – A ty?

– Ja muszę się napić kawy. Jakiejś porządnej kawy. A potem mam trochę roboty.

– Będziesz pamiętał o Piniewskim? – Oczy Łukasza błysnęły.

– To właśnie mam na myśli, mówiąc o robocie.

– Tylko trzymaj się z daleka od Natalii. – Spojrzenie nauczyciela stwardniało. – Ona cię naprawdę nie lubi. Obiecuj.

– Obiecuję.

Choć wykonany z kolorowej taśmy klejącej napis głosił, że restauracja Dyżurna otwarta jest od dziesiątej, a w soboty i niedziele od ósmej, drzwi były zamknięte. Zygmunt walił i stukał, aż w końcu między stołami zamajaczyła postać z mopem w dłoni.

Natalia.

– Zamknięte! – warknęła stłumionym głosem.

– Jak zamknięte? Tu jest napisane, że...

– Zamknięte, i tyle! Zwłaszcza dla ciebie.

– Ale ja tylko kawy chciałem się napić! – Diabeł złożył ręce. – Proszę! Błagam! Przecież to jedynie miejsce w całych Wyplutach, gdzie można

znaleźć coś porządnego! Nie będę nic gadał, mendził ani nagabywał, ani słowa o kuszeniu czy dupczeniu, nie zostawię cyrografu in blanco, nic! Tylko kawy, kawy, kawy!

Trudno powiedzieć, czy sprawił to błagalny ton Zygmunta, czy powodem była jakaś ukryta intencja Natalii, ale zamek niespodziewanie szczęknął i dziewczyna lekko uchyliła drzwi. Diabeł natychmiast wślizgnął się do środka.

We wnętrzu owionął go zapach środków czystości. Krzesła były poukładane do góry nogami na blatach stołów, na barze leżała wilgotna szmata, a obok niej pudełko z nienadmuchanymi balonikami. Na środku świeżo umytej podłogi stało wiadro.

– Mamy dziś wieczorem imprezę na pięćdziesiąt osób – wyjaśniła wiedźma ubrana w sprane dżinsy i luźną bluzkę z rysunkiem dziewczyny z nienaturalnie wielkimi oczami. Szła już za bar, skąd po chwili dobiegło głucho wycie uruchamianego ekspresu. – Kacprzak urządza urodziny żonie.

– Aha – powiedział diabeł i zdjął jedno z krzeseł przy swoim ulubionym stoliku, skąd był najlepszy widok na rynek. – I co? Sama przygotowujesz imprezę?

– Sama – przyznała nadspodziewanie szczerze. – Lubię pracować sama. Wypada mi dziś rano zmiana z Małgością, ale... eee tam, dwie lewe ręce ma do roboty i jeszcze gada jak najęta. Urok na nią rzuciłam.

– Urok?

– No, sraczkę chyba, nie pamiętam – oznajmiła Natalia zza baru. – Jestem wiedźmą i trochę potrafię. Urok rzucę, pecha ześlę, poltergeista przegonię, parę rzeczy upichcić umiem. Prostą iluzję też stworzę. Przydatny talent.

– Rzadko bywasz tak rozmowna. Chcesz mnie wystraszyć? – zaniepokoił się diabeł.

– Wystraszyć? – Dziewczyna szczękała filiżankami, nie przestając świdrować go wzrokiem. – Po co? Jak zrobisz coś nie po mojej myśli, to znajdę na ciebie sposób i nawet wujek Czesiek ci nie pomoże.

– Aha.

– Zamierzasz może urozmaicić imprezę bieganiem na golasa?

– Nie.

– Jak ci się układa z Łukaszem? – Natalia nagle zmieniła temat, spuszcżając na moment wzrok.

– Nie najgorzej. Popadł w niezłe tarapaty, ale da sobie radę.

– W tarapaty? – Dziewczyna przewróciła oczami, stawiając filiżankę na spodeczku. – Rzeczywiście. Porąbana dyrektorka, nawiedzona katechetka

i obcięte godziny. Tarapaty jak cholera – prychnęła ze wzgardą, a jej oczy znów zalśniły zimno.

„Ona nie wie o kredycie! Zataił to przed nią” – uświadomił sobie diabeł. Jego szacunek do nauczyciela wzrósł nieco, a w głowie pojawiła się nowa myśl: „I nie może się dowiedzieć. Pod żadnym pozorem”.

– To dupa z uszami. – Diabeł pokiwał głową z udawaną powagą. – Próbowałem z nim pogadać, ale ciągle marudzi i narzeka. Na świat głównie, ale też na ciebie.

– Niech narzeka. Mleko?

– Nie. Albo tak.

Natalia wyszła z baru i postawiła kawę przed nim odrobinę mocniej, niż powinna. Brzęknęła tania porcelana, kropla kawy spadła na blat stołu.

– Wypij i spieprzaj – mruknęła i wyciągnęła telefon z kieszeni. – Ja muszę zadzwonić.

Diabeł skądś wiedział, że ona kłamie, ale nie to przykuło jego uwagę. Zerknął na cieniutki aparacik w etui, który wyciągnęła z tylnej kieszeni spodni, i nagle go olśniło.

„Ale jaja – pomyślał. – Czy to możliwe?”.

Pił kawę szybkimi łyżkami i patrzył niewidzącymi oczyma na rynek. Pomysły wirowały w jego głowie niczym piasek poderwany podmuchem wiatru.

Plan, który Zygmunt ułożył nad filiżanką kawy, zakładał w pierwszej kolejności zdobycie przewodnika. Mógł co prawda spróbować sam odnaleźć potrzebne mu miejsce, ale wędrówka od rezydencji Kacprzaka do domu wuja Czesława nauczyła go, że okolice Wyplut to niezłe wyzwanie traperskie, a plan miasta na rynku spłowił tak bardzo, że trudno było na nim odszukać nawet sam rynek. Łukasz spał, Natalia była zajęta, a kontaktu z innymi mieszkańcami Wyplut diabeł nie miał, musiał więc posłużyć się starą jak świat sztuczką „na papieroska”.

Metoda opierała się na tym, że w miejscu publicznym wszyscy przemierzają się szybko i mają do załatwienia konkretne sprawy. Ci, którzy wyłamują się z tego schematu, niemal od razu wpadają w oko tym, którzy sami spieszyć się nie za bardzo umieją. Innymi słowy, żeby przyciągnąć uwagę miejscowego menela, wystarczyło usiąść, przybrać odprężoną pozę i zapalić papierosa.

Papierosy Mocarne, które kupił w kiosku wraz ze spojrzeniem pełnym pretensji od pani zaczytanej w „Historiach Prawdziwych, że Szok”, smakowały jak rozgotowany asfalt, ale Zygmunt akurat lubił ten posmak. Co więcej – zadziałało.

– Dzień dobry panu szszszanownemu! – Starszy mężczyzna błysnął żółtymi zębami i ukłonił się nisko. – Czy ja mogę zadać panu jedno pytanie?

– Nie trzeba – rzekł diabeł. – Odpowiedź brzmi: tak.

– O rany – zafrasował się menel i zaczął skubać dół siepiącego się swetra. – To żeś mnie pan zażył. Gdybym wiedział, tobym sssse to pytanie lepiej prze...

– czknął – przemyślał!

– Papierosa? – spytał Zygmunt i wyciągnął paczkę.

Menel otworzył szerzej przekrwione oczy i skwapliwie wpakował do paczki brudne paluchy.

– Ja nie mogę... Dziarskie! – stęknął z zachwytem.

– Mocarne.

– Jeden chuj. Ten sam produsssent. No, Dziarskie trochę lepsze. Delikatniejsze. Mogę sssse dwa wziąć?

– Weź pan i cztery.

Menel zaciągnął się łapczywie i przymknął oczy. Diabeł otaksował wzrokiem jego zużyte adidas, brudne, wytarte dżinsy, sweter, do którego muchy lepiły się w locie, i czapkę z daszkiem schodzącą aż na posiwiałe brwi. Ogorzała cera pocięta nitkami popękanych naczyń krwionośnych, dawno nieprzycinany wąs, gojący się strup na nosie.

„Bywały – pomyślał, przyglądając się jego pokaleczonym, twardym dłoniom. – Zahartowany. Nada się”.

– No – sapnął żul. – To żeś mi pan humor poprawił.

Znieruchomiał, gdy jego uwagę przykuł ruch po drugiej stronie rynku. Czterooosobowa rodzinka z goframi sadowiła się właśnie przy jedynym stoliku stojącym przed niewielką lodziarnią.

– Czas na mnie! – mruknął i ruszył tanecznym krokiem w kierunku lodziarni, zaglądając po drodze do kosza na śmieci. – Pora popracować!

Diabeł podniósł się płynnym ruchem i ujął menela pod ramię.

– Daj pan sobie spokój – mruknął do zarośniętego ucha żula. – Miałbym dla pana inną robotę, lepszą.

Ten spojrział na niego z mieszaniną nieufności i nadziei.

– A co to za robota? – wymamrotał i podrapał się po zarośniętym policzku.

– Ciężka? Jak trza będzie się ujebać, to sssssorry, panie kochany, w moim wieku...

– Nie. Nie ciężka. Chciałbym, żeby zaprowadził mnie pan w pewne miejsce.

Menel, który przedstawił się Zygmunutowi jako Stanisław, zażądał za swoje usługi „pińć dych”.

– I jeszcze coś na piwo – dodał, gdy diabeł zgodził się za szybko.

Ciemniejące spojrzenie zleceniodawcy skłoniło go do odstąpienia od ostatniego punktu negocjacji. Odwrócił się, machnął na Zygmunta wielką spracowaną dłonią i ruszył przed siebie.

Już po paru krokach okazało się, że wybór przewodnika był trafny. Stanisław nie korzystał co prawda z żadnego magicznego skrótów, ale miał wiele własnych, rekompensujących mu nieznaną magii. Niecierpliwie ponaglał diabła, przebiegł między stertami węgla w miejscowym składzie opałowym, przeszedł przez dziurę w płocie niedbale zasłoniętą arkuszem przerdzewiałej blachy, przeciął plac zabaw na tyłach przedszkola i czyjś zarośnięty ogród. Z okna kamienicy ktoś obrzucił ich stekiem przekleństw.

– A po co – wysapał Stanisław, gdy wspięli się na nasyp kolejowy, przebiegli po torach i zaczęli ostrożnie schodzić w dół – po co się pan szanowny tam wybiera?

– Sprawdzić coś chciałem. – Diabeł zsuwał się, ściskając teczkę pod pachą.

– Bo jeśli złom pana szanownego interesuje, to za późno – dodał menel, gdy szli ledwie widoczną ścieżką wśród bujnych, kołyszących się z wiatrem traw. – Wszystko przebrane.

– Nie, nie chodzi o złom.

– W ogóle w okolicy już nic nie ma – ciągnął Stanisław rozzalony. – Czasami udaje się coś z bocznicy odpierdolić, czasem właz ze studzienki, czasem jakiś interes z elektrowni, ale na złomowisku patrzą człowiekowi na ręce. Podobno policja i sokiści naloty robią, gnoje pieprzone. Nudzi im się, kurwa. Podnieśliby zasiłki, nie byłoby problemu, a tak to... Ja pierdołę.

Ścieżka pięła się pod górę, wnikała w zagajnik nieforemnych dzikich śliwek. Nad nimi wyrastał martwy komin fabryczny. Gdzieś dudnił pociąg.

Diabeł był coraz bardziej podekscytowany.

– A pan to nie jesteś jakiś zbokol, co? – zapytał nagle zaniepokojony menel.

– Nie. A pan?

– Też nie. W zasadzie nie. Wie pan, nic teraz nie wiadomo. Podobno jakiś pedał na golasa wariował na Czadersach.

– Aha. Daleko jeszcze?

– Nie, to tu – oznajmił menel i rozchylił zarośla.

Oczom diabła ukazała się asfaltowa droga i zardzewiała brama spięta grubym łańcuchem z odbierającą pewność siebie kłódką. Za bramą wznosiły się budynki z rzędami brudnych, powybijanych okien, te same, które Zygmunt widział z okna stojącego pociągu. Wśród krzaków białe porzucone zlewy, pisuary, lodówki, a nawet telewizory, co oznaczało, że mieszkańcy, zachęteni brakiem wszelkich inwestycji na tym terenie, uznali go za wysypisko śmieci. Wokół panowała absolutna cisza, przerywana jedynie nieśmiałym popiskiwaniami ptaków i gadaniną Stanisława.

– Przez bramę się nie wejdzie, ale w płocie jest dziura, gdzieś tam, zaraz szanownemu panu pokażę! – Menel wiedział, że zbliżała się pora rozliczenia, i robił się ujmująco uprzejmy. – Zaraz pokażę, zaraz... No, gdzie ta dziura...

Zygmunt zmrużył oczy.

– Co pan będziesz po krzakach łaził – powiedział cichym, miękkim głosem.

– Z bańki pan rozwał tę bramę.

Jednocześnie zebrał myśli i pchnął przekaz:

No, nie krępuj się. Przywal w nią z całej siły.

Metaliczny huk poniósł się echem po okolicy i na chwilę uciszył wstrząśnięte ptactwo. Stanisław odwrócił się w stronę Zygmunta, ściągnął czapkę i podrapał się poczerńiałymi paznokciami po czole. Wpatrywał się w diabła błagalnie, jakby miał nadzieję, że ten mu coś wyjaśni.

– Wspaniale – mruknął wysłannik Piekła, nie kryjąc radości.

Usiadł na obłym, częściowo zarośniętym pokrzywami cielsku pralki Frania, ułożył sobie na kolanach teczkę i wyciągnął z niej parę zmiętych banknotów.

– Proszę. Pińć dych, jak się umawialiśmy. I dycha zadośćuczynienia za guza.

A teraz pędź na rynek, zacznij tańczyć dookoła wierzby i drzeć się, że widziałeś świętą Donatę.

Zygmunt odczekał, aż ucichnie szelest rozgarnianych krzaków, a potem wyciągnął ramiona ku niebu i odetchnął z ulgą.

– A więc tu chodzi o miasto, nie o mnie – szepnął. – Coś w tym mieście blokuje moje moce, które zaczynają działać dopiero w tym miejscu! Ba, może dlatego Piekło nic nie wie o moich postępach! Istnieje tylko jeden sposób, by to sprawdzić.

Wyłuskał z kieszeni telefon i wybrał numer Łukasza. Tamten odebrał już po dwóch sygnałach.

– Zygmunt? – spytał spłoszonym nieco głosem.

- O, nie śpisz? – zdziwił się diabeł.
- Nie, nie mogłem jakoś...
- Dobra, nieważne. Zadzwoń do tego Piniewskiego. Powiedz mu, że masz pieniądze, ale wolisz mu je oddać osobiście. I powiedz, że dorzucisz pięć stów za to, żeby ci dał spokój.
- Ale ja nie mam tych pieniędzy!
- Cicho bądź i słuchaj. Wiesz, gdzie jest ta stara fabryka przy torach?
- Pewnie. Czasem LARP-y tam robimy z kumplami z miasta.
- Co robicie? Dobra, nieważne. Powiedz Piniewskiemu, że dziś wieczór, punktualnie o dwudziestej zero zero, będziesz czekał na jego ludzi, by oddać im resztę długu. Jasne?
- Jasne. A... Ten tego... A będę czekał?
- Tak.

Oszaleję.

Nie wiem kiedy, nie wiem też z jakiego konkretnie powodu, ale stanie się to na pewno.

Nienawidzę tego mieszkania. Nawet już nie chodzi o to, że wpieprzyłem się w długi, przez które nie śpię po nocach i przez które pewnie niebawem odwiozą mnie na sygnale na intensywną terapię. Po prostu między tymi niepomalowanymi ścianami, między starymi panelami i sufitem pełnym plam unoszą się wspomnienia, duszące, parzące jak meduzy.

Wystarczy, że zamknę oczy, a widzę, jak ona otwiera drzwi, stawia siatki przy ścianie, ściąga kurtkę, mówi coś szybko, mrużąc oczy, przeklinając. Widzę, jak otwiera okno, odsuwa łokciem doniczkę z paprotką i zapala papierosa. Jak leży na kanapie, zmienia kanały, poprawia stanik, krzywiąc się przy tym trochę. Jak pije poranną kawę i uśmiecha się do mnie nieśmiało.

Do dziś nie wiem, dlaczego ona nie lubi się uśmiechać. Czy aż tak bardzo nie znosi tej rzeczywistości? Czy ciąży jej to, że jest wiedźmą? A może istnieją inne powody, których nie zdążyłem poznać?

W każdym razie pamiętam każdą z trzydziestu dwóch sytuacji, kiedy parsknęła śmiechem. Każdą.

Nie spałem całą noc. Powinienem się położyć i miotać na łóżku, powinienem wić się z nerwów i po raz setny przeliczać należności, procenty, odsetki, powinienem grzebać w necie, pytać po forach, martwić się i gryźć palce. Powinienem – żeby nie uchybić wizerunkowi człowieka zdesperowanego – sięgnąć po flachę czegoś

mocniejszego.

A ja tymczasem siedzę i wpatruję się w plamę na ścianie. W tę samą, na którą patrzyła ona, nim jeszcze straciła nadzieję. Kiedy wciąż wierzyła, że przy mnie nauczy się uśmiechać.

Oszaleję. Tak czy owak, odwiozą mnie na sygnale, ale może do innego szpitala. Do tego, gdzie nie ma klamek, ale są dobrze zbudowani pielęgniarze, lekarze o pustych spojrzeniach i kubki z pigułkami.

Ciekawe, czy to ta świadomość dodała mi odwagi, czy może ja jednak z natury jestem głupi?

Jeden z tych czynników w każdym razie sprawił, że znów otworzyłem tego diabelskiego laptopa. Złamanie hasła zajęło mi jakąś minutę.

Z nastaniem ciemności okolica wokół zamkniętej fabryki ożywiła się. Podmuchy wiatru, cichego lub wręcz nieobecnego w ciągu dnia, szarpały krzakami i gałęziami śliwek, gwizdały gdzieś za plecami czekających na kawałkach szkła i stalowych prętach wystających z betonu. Zaintrygowany Zygmunt wpatrywał się w zarośla po obu stronach drogi, przeświadczony, że przemykają przez nie jakieś spłoszone istoty.

Łukasz, nieobecny, spięty, nie podzielał tej fascynacji. Mniej więcej raz na minutę wyciągał telefon, a wtedy emanacja oświeślała jego twarz, trupioblada, nabrzmiała, niezdrową.

– Pięć po ósmej – powiedział zgrzytliwym głosem. – Może nie przyjadą.

W odpowiedzi diabeł wskazał plamę światła prześlizgującą się między drzewami. Nauczyciel przełknął ślinę.

– I co? – spytał. – Co robimy?

– Bądź sobą – odparł Zygmunt i podał mu niewielką paczkę zawiniętą w sklepową reklamówkę. – Nie wdawaj się w żadne pyskówki. Podejdź do nich, wręcz im pieniądze i domagaj się pokwitowania.

– A jak nie dadzą?

– Dadzą.

– A skąd ta pewność? – spytał Łukasz nerwowym, piskliwym głosem. – Skąd to wiesz? I skąd te pieniądze? Nie byłeś chyba u Jaro, co? Nie zaciągnąłeś nowego kredytu w moim imieniu, by spłacić te należności, co?

– Nie. Choć dziwi mnie, że sam tego nie zrobiłeś.

– Nie mam żadnej zdolności kredytowej, a ty, z tymi twoimi cholernymi diabelskimi sztuczkami...

- Hej, trochę szacunku. Właśnie wybawiam cię z kłopotów.
- Coś mi mówi, że ładujesz mnie w jeszcze gorsze. Jeśli...
- Cicho bądź. Już są – szepnął diabeł i dyskretnie uruchomił kamuflaż.

Długie, smukłe BMW nadciągało powoli, złowieszczo. Zjechało z asfaltu, opony zachrzęściły na grudkach ziemi, snopy świateł prześlizgnęły się po betonowym murze okalającym fabrykę. Zgrzytnął zaciągany ręczny, drzwi od strony pasażera otworzyły się niespiesznie i ze środka wyłonił się potężny mężczyzna o owalnej, nieskażonej żadną wykrywalną emocją twarzy. Po okolicy przetoczyło się echo jakiegoś dyskotekowego utworu, uciętego trzaśnięciem drzwi.

Znów zapadła cisza.

Pasażer obszedł samochód, przysiadł na masce i założył potężne ramiona, aż zaskrzypiała czarna skóra jego kurtki. Kierowca również otworzył drzwi, ale nie wysiadał.

– No i co? – Jego piskliwy głos nijak nie pasował do skrzywionej ironicznie fizjonomii, złego spojrzenia i rzadkich, nażelowanych loków. – I co, kurwa? Po chuj żeś tu nas fatygował?

– Nie unoś się, Bestia – poleciał tubalnym głosem kierowca i zapalił papierosa. – Nasz klient, nasz pan. A ten tu to dobry klient. Na pewno wie, że za nocne kursy trzeba dopłacić.

Łukasz, mrużąc oczy przed światłem reflektorów, podszedł bliżej do człowieka nazywanego Bestią i wyciągnął plik zawinięty w szeleszczącą reklamówkę.

– Tu jest wszystko – powiedział krótko. – Plus pięć stów.

– Aha – odparł Bestia. – Słyszałeś go, Miras? Myśli sobie, że liczyć teraz będziemy.

– Ja tam usłyszałem tylko „pięć stów” – burknął Miras. – To za nasz nocny kurs, jak rozumiem. A forszę zawieziemy panu Piniewskiemu. Niech on liczy. Jak nie będzie stykać, to zajrzemy na Osiedle.

– Chyba jednak będziesz liczyć – odezwał się nieoczekiwanie Łukasz. – Bo ja chcę pokwitowanie. Takie oficjalne, z pieczątką i innymi.

– Myślisz, młody, że ja, kurwa, pieczątki ze sobą wożę? – zapiszczał Bestia. – Nocą to się, kurwa, bejsbola wozi.

Łukasz był blady jak ściana, ale mimo to zacisnął pięści i pochylił głowę. Obserwujący go Zygmunt odniósł wrażenie, że jego policzki pociemniały. Pochylił się, by przyjrzeć się uważniej, ale nauczyciel zrobił krok ku obu zbirom.

– Jeśli nie dostanę pokwitowania... – zaczął niskim, zmienionym głosem.

Bestia parsknął histerycznym śmiechem.

– To co? Lufę mu postawisz? Rodziców wezwiesz do szkoły? – burknął Miras. Wyszedł z samochodu, zaciągnął się mocno papierosem i dmuchnął mu dymem w twarz. – Uważaj, Straszny, bo się przewrócisz na asfalcie.

Wielką łapą chwycił Łukasza za kołnierz polaru. Nauczyciel złapał osiłka za nadgarstek.

– Puść mnie – wychrypiał.

Nalana, beznamiętna twarz Mirasa drgnęła, jakby ujrzał coś, czego się nie spodziewał, i nie wiedział, jak na to reagować. Wtedy pojawił się Bestia z lewarkiem i diabeł nie chciał przeciągać tej sceny, by nie ryzykować.

Daj młodemu pokwitowanie. Przepras go za fatygę. Oddaj mu pięć stów.

– W sumie to – bąknął Bestia i schował lewarek za plecy. – W sumie to mogę policzyć.

– Pokwitowanie – powiedział Łukasz. – Pokwitowanie ma być. Z pieczętkami.

– Się pisze, się pisze. – Miras cofał się w stronę samochodu. – Zarazinek będzie pokwitowanko. Z pieczęteczkami.

– A te tam pięć stów to nie trzeba. – Bestia pospiesznie wybierał odpowiednie banknoty i wciskał w dłonie Łukasza, znów wystraszonego i zaskoczonego. – Serio.

– Obiecałem panu Piniewskiemu – zaczął Łukasz, ale Bestia się uparł.

– Nie, nie trzeba, co sobie ludzie pomyślą... My już szefowi wszystko wyjaśnimy.

– A tak w ogóle to przepraszamy za najście. Podwieźć gdzieś może? – Miras pisał coś na kolanie, a ręka mu się trzęsła.

Łukasz pokręcił głową i spojrzał tam, gdzie powinien stać diabeł, ale nikogo nie ujrzał.

Zygmunt zresztą był w tej chwili bardzo zajęty. Gdy BMW błysnęło białym światłem cofania, a potem rozjarzyły się lampy stopu, zdążył pchnąć kolejny przekaz, o wiele silniejszy od poprzedniego.

Śmiech niósł się echem po klatce schodowej.

– Tylko nie zgub teraz tego pokwitowania! – chichotał diabeł. – O mało nie zginąłeś przez ten cholerny świstek. Człowieku, pogoniłeś dwóch gangsterów, a dyrektorze boisz się postawić?

Łukasz, gmerający przy zamku w drzwiach, bąknął coś pod nosem,

ewidentnie nadal oszołomiony. Wciąż kręcił głową, a Zygmunt widział, że jego wesołość nie tylko do nauczyciela nie trafia, ale wręcz budzi jego nieufność. Nic jednak nie mógł na to poradzić, gdyż nie przestawała go rozpierać euforia.

„To nie ja nawalam, to nie ja, nie ja! – śpiewał w duchu. – Mój przekaz działa jak należy, nie ma już co do tego wątpliwości! To coś w tym mieście go blokuje, coś w tym mieście, mieście, pieprzonej dziurze!”

W końcu Łukasz odnalazł właściwy klucz, przekręcił go i otworzył drzwi.

– Właż – burknął do diabła, a ten radośnie przekroczył próg.

Łukasz huknął drzwiami z takim impetem, że podskoczyły szklanki w kuchni. Zygmunt natychmiast spowaźniał i odwrócił się do gospodarza.

Jedynym źródłem światła był teraz blask odległej latarni ulicznej, przenikający przez blaszki żaluzji i oczka firanek. Stojący na tle obitych tapicerką ciemnych drzwi Łukasz wydawał się większy, potężniejszy, wręcz ogromny. Diabeł zmrużył oczy – jako istota mroku wiedział, że ciemność potrafi zamienić najbardziej błahy przedmiot w koszmar, ale szóstym zmysłem wyczuwał, że w mieszkaniu dzieje się coś osobliwego. Coś niedobrego, czego nie przewidział.

Coś, z czym może sobie nie poradzić.

Trwała niebezpieczna cisza. Bulgotało w kaloryferach, gdzieś rzeził telewizor, ktoś gadał monotonnym głosem, szcekał pies. Diabeł wpatrywał się w nauczyciela, przygotowany na wszystko.

– Mówiłeś coś o wódeczce wujka Czesia – powiedział pojednawczo, przechyliwszy lekko głowę. – W sumie nie piję, ale...

– Skąd były te pieniądze? – wycharczał Łukasz głosem ledwie przypominającym ludzki. – Te, które dałem miśkom Piniewskiego?

– Stąd. – Diabeł pokazał mu teczkę i popisowo wzruszył ramionami, choć był daleki od nonszalancji. – To taki gadżet, dość sprytne połączenie magii demiurgicznej z oddziaływaniem psychotelepatycznym. Niektórzy twierdzą, że wciąż nie jest doskonałe, ale jeśli tworzysz proste przedmioty...

– Stworzyłeś te pieniądze?

– Spokojnie! – prychnął diabeł. – Wiem, co robię. Przeszkolono nas jak należy. Pamiętałem o znakach wodnych, mikrodrukach, folii metalicznej, nawet nitkę dodałem. Narobiłem się jak cholera! – wrzasnął, decydując się przejść do kontrataku. – Narobiłem się, żebyś miał święty spokój!

– Gówno prawda – wycedził nauczyciel. Wydawał się przynajmniej pół głowy wyższy niż normalnie. – Ty, diable, działasz wyłącznie dla siebie. Nie wiem, jak stworzyłeś te cholerne banknoty, nie wiem, co zrobiłeś tym dwóm

matołom, że wypisali kwitek, ale wiem, że prędzej czy później pokapują się, że ktoś zrobił ich w konia. Że ktoś ich, kurwa, zahipnotyzował czy coś! A wtedy źle się to wszystko dla mnie skończy.

– Wcale nie, bo...

– Wiem też – warczał Łukasz – że wszystko zwali się na mnie w chwili, gdy będę sam. Gdy ty już będziesz w Piekło po wykonaniu swego zadania. Gdy nie będę miał absolutnie nikogo do pomocy.

– Nagle ogarnął cię żal, co? – Ogień, który eksplodował w sercu diabła, przyćmił obawy. – Wątpliwości! To po jaką cholere się do mnie zgłaszałeś? Po co mi w ogóle mówiłeś o tym nieszczęsnym długi, co?

Łukasz tkwił nieruchomo niczym ciemna plama, pajęczyna mroku rozpięta na drzwiach. Zygmunt parsknął z niedowierzaniem i potrząsnął głową.

– Twój problem został rozwiązany – ciągnął. – Jeśli Piniewski będzie miał jakieś obiekcje, skieruje je do swoich miśków. Ciebie zostawi w spokoju, masz przecież kwit, no nie? Zresztą – jego oczy błysnęły dziko – wieczorem Piniewski będzie miał nieco inne problemy.

– I tu, jak rozumiem, rozpoczyna się moja rola? – spytał Łukasz zmęczonym, ale bardziej ludzkim głosem.

– Nie. Nieco wcześniej. Otwórz tę flachę, to ci wszystko opowiem.

Łukasz włączył światło. Mieszkanie w jednej chwili ożyło.

Jasnobrazowe, niemal żółte klepki skrzypiące pod nogami. Stara kanapa, telewizor na meblościance, Xbox na starym kudłatym dywanie, puszka po kukurydzy pełna petów. Regał z półkami uginającymi się od książek, wokół niego stosy innych, pudła, kartony. Wieża zarzucona płytami kompaktowymi, kolumny ciemniejące w kątach, również przygniecione stertami książek, lampa z wełnianym abażurem, obok niej diabelski laptop. Zamknięty.

– Moje dotychczasowe życie i tak już dobiegło końca – powiedział Łukasz i szarpnął drzwi lodówki. Otworzyły się z młaśnięciem. – Definitywnie. Więc chyba nie wiem tak naprawdę, o co mi właściwie chodzi. Piniewski, taka jego mać. Też mi problem.

Diabeł patrzył, jak nauczyciel przechodzi obok stołu, zabiera z niego dwa kieliszki, siada na kanapie i przysuwa niewielką ławę.

– Tak naprawdę, Zyga, to wkurwia mnie to, że nic mi szczerze nie mówisz – ciągnął Łukasz, odbijając butelkę łokciem. – Jakbyś się mną bawił. Knujesz, wciskasz ciemnotę, wymyślasz jakieś scenki, a potem cieszysz się, jak wszystkich zrobisz w konia. Co gorsza, mam przeczucie, że kiedy się stąd ulotnisz, zostaniemy z niezłym bajzlem na głowach. To nie w porządku.

„To nie w porządku. Dawno nie słyszałem równie debilnego tekstu” –

pomyślał diabeł, ale bez przekonania. Nie skomentował.

Kieliszek wypełniła przezroczysta ciecz, po pokoju rozszedł się ostry zapach alkoholu, w którym po chwili dało się wyczuć woń ściętej trawy, smalcu ze skwarkami, suszonych grzybków i jeziornej wody. Diabeł aż westchnął.

– No to wypijmy za twój kredyt – oznajmił i uniósł chłodny kieliszek. – Co go właśnie szlag trafił.

– A, niech będzie.

Jednocześnie włąli sobie porcje wódki do ust, jednocześnie się zakrztusili i razem uśmiechnęli z baranim rozanieleniem.

– A więc jeśli chodzi o jutro – zaczął ochryple Zygmunt, ale przerwał mu świdrujący jęk domofonu. – A to, że się tak wyrażę, ki diabeł?

– Hans – powiedział Łukasz takim tonem, jakby to była najbardziej oczywista rzecz na świecie. – Pieprzony szkop zwietrzy każde wujkowe pół litra. No, otworzę, a ty wybierz jakąś mużę. Flacha ma paść.

I padła.

Dzień dziewiąty

Zygmunt wyszedł ze szkolnej toalety i raz jeszcze poprawił krawat oraz szarą marynarkę, wybraną wedle klucza „budżetówka”, a potem promiennie uśmiechnął się do woźnej schowanej za szybą dyżurki. Ta najpierw otworzyła usta, ale zaraz uśmiechnęła się niepewnie, spłoszona. Minęła dłuższa chwila, nim odzyskała swój pierwotny instynkt i wyskoczyła z dyżurki w ślad za diabłem, który już piął się po schodach.

– Halo! – zaskrzeczała, a jej głos poniósł się daleko po wyludnionym korytarzu. – Halo, panie? Panie!

Zygmunt zatrzymał się przed szkolną gazetką przestrzegającą przed szkodliwością obchodzenia Halloween, odwrócił się na pięcie i podbiegł do woźnej.

– Pan do kogo? – Kobieta błysnęła złotym zębem.

– Jestem na zastępstwie za panią Krzyżaniak – wyjaśnił diabeł poufałym szeptem. – Z kuratorium oświaty. W ramach programu „Wypędź z siebie diabła”. Nic pani nie słyszała?

Ostatnie pytanie, wypowiedziane tonem skrajnego zdziwienia, poruszyło woźną do żywego. Wyprostowała się, poprawiła okulary w rogowej oprawce i wbiła w diabła spojrzenie o sile tarana.

– Ja, panie, wiem o wszystkim – oznajmiła z pewnością siebie, która graniczyła ze wzgardą. – Się proszę do księgi wpisać.

– Oczywiście! – Diabeł skwapliwie przytaknął. – Gdzie jest sala sto pięć?

Kilkanaście sekund później pchnął drzwi sali chemii oraz fizyki i wtargnął w atmosferę ledwie wyczuwalnych substancji chemicznych, szklanych menzurek i oszałamiającego hałasu. Trzydziestu dwóch gimnazjalistów zajętych pisaniem SMS-ów, zuciem gumy, rzucaniem w siebie papierkami, pospieszoną wymianą plotek i wydawaniem odgłosów zwierzęcych znieruchomioło w jednej chwili i czujnie zmierzyło gościa spojrzeniami.

Diabeł wszedł na katedrę, położył teczkę obok siebie i uśmiechnął się czarująco do klasy.

– Dzień dobry! – rzucił gromko. – Witam was serdecznie. Nie mieliśmy się jeszcze okazji poznać... No, z małymi wyjątkami. Siema, Uszol. – Spojrzał na niepełnoletniego kolegę Seby i Siwego, który wpatrywał się w niego z ostatniej ławki. Na jego twarzy malował się skrajny szok. – Jesteście bowiem pierwszą klasą wytypowaną do projektu unijnego pod hasłem:

„Wypędź z siebie diabła”. Usłyszycie zaraz szereg rad i wskazówek odnośnie do tego, gdzie diabła szukać, jak go odnaleźć i co najważniejsze, w jaki sposób go unicestwić.

– A gdzie jest pani Krzyżaniak? – zapytała nieufnie dziewczyna z pierwszej ławki, najwyraźniej wstrząśnięta naruszeniem naturalnego porządku życia szkolnego.

– Gdzie indziej. – Oczy diabła zaświeciły nieprzyjemnie. – A więc, drogie dzieci, skupcie się, bo ta lekcja odmieni wasze życie. Albowiem diabeł – Zygmunt oparł się pięściami o porysowany, poplamiony i nadpalony w trakcie eksperymentów blat katedry – jest wszędzie.

Nauczycielka religii w Gimnazjum imienia Cierpiących za Słuszną Sprawę byłaby zapewne wniebowzięta, gdyby wiedziała, że kilka godzin wcześniej ktoś inny również wyraził troskę o jej bezpieczeństwo.

– *Ale – czknął Łukasz. – Ale nie zrobisz tej Krzyżaniak nic złego, co?*

Diabeł, zajęty starannym odmierzaniem porcji wódki, nie odpowiadał tak długo, że Łukasz się zaniepokoił.

– *Opowiedz natychmiast!*

– *Co? – Diabeł potrząsnął głową. – A, katechetka. Przepraszam, ale skupiłem się na kieliszkach. Wygląda mi na to, że Hansowi bardzo zależy na równych porcjach.*

Sierżant Wehrmachtu pokiwał głową, wpatrzony w szklane naczynka roszące się podobnie jak butelka.

– *Czemu ci tak zależy na tej katechetce? – spytał Zygmunt i zerknął z zaciekawieniem na Łukasza.*

Ten nawet się nie zarumienił, nawet wzroku nie odwrócił. Diabeł westchnął, nieco rozczarowany.

– *Nie zależy – burknął nauczyciel. – Tylko nie chcę, by komuś stała się krzywda.*

– *Przedwczesna śmierć klienta nie jest w interesie wysłanników Piekła – rzekł Zygmunt z mądrą miną. – Zależy nam na tym, by klient żył zdrowo, długo i działał na naszą korzyść. A Krzyżaniak... Cóż, pokażę jej to, z czym walczy. Powinno ją to wzmocnić, a nie osłabić. Przypomnij mi tylko adres.*

– *Promienna 16a. Obok mięsnego.*

– *Dobra, pamiętam. No to co? Chluśniem?*

– *Und was mit Gurken? Gibt es nicht einige? – zaniepokoił się Hans.*

– Co za pieprzony, roszczeniowy szkop! – westchnął Łukasz i wstał.

Pochłonięta lekturą rozdanych przez diabła ulotek młodzież gimnazjalna nie zauważyła, że ten wyslizgnął się z sali na kilka minut przed dzwonkiem. Na paluszkach przemknął przez wyludniony korytarz, zbiegł po schodach, wciągnął w płuca smakowite zapachy dobiegające ze stołówki i już miał wypaść ze szkoły, gdy echo przyniosło głosy.

– O, pani Krzyżaniak! – zazgrzytała woźna. – Wygląda pani, jakby pani diabła zobaczyła!

Zygmunt wcisnął się w kącik za gablotą Pamięci Narodowej, gdzie uruchomił kamuflaż, po czym opuścił kryjówkę i dumnie wyprostowany minął katechetkę, nadal bladą i rozczochraną, która trzymała woźną za łokieć i szeptała jej coś z przejęciem na ucho. Ta na przemian bledła i czerwieniała, kręcąc z niedowierzaniem głową.

– Co pani mówi, pani Krzyżaniak, co pani mówi? – powtarzała.

Zygmunt chciał posłuchać, ale czas naglił. Wślizgnął się do dyżurki, napisał na ścianie kilka słów i wypadł po schodach na zewnątrz. Uśmiechnął się do wrześnieego słońca dyskretnie zasłaniającego się rzadką chmurką, zerknął na GPS i ruszył spokojnym spacerowym krokiem przed siebie. W myślach powtórzył sobie szczegóły planu, który przedstawił wczoraj Łukaszowi.

– To wszystko? – skrzywił się diabeł, przeglądając papiery podane mu przez nauczyciela. – Tylko tyle dostałeś?

– To tylko pisma z Urzędu Miasta i Gminy – oznajmił nauczyciel, siadając ciężko. – Chcesz obejrzyć te z ministerstwa?

– Was zum Teufel ist das? – szepnął zachwycony Hans.

– Ja ci zaraz dam Teufel – burknął Zygmunt. – Oczerniasz moje dobre imię. Nie, nie, wystarczy mi te z urzędu. O, tu mamy porządną pieczętę, i tu, i tu. Super. Będzie odezwa jak nic. Weź te łapy! – warknął do Hansa, który już wkładał dłoń do otwartej teczki. Feldfebel cofnął dłoń jak oparzony, wrzucił ramionami i duszkiem wychylił zawartość kieliszka.

Łukasz odruchowo chwycił za butelkę.

– Powoli – mruknął diabeł. – Wyprzedził nas o kolejkę, huncwot jeden.

– Kein Hunzwot! – zaprzeczył Niemiec żarliwie i wygładził mundur.

– Popatrz, jak przyjdzie co do czego, to nawet po ludzku potrafi gadać – stwierdził Łukasz i przetarł spocone czoło. – Ty, Hans. A powiedz „chrzan”.

– *Verpiss dich – odparł feldfebel, ale bez zaangażowania.*

Obaj z Łukaszem zamilkli, zafascynowani tym, co robił diabeł. Zygmunt zacisnął bowiem powieki, zważył mocno szczęki i pokręcił głową, a potem, niczym magik na pokazie, podniósł teczkę, odwrócił ją i wytrząsnął na stół dwie biurowe pieczątki.

– *Wunderbar! – Niemiec klasnął w dłonie. – Ausgezeichnet! Kannst du es noch einmal tun?*

– *A co, granat ci się zamarzył? – warknął diabeł.*

Wstał z krzesła, które skrzyknęło z ulgą, i podszedł do swego laptopa. Zrzucił z niego książki i otworzył go z rozmachem. Silniczek zawył cicho, ekran zamigotał, przesunęły się po nim ciągi liczb.

– *Ktoś w nim grzebał? – burknął.*

– *Nie – odparł wysokim głosem Łukasz i złapał papierosy. – No, wtedy, w przychodni. Raz tylko. A ty wiesz w ogóle, jak na te działki wejść?*

– *Coś wymyślę – mruknął diabeł, pochylony nad ekranem. – Polej może lepiej.*

Wjazdu na teren Rodzinnych Ogródków Działkowych „Błogość”, czyli po prostu działek, broniła metalowa, świeżo pomalowana brama na pilota obwieszona regulaminami oraz znakami zakazującymi używania sygnałów dźwiękowych i jazdy szybszej niż pięć kilometrów na godzinę. Po obu stronach ciągnął się wysoki, mocny płot betonowy, znad którego wyrastał szczelny rząd tuj, świerków i innych roślin. Na drewnianych ławkach przy bramie nikt nie siedział, ale samotna butelka po piwie niczym latarnia w mroku przypominała, że strażnicy enklawy mogą pojawić się w każdej chwili.

Wokół nie było żywego ducha. Zygmunt odniósł wrażenie, że jak dotąd w świecie ludzi nie natrafił na miejsce lepiej strzegące swych tajemnic.

Wyłuskał z kieszeni klucz, który wygenerował z teczki, i podszedł do furtki przy bramie. Otworzył ją z alarmującym przeraźliwym zgrzytem i wślizgnął się na teren ROD-u.

Coś – chyba panująca tu wszechwładna cisza – sprawiało, że Zygmunt przyspieszył kroku. Starsza pani mozolnie grabiąca liście z trawnika, zamarła i przyjrzała mu się czujnie. Dwie inne przerwały cichą rozmowę przy furtce. Mężczyzna w kufajce postawił taczkę z gruzem i odprowadził diabła spojrzaniem. Przy którymś płocie obszczał go wściekle pies.

Zygmunt wymacał w kieszeni wytrych wygenerowany w mieszkaniu

Łukasza. Przez moment załował, że nie uruchomił kamuflażu, ale ofuknął się w myślach.

„Przecież miałem zrobić wrażenie samym pojawieniem się – przypomniał sobie surowo. – Garnitur typu «budżetówka», teczka, spokojny krok... Zresztą, Zygmunt, o co ci chodzi? Wysłannik Piekła boi się kilku rencistów?”.

Nie pomogło.

Dopadli go, gdy otworzył wytrychem gablotę na informacje i zaczął przypinać wydrukowaną u Łukasza, krwiście opieczętowaną odezwę.

– Co tu wiesz? – spytała kobieta o zimnym spojrzeniu, krzyżując ramiona na obfitym biuście. – I skąd ma klucz? Tylko prezes ma klucz!

– Ja z Urzędu Miasta i Gminy. – Zygmunt uśmiechnął się przepraszająco. – Kontrole będą. Burmistrz kazał powiesić, żebyście państwo wiedzieli.

– Jakie znowu kontrole? – Kobieta odtrąciła go z taką furją, że diabeł ledwie zdołał zamknąć gablotę. – Co mnie tu gada?

Zygmunt cofnął się o krok, wpadając na drugą kobietę, spieszącą pod gablotę.

– Co tam się dzieje, Halinko? – zapiszczała. – Ktoś umarł?

– Nie, czekaj – mamrotała Halinka. – Według ustawy z dnia srutututu... Co? Dodatkowy podatek od budynków anormatywnych? Że niby co? Piętnaście złotych od metra?

– Zobacz lepiej to! – Rozmówczyni o piskliwym głosie wycelowała palcem w punkt poniżej. – Kontrola wybetonowania szamb i dróg dojazdu dla pojazdów asenizacyjnych? Co to ma niby oznaczać?

– Że będziesz musiała, Mariola, wyciąć róże i wszystkie maliny, żeby pieprzony szambiarz mógł se wjechać! – Spod ziemi wyrosła trzecia kobieta, trzęsąca się ze złości. – A potem wlepią mandat, bo ktoś se zażyczył, że szambo ma być betonowe! Od kiedy, kurwa, betonowe szamba na działkach?

Wrzawa robiła się coraz głośniejsza, coraz bardziej wściekła, a tłum przed gablotą gęstniał.

– Mam dopłacać do wymiany skrzynek z energią?

– Zobaczcie gnojów, dali pieczątki bez numerów telefonu. Trza się osobiście do burmistrza pofatygować, tak?

– Obowiązkowy podatek od czworonogów? Czy ich tam pojebało?

– Wołajcie prezesa! On ma numer!

– Nie pchajcie się, próbuję to przeczytać, ludzie!

– No nie zdzierzę! Zaraz tam pójde, do tej gminy, i narobię takiego rozpierdolu, że głowa mała. Halinka, Mariolcia, idziemy!

– Zaraz! – Halina odwróciła się, roztrącając gniewny, wrzaskliwy tłum. –

A gdzie jest ten mydłek, co to dziadostwo przypiął? Niech się wytłumaczy!

Zygmunt jednakże nie tracił ani chwili. Uruchomiwszy kamuflaż, gnał już przez zapuszczony plac zabaw, potem skręcił w trzecią alejkę i schował się wśród rozedrganych, wątych brzózek, gdzie, wiedziony zawodową ciekawością, wycelował w tłum frustrometr. Ekranik urządzenia zamigotał, ale rozległ się żałosny pisk i pojawił się napis: „overload”.

Diabeł pokręcił z żalem głową i obiecał sobie, że kiedyś tu jeszcze przyjdzie. Potem odwrócił się i pobiegł trzecią alejką.

– *Trzecią!* – wybełkotał Łukasz i podniósł się z trudem z krzesła. – *Zapamiętasz, diable?*

– *Sapamientasch* – powtórzył z namaszczeniem Hans. – *Schon gut?*

– *Zapamiętam.* – Zygmunt pokiwał głową. *Wiódł wzrokiem za nauczycielem, który zataczając się lekko, podszedł do wieży i z łomotem rymnął na kolana, aż podskoczyły sterty kompaktów. Gmerał w nich przez moment, aż wyłuskał coś z tryumfalnym warknięciem.*

– *Skoro już przeszedłem na ciemną stronę mocy – oznajmił i spojrzał na towarzyszy hulanki błyszczącymi oczami – uczcijmy to odpowiednią opraaa... Hyp! Oprawą muzyczną. Pora na szatańskie brzmienie. Znać w Piekłe Dimmu Borgir?*

– *Pewnie* – odparł Zygmunt, pochylony nad notatkami. – *Ograne, ale może być. Powiedz mi, Łuki – zapytał od niechcienia, przygryzając długopis. – A skąd ty tak dobrze znasz te działki?*

Głośniki ryknęły pierwszymi taktami Mourning Palace. Hans zerwał się z przerażeniem, wyszarpnął pistolet z kabury i wycelował najpierw w drzwi wejściowe, a potem w balkon. Butelka zakotłosała się niebezpiecznie, Zygmunt złapał ją w ostatniej chwili.

– *Siadaj, durny szkopie!* – warknął wściekle.

Hans uśmiechnął się przepraszająco i wsunął pistolet do kabury.

– *Entschuldigung, es war so überraschend. Ich dachte dass wir ausgebombt sind...* – zaczął, ale diabeł machnął ręką z lekceważeniem.

– *Nie myśl tyle, Hans, bo się odcisków na mózgu nabawisz* – rzekł i znów zerknął na Łukasza sadowiącego się z trudem przy stole. – *Co, powiesz mi?*

– *Nie.*

– *Szkoda. Dobra, to sprecyzuj. Gdzie ma domek ten szambiarz? Gdzie dokładnie przy trzeciej alejce?*

Diabeł po raz kolejny musiał przyznać, że kamuflaż, obok frustrometru, to w istocie genialny wynalazek. Starszy pan, którego działkę przesadził w kilku susach, zorientował się, że coś się dzieje na jego terenie tylko dlatego, że Zygmunt potknął się o zwinięty wąż ogrodowy i nie powstrzymał wściekłego przekleństwa. Jedyne użytkownik następnej działki, potężny młody człowiek o starannie wygolonej, wypolerowanej wręcz czaszce, w ogóle diabła nie spostrzegł, choć ten przez kilka minut przebiegał się w cieniu jego altany. Nie zareagował również jego rozespany pitbul, choć Zygmunt przestąpił nad nim w drodze do furtki.

Chwilę później diabeł szedł dalej alejką, ucharakteryzowany na robotnika fizycznego.

Ze wszystkich strojów proceduralnych, które do tej pory miał na sobie, ten był zgoła najmniej wygodny. Gumiaki były za duże, wielka kufaja wisiała na nim jak na kiju, a czapka zjeżdżała mu na oczy. Dla dodania sobie autentyczności diabeł zapalił dziarskiego i zmusił się do szerszego, bardziej rozkołysanego chodu, co nie było łatwe ze względu na najrozmaitsze przedmioty poupychane po kieszeniach.

Kilkadziesiąt kroków dalej dostrzegł altanę szambiarza oraz jej właściciela mocującego do ściany płyty styropianu. W powietrzu uniosły się roztańczone roje leciutkich białych kuleczek.

– Panie! – zawołał.

Zawołany odwrócił się powoli, poprawił wełnianą czapkę i odłożył piłkę, którą ciął płytę.

– Czego? – warknął.

– Nie podjechałby pan do mnie? Na Malwową szesnaście! Już mi się przelewa!

– Teraz? – jęknął tamten z obojętnością.

– Panie, no ile to czasu zajmie, co? – Zygmunt otworzył sobie furtkę i szedł ku rozmówcy spokojnym, zdecydowanym krokiem.

– Nie no, zajęty jestem – mruknął szambiarz. – I cysterne mam pełną. Jutro przyjadę. Zaraz! – Zamrugnął oczami. – A co pan mnie tu włazisz? Moja działka!

Zygmunt wyminął go i skierował się ku otwartym drzwiom altany. Zaskoczony szambiarz puścił się za nim biegiem.

– A ty, kurwa, gdzie, chamie jeden? – wrzasnął. – U siebie, kurwa, jesteś?

Diabeł uskoczył przed ciężką dłonią opadającą mu na ramię i wpadł do

środka, potykając się o leżący w przejściu stary odkurzacz.

– Co, podpieprzyć mi coś chciałeś, łachmyto? – charczał gospodarz. W jego ręku, nie wiedzieć skąd, znalazła się krótka siekiera. – Dawno ci nikt po ryju nie nakładł, co?

– W istocie, dawno. – Zygmunt odwrócił się ku niemu gwałtownie. – Ale ja nie w tej sprawie.

I wtedy na chwilę krótką jak myśl przybrał swą właściwą postać. Jego ciało niespodziewanie rozrosło się, mięśnie napęczniały, głowa się rozciągnęła, zza wykrzywionych warg błysnęły żółte kły, zamigotały podobne do kozich oczy, z końców węzlastych palców wysunęły się pazury. To wystarczyło, by szambiarz wybałuszył oczy, wydał krótki, ochryply wrzask i osunął się na ziemię, przygniatając odkurzacz.

Diabeł wrócił do ludzkiej postaci i w myślach pogratulował sobie wyboru obszerniejszych ubrań. Podczas przemiany pękły jedynie spodnie w miejscu uznawanym przez ludzi za nieco wstydlive, ale Zygmunt i tak nie miał zamiaru długo ich nosić.

Nachylił się nad nieprzytomnym człowiekiem.

– Wstydz się – mruknął. – Chłop jak dąb, a padasz jak kawka. Pani Krzyżaniak zdążyła mnie różańcem smagnąć i pół zdrowaśki odmówić, zanim zemdlą! Żle z tym narodem, źle. O, są kluczyki. Dobra nasza. Pora na wycieczkę do miasta.

Wyprostował się i wsunął kluczyki traktora do kieszeni, a wtedy naszło go przemożne wrażenie, że ktoś mu się przygląda. Nie było ono tak dokuczliwe jak wtedy, gdy magicznym spojrzeniem wodził za nim leszy, ale mimo to równie niepokojące.

Przypadł do okna i wyjrzał zza firanki.

Przez brudne, upstrzone muszymi kupami okno widział sąsiednią działkę, niemalże pustą, nie licząc kilku palet z pustakami oraz stert piachu, i następną, z bujnymi bukszpanami wzdłuż płotu. Między krzewami stała dziewczyna z naręczem kwiatów i wpatrywała się intensywnie w altanę szambiarza.

Krzywa grzywka. Szczupła twarz. Gniewne, niecierpliwe spojrzenie.

– Natalia – szepnął diabeł. – No to już wiem, skąd Łukasz zna tu wszystkie kąty.

Spojrzenie wiedźmy przylgnęło do jego pleców niczym mokry ręcznik i towarzyszyło mu, gdy wypadł z altany, umościł się na siedzeniu ciągnika i odpalił terkoczący silnik.

Hans wstał i chwiejnym krokiem udał się do toalety. Zygmunt odprowadził go wzrokiem, pokręcił głową i spojrzał na Łukasza, który popadł w pijackie odrętwienie i beznamiętnie przewijał Facebooka na telefonie.

– A ten to właściwie skąd się tu wziął? – spytał.

– Diabli nadali – odparł Łukasz i zarżał, rozbawiony własnym dowcipem. – A tak naprawdę to nie wiadomo. Przyłazi zawsze, gdy ktoś otworzy wujkową flachę, i znika po jej wy... ypiciu. I tyle. Wujek mówił, że to ma jakiś związek z czasem wojny. Wiesz, z partyzantką.

– Nikt mu nie powiedział, że już po wojnie?

– Tłumaczymy mu to za każdym razem, bo sporo, gnida, potrafi wychlać i trochę szkoda wody dla Niemca, ale ten tylko kiwa głową, uśmiecha się jak debil i powtarza: „Jawohl, das weiss ich schon”. Nie wiadomo nawet, gdzie mieszka, choć Rychu ob... obstawia bunkry koło starej leśniczówki. Twierdzi, że wali od niego podziemną wilgocia, a on się na takich spra... awach zna. Pieprzona czkawka. Jaro twierdzi, że to... to tylko projekcja transcedentalna, ale on jest pojebany. Za dużo siedzi w internecie, a potem nołlajfi.

– Co robi?

– Jak by ci to... – Łukasz zamrugał oczami i zamachał dłońmi, jakby łapał właściwe słowa, ale tylko wypuścił powietrze. – No, nieważne. Kie... edy indziej ci opowiem.

– Nie lubisz tego Jaro, co? – spytał Zygmunt zaintrygowany.

– Nie, jest w porządku. – Łukasz bezwładnie machnął dłonią i sięgnął po papierosy. – Szkoda tylko, że udaje nie wiadomo kogo. Wszy... ystkich to wkurwia. Nawet mnie. A przecież wystarczy spojrzeć, by wiedzieć, że to biu... urwa. Bankowa.

– Bankowa?

– W banku robi. W be-pe-gie. Banku Przyszłości Gminnej. Koło apteki.

– Aha. Ty wiesz, przypomniało mi się coś. Muszę jeszcze wydrukować parę rzeczy z mojej bazy danych.

Ze wszystkich zadań, których diabeł podejmował się na ziemskim padole, jazda traktorem z cysterną pełną szamba okazała się najtrudniejszym wyzwaniem. Manualna część zadania nie nastęczała mu żadnych trudności – nauczył się prowadzić pojazdy mechaniczne podczas swojej ostatniej wizyty

na ziemi trzydzieści lat temu, a wszystko wskazywało na to, że ciągnik pochodził z tej właśnie epoki – ale psychiczne niedogodności okazały się trudne do zniesienia. Na króciutkiej trasie pomiędzy ROD-em „Błogość” a wypluckim rynkiem wyprzedziło go w sumie czterdzieści osiem pojazdów, w tym rzeżący autobus PKS-u i szorujący zderzakiem o nawierzchnię cinquecento z nadrukiem pizzerii. Co drugi kierowca obrzucił go wzgardliwym spojrzeniem, a co trzeci nacisnął parokrotnie klakson lub przynajmniej pogroził mu pięścią. Zygmunt, u którego cierpliwość nie należała do najmocniejszych stron, kłął, czerwieniał i podskakiwał ze złości.

W końcu zaparkował przed budynkiem Urzędu Miasta i Gminy i wyskoczył z kabiny. Przez moment łąpczywie wdychał chłodne jesienne powietrze, a potem popędził ku aptece, za którą ciągnął się upstrzony kolorowymi plakatami front agencji bankowej. Obejrzał zdjęcia rozpromienionych kobiet, błyszczących samochodów i złocistych plaż opatrzone kilkuzerowymi liczbami, symbolami procenta i wykrzyknikami, westchnął z podziwu nad ludzką przedsiębiorczością i wniknął do środka.

Wnętrze agencji powitało go klekotem klawiatur, brzęczeniem zapomnianego radia oraz wonią kurzu, papieru i perfum udających drogie.

– Witamy w be-pe-gie! – powitała go z entuzjazmem dziewczyna przy pierwszym biurku. Jeśli poruszył ją strój diabła, w żaden sposób nie dała tego po sobie poznać. – Co możemy dla pana zrobić? Mamy w promocji pożyczkę z najniższym możliwym oprocentowaniem przy...

– Ja do tego pana! – odezwał się diabeł z uśmiechem, który odebrał dziewczynie śmiałość, i wskazał skupionego, pochylonego nad klawiaturą Jaro.

– Czołem! – szepnął cicho, podszedłszy do jego biurka, i usiadł z rozmachem na fotelu.

Jaro był tak wystraszony, że przez chwilę nie potrafił wykrztusić słowa.

– Hej, to ja! – Zygmunt pstryknął mu palcami przed nosem. – Prawdziwy ja, nie żadna projekcja transcendentalna. Jaro, jesteś tu?

Spojrzał na plakietkę przypiętą do kieszeni firmowej koszuli, na której czarnymi literami napisane było: „Brajan Jaroszek, doradca klienta”.

– No, to przynajmniej wiem, dlaczego mówią na ciebie Jaro – mruknął diabeł. – Słuchaj, interes mam.

– Jaki interes? – odezwał się Jaro głosem piskliwym ze zdenerwowania. Dziewczyna przy wejściu spojrzała na niego badawczo. – Pożyczkę chcesz wziąć? Sorry, ale na gębę to nawet Piniewski nie daje!

Zygmunt uśmiechnął się szeroko.

– Wyluzuj, Jaro – szepnął cicho, hipnotycznie. Jego oczy wydawały się powiększać, a odgłosy dookoła przestawały mieć znaczenie. – Tylko wyluzuj. Chciałem ci coś pokazać.

Podsunał kartkę papieru oniemiałemu doradcy klienta, a ten natychmiast ją podniósł.

– Psst! – szepnął diabeł. – Nie teraz. Poczytasz sobie w domu. Lepiej, żeby nikt z twoich kolegów tego nie widział.

– Czemu? – wykrztusił Jaro.

– Bo to twoja droga ku gwiazdom. – Zygmunt uśmiechnął się, wstając. – Opracowany w szczegółach projekt umowy pożyczkowej, która jest, że pojadę klasykiem, szatańsko sprytna. I bardzo dochodowa dla instytucji finansowych. Jeśli dobrze to rozegrasz, Jaro, awans i biurko w lepszym mieście masz jak w banku. O, znów klasyk.

– A co za to? – Jaroszek zmarszczył brwi, nagle nabrawszy odwagi. – Duszę mi zabierzesz?

– Bez względu na to, czy projekt wypali, czy nie – diabeł postukał palcem w papier – duszę zatrzymasz. Potraktuj to jako dodatkowe świadczenia pracownicze na kolejnych szczeblach kariery.

– Długo nie wraca – zadumał się Łukasz. Płyta Dimmu Borgir skończyła się i w mieszkaniu do głosu doszły inne dźwięki. Brzęczała lodówka, coś bulgotało w kaloryferze, gdzieś mamrotał lektor serialu obyczajowego, gdzieś trzasnęły drzwi.

Zygmunt, który porządkował wydruki, uniósł głowę. W tej samej chwili z łazienki dobiegło stłumione przekleństwo po niemiecku, a potem seria torsji zakończona gwałtownym pluskiem.

– Mam nadzieję, że mi podło... ogi nie zafajda. – Łukasz nie mógł pozbyć się czkawki.

– To Niemiec. – Diabeł zakończył porządkowanie i wstał. Ku swemu zadowoleniu odkrył, że krok ma nieco chwiejny, a w głowie odczuwa lekki szum, na który zresztą mógł już sobie pozwolić. Plan na jutrzejszy, decydujący dzień miał gotowy. – Wszystko precyzyjnie trafi do kibelka. To co, strzelimy jeszcze po jednym?

– A dawaj.

Unieśli kieliszki, przechylili je. Zapach świętej trawy, smalcu ze skwarkami, suszonych grzybków i jeziornej wody.

– Wujek Czesio sam to pędzi? – Zachwycony diabeł mlasnął językiem.

– Pewnie. – Łukasz bezwiednie sięgnął po papierosa i zapalił. – Człowieku, myślisz, że w sklepie dostałbyś coś takiego? Każda flacha jest inna. Ech, gdyby nie to, już dawno opu... uściłbym to miasto. – Zamachał ręką z papierosem, rozsiewając dym w powietrzu. – Wiesz, wsiądź do pociągu byle jakiego...

Czkawka litościwie przerwała fałszowany utwór.

– Gdyby nie wódka?

– Nie. Gdyby nie wujek. I inne sekrety tej choleralnej dziury. Wiesz, mój gród. I inne rzeczy.

– Jakie? Nie masz chyba na myśli Hansa? – Diabeł wskazał drzwi do toalety, zza których dobiegały odgłosy drugiej serii torsji.

– A czemu nie? – Łukasz uśmiechnął się rozanielony. – Czasem mam wrażenie, że żyję w jakimś odcinku Archiwum X. Że wszystko jest nudne i... i pojebane, ale mimo to warto, bo tylko ty wiesz o czymś niezwykłym.

– O czym? – Zygmunt zmrużył oczy. Nie chciał, by nauczyciela zaalarmował ich hipnotyczny błysk.

– O tych ulicach, które prowadzą nie tam, gdzie powinny, to już wiesz. – Łukasz podniósł się i podszedł do półki. Strącił kilka kartek, przewrócił rząd książek, ale wydobył pomięty plan miasta, który z rozmachem rozłożył przed nieruchomym diabłem. – Patrz, tu jest zaplecze Dyżurnej. Nikt poza naszą garstką nie wie, że można... można się tędy w parę sekund doszstać do szkoły. Która jest zresztą tu!

– Wbił paluch w odpowiednie miejsce. – Są jeszcze dwa skróty, o tu i chyba tu. A tu jest zabity dechami sklep, który zawsze był nie... czynny i nikt nie wie, co w nim sprzedawano. Kogo zapytasz, powie ci co innego.

– Rzeczywiście, fascynujące.

– Tu, przy cmentarzu, rośnie mała wierzba z dziuplą w kształcie... Eee... Macie w Piekło kobiety? – zacukał się Łukasz i spojrzął z zaciekawieniem na diabła.

– Mamy.

– No to kształt ci się spodoba... – Nauczyciel zamilkł, jakby niespodziewanie naszło go gorzkie, mroczne wspomnienie, ale zaraz odzyskał nastrój. – Nieważne. W każdym razie mieszka w niej jakieś lichy, które pluje na ludzi. Zawsze na pojedynczych przechodniów, przez co ludziom głupio o tym mówić i nikt tego nigdy nie zbadał.

– A ty?

– Zbadałem. Opluł mnie i wyzwał od chujów zbolatych. A tu jest klub wędkarski i pomost. Czassami, jak po jeziorze idzie mgła, słysząc jakieś pokrzykiwania w nieznanym języku, czasem rzenie koni, szczęk oręża i inne takie.

– Słyszałeś?

– Słyszałem. Koło fryzjera jest z kolei skrzynka na listy, do której ktoś czasem wrzuca listy za... zaadresowane w innym języku. Wracają potem do pani Halinki, bo nikt nie wie, dokąd je dostarczyć, a ona wywala je do kosza. Po co ma sobie głowę zawracać, no nie? Widziałem je kiedyś, piękne litery, jak przedwojenny gotyk, ale za cholere nie umiałem przeczytać. Ale to jeszcze nie jest najlepsze.

– Nie? A co?

Łukasz pochylił się w stronę diabła, wbił w niego wzrok i oznajmił cichym, mrocznym tonem:

– Są chwile, kiedy z tego miasta nie da ssię wyjechać.

– No, teraz to już mnie przeraziłeś.

– Serio mówię! – Łukasz potrząsnął głową. – Wiesz, raz, dwa razy na miesiąc pokrywają się dziury w rozkładzie jazdy PKP i PKS. Wtedy pozostaje ci tylko sa... amochód. O ile go masz, rzecz jasna. – Znów spochmurniał na moment. – Tylko że też nie wy... yjedziesz. A to szlaban opadnie bez powodu na godzinę, a to ktoś barierkę ustawi, że niby roboty drogowe, a to gumę złapiesz. Rychu mówi, że kiedyś jechał do Szczezui, a droga za... aprowadziła go w to samo miejsce, z którego wyjechał.

– Fajna historia.

– Ale prawdziwa! – zaciętrzewił się Łukasz, którego wódka uwrażliwiła na sarkastyczny ton diabła. – Co nie, Hans? – spytał Niemca, który właśnie wrócił z toalety, blady, ale uśmiechnięty, z plamami wilgoci na mundurze. – Prawdę mówię?

Feldfebel z niedowierzaniem podniósł pustą butelkę i obejrzał ją pod światło.

– Wer hat das alles getrunken? Könnten sie nicht ein wenig warten? – spytał z wyrzutem.

– Wódeczkę, jak widzisz, diabli wzięli – Łukasz pokiwał głową, a potem wycelował palcem w Zygmunta. – A historie są prawdziwe. Wszy... wszystkie. Nie wierzysz, to spytaj wujka.

Drogę do sklepu wujka Czesia w suterenie za nieczynnym kioskiem z blaknącymi czasopismami znali zapewne tylko nieliczni. Mało kto byłby w stanie odczytać wymalowany kilka dekad temu spłowiwały napis „Artykuły akwarystyczne” nad odrapanymi drzwiami. Mało kto też znalazłby w sobie tyle zdecydowania, by wkroczyć w rozlewający się za nimi półmrok, rozświetlany rzędami plam żółtego światła. Ciche szmery i bulgoty oraz postać barczystego mężczyzny o zamazanych rysach twarzy za ladą

przywodziły bowiem na myśl przedsiónek piekła.

Zygmunt tym chętniej zbiegł po schodkach i z zachwytem rozejrzał się dookoła.

– Co dla pana? – zagrział wujek Czesiu, ale zaraz się skrzywił burknął: – O, to ty. Jak idzie?

– Średnio – ocenił diabeł, wpatrzony w stadka trzepoczących płetwami rybek tłoczących się w kątach akwariów. Potem przeniósł wzrok na klatki z ptaszkami ustawione przy zakurzonej okienku pod sufitem i przyklęknął, by przyjrzeć się chomikom, królikom i szczurom drzemającym wśród trocin i słomy.

– Dzisiaj się okaże – dodał po chwili. Wsunął palec przez szczeble klatki i trącił zagrzebanego szczurka, który uniósł zaspany pyszczek i spojrzał na niego. – Ile kosztuje ten tutaj? – zapytał.

– Nie na sprzedaż – oznajmił sucho wujek. – Spożywczy masz po drugiej stronie ulicy. Gdzie jest Łukasz?

– Na L4. Odsypia wujkową flachę.

– A więc tak się go pozbyłeś? – Czesio zmarszczył brwi, gęste i krzaczaste, zrastające się w jedną linię. Choć zdanie brzmiało banalnie, kryło się w nim ostrzeżenie.

– Nie, skąd – rzekł diabeł. – Pomaga mi we wszystkim. Porządny chłopak. A ja... – Podniósł się i wytarł rękę o spodnie. – A ja przyszedłem tutaj właściwie nie w sprawie szczura. Nie lubię dziczyzny. Chodzi mi bardziej o tajemnice Wyplut.

Wujek Czesław z sapnięciem opadł na krzesło za ladą zastawioną środkami do higieny dla psów i kotów. Podniósł szklanekę ze spodeczka i upił łyk parującej kawy.

– A o które – odezwał się powoli – tajemnice ci chodzi? Przypadkiem nie o takie, które pozwoliłyby ci złapać więcej dusz? Dowieźć lepszy wynik w tej twojej korporacji?

– I tak, i nie – westchnął Zygmunt.

Wuj znów zmarszczył brwi, zaskoczony szczerością diabła. Któryś z ptaków zaświstał z oburzeniem.

– Łukasz mi trochę wczoraj opowiedział – wyjaśnił diabeł. – Zaintrygowało mnie to, nie powiem.

– Nic dziwnego. – Wuj Czesław pokiwał głową. – Wszak nie od dziś mówią, że ciekawość to pierwszy stopień do piekła. Posłuchaj, Zyguś. – Podniósł się. – Pozwoliłem ci kłusować na moim terenie, bo mieszkającym tu ludziom przyda się nieco ożywienia. Jeśli zamiast ożywienia miałyby być wstrząs, też

nie mam nic przeciwko. Ale tego, co najcenniejsze, ci nie oddam.

– Tajemnic? To one są najcenniejsze? – zdziwił się diabeł.

– Tak. – Czesław usiadł. – Bo to jedyne, co przetrwało z czasów, kiedy... Kiedy było inaczej. Lepiej. Nie spodziewam się, byś to zrozumiał.

– Rozumiem. – Diabeł skinął głową. – Kiedyś było lepiej.

Z tymi słowami skierował się w stronę wyjścia.

– Uważaj na niego, dobra? – odezwał się wujek Czesław z czeluści bulgoczącego sklepu. – Na Łukasza. Bo to naprawdę porządny chłopak.

Zygmunt pokiwał głową i skierował się na rynek.

– Kiedyś było lepiej – powtórzył cicho, podchodząc do ciągnika zaparkowanego w bocznej uliczce przy Urzędzie Miasta i Gminy. Uruchomił kamuflaż, odkręcił zawór i znikł, pozostawiając za sobą chlupoczącą strugę.

Kilkanaście kroków później usłyszał alarmujący pisk. Zaskoczony, podniósł frustrometr i uświadomił sobie, że bateria grozi rozładowaniem.

„A ładowarka została w hotelu – przypomniał sobie. – Na szczęście, jeśli wszystko pójdzie dobrze, kamuflaż nie będzie mi już jutro potrzebny”.

O ile wszystko pójdzie dobrze.

Trzasnęły drzwi za Hansem.

– Obraził się? – spytał diabeł i najpierw oblizał szyjkę butelki, a potem wepchnął w nią nadludzko długi język, usiłując wydobyć resztki smaku świętej trawy, smalcu ze skwarkami, suszonych grzybków i jeziornej wody. Naraz przypomniał sobie, że ludzie nie przepadają za oglądaniem niektórych elementów czarnej anatomii, i zerknął na Łukasza, ale ten siedział nieruchomo i wpatrywał się w drzwi.

– Nie – odparł nauczyciel z wysiłkiem, jakby wyczołgiwał się z bagna. – Nie. Otworzysz kolejną flaszkę, to przylezie. Chcesz jeszcze kielicha?

Usiłował mówić wesołym, swobodnym tonem, ale jego oczy przygasty, zasnute bezbrzeżnym żalem.

„Widział już zamykające się drzwi tego mieszkania – uświadomił sobie diabeł. – Niedawno”.

– Czemu ona odeszła? – spytał.

– Bo szukała w życiu kogoś, na kim będzie się mogła oprzeć, człowieku – oznajmił Łukasz wyraźnie, z gniewem, jakby nagle wytrzeźwiał. – A nie jęczącego intelektualisty z problemami egzystencjalnymi, który sam szuka pomocy. Cud, że sam ze sobą wytrzymuję. To chyba właśnie dlatego, wbrew wszelkiej logice,

trzymam z tobą. Bo mam nadzieję, że wydarzy się coś, dzięki czemu przekroczę samego siebie i stanę się kimś innym. Lepszym. Nie, kurwa, ja muszę się napić.

– Wiesz, co jest zabawne? – rzucił zamyślony diabeł.

– Nie – burknął Łukasz, który zanurkował do lodówki w poszukiwaniu kolejnej butelki.

– Powiedziałaś do mnie „człowieku”. Już dwa razy.

– To obelga?

– Nie. – Diabeł się zadumał. – Raczej ostrzeżenie. W każdym razie – wyprostował się – jutro wieczorem ujrzysz coś, co pomogłeś mi przygotować. Być może to cię zmieni. Może natchnie.

– Pierdolenie. Są jeszcze ogórki?

– Dwa.

– Styknie. – Łukasz z wprawą odbił butelkę łokciem. – To kupna, więc gorsza od wujkowej, ale grunt, żeby siekła.

„Siekła – pomyślał diabeł, siedząc na gzymsie wieży kościelnej. – I to jeszcze jak”.

Odpędził wspomnienie drugiej połowy imprezy w mieszkaniu Łukasza, niestety pozbawionej głębszej treści merytorycznej, a także, o ile diabeł dobrze pamiętał, zdań wielokrotnie złożonych. Po trzeciej kolejce obu uczestników zajmowało już głównie utrzymanie treści w żołądkach, jednak obaj ulegli uwarunkowaniom fizycznym, Łukasz w zlewie kuchennym, a Zygmunt wśród zwiędłych pelargonii.

Potem była już noc, nieprzyjemna i dusząca.

„Napiłbym się, cholera, kawy – myślał diabeł. – Porządnej, aromatycznej kawy z ekspresu. Nie tego rozpuszczalnego łajna czy tej sypanej brei, po której pluję fusami przez resztę dnia. Kawy, normalnej, ludzkiej kawy”.

Ludzkiej.

Uczestnicy szkoleń głośno i otwarcie narzekali na to, że dwa tygodnie to za mało, by zbudować porządną intrygę i nałowić dusz, ale szkoleniowcy podawali gromadzone przez lata statystyki, z których niezmiennie wynikało, że po czternastu dniach pobytu na ziemi diabeł zaczyna przejmować słabości od ludzi. Innymi słowy, człowieczeje. Parszywieje. Przechodzi dediabolizację. Zygmunt, który wraz z wieloma innymi na ziemi już bywał, śmiał się głośno z tych obostrzeń, na co szkoleniowcy cierpliwie odpowiadali, że społeczeństwa ludzkie zmieniają się gwałtownie i pokus przybywa z każdą

chwilą.

– Trzeba przyznać, że tak dobrej kawy nie piłem nigdy wcześniej – mruknął zamyślony Zygmunt. – Może coś w tym jest.

Na razie musiał mu jednak wystarczyć chłodny, orzeźwiający powiew wiatru znad lasów ciemniejących daleko za ostatnimi światłami Wyplut. Gdzieś na niebie migotało czerwone oko samolotu, wśród pomroczyńskiego krajobrazu pełzła oświetlona gąsienica pociągu, gdzieś sunęły rzędem samochody. Uwaga diabła, skulonego na blaszanym gzymsie na podobieństwo zapomnianego gargulca, skupiała się całkowicie na rynku poniżej, na którym od kilku godzin działały się sceny dantejskie.

Z fascynacją patrzył na rozlewające się po bocznych uliczkach nieczystości, zatraskiwane drzwi i wściekłe przekleństwa rzucane przez przechodniów, zwłaszcza tych, którzy przez przypadek znaleźli się zbyt blisko brnącego przez breję samochodu. Smród, który dolatywał aż na wysokość wieży kościelnej, spowodował przyspieszoną ewakuację pracowników Urzędu Miasta i Gminy, ale w niczym nie osłabił furii licznej delegacji użytkowników ROD-u „Błogość”, która nadeszła z przygotowanymi naprędce transparentami i pieśnią na ustach. Działkowcy obrzucili kakofonicznym stekiem bluzgów wyludniony już urząd, po czym zakrzyczeli policjanta usiłującego nakłonić ich, by się rozeszli, skandowali przez jakiś czas hasła antyurzędowe, a później obwieścili, że nie ruszą się z rynku, dopóki nie spotka się z nimi burmistrz.

Od tej chwili upłynęły już dwie godziny i nad dachami Wyplut rozciągnęła się noc. Tłum protestujących działkowiczów, opromieniony blaskiem latarni, przeredził się, ale pozostali, wzmocnieni bliskością Oazy i własnym gniewem, trwali na posterunku. Od czasu do czasu wznosili hasła, przemieszczali się pod kościół, by zaintonować jękliwą pieśń, bądź darli się na człowieka z pompą, który powoli, cierpliwie usuwał nieczystości z uliczek. W metalowym koszu na śmieci płonęły papiery, dym snuł się nisko, oplatał wierzbę. Po chodnikach przemykały grupy czujnej młodzieży, skądś dobiegał piskliwy głos pani Krzyżaniak. Miejscowi menele to gapili się na protestujących, to znów rządzili o czymś we własnym gronie.

Zadzwoił telefon. Zygmunt wyjął go z kieszeni.

– Czołem, Łuki. Gdzie jesteś?

– Niedaleko Dyżurnej. – Głos nauczyciela, choć od libacji minęło już wiele godzin, nadal był niewyraźny. – Mam tego twojego cholernego laptopa. Czemu on jest taki ciężki?

– Bo to sprzęt z Piekła rodem – prychnął diabeł. – Poczekaj, zaraz u ciebie będę.

Podniósł się, rozprostował i wlażł przez okno do pełnej przeciągów dzwonnicy, gdzie uruchomił kamuflaż. Zbiegł po schodkach na dół, pchnął drzwi i znieruchomiał, usłyszawszy wzmocnione echem szurające kroki kilku starszych osób.

– Chodźmy, chodźmy – nakłaniał ksiądz dobrotliwym głosem. – Chodźmy, drogie panie. Później posprzątaacie resztę. Przemówię do tych ludzi, może przestaną robić zbiegowisko!

– Słusznie, proszę księdza, słusznie! – Starsze panie kiwały głowami i tłoczyły się przy wejściu za wychodzącym księdzem. Huknęły drzwi.

Zygmunt wyślizgnął się w ślad za wiernymi i podbiegł do Łukasza, który stał za rogiem Dyżurnej i z niechęcią przyglądał się zbiegowisku.

– Niezłe jaja, co? – szepnął diabeł do człowieka.

Ten mruknął coś niezobowiązująco i oddał mu laptopa, a Zygmunt postawił go między nogami obok teczki.

– Rozejdźcie się! – mówił ksiądz, unosząc dłonie. Płomienie buchające z kosza na śmieci odbijały się w jego okrągłych okularach. – Rozejdźcie się, kochani, albo chodźcie do kościoła. Chodźcie, zapraszam was!

Działkowicze nieco złagodnieli w przytomności księdza. Kilku wbiło wzrok w czubki crocsów, inni wyraźnie stracili rezon, ktoś schował się za plecami reszty i udawał, że go nie ma.

– Ale jakże to tak, ojciec przewielebny! – Pani Mariolka załamała ręce. – Jakże to tak? Działki chcą nam zniszczyć! Ustawę jakąś przyczepili...

– Na pewno nikt nie chce was skrzywdzić, dzieci moje! – prawił ksiądz głosem pełnym miłosierdzia i zerknął na oświetloną od środka Dyżurną.

Diabeł również spojrzał w tę stronę i dostrzegł Natalię, która chodziła wzdłuż ustawionych w podkowę stołów i wsuwała kwiaty do wazoników.

– Ale nie wolno tak się gromadzić, krzyczeć, wygrażać. Przecież pan burmistrz Piotr to cierpliwy człowiek i mądry jak święty, po którym wziął imię...

– Ale szambo będę musiała wybetonować! – Halinka zatrzęsała się ze złości. – Od kiedy komu przeszkadza takie normalne?

– Panie drogie, ale w spokoju rozmawiajmy... – Ksiądz znów zerknął na restaurację, przed którą parkowały już pierwsze samochody, opływowe i błyszczące. Wsiadający z nich ludzie, mężczyźni w garniturach i kobiety w wieczorowych kreacjach, głośnymi przekleństwami kwitowali smród wiszący w powietrzu i pospiesznie ruszali w stronę Dyżurnej, zerkając po drodze na niespokojne zgromadzenie, kojone apelem księdza.

– Nie wiem, coś ty sobie zaplanował, Zyg – syknął Łukasz – ale wygląda

mi na to, że proboszcz dobrodziej zaraz ci rewolucję rozwali.

– Poczekaj tylko... – Zygmunt złośliwie zmrużył oczy. – To nie impreza, tylko wyreżyserowany spektakl.

Tłum na rynku gęstniał. Wierni ciągnący na wieczorną mszę zatrzymywali się i z podziwem wpatrywali w księdza, który przemawiał z uniesieniem, przerywanym jedynie nerwowymi zerknięciami na restaurację.

– Widzisz te krzaki? – Diabeł pokazał kępy uschłego bzu niedaleko wierzby. – Ej, Łukasz? Jesteś tu?

– Cicho bądź – mruknął tamten, skryty w cieniu. – Właśnie zauważyłem woźną. Jak dyra się dowie, że mam L4, a biegam po mieście...

Zygmunt spojrział za siebie. W istocie, chodnikiem nadciągała woźna w asyście dwóch zasłuchanych koleżanek.

– Do tej pory otrząsnąć się nie mogę! – perorowała. – Wchodzę do dyżurki, patrzę na ścianę, a tam pisze: „U ciebie też byłem. Diabeł”. Nikt nie wchodził, przysięgam. Myślałam, że to któryś z tych debili z trzeciej H, wiecie panie, z tych, co prezerwatywy nadmuchują i po drzewach wieszają, ale dzisiaj praktyki mieli...

Pozostałe panie potakiwały i kręciły głowami z niedowierzaniem. Diabeł odrzucił głowę i parsknął śmiechem, a potem uniósł rękę, jakby chciał wykonać zamaszysty ukłon. Łukasz złapał go za ramię i wciągnął do swojego kąta.

– Przestań się wydurniać! – syknął mu do ucha. – I znowu, kurwa, to samo! Ty niebawem stąd znikniesz, ale ja będę musiał dalej tu żyć!

– Puszczaj! – Diabeł uwolnił się kuksańcem. – Chcesz siedzieć w tej dziurze, to siedź i popilnuj mi bambetli. To moje przedstawienie i nie chcę stracić ani chwili.

Przemknął za plecami starszych pań i przycupnął na ławeczce, poruszając energicznie stopami, jakby w każdej chwili chciał się zerwać do biegu.

– Rozejdźcie się, dobrzy ludzie, bo nie wypada krzyczeć po nocy! – Ksiądz koił coraz spokojniejszy tłum, który przytakiwał coraz zgodniej i pomrukiwał niegroźnie. – Chodźcie ze mną, a...

Niespodziewanie zaszeleściły krzaki bzu niedaleko wierzby i wyłonił się z nich rozczochrany Stanisław z ogniem w oczach.

– Święta Donato! – wychrypiał. – Objawiłaś mi się!

W tłumie momentalnie zawrzało. Oburzony ksiądz szedł ku menelowi, który rozpoczął obłąkańczy płas i umykał usiłującemu go złapać duchownemu, za którym kroczyła gromada najwierniejszych spośród wiernych. Gniewnymi wrzaskami usiłowała przemówić szaleńcowi do

rozumu, a pozostali szumieli ze wzburzeniem – ktoś krzyczał, że już dawno miała rozpocząć się msza, ktoś inny głośno wyrzekał na porządki w mieście, jeszcze ktoś powrócił do przeklinania burmistrza. Przed Dyżurną parkowała wielka srebrna toyota.

Diabeł piszczał, tupał i bił brawo.

– To twoja robota? – Łukasz przysiadł się do niego, nieco zdyszany. Jego wahanie znikło, zastąpione ożywieniem.

– Od początku do końca! – odparł rozpromieniony diabeł.

Znów rozległy się wrzaski, tym razem z przeciwległej strony rynku. Chłopak w dresie śmigał chodnikiem w takim tempie, że pęd zerwał mu czapkę z głowy. Ta potoczyła się po ziemi, rozdeptana przez ścigającą go panią Grażynkę, która przeistoczyła się w rozpędzony tajfun.

– Ja ci, kurwa, dam! – charczała. – Ja ci dam, ty siurku jeden niedomyty!

Chłopak odwrócił się za siebie i przyspieszył jeszcze bardziej, przerażony tym, co ujrzał.

– Oto Beton! – Diabeł wskazał uciekiniera obiema dłońmi. – Ksywa sugeruje raczej deficyt intelektualny, a tymczasem jako jedyny pomyślał o przyszłości i zażyczył sobie klucza na zaplecze Oazy, gdzie trzymana jest kasetka z forszą i co lepsze trunki. Seba dla przykładu poprosił o jakąś grę, a Mati o dmuchaną lalę...

– Zażyczył sobie? Poprosił? – pytał zdziwiony Łukasz.

– Rozdałem tym przemiłym chłopcom prezenty z mojej teczuszki w zamian za pewną przysługę. A nawiasem mówiąc – diabeł spojrzał na nauczyciela i zmrużył oczy – gdzie są moje rzeczy?

– Tu! – warknął Łukasz i pokazał walizkę oraz laptopa, stojące między jego nogami. – Ciężkie jak cholera! Co ty sobie myślisz? Że będę twoim bagażowym?

– A zagadasz do Krzyżaniak? – podekscytowany diabeł wskazał katechetkę, która śledziła wzrokiem ucieczkę Betona i mamrotała jakąś modlitwę, powtarzaną przez grupę czujnych gimnazjalistek. Towarzyszący im Uszol, uzbrojony w rurkę od namiotu i krucyfiks, huknął radośnie, widząc ucieczkę kompana, ale zreflektował się i pokornie dołączył do mamrotania psalmu.

– Nie – zdecydował Łukasz po chwili namysłu.

– To pilnuj bambetli – rzucił diabeł.

W kilku susach wpadł w krucjatową gromadkę, roztrącił oszołomione dziewczęta i pochylił się nad ramieniem katechetki:

– Bądź czujna, obrończyni prawości! – szepnął jej do ucha. – Kilka chwil temu widziałem niejakiego Mateusza Baraniaka, który wchodził do bramy

obok fryzjera z dmuchaną lalą, ewidentnie celem popełnienia grzechu nierządu!

Katechetka gwałtownie odwróciła ku niemu głowę. W jej oczach błyszczał szal bojowy, usta wykrzywił nienawistny grymas, na policzkach zapalały krwiste rumieńce.

– Diabeł! – szepnęła. – Diabeł! – powtórzyła głośniej.

– Diabeł! – huknęła jej świta.

– Diabeł! – Zygmunt klasnął w dłonie z zachwytem.

Rozejrzał się dookoła. Ksiądz zdołał już obezwładnić obłąkanego czciciela świętej Donaty dzięki wydatnej pomocy Siwego, który złapał Stanisława za rękę, unieruchomił ją i szeptał mu coś do ucha. Wierni kibicowali proboszczowi, inni nie przestawali krzyczeć. Gdzieś zapłonął drugi kosz na śmieci, zalewając rynek migotliwym, niemalże piekielnym blaskiem. Ulicą przemknął policyjny polonez na sygnale i skręcił w uliczkę, w której przed momentem znikli Beton i ścigająca go Grażyna. Trzy sekundy później rozległ się głuchy trzask i brzęk tłuczonej szyby.

– Super! – stęknął diabeł i złapał kawał bruku.

Cisnął go w najbliższą szybę, znów skoczył w tłum i skrył się za plecami dwóch roślących, woniejących wódką budowlańców, którzy powiększali zamieszanie, rycząc pieśń o sokołach. Jego wprawne oko zarejestrowało zatraskiwane drzwi srebrnej toyoty i gigantyczne brzuszysko Przemysława Kacprzaka, który brnął przez tłum niczym lodołamacz. Po drugiej stronie rynku zaparkowało z piskiem opon długie, smukłe BMW, wzbudzając chrapliwe przekleństwa grupki pijaków, którzy zerwali się jak cietrzewie spłoszone blaskiem reflektorów.

– Hola, co tu się dzieje? – huczał Kacprzak i rozgarniał ludzi potężnymi łapskami. Połyskiwała złota bransoleta, łopotwały poły drogiej marynarki. – Co tu się dzieje? Księżę proboszczu, co tu się stało?

– Nic takiego, Przemysławie drogi, nic takiego! – Proboszcz ocierał pot czoła i drżącą ręką wykonywał znak krzyża, ale w jego głosie już zadźwięczała stal. – Pobłądził nieborak, zgrzeszył. Bądźże taki dobry i zadzwoń po komisarza, tego... no, Waldemara! Niechże aresztuje tego tu człowieka!

Skinął z pogardą na Stanisława, którego Siwy przygniótł do ziemi.

– Niech się wujek ogarnie! – szeptał Siwy do ucha półprzytomnemu menelowi. – O zawiasach wujek zapomniał? Co ja ciotce, kurwa, powiem?

– Święta Donato, dopomóż... – bełkotał Stanisław i toczył pianę z ust.

– Już dzwonię! – Wstrząśnięty Kacprzak wyciągnął telefon z kieszeni

i walił grubymi paluchami w ekran dotykowy. – Jak Boga kocham, co za rozwałka. Nic się księdzu nie stało?

– Przemek! – Wrzawę przeciął przeraźliwy kobiecy głos.

Wielu zebranych, w tym i Zygmunt, spojrzało w tamtą stronę. Gizela Kacprzak, w migotliwych butach na akrobatycznie wysokich obcasach i kusej sukience z cętkami lamparta, stała na schodach prowadzących do Dyżurnej.

– Przemek, tu śmierdzi! Ładne mi, kurwa, urodziny!

– Już! Już! – Kacprzak przycisnęła telefon do ogromnego ucha. – Już idę! Ksiądz wybaczy mojej żonce! Jak zobaczy prezent, to jej minie, na pewno! Niech ksiądz drogi pamięta, że jest zaproszony po mszy...

– Ja pamiętam, ale...

– Kacprzak! – W powietrzu zawibrował wrzask równie przeszywający jak krzyk Gizeli. – Ty chuju!

Bestia zamierzył się dłonią zakutą w kastet i zmiażdżył telefon przyciśnięty do policzka biznesmena. Z drugiej strony wypadł Miras, który wbił mu pięść w brzuch. Kacprzak zaryczał jak raniony żubr, potężnym ciosem posłał Mirasa w tłum działkowców, drugim, przeznaczonym dla Bestii, przypadkiem zgarnął Siwego, a ten, mocno oszołomiony, grzmotnął w głowę najbliższego człowieka, którym okazał się mąż pani Mariolki z ROD-u „Błogość”.

– Przemek! – darła się Gizela.

– Ratujcie księdza!

Jak spod ziemi wyrósł Romek, który z rozmachem wymierzył Kacprzakowi kopa, mrużąc z zawiścią coś o dwóch dychach. Po nim próbę podjął Albercik, ale chybił. Na Bestię wpadło dwóch ponurych działkowców, a Miras oberwał torebką starszej pani, której beret zjechał aż na wyrysowane pisakiem brwi. Gdzieś w tłumie mignął Rychu. Reszty Zygmunt już nie widział, bo padł na kolana i czołgał się między nogami ludzi, waląc pięścią w genitalia. Kilka sekund później wyrósł przy Mariolce i Halinie, obu rozochoconych, dopingujących uczestników starcia, i wskazał im drzwi restauracji.

– Tam siedzi! – syknął. – Tam siedzi burmistrz, gnida jedna! Wpieprza garmażerkę, podczas gdy my musimy walczyć o byt!

– Tam jest! – wrzasnęła Mariolka. – Za mną!

Zygmunt ujął za bary bezimiennego amatora tanich trunków i powoli, ostrożnie ułożył go na ziemi, a potem rozsiadł się na uwolnionej w ten sposób

ławce. Z zachwytem przyjrzał się zamkniętej na cztery spusty Oazie, w której miotła się wściekła jak osa Grażyna z telefonem przy uchu. Spojrzał na ciemną Dyżurną z wybitą szybą oraz na toyotę Kacprzaka, która padła ofiarą furii działkowców, rozczarowanych tym, że burmistrza wśród gości jednak nie było. Okruchy szkła mieniły się w blasku latarni, gdzieś migotały światła karetki pogotowia, ktoś nawoływał Bogusia, ktoś klął z werwą, ale bez konkretnego adresata. Kamienny Jezus spoglądał na Zygmunta z politowaniem.

– No co? – Diabeł wzruszył ramionami. – Ty robisz swoje, a ja swoje. To znaczy ty nic nie robisz.

Otworzył laptopa ze skrzypnięciem obudowy. Zamigotało logo Hellionu.

– Jesteś z siebie dumny? – spytał Łukasz, siadając ciężko obok diabła.

– Rzekłbym wręcz rozanielony! – mruknął wysłannik piekieł, ale po chwili zmarszczył brwi zaniepokojony. – Co się dzieje?

Odruchowo grzmotnął otwartą dłońią w komputer, ale tajemnicze ciągi liczb i liter, które zastygły w bezruchu kilka sekund temu, nawet nie drgnęły.

– Grzebałeś coś? – Diabeł spojrział z ukosa na człowieka.

– Otworzyłem go tylko raz! – westchnął Łukasz i odwrócił wzrok. – Mówiłem ci już. Wtedy, w przychodni. Nie wydziwiał, tylko zrestartuj.

Zygmunt wzruszył ramionami i wcisnął klawisz on/off. Laptop jęknął niczym udrecona dusza, a rzędy liter i cyfr rozpoczęły szaleńczą gonitwę. Myśli diabła śmigały w tym samym tempie.

„Radykalizacja nastrojów religijnych w miejscowości – wymieniał po raz dziesiąty. – Wciągnięcie zwierzchnika instytucji kościelnej w zwykłą bójkę. Doprowadzenie do konfliktu między dwoma najpotężniejszymi tuzami w mieście. Zwrócenie części ludności przeciwko władzy. Zniszczenie mienia na sporą sumę, uszkodzenia ciała u kilkunastu osób, aresztowania, a na sam koniec rozwalenie imprezy urodzinowej Gizeli Kacprzak. Tysiąc punktów jak nic. Kazimierz i Marian mogą mnie pod ogonem wachać”.

System operacyjny uruchamiał się przez wieczność.

Zastukały buty na obcasie, w zimnym, jesiennym powietrzu poniósł się zapach kawy.

Łukasz napiął mięśnie.

– No, no – powiedziała Natalia, siadając obok Zygmunta. Nie patrzyła na niego. W rękę miała tekturowy kubek z parującą kawą. – No, no – powtórzyła. – Zasłużyłeś sobie chyba na kawkę, Zyguś.

Diabeł ochoczo przyjął kubek z jej zimnych rąk.

– Ale super! – Mlasnął i oblizał się aż po nos. – Dzięki. Nie gniewasz się

o tę szybę? – spytał pospiesznie, wskazując ziejące mrokiem okno Dyżurnej.

– Nie, coś ty. Mamy ubezpieczenie.

Łukasz odwrócił głowę.

Zygmunt siorbnął gorącego płynu. Kawa w istocie smakowała wybornie niczym napój wiecznej młodości, wręczany bohaterom na koniec dramatycznej wyprawy.

Literki i cyfry zakończyły swój dziki płas, pojawiło się logo, ale znikło szybko, o wiele za szybko. Na ekranie wykwitł napis w ostrzegawczo czerwonej ramce.

„Wykryto infiltrację systemu. Kod dostępu zdezaktualizowany. Misja uznana za zakończoną”.

Zygmunt wpatrywał się w słowa do chwili, gdy te zaczęły się rozplýwać. Poderwał głowę, rozejrzał się, tknięty straszliwym przecuciem, ale twarz Łukasza, wyraźna przed chwilą, była teraz rozmazana, odległa. Skądś wynurzył się Jaro, zawołał coś, zamachał ręką, Łukasz podniósł się powoli, rzucił coś przez ramię, popłynął ku niemu. Diabeł otworzył usta, chciał go zatrzymać, chciał wyrzucić swe podejrzenia, swą wściekłość, ale ciąg słów zamienił się w bełkot.

Postać Łukasza się rozplýwała.

W ostatnim przeblýsku Zygmunt przypomniał sobie zimne oczy Natalii i jej słowa: „Czasem coś upichcę”.

Trzask spadającego na ziemię laptopa wydawał się dobiegać z innego wymiaru. Nastąła ciemność.

Dzień dziesiąty

Woda była zimna, nieprzejrzysta i przerażająca.

Diabeł miotał się jak szalony, targał ze wszystkich sił, ale coś trzymało go bez litości i się nie poddawało. Miotał się, walczył, wrzeszczał, ale woda zalewała mu usta, dławiła go, drwiła z jego wysiłków. Nie był w stanie się uwolnić. Tonął.

A może już utonął? Może już było po wszystkim?

Napierał, szalał, skupił wszystkie swe wysiłki na próbie uwolnienia się. Nie miał pojęcia, jak długo walczy, aż w końcu opadł z sił. Zwiśł nieruchomo w ciemnozielonej, przesywającej zimnej zawieszynie.

Coś zimnego – czyżby ryba? – musnęło jego czoło, wywołując kolejny atak furii. Nie chciał tu zginąć, nie chciał utonąć, nie chciał zostać pożarty przez ryby! Nie, za nic w świecie!

„Przecież – zamrugał niewidzącymi oczami – przecież ja nie mogę utonąć”.

Pierwsza trzeźwa myśl od chwili, gdy odzyskał przytomność w mętnej toni, niespodziewanie obudziła kolejne. Drgnął, ale już bez paniki, spokojniej. Próbował poruszyć jedną ręką, potem drugą, potem nogą, potem głową. Powoli, powolutku rekonstruował fakty.

Obwiązano go łańcuchem, najpierw na wysokości piersi, krępując ramiona, a potem w talii i niżej, wokół kolan, a następnie spięto łańcuch kłódką, którą wyczuwał prawą dłońią. Nie wiedział, do czego przymocowano sam łańcuch, ale odkrył, że biegnie w dół, do czegoś na dnie rzeki.

Tak, wrzucono go do rzeki, co do tego nie miał wątpliwości. Prąd podrywał go i unosił, podrzucał niczym zabawkę.

„Do rzeki – myślał gorączkowo diabeł. – To ten wodnik za tym stoi, Rychu. I Natalia...”.

A więc ten kubek kawy, który dziewczyna wręczyła mu na rynku, pod sam koniec przedstawienia...

„Czasami coś upichcę”.

„Odurzyła mnie! Co za suka! Nie spodobała się wybita szyba, co? Niech no wyleżę z tej brei, niech no się, kurwa, uwolnię, a pokażę tej wiedźmie, co...”.

Znieruchomiał, bo stanęła mu przed oczyma ostatnia rzecz, którą zobaczył na ekranie laptopa.

„Łukasz – przypomniał sobie sobie z narastającym przygnębieniem. – To na pewno on! Kilka razy pytałem, czy coś robił na moim kompie, a ten wykręcał

się od odpowiedzi! Na bank coś grzebał w systemie. Jakoś udało mu się złamać kod i... Zwrócili na mnie uwagę. Jestem spalony. Zdezaktywowany. Nie mam po co wracać do Piekła”.

Wisiał bezwładnie w nurcie rzeki, targany rytmicznie prądem. Nie miał już ochoty na walkę. Nie widział sensu. Nie zareagował, gdy następna ryba otarła się o jego policzek, a po niej kolejne.

Nie zareagował nawet, gdy łańcuch drgnął, a potem zaczął się przesuwać.

Ekranik smartfona wyświetlił kilkanaście nieodebranych połączeń, wszystkich z tego samego numeru.

– Kojarzycie ten telefon? – spytał Siwy, zafascynowany znaleziskiem do tego stopnia, że na moment przestał obmacywać napuchnięty, stłuczony łuk brwiowy. – Ten ciapaty go kupił od Krycha! Byliśmy wtedy pod sklepem!

– Najnowszy model – wymamrotał Mati i dotknął językiem szczyrby w uzębieniu. – Najdroższy na rynku. Kupa smaluu.

– Proszę, proszę – wycedził Seba, którego poparzoną twarz pokrywały plastry. Bez wahania wyrwał telefon Siwemu z ręki. – To się ciapaty, kurwa, zdziwi. To, że łąził po mieście i mendził, jeszcze mu jakoś wybaczę, ale tego, co ta jego popieprzona gierka zrobiła z moim Xboxem, nie daruję chujowi nigdy.

– No i Pan Bóg go pokarał – oznajmił Uszol, kiwając głową.

Seba obrzucił go bardzo złym spojrzeniem i uniósł nieco daszek czapki, jakby chciał wzmocnić niewerbalny przekaz widokiem pokancerowanego oblicza.

– Ty już, Uszol, wyluzuj, co? – poradził, prostując się. – Chyba żeś trochę za dużo czasu z katechetką spędził.

Mati parsknął śmiechem, ale syknął i złapał się za bok. Siwy splunął krwią i zapalił papierosa, a Beton powrócił do obmacywania opuchniętego oka. Seba bawił się telefonem. Milczeli.

Nad dachami Wyplut, lśniącymi po nocnym deszczu, niosło się rytmiczne dudnienie zegara. Siedem uderzeń, osiem i finalne dziewiąte. Spieszący do pracy mieszkańcy miasta pochylali głowy, nie zwracając uwagi na pięciu chłopaków, rozpartych pod wiatą przystanku autobusowego. Nieodległy rynek, na którym snuli się pracownicy służb komunalnych w pomarańczowych kamizelkach, również ignorowali.

Chłopacy zresztą też woleli patrzeć w innym kierunku, głównie dlatego, że

rynek budził zbyt świeże i dość bolesne wspomnienia. Siwy, który bohatersko próbował wyrwać wuja Stanisława z religijnego transu, oberwał kolejno od wszystkich uczestników bójki, w tym od niektórych dwukrotnie, ale przynajmniej zdołał szarpnąć Bestię za złoty łańcuch i wyszczerbić jego uśmiech o krawędź klombu. Mati w tym czasie, wystraszony nagłą interwencją kruczaty pani Krzyżaniak, zaplątał się we własne spodnie i padając, wybił sobie ząb i podrapał dłonie. O ranach, które pozostawił na jego plecach różaniec katechetki, wołał nikomu nie wspominać. Najgorzej jednakże oberwał Beton, którego dopadła Grażynka z Oazy. Rozjuszona sprzedawczyni złapała złodzieja za bluzę dresową i tłukła nim o ścianę do chwili, gdy się jej wyślizgnął.

– Chodźmy do Henia! – Ciszę przerwał Beton, który łypał jedynym okiem. Drugie skurczyło się do wąziutkiej szparki otoczonej fioletową opuchlizną. – On zna paru kolesi w mieście! Odpalimy mu działkę, to spyli aparacik za niezłą sumkę. Na łebka wyjdzie około...

– Chyba żeś się z chujem na łby pozamieniał – parsknął Seba. Demonstracyjne chuchnął na aparat i wypucował szybkę. – To już mój telefon.

– Jak to? – Beton zjeżył się i poderwał, ale jęknął głucho i złapał za goleń, parokrotnie dziabnięty obcasem Grażynki.

– Ano tak to, że przez tego gnoja najpierw nie puknąłem Anetki, potem rozwalilem sobie łapę o szybę matiza tego pipy Straszego – przy tych słowach Seba wzdrygnął się i zacisnął pięści, ale tym razem nikt nie zrobił żadnej aluzji – a na końcu ta jego pieprzona gra wybuchła mi w Xboksie i pochlastała połowę ryja! – Seba wymownie wskazał plastry. – Jak się teraz na baletach w piątek pokażę, co?

Pozostali pokiwali ze zrozumieniem głowami, nawet Beton wydawał się przekonany. Seba, u którego poczucie krzywdy ponownie roznieciło gniew, przez jakiś czas sapał ciężko, aż wreszcie wykrztusił:

– No dobra. Jak ktoś chce tego smartfona, to mu go dam. Ale w zamian chcę teczkę tego ciapatego.

– A mogę se obejrzeć? – podekscytował się Uszol. – Może jakieś gierki są fajne?

Seba zmrużył oczy i przyjrzał się najmłodszemu członkowi gangu z ukosa.

– Jak to się stało, Uszol – spytał powoli – żeś ty wczoraj jako jedyny wpierdolu nie zebrał?

– No właśnie? – burknął Siwy, podnosząc się.

Uszol ściągnął nerwowo paski od plecaka i cofnął się o krok, ale odbił się

od boku wstającego Matiego. Beton złapał młodego za rękaw.

– Chłopaki, no co wy, przecież jestem z wami, no nie? – Uszolowi zadrżał głos. Szarpnął raz i drugi, ale Beton trzymał mocno.

– Serio? – prychnął Mati. – Wczoraj żeś latał za Krzyżaniak.

Żaden z nich nie usłyszał trzaśnięcia drzwi samochodu ani też kroków dwóch mężczyzn zbliżających się do wiaty. Mati, który już unosił pięść, dostrzegł ich pierwszy i znieruchomiał.

– Dzień dobry – powiedział jeden z przybyszów spokojnym, pozbawionym emocji głosem. Miał na sobie ciemny garnitur i nosił ciemne okulary, odsunięte na nażelowane włosy. – Jesteśmy z policji.

Drugi, identycznie ubrany, błysnął odznaką i skrzywił się lekko na widok zbaraniałych gąb całej gromady.

– Ale... – wykrztusił Siwy, blednąc. – Ale my nic nie...

– Nic, absolutnie nic! – wybełkotał Beton i spróbował się uśmiechnąć, co przy jego kondycji przyniosło koszmarny rezultat.

– Szukamy tej osoby. – Pierwszy z policjantów wyciągnął ziarnisty wydruk zdjęcia w folijce i podsunął stłoczonym w wiacie chłopakom pod nos. – Zdjęcie niewyraźne, bo z kamery przemysłowej, ale jako tako widać. Spotkaliście może tego człowieka?

Seba przygryzł wargę, Siwy wypuścił powietrze przez nos, Beton zamrugał okiem. Zaczęło padać.

– O, pada! – ucieszył się kosmaty, zaklaskał i załomotał nogami w gumiakach o podmurówkę. – Ale tobie to już chyba różnicy nie robi, co? He, he, he!

Zygmunt, który stał na brzegu rzeki i wyżymał koszulę, spojrzął najpierw na oczka pojawiające się na mętnej, wzburzonej wirami powierzchni rzeki, a potem na swego wybawiciela. W jego spojrzeniu pojawiła się niechęć, którą zaraz starannie zamaskował.

– Nie. Nie robi – przyznał.

Strzepnął koszulę i włożył ją, krzywiąc się, gdy mokry materiał przyłgnął do ciała.

„Dziwne – pomyślał. – Kilka dni temu nie zwróciłbym na to uwagi”.

Wzdrygnął się i odwrócił od rzeki, teraz zwodniczo sennej i niegroźnej. Skupił uwagę na tym, który wyciągnął go z toni.

Przy odrobinie dobrej woli czy naiwności dałoby się go wziąć za człowieka, choć dorosłemu mężczyźnie sięgałby ledwie do piersi. Skudłone włosy

upchnięte z trudem pod poplamionym beretem oraz krzaczasta długa broda pomogłyby go zaklasyfikować jako klienta opieki społecznej bądź poszukiwacza „fuch”, podobnie jak wysłużone gumki, przybrudzone, mokre teraz dzinsy czy wiekowa kufajka, ale Zygmunt dostrzegł inne cechy, które umknęłyby zwykłemu obserwatorowi. Czarne, lśniące złośliwie ślepia. Niespokojny wzrok ogarniający dziesiątki szczegółów jednocześnie. Paznokcie niby zwyczajne, pożółkłe, przybrudzone, ale zaostrome.

Jakby na potwierdzenie jego domysłów nieznajomy ściągnął gumki i wylał z niego resztkę wody. Oczom Zygmunta ukazała się diabła racica.

– Chyba jestem ci winien wdzięczność – powiedział z niechęcią.

– Serio? – zainteresował się kosmaty. – Czemu?

– No, wyciągnąłeś mnie z tej cholernej wody. – Zygmunt wskazał leżący na trawie zardzewiały łańcuch, który przed chwilą udało im się zerwać.

– No tak. – Kosmaty skwapliwie pokiwał głową i zachichotał. – Ale to był przypadek – dodał z żalem.

– Przypadek? – Zygmunt zmarszczył brwi. – Przez przypadek skoczyłeś do wody, zanurkowałeś na samo dno i zerwałeś łańcuch, który ten pieprzony wodnik zamocował do wraku zatopionego samochodu?

– No, trochę – przyznał kosmaty. – Trochę tak. Bo myślałem, że jesteś zwykłym człowiekiem.

Zygmunt pokiwał głową. Słyszał kiedyś, że ziemskie diabły bardzo chętnie ratują ludzi przed śmiercią, gdyż ci z wdzięczności za ocalenie zgadzają się na ustny cyrograf. Diabeł mógł w ten sposób wiele zyskać, a jeśli śmiertelnik słowa nie dotrzymał i nie wywiązał się z przysięgi, diabeł miał dodatkowo prawo zawładnąć jego duszą i zasłużyć dzięki niej na powrót do Piekła. Zygmunt, zaznajomiony z procedurami działania Piekła, uważał podobne praktyki za zabobony, ale najwidoczniej ziemskie diabły mocno w nie wierzyły.

Ocalenie drugiego diabła nie tylko nic wybawicielowi nie dawało, ale nawet groziło kłopotami, gdyż wysłannik Piekła mógł sobie nie życzyć, by ktokolwiek dowiedział się o jego niefortunnej przygodzie. Co więcej, w świecie, którym rządziły mściwość, zazdrość i współzawodnictwo, okazanie miłosierdzia stawiało pochopnego altruistę w doprawdy złym świetle.

Nic dziwnego, że kosmaty był markotny.

Zygmunt jednakże miał przemożne uczucie, że zasady, które uważał za oczywiste zaledwie kilka dni temu, teraz z jakiegoś powodu przestawały mieć znaczenie. Westchnął, podszedł do kosmatego i wyciągnął rękę.

– Dzięki, stary.

Kosmaty ułapił jego dłoń niezgrabnie i potrząsnął nią kilkakrotnie, a na jego brodatym obliczu pojawił się radosny, niezbyt mądry uśmiech.

– Gdyby było coś – ciągnął Zygmunt niejako wbrew sobie – co mogę dla ciebie zrobić, to daj znak.

Oblicze kosmatego się rozjaśniło.

– Do Piekła dasz radę mnie wciągnąć?

– Nie – mruknął Zygmunt, czując, że znów ogarnia go zniechęcenie. – Musisz wybrać coś innego.

– Coś wymyślę. Masz ochotę na herbatę?

– Na co?

– Na herbatę. To takie żółte coś. Z torebeczki! – Kosmaty zamachał dłońmi. – Wiesz, maczasz taką w wodzie i...

– Dobra, wiem – odparł Zygmunt, spojrzawszy w niebo, a potem rozejrzał się dookoła.

Rzeka znaczonej tysiącami znikających kółek płynęła leniwie i obojętnie przed siebie. Deszcz cierpliwie siekł kałużę, spływał po żółknących liściach drzew i zamieniał piasek drogi w błoto.

– W sumie to chętnie się napiję. Czemu nie?

„A potem zabiorę się do rozwiązywania moich problemów – pomyślał z nagłym ożywieniem. – Począwszy od rozprawienia się z tą, która mnie w ten bajzel wpędziła”.

Natalia ścisnęła telefon tak mocno, że jej chude palce pobieleły. Przełknęła ślinę i odgarnęła nierówną grzywkę z czoła.

– To niemożliwe! – syknęła ze złością zmieszaną z rozpaczą. – Niemożliwe! Przecież go powstrzymaliśmy! Załatwiliśmy tego dupka!

Odpowiedział jej głos cioci Marysi, niespokojny, zatroskany.

– Nie mogę w to uwierzyć. – Dziewczyna odwróciła się i usiadła na jednym z miękkich stołków barowych. W tej samej chwili zobaczyła, że przed drzwiami do Dyżurnej stoi dwóch elegancko ubranych mężczyzn. Jeden z nich wymownie położył dłoń na klamce i skinął na dziewczynę, by otworzyła.

– Zamknięte! – warknęła Natalia. – Kartki nie widać?

Pokazała drżącym palcem wydruk, który przed chwilą przykleiła do drzwi wejściowych, cudem ocalałych z nocnej zawieruchy. W odpowiedzi jeden z nieznajomych błysnął odznaką policyjną.

Natalia westchnęła z rezygnacją i szepnęła do telefonu:

– Ciociu, muszę kończyć. Coś wymyślimy, nie martw się. Na pewno będzie dobrze. Ucałuj wujka, ja muszę kończyć.

Odłożyła telefon na bar, poprawiła spódniczkę, uśmiechnęła się sztucznie i ruszyła w kierunku drzwi. Otworzyła je i wpuściła mężczyznę do środka.

– Dzień dobry. Starszy posterunkowy Damian Kłoska, rejonowy komisariat policji z Wyplut – rzekł pierwszy z przybyłych i poprawił garnitur. Drugi skinął jedynie głową i spojrzał z zaciekawieniem na poprzewracane stoły, zerwane zasłony i okruchy szkła na podłodze.

– W czym można panom pomóc? – spytała dziewczyna i otuliła się mocniej sweterkiem, gdyż przez wybite okno znów wtargnął zimny podmuch wiatru.

– Już składaliśmy zeznania, zarówno ja, jak i właścicielka Dyżurnej...

– Ja nie w tej sprawie – oznajmił posterunkowy Kłoska.

Jego kolega, który jak dotąd się nie przedstawił, podniósł z podłogi przewrócony wazonik i głośno powąchał nieco zwiędnięty kwiatek. Coś w tym geście sprawiło, że Natalia owinęła się jeszcze szczelniej.

– A w jakiej?

Zapytany wsunął dłoń do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął pomięte już nieco zdjęcie.

– Widziała pani tego człowieka?

Dwa diabły, duży i mały, szły powoli piaszczystą drogą, której strzegły rosochate, poskręcane wierzby, tu i ówdzie okiełznane piłami służb komunalnych, ale nadal groźne. Daleko za łąkami snuła się rzeka, gdzieś przed nimi wyrastał brzozowy gaj obwiedziony płotem. Deszcz nadal siąpił.

Ktoś przejechał na poskrzypującym rowerze. Kosmaty pozdrowił go wesoło, tamten odkrzyknął coś chrapliwie. Zygmunt nawet nie podniósł głowy, skupiony na próbie przypomnienia sobie procedur operacyjnych.

„Być może w Piekło odnotowali bałagan, który rozpętałem – myślał intensywnie. – To moja główna karta przetargowa. Jeśli nie, to po mnie. Wyjdę na tego, który nie dość, że wykazał niemalże zerową skuteczność, to jeszcze stracił komputer na rzecz ludzi i naraził całą misję. Niech to wszystko niebo pochłonie! Niech szlag trafi te mądrale z IT razem z ich systemami bezpieczeństwa! Co to za system, skoro go złamał byle belfer?”

Odetchnął głęboko, próbując pozbierać myśli.

„Grozi mi oskarżenie o zdradę. O zdradę operacji i o wyparcie się Piekła.

O szczęście! A tych, co do których zachodzi ryzyko szczęścia, poddaje się rediabolizacji. Jasna cholera, wszystko, tylko nie to... Tylko patrzeć, jak pojawi się patrol, który mnie obezwładni, zawlecze do Piekła i... Nie, nie, nie!”.

Kosmaty rozpędził się, przeskoczył szczególnie wielką kałużę i rozbryzgnął wodę. Odwrócił się do Zygmunta, jakby sprawdzał, czy ten widział jego wyczyn.

„Istnieje jeszcze jedno wyjście – uświadomił sobie Zygmunt. – Mogę próbować schować się przed patrolem i zostać na ziemi”.

Przyspieszył kroku.

– Hej, ty – odezwał się. – Masz jakieś imię?

– Rocky! – odparł kosmaty z dumą i wypiął chudą pierś.

– Rocky?

– No, tak jak ten bokser. Widziałeś film?

– Nie.

– Fajny, musisz obejrzeć. Zwłaszcza pierwszą część. A przy okazji to zdrobienie.

– Od czego?

– Od Rokita. – Kosmaty podskoczył, aż mu lewy gumiak spadł. Zaklął, nachylił się i włożył go z powrotem.

Zygmunt wykorzystał chwilę, by przewrócić oczami i westchnąć niesłyszalnie.

– A czym się, Rocky, zajmujesz?

– Tym i owym. – Rokita się wyprostował. – Zapieprzam na czarno w budowlance, ale ostatnio roboty coś nie ma. To się szwendam. Pluję na baby idące na cmentarz i inne takie.

– Plujesz na baby?

– Pluję, syczę, różne takie. Kupa zabawy.

Zbliżyli się do płotu, za którym wyrastał brzozy gaj. Między pniami widać było kamienne krzyże i nagrobki, wśród pożółkłych liści czerwieniły się wypalone znicze. Ktoś pchnął zardzewiałą furtkę, ktoś niósł naręcze zwiędłych kwiatów na rozdęty kompostownik.

Rocky podbiegł do wierzby rosnącej na poboczu. Złapał brudnymi palcami krawędź olbrzymiej dziupli, która rozszczepiała pień, i już chciał się wślizgnąć do środka, gdy przypomniał sobie o Zygmuncie.

– Idziesz? – zawołał. – Tu mieszkam!

– Idę – rzekł Zygmunt.

„Nie ma mowy – pomyślał. – Nie ma mowy, bym miał skończyć tak jak ten

tutaj, Rocky. Wracam do Piekła i udowodnię tym gnojom z zarządu, że nikogo nie zdradziłem. Muszę tylko dorwać Natalię, zanim złapie mnie patrol. Natalię i Łukasza. Tak, przede wszystkim jego”.

Za każdym razem, gdy widzę, że dzwoni do mnie Natalia, odbieram z mocno bijącym sercem. Nie mogę tego opanować i wiem, że minie wiele czasu, zanim mi przejdzie. W głębi duszy jestem gotów na to, że usłyszę jej zimny, oschły głos, który przekaże kolejne polecenie lub wygłosi kolejny komentarz.

Nigdy bym się nie spodziewał, że usłyszę od niej tyle zaskakujących rzeczy.

Wczoraj chciała się ode mnie dowiedzieć, co zaplanowaliśmy. Jej głos był natarczywy, pełen niepokoju, ale też złośliwości. Chciałem ją wyśmiać, potraktować ją z tym samym – choć udawanym – dystansem co ona mnie, ale wtedy usłyszałem, że wujek znów jest chory. Że ni z tego, ni z owego zamknął się w sobie, położył do łóżka i stracił kontakt ze światem. Ciocia ponoć wpadła w rozpacz.

Zdaniem Natalii przyczyną jest Zygmunt.

Trudno mi było zaprzeczyć. Fale depresji wujka zawsze zwiastowały zagrażające nam niebezpieczeństwo, a intryga tego przekłętego diabła zataczała coraz szersze kręgi. Mało co pamiętam z naszej popijawy, ale wiem, że wyciągnął ze mnie sporo informacji. Czuję, że szykuje nam mały armagedon.

Zgodziłem się więc na jej plan. Pomogłem im go odurzyć, wpakować do wijkowego poloneza i zawieźć nad rzekę, a tam Rychu zrobił resztę. Utopiliśmy gnoja.

Przed chwilą zadzwoniła z informacją, że Zygmunta szuka policja. Uświadomiła mi, że w świetle prawa staliśmy się mordercami.

My.

Była tak rozhisteryzowana, że mijano się z celem przypominanie jej, że to ona wymyśliła plan, ona sporządziła truciznę i ona mu ją podała, choć naprawdę miałem na to ochotę. Bo nie mogę pogodzić się z tym, że staję się dla niej kimś ważnym dopiero w chwili, gdy zostaje przywieziona do ostateczności. Nie mogę i nie chcę.

Jakoś nie przeszkadza mi to, że zostałem wrobiony w morderstwo. Żal mi natomiast Zygmunta. Żałuję, że znikł z mojego życia. Że wrócą proza, szarość i beznadzieja, jakiej dotąd nie zaznałem.

Chciałem dziś poleżeć, posłuchać muzyki, wypić kawę, poczytać może. Chciałem posprzątać po popijawie, przejść się na spacer, pomyśleć o powrocie do

normalności, jakakolwiek by była. Niestety to niemożliwe. Normalność jest poza moim zasięgiem.

Bo wujek, pomimo usunięcia Zygmunta, nie odzyskał przytomności.

Wnętrze dziupli okazało się o wiele większe, niż się diabeł spodziewał. Rocky jakimś cudem wciągnął do środka stary, odrapany fotel z wytartymi poduszkami oraz ławę z ułamaną nogą, którą zastępował stary słownik ortograficzny. Starczyło jeszcze miejsca na materac z gąbki, na którym leżał skłębiony śpiwór, małą kuchenkę z butlą gazową oraz karton, z którego wystawały wędki, dziecięca łopatka, patyczki do szaszłyków, rura od odkurzacza, wiecheć słomy, podarty latawiec i dziesiątki innych przedmiotów, których pochodzenia i przeznaczenia Zygmunt nie chciał nawet dociekać. Usiadł skromnie na skraju materaca i patrzył, jak Rocky wiesza gumiaki na haczyku, nalewa do czajnika wody z wazonu stojącego na ławie i zgrzyta zębami, by uruchomić kuchenkę. Zamigotały niebieskawe płomyki, zaszumiła woda w czajniku.

– Nieźle się urządziłem, co? – gadał Rokita. – Fajna miejscówka, zero hałasu, blisko do rzeki i cmentarza, jest gdzie się wyszaleć. Nieźle, nie?

– Wspaniale. – Zygmunt pokiwał głową z modelową obłudą. – Posłuchaj no, Rocky. Wiesz coś o tej wiedźmie, która pracuje w knajpie?

– O wiedźmie? – Rokita odwrócił się od kuchenki i otworzył szeroko oczy.

– Wiesz czy nie wiesz?

– Nie no, wiem, co mam nie wiedzieć. Tylko strach trochę gadać. – Rocky zmarkotniał. – Bo to, było nie było, wiedźma, a ja jestem tylko ziemskim diabłem i ty, z całym szacunkiem, Zyga, chyba już też. Daj se siana z tą wiedźmą. Poszukaj se dziupli albo wykrotu, a ja ci jakąś robotę naraję...

Zygmunt chciał zmrużyć oczy i obrzucić gospodarza niebezpiecznym spojrzeniem, ale zamiast tego ziewnął potężnie.

– Nie wymądrzaj się, Rokita. Mów, co wiesz – oznajmił.

Zagwizdał czajnik. Rocky ostrożnie nalał wrzątku do szklanek w plastikowych koszykach. Para buchnęła ku znajdującemu się gdzieś wysoko nad nimi otworowi dziupli.

– A co ja tam wiem. – Rokita zmienił nieco front. – Pracuje w Dyżurnej, mieszka na działkach, trzyma się z tym leszym i jego bandą, żyje z takim jednym włochatym, nauczycielem czegoś tam.

– Historii. – Zygmunt znów ziewnął.

– Historii? Serio? Tego trzeba się uczyć? Ale jaja, no, no... Dobra, ale o tym gościu to mogę ci coś więcej powiedzieć.

W powietrzu unosiła się duszna wilgoć schnących ubrań, co w połączeniu z półmrokiem panującym w dziupli sprawiało, że każda kolejna fala senności nachodząca diabła była silniejsza od poprzedniej. Monotonny, brzęczący głos Rokity docierał z coraz większej odległości. Zygmunt na moment zamknął oczy. Tylko na moment.

Tknięty niewytłumaczalnym impulsem, nie otwierając oczu, uniósł głowę i ujrzał w otworze dziupli dziecięcą czuprynę, potem małe brudne rączki i zaczerwienioną twarz. Chłopiec wpełzł do dziupli i przywarł do podłoża, drżąc na całym ciele. Jego buzia wydawała się diabłu skądś znajoma.

Kolejny impuls sprawił, że Zygmunt podpłynął do góry i wyjrzał na zewnątrz.

Jego oczom ukazała się droga, błotnista i zalana kałużami, dalej cmentarz ukryty wśród brzoź, a za nim las, groźny, rozkołysany na tle stalowoszarego nieba. Zygmunt nie przypominał sobie tego lasu, ale nim wyteżył pamięć, jego uwagę przykuło coś innego.

Wśród drzew ktoś stał.

Diabeł nie widział sylwetki, ale wyczuwał czyjąś obecność, nieprzyjemną, niepokojącą. Spojrzał w dół na kulące się w dziupli rozdygotane dziecko i odgadł, że jego strach związany jest z tym nieznanym. Niespodziewanie odkrył w sobie ochotę, by spłynąć do chłopca i zapytać o przyczynę lęku, ale zobaczył, że mały znieruchomiał.

Zupełnie jakby zasnął.

Wtedy świat rozerwała nieodległa eksplozja. Diabeł otworzył oczy.

Półmrok dziupli. Suszące się wilgotne ciuchy. Kostki cukru rozpuszczające się w herbacie. Niebieskie, kurczące się promyki zakręcanego gazu. Paplanina Rokity.

Mówił o Łukaszu.

Zygmunt otrząsnął się z szoku wywołanego niespodziewaną wizją. Nabrał tchu i wsłuchał się w słowa gospodarza. Powoli uspokajał się, aż w końcu zapytał krótko:

– A wiesz może, Rocky, jak się z takim uporać?

Padło coraz mocniej, a mimo to Natalia stała nieruchomo nad brzegiem rzeki, bez parasola ani nawet kaptura. Widok ten wypełnił serce Łukasza

bezbrzeżną tkliwością. Pospiesznie ściągnął kurtkę, zawadzając przy tym łokciem o klakson, ale nic, ani ochryply ryk sygnału dźwiękowego, ani trzaśnięcie drzwiami, nie było w stanie wyrwać dziewczyny z transu. Nawet nie drgnęła, wpatrując się w coś na ziemi.

– Zmokniesz! – zawołał i narzucił jej kurtkę na szczupłe ramiona.

Natalia nie zareagowała. Łukasz spojrział najpierw na jej twarz, pobladałą i znękaną, okoloną mokrymi kosmykami, a potem na leżący w trawie przedmiot.

Łańcuch.

– I tak oto jeden problem przerodził się w drugi – jęknęła dziewczyna.

– Co? – zdziwił się Łukasz.

Przeklinał Natalię przez całą drogę z Osiedla, gromadził w sobie złość, wyobrażał sobie wszystko, co powie, i wykrzykiwał nad kierownicą wściekłe argumenty, ale wszystkie te sztucznie nagromadzone uczucia rozplynęły się na widok jej udręczonej twarzy. Nic dziwnego, że w takim stanie trudno mu było łączyć fakty.

– Nic nie kapujesz? – powiedziała zrezygnowana Natalia. – Uciekł. Ten cholerny diabeł znalazł sposób, by się uwolnić.

Łukasz poczuł niepewność podsyconą ulgą.

– Nikt nas nie połączy z zabójstwem – ciągnęła Natalia. – Bo nikt nie został zabity. Problem w tym, że gdzieś w Wyplutach krąży diabeł, który bez wątplenia będzie chciał się na nas zemścić. A ja nie mam już w ogóle pomysłu...

Rozległ się motyw muzyczny z filmu *Amelia*, stłumiony przez materiał ubrania i szum deszczu. Natalia wyrwała telefon z kieszeni, spojrziała na ekran, a potem zerknęła z przestachem na Łukasza.

– To ciocia! – szepnęła. – Słucham!

Łukasz pochylił się, chcąc również usłyszeć drżące, niespokojne słowa cioci, ale Natalia odsunęła się, jakby przeszkadzał jej bliższy kontakt. Ciocia nie mówiła zresztą długo, bo dziewczyna przerwała jej szybko:

– To nie jest rozmowa na telefon. Zaraz tam będziemy.

Zakończyła połączenie i zerknęła na Łukasza.

– Wujkowi się pogorszyło? – spytał ten z napięciem.

– Gorzej – rzuciła Natalia i ruszyła w stronę poloneza. – O wiele gorzej. Nieszczęścia chodzą parami.

– Jemioła? – spytał Zygmunt z niedowierzaniem. – Pojebało cię?

– Słuchaj! – Rokita przystanął i odwrócił się ku towarzyszowi, rozbryzgując błoto gumiakiem. Na kosmatej twarzy małego diabła malowało się wzburzenie. – Jak masz jakieś inne pomysły, to śmiało, nie krępuj się! Taki mądry, widzicie go! Proszę bardzo, radź sobie sam!

– Powoli, nie ekscytuj się! – Zygmunt uniósł dłonie w pojednawczym geście. – Nie chciałem cię obrazić, ale na żadnym szkoleniu z kompetencji miękkich...

– Srękkich! – Rokita podskoczył. – Szkolenia! Korporacje! Wynik! Co to za pierdolenie! Ja jestem zwykły wiejski diabeł, wsiur, cham i prostak! W dupę se wsadź te twoje certyfikata!

W jego oczach zapłonęła autentyczna złość i Zygmunt przypomniał sobie, że diabły ziemskie cechował bezbrzeżny kompleks niższości wobec wysłanników Piekła. Momentalnie pożałował swojego tonu, gdyż – co przyznawał z prawdziwą niechęcią – Rokita był jego jedyną szansą.

– Przepraszam – wykrztusił.

Rokita sapnął ciężko, nie przestając się wpatrywać w Zygmunta.

– No – burknął i ruszył przed siebie.

Zygmunt, chcąc nie chcąc, powędrował za nim.

Szli gruntową drogą skrajem wilgotnego, jesiennego lasu. Wśród mgieł daleko przed nimi majaczyły pierwsze zabudowania, idealnie kwadratowe, z balkonem na piętrze, niektóre porośnięte bluszczem, inne skryte wśród jabłoni. Gdzieś szczekał pies, gdzieś zawył pociąg.

– A więc jemioła, tak? – spytał pojednawczo Zygmunt po chwili milczenia.

– Jemioła – odpowiedział Rokita. – Dużo jemioły. I tojad. I przydałby się jeszcze mosiądz.

Zatrzymał się i zlustrował uważnie stertę śmieci zwaloną przy drodze – emaliowany zlew, obudowę monitora, rozpruty worek z nadgniętymi ciuchami i przewróconą lodówkę bez drzwi.

– I trochę czystego żelaza, leszczyny i soli – dodał Rokita. – Nie, tu nic nie ma. Dobra, poszukamy dalej.

Zygmunt przewrócił oczami.

– Widziałem to – ostrzegł go Rokita.

– Przepraszam.

– No.

Po kilku minutach dotarli przed bramę pierwszego domu, który niemalże niknął w kłębach siwego, cuchnącego dymu buchającego z komina. Oba diabły przez moment wdychały zapach z lubością, dopóki nie został

przegnany przez podmuch wilgotnego wiatru. Wówczas ich oczom ukazał się kwadratowy dom z wybetonowanym podwórzem i dobudowaną ścianką, zza której wysypywała się sterta koksu. Przed furtką siedział kudłaty czarny pies z radośnie wywalonym jęzorem i machał ogonem, jakby chciał powiedzieć: „Czołem, ludzie!”.

Za psem, domem i koksem ciągnął się rząd jabłonek, ciężkich od wielkich kiści jemioly na nieprzycinanych gałęziach.

– Teraz to będą jaja! – szepnął podekscytowany Rokita, który najwyraźniej zapomniał o sprzeczce sprzed chwili. – Baba, która tu mieszka, nienawidzi, jak jej ktoś zawraca głowę. W ogóle wszystkich nienawidzi. Jak zadzwonisz do furtki, to wylatuje i drze gębę. Albo udaje, że jej nie ma. Mówię ci, ubaw po pachy.

Z tymi słowami wcisnął przycisk znajdujący się obok wywieszki: „Uwaga, zły pies”. Rozległo się natarczywe bzyczenie.

– A skąd to wiesz? – spytał Zygmunt.

– Czasami – Rokita krztusił się ze śmiechu – czasami dzwonię i spieprzam. Nie masz pojęcia, jak się drze!

Zygmunt mężnie powstrzymał ochotę, by przewrócić oczami.

– A czy nam aby nie chodzi właśnie o to, by nas NIE przegoniła? – spytał dobitnie. – Żeby wejść do jej ogrodu po tę pieprzoną jemiolę?

– Aha – zmarkotniał Rokita. – Racja.

– Ja będę rozmawiał.

Zazgrzytał zamek u drzwi wejściowych. W progu pojawił się pulchny chłopak w rozciągniętych spodniach od dresu i spłowiełej koszulce z logo jakiejś gry komputerowej. Pod pachą trzymał ogromny słoik z nutellą, z którego raczył się za pomocą łyżki.

– Jest mama? – spytał uprzejmie Zygmunt.

Chłopak machnął łyżką w stronę ścianki, zza której sypał się koks.

W tej samej chwili zapiszczał frustrometr.

Zygmunt całkiem zapomniał o gadzecie, jedynym, który przetrwał rozwój wydarzeń. Zerknął na niego i uświadomił sobie, że przez przypadek musiał go przestawić na tryb auto, w którym urządzenie reagowało sygnałem dźwiękowym na każdą osobę o poziomie frustracji przekraczającym wysoki. Wyłączył go błyskawicznie i uniósł głowę

– Idzie! – wrzasnął Rokita i rzucił się do ucieczki.

Najpierw zachrząścił koks, rozdeptywany ciężkimi buciorami, stuknęło plastikowe wiadro i zza betonowej ścianki wyskoczyła gospodyni. Zygmunt, który spodziewał się ujrzeć potężną babę z głową pochyloną do byczej szarży,

z zaskoczeniem skonstatował, że była to drobna, chorobliwie wprost chuda kobieta o farbowanych na czarno, rozwichrzonych włosach. Odstawiła wiadro pod bramę garażu i spojrzała na gościa z niechęcią.

– Czego? – warknęła.

– Mama, jakiś pan – odezwał się chłopak, nabierając łyżką nutellę.

– Widzę! – parsknęła tamta. – No, czego?

– Pani kochana! – zagaił Zygmunt z serdecznym uśmiechem. – Jemiołę zbieram! Widzę, że ma pani sporo. Można poprzycinać?

– A po co panu jemioła? – Gospodyni podeszła bliżej. Palila długiego, cienkiego papierosa, który w jej krzywych ustach przypominał żądło.

– No, na święta.

– Święta są za trzy miesiące. – Kobieta podeszła do płotu i uśmiechnęła się tryumfalnie. – Już ja wiem, co ci po głowie chodzi. Chciałbyś coś podwędzić, co? Na wódkę brakuje? Won! – Wskazała las chudą, drżącą ręką. – Won mi stąd! Bo psem poszczuję! Bóg cię moją ręką pokarze!

Pies, jakby wiedział, że o nim jest mowa, zaczął szybciej merdać ogonem. Zygmunt przymknął oczy i westchnął ciężko, jakby nie wierzył w to, co się wokół niego dzieje. Odwrócił się powoli i odszedł w stronę lasu, ścigany wrzaskiem:

– A ty co otwierasz jakimś łachmytom, co? I wejdz do domu, bo się przeziębisz!

– I co? – chciał wiedzieć podekscytowany Rokita, który przyczał się na skraju lasu kilkaset kroków dalej. – I co? Pogoniła cię?

– Tak – westchnął Zygmunt ze znużeniem. – Pogoniła.

Spojrzał na frustrometr, wywołał funkcję kamuflażu i przekonał się, że wciąż pozostała jedna kreska baterii.

– Wiesz co, Rocky? Idź może poszukaj mosiądzu i innych takich. Ja skołuję jemiołę.

Machnął ręką, ucinając serię pytań Rokity, i podkradł się pod płot, za którym rozciągał się sad. Z tego miejsca wydawał się o wiele bardziej zaniedbany niż z drogi. Wiatr poruszał ciężkimi gałęziami, wirujące liście opadały na żółcący się trawnik. Z wnętrza domu dobiegały wrzaski gospodyni, którym odpowiadał głos syna. Pies przyczłapał pod płot, usiadł i wywalił jęzor, z zachwytem wpatrując się w diabła.

– Tylko bądź cicho – przestrzegł go Zygmunt, uruchomił kamuflaż i przeskoczył przez ogrodzenie.

Musiał się spieszyć – nie miał pojęcia, na jak długo wystarczy bateria, która już od dawna meldowała o rychłym rozładowaniu. Przypadł do

pierwszego drzewa, złapał najniższą gałąź i wciągnął się na górę. Oderwał jedną kiść jemioli, potem drugą, trzecią...

Zwolnił.

Nagle stracił ochotę, by się spieszyć. Ogarnęło go przemożne wrażenie, że każdy gwałtowniejszy gest narusza spokój, który spowijał drzewo niczym ciepły kokon, spokój stary, cierpliwy, pamiętliwy. Zygmunt przymknął oczy, upuścił kiść jemioli, zapragnął usiąść, wsłuchać się w ciszę drzewa.

Polną drogą jechała ciężarówka, podskakując na wybojach. Siedzący na ławkach żołnierze przechylali się to w jedną, to w drugą stronę, któryś złapał hełm, któryś wyrzucił papierosa na zewnątrz. Ktoś powiedział jakiś dowcip, na który reszta zareagowała krótkim, nerwowym śmiechem.

Wtedy skądś dobiegła eksplozja.

Ciężarówka zatrzymała się gwałtownie na poboczu. Echo wybuchu przeciął ostry rozkaz; żołnierze jeden po drugim wyskakiwali na drogę, rozpraszali się, szykowali broń. Ich mundury wydawały się znajome. Zygmunt chciał podnieść rękę, zawołać coś do nich, ale nie zdążył.

Kolejny dźwięk, o wiele głośniejszy i dotkliwszy od eksplozji, rozproszył obraz. Zygmunt uświadomił sobie, że stoi na gałęzi jabłonki, obserwowany przez rozanielonego psa, a frustrometr piszczy jak opętany, ogłaszając koniec baterii. Umilkł sekundę później, ale natychmiast zastąpiły go wrzaski wściekłej gospodyni.

– A nie mówiłam? – Kobieta wybiegła zza rogu, wymachując dziabką wokół głowy. – Nie mówiłam, że złodziej? Kara boska cię czeka, chuju ty jeden! Na policję zaraz zadzwonię! Na policję!

Zygmunt oprzytomniał, złapał jemiolę, przeskoczył nad psem, a potem nad płotem, i znikł.

– Jak wyglądali? – spytała Natalia, siłąc się na spokój, ale skubała nerwowo skórki wokół paznokcia.

– Jak wyglądali? – powtórzyła ciocia Marysia, wzburzona jak nigdy. Na jej policzkach malował się niezdrowy rumieniec, a dłoń, którą uniosła szklanekę wody do ust, lekko drżała. Piła przez moment chciwie, a potem odstawiła szklanekę na ceratę. – Normalnie. Nie jak policja. Garnitury mieli, spodnie na kant, buty ładne, wypucowane. Odznaki też mieli. Tylko...

– Tylko co? – naciskała Natalia.

– Tylko dziwni tacy. Jeden przedstawił się grzecznie i pytał, ale drugi... –

Ciocia się wzdrygnęła. – Drugi się uśmiechał, ale jakoś tak nieszczerze. Rozglądał się, farbę na balustradzie skubał, potem bukszpan wachał. Parasol zostawili na werandzie, mam nadzieję, że nie był drogi, bo nie chcę ich już tu oglądać...

– To ci sami co w Dyżurnej – rzuciła Natalia do Łukasza, który stał przy zasłoniętym firanką oknie i spoglądał na drogę. – Słyszysz mnie?

– Słyszę. – Łukasz się odwrócił. – O co pytali?

– O samochód wujka – westchnęła ciocia. – Gdzie się znajduje, co się z nim działo wczoraj, kto go prowadził i tak dalej.

Łukasz z trudem przełknął ślinę.

– I co... – Odkaszlnął. – I co ciocia powiedziała?

– Prawdę, a jak? Że wujek chory i to nie on. A samochód pożyczyliśmy rodzinie. Wam, znaczy się. Wytłumaczy mi to ktoś? Nie dość, że wujek chory, to teraz jeszcze jacyś dziwni ludzie będą mnie nachodzić?

Nauczyciel wciągnął ze świstem powietrze i zerknął na Natalię. Wiedział, co oznacza jej spojrzenie: „Ktoś nas widział, jak ładowaliśmy diabła na pakę. Widział nas i doniósł na policję”.

Kuchnia z wielkim stołem, niekończącym się blatem, szemrzącą lodówką i parapetem zastawionym doniczkami z ziołami, jeszcze niedawno najprzytulniejsze miejsce na ziemi, niespodziewanie wydała mu się ciasna i zimna. Otarł pot z czoła i znów nabrał tchu.

– Łukaszk, co się dzieje? – zaniepokoiła się ciocia, natychmiast zapominając o swym ostrym pytaniu. – Nalać ci wody? – Podniosła się. – Może rumianku się napijesz? Albo melisy? Natalia, nie obgryzaj paznokci.

– Przepraszam.

– Nie, nic mi nie jest. – Łukasz pokręcił głową i uśmiechnął się słabo, sztucznie. – Możemy zobaczyć się z wujkiem?

– Śpi, ale... – Ciocia machnęła dłonią. – A co tam. Możecie.

Razem weszli po wąskich, skrzypiących schodach. Na ciemnym piętterku Łukasz namacał kontakt i samotna żarówka nad ich głowami wydobyła z półmroku stary fotel z dziurawą tapicerką, półkę z pożółkłymi, dawno nieczytanymi książkami i wielki fikus, o dziwo, rozrośnięty i zielony. Łukasz, nie rozglądając się na boki, pchnął drzwi do sypialni wujka i wślizgnął się do środka.

Czesław był roslym człowiekiem, ale w wielkim łóżku wydawał się dziwnie drobny, tym bardziej że jego pobladła twarz zlewała się z szarością pościeli. Przez krótką przerażającą minutę Łukasz był przekonany, że wujek nie żyje, i dopiero po chwili dostrzegł, że pierzyna na wysokości piersi unosi się lekko

i opada. Odetchnął i błyskawicznie odwrócił wzrok ku ciemnej, zwalistej szafie i fragmentowi odklejającej się tapety, by nikt nie zauważył, że w jego oczach pojawiła się wilgoć.

– Leży tak od wczoraj wieczora – powiedziała półgłosem ciocia Marysia. – Wrócił z pracy, usiadł i siedzi. Co ci jest, pytam, a on nic, tylko głową kręci. I mówi, żebym telewizor ściszyła. Prawie nic nie zjadł, ledwie co kapusty skubnął, a mięsa nic. Potem się położył i leży.

Łukasz ostrożnie podszedł bliżej. Zaskrzypiała podłoga, o szyby jedyne okna uderzył deszcz.

Gałki oczne wujka poruszały się pod zamkniętymi powiekami.

– Śni – szepnął Łukasz. – Śni o czymś.

– Jak zawsze – wychrypiała Natalia, podchodząc do Łukasza. – Jak zawsze, gdy nam bądź całemu lasowi zagraża niebezpieczeństwo.

– Nie wiem, o czym wy gadacie! – Ciocia machnęła pulchną dłonią. – Głupoty jakieś, dyrdymały!

Żadne z nich nie skomentowało jej słów, nawet głów nie podnieśli, nadal wpatrzeni w śpiącego. Ciocia była z nimi, odkąd Łukasz pamiętał, wspierała ich radą, energią, a w ostateczności kanapkami ze smalcem. Była z nimi, gdy odpędzali żmijowy czar, pomogła w walce z planetnikiem, uczestniczyła nawet w osaczeniu wapiersza, który zagnieździł się w nieczynnym prysznicu szatni klubu sportowego. Łukasz podejrzewał nawet, że dokarmia ubożęta, ale zawsze wypierała się uczestnictwa w jakichkolwiek starciach, a gadanie o rzeczach nadprzyrodzonych uważała za skrajną bzdurę.

Nikt jej tego nie perswadował, gdyż uporczywa negacja była jej własnym sposobem radzenia sobie ze sprawami, które bez trudu mogłyby się zamienić w koszmar bądź psychozę. Bywało, że Łukasz jej zazdrościł. Sam żadnej metody nie miał.

– Sęk w tym – odezwał się teraz – że zawsze jego sen był zarazem ostrzeżeniem i rozwiązaniem. Wujek budził się, by powiedzieć nam, czym jest zagrożenie i jak się z nim uporać, a teraz? Ewidentnie wygląda to inaczej.

– Coś go zżera – powiedziała Natalia.

Jej głos zadrżał lekko i Łukasz nie mógł się już opanować. Stała tak blisko... Bez wahania wyciągnął rękę i ujął jej palce, chude, zimne, a przecież tak cudowne. Przez nieskończenie długą sekundę był przekonany, że dziewczyna nie ma nic przeciwko temu, że może od tego prostego gestu kiedyś zacząć odbudowywać utraconą więź, ale wtedy zazgrzytał dzwonek u drzwi.

Natalia natychmiast wyszarpnęła dłoń.

– Wrócili – szepnęła przestraszona ciotka Marysia, idąc w stronę okna. – Wrócili po ten nieszczęsny... Nie! – zawołała z wyraźną ulgą. – To ten gnojek!

Łukasz odsunął firankę i spojrzał nad ramieniem cioci. Ujrzał krępego człowieczka z długą skudloną brodą, który wcisnął jeszcze kilkakrotnie dzwonek, po czym rzucił się do ucieczki, chichocząc histerycznie.

– To ten knypek, co wisi wujkowi pięć dych! – sapnęła groźnie ciotka i ruszyła po trzeszczących schodach na parter. Łukasz już miał pójść za nią i ostrzec, by nie schodziła zbyt szybko, gdy coś innego przykuło jego uwagę.

Coś – a raczej ktoś – wśród drzew.

Powiało ostrzej i deszcz bez litości siekł ogród, mimo jesiennej pory wciąż bujny i nadal napierający na dom. Krople łomotały w okna i dudniły po masce poloneza, wśród jałowców krztusiła się i bulgotała rynna. Kurtka zstępującego po schodach werandy Łukasza momentalnie naprzesiąkła wodą, ale nie dbał o to.

Wpatrywał się w postać stojącą wśród sieczonych deszczem kałuż.

Jego noga zaplątała się w coś ułożonego przed schodami.

– Jemioła? – spytał z niedowierzaniem. – Serio?

Diabeł był nieporuszony niczym posąg.

– Dlaczego uruchomiłeś mój komputer? – warknął.

Jego orzechowobrazowe oczy wydawały się niemalże czarne, jakby po białkach rozlał się atrament. Łukasz stłumił dreszcz i przechylił lekko głowę, jakby chciał pomniejszyć kaliber sprawy.

– Nudziłem się w tej cholernej przychodni, a ty... – zawahał się lekko pod świdrującym spojrzeniem Zygmunta. – A ty nie mówiłeś, żebym nie otwierał! Poza tym... Ja pieprzę, Zygmunt, ale hasło to mogłeś sobie jakieś sensowniejsze wybrać. Trzy szóstki? Człowieku, zmądrzej, proszę cię!

– Nie jestem człowiekiem. – Zygmunt zrobił krok w stronę nauczyciela. Po jego twarzy, zniekształconej teraz ledwo hamowanym gniewem, płynęły krople deszczu. – Ale moi przełożeni bez wątpienia mnie za niego uznają. Bo nie dość, że nie dowiozłem wyniku, to jeszcze straciłem komputer na rzecz klienta. Naraziłem misję. Ośmieszyłem Piekło.

– Poczekaj, Zyga! – Łukasz uniósł dłonie. – Poczekaj, chłopie. Wiesz, co nagle, to po diable, he, he!

– Włożyłem sporo wysiłku w zmontowanie tej rozpierduchy na rynku –

syczał diabeł. Między jego zębami coś zajaśniało niczym rozżarzone węgle. – Byłbym wyrwał za nią awans, ale nawet się nie dowiem, czy kierownictwo w ogóle zdaje sobie sprawę z moich wysiłków, bo jakiś palant nie mógł opanować ciekawości. Wiesz, co się teraz stanie?

– Zyga, opanuj się! Przeistaczasz się!

– Wiesz, co się stanie? – wycharczał diabeł. Spomiędzy jego kłów buchnął dym, skośne ślepia zamigotały rubinowo. – Przyślą po mnie patrol, który zawlecze mnie do Piekła na ponowną diabolizację. Wiesz, co to oznacza?

– Wiem, ale...

– Gównu wiesz! – zawył diabeł i wyciągnął ku Łukaszowi kosmate, pazurzaste ramiona. – Na szczęście mam prawo do apelacji! Do procesu! A tam pokażę dowód rzeczowy, którym będziesz ty!

W ostatniej chwili Łukasz pochwycił diabła za nadgarstki. Jego dłonie, nagle stwardniałe, potężne, zakończone pazurami, bez trudu powstrzymały wściekły napór wysłannika Piekła.

– Wybacz – zacharczał nauczyciel przez długie, coraz dłuższe kły i zmrużył zółknące oczy, a właściwie już ślepia. – Ale ja się nigdzie nie wybieram. Nie wolno mi. Jestem na L4.

Diabeł zawył, wyrwał się Łukaszowi, odbił od ziemi i wyskoczył wysoko w powietrze. Zamachał pazurzastymi łapami i runął na nauczyciela, ale ten odskoczył, przetoczył po trawie i zerwał z głuchym pomrukiem. Oparł się pięściami o ziemię, pochylił smukły łeb i parsknął przez nozdrza.

– A więc jednak wilkołak? – spytał zaintrygowany diabeł. – Rokita nie przesadzał.

Jego przeciwnik zawarczał głucho.

– Czy ty zdajesz sobie sprawę, ile jesteś wart w chińskiej medycynie?

Zwarli się z furią, której nie mógł ostudzić rześisty deszcz. Wilkołak chlastał pazurami, kłapał szczękami, ścigał uskakującego jak błyskawica diabła, aż złapał go za kosmatą łydkę, poderwał i grzmotnął nim o ziemię, aż się echo poniosło. Diabeł, na którym straszliwe uderzenie nie wywarło wielkiego wrażenia, wykorzystał sytuację, by uwolnić się dzikim wierzgnięciem. Odbił się od maski poloneza i wylądował na gałęzi.

– Może i nie wykonałem planu – zasyczał – ale inaczej na mnie spojrzą, gdy pokażę skórę likantropa.

Trzasnęły drzwi, zatupały szybkie kroki na mokrym drewnie. Natalia stanęła na szeroko rozstawionych nogach i wyrzuciła w kierunku diabła obie dłonie, ułożywszy palce w osobliwy znak. Uderzenie serca później wysłannik Piekła poczuł, że leci ku ziemi.

Wilkołak znalazł się przy nim w mgnieniu oka. Diabeł ledwie zdołał uskoczyć przed szponiastą łapą, która wydarła strzęp wilgotnej ziemi, a potem uchylił się przed drugą, która pozostawiła głębokie szramy w korze drzewa. Przez huk serca, dudnienie krwi i charczenie likantropa słyszał Natalię, która wykrzykiwała jakieś słowa w nieznanym mu języku. Powietrze tężało, gęstniało.

Diabeł zrozumiał, że nie zostało mu wiele czasu.

Uskoczył przed kolejnym morderczym ciosem i popędził w stronę Natalii, która składała dłonie w nowy symbol. Pazurzasta łapa wyrwała z dziupli mijanego drzewa ukrytą tam zawczasu niewielką reklamówkę, którą następnie cisnęła w wiedźmę. Siatka pełna mosiądzu, żelaza i leszczynowych patyków chybiła i z łomotem uderzyła o ścianę, ale to wystarczyło.

Natalia zachwiała się, zrobiła krok w tył, straciła równowagę i przewróciła się.

„Z jemiolą Rokicie nie wyszło – pomyślał diabeł, odwracając się w kierunku szarżującego wilkołaka – ale na wiedźmę sposób znał”.

Skupiony czekał na atak wilkołaka. Uchylił się przed uderzeniem monsturalnej pięści, która miał w niego trafiła w pień drzewa. Przez pysk likantropa, choć wykrzywiony furją, przemknął grymas bólu. Diabeł wykorzystał moment – grzmotnął go w pachwinę, potem przyłożył racicą w wewnętrzną stronę kolana i kłapnął szczękami.

– Teraz – wycharczał, nachylając się nad skulonym, wijącym się wilkołakiem – pokażę ci, gdzie...

Coś świsnęło w powietrzu, diabeł zachwiał się, niemal upadł. Jakaś siła, której nigdy dotąd nie poznał, przeszła go na wylot i umknęła pospiesznie niczym morska fala, zabierając coś ważnego, coś, bez czego...

Diabeł spojrział na swe dłonie, brudne, ludzkie, żałośnie bezbronne, a potem na swoje nagie ciało.

– Wal się! – wrzeszczała histerycznie Natalia. – Pierdol się, ty kudłaty skurywysynu, ty...

„Zmusiła mnie, bym wrócił do ludzkiej postaci – pomyślał wstrząśnięty diabeł. – Jest silniejsza, niż sądziłem...”.

Odwrócił się ku dziewczynie, która demonstracyjnie odrzuciła reklamówkę za płot. Była przeraźliwie blada, z jej nozdrzy ciekła ciemna krew. Za plecami diabła ze stęknięciem podnosił się wilkołak.

„Albo ja słabszy, niż sądziłem...”.

Deszcz ziębił jego ciało. Było cicho, przerażająco cicho.

Drogą sunął powoli samochód, z cichym pluskiem pokonując kałuże. Żółte

reflektory przypominały kocie ślepie, czujne i bezlitosne. Dwaj mężczyźni w garniturach patrzyli przed siebie. Zygmunt miał wrażenie, że odnaleźli go wzrokiem, choć przecież stał między drzewami, kilkadziesiąt kroków od drogi.

Niespodziewani zawładnęła nim obojętność, jak wtedy, w rzecznej toni.

„Patrol – uświadomił sobie. – A więc przegrałem. Nie będzie wyniku. Nie będzie dowodów rzeczowych, okoliczności łagodzących, apelacji i innych takich. Będzie oskarżenie, tuż po nim wyrok, a na końcu rediabolizacja”.

Samochód powoli podjechał pod bramę domu wujka. Spomiędzy łopianów wyskoczył piesek, obszczał pojazd, a potem przypomniał sobie, że dookoła dzieją się rzeczy niepojęte, i umknął. Kierowca leniwie wskazał poloneza towarzyszowi, a ten uśmiechnął się i pokręcił głową, jakby z politowaniem. Wsiadł i ruszył ku furtce.

Zygmunt szedł już ku nim.

– Spodziewałem się, przyznam, czegoś bardziej efektownego – powiedział, wychodząc spomiędzy drzew. – Rozstępująca się ziemia, błyskawice, ujadanie piekielnych ogarów, krwistoczerwone chmury na niebie i tak dalej. Tymczasem widzę dwóch kolesiów w tanim samochodzie. Też mi patrol. Jestem, przyznam, rozczarowany. Chyba nawet lekko urażony.

Jeden z przybyłych, który właśnie nacisnął dzwonek, obrócił się ku niemu i rozdziawił usta, zaskoczony. Drugi w pośpiechu wyciągnął zdjęcie, spojrzał na nie, na Zygmunta i otworzył drzwi samochodu od strony kierowcy.

– Choć wy pewnie też nie spodziewaliście się, że ujrzycie mnie, przepraszam za wyrażenie, jak mnie Pan Bóg stworzył – rzekł Zygmunt z przekorą. – No, róbcie, co do was należy.

Skrzypnęły drzwi domu, w progu stanęła ciocia Marysia z parasolem. Otworzyła usta, by coś powiedzieć, ale mężczyzna przy furtce nie zwracał na nią uwagi. Czujnym krokiem obchodził samochód, sięgając po coś ukrytego pod połą marynarki. Jego kolega kierowca wyłowił już odznakę i odkaslnął:

– Zygmunt Nowak? – spytał drżącym lekko głosem.

Diabeł przewrócił oczami.

– Nie musicie zawracać sobie głowy tajnością operacji. Ci ludzie wiedzą.

Człowiek z odznaką, ewidentnie spięty, chyba nie słuchał.

– Jest pan aresztowany w związku z wywołaniem pożaru w hotelu Orbita, zniszczeniem mienia znacznej wartości oraz spowodowaniem poparzenia drugiego stopnia – wyrecytował funkcjonariusz z odznaką, wyławiając kajdanki z kieszeni spodni. – Mam nadzieję, że nie ma pan ochoty stawiać oporu?

Zygmunt zamrugał oczami.

– Co? – wykrztusił.

– Rozpoznał pana pracownik pralni chemicznej – wyjaśnił z pogardą drugi z funkcjonariuszy. W jego dłoni błysnął służbowy pistolet. – W oddanym przez pana garniturze znajdowała się karteczka z pana nazwiskiem i numerem pokoju hotelowego. Pracownicy dworca też pana pamiętają.

– A taksówkarze? – spytał Zygmunt z udawaną nadzieją.

„To nie żaden patrol! – śmiał się gorzko w duchu. – Oczywiście, że nie!”.

Spowaźniał, gdy drugi z funkcjonariuszy odbezpieczył broń.

– Proszę podejść do samochodu i położyć ręce na masce – rozkazał.

Diabeł zawahał się, a jego rozbawienie minęło jak ręką odjął. Był o wiele bardziej żywotny od zwykłych ludzi i bez trudu potrafił wytrzymać nawet kilka postrzałów, ale nie miał na to specjalnej ochoty. Wszczynanie wojny z ziemskimi organami sprawiedliwości również mu się nie uśmiechało. Pamiętał ze szkoleń, że wiązały się z tym najróżniejsze komplikacje. Poza tym nie miał na to czasu! Musiał oczyścić swoje imię! Musiał udowodnić zarządowi, że nikogo nie zdradził, że...

– Szybciej! – rozkazał policjant i uniósł broń wyżej. Drugi, pobladły, czekał z kajdankami.

Deszcz nagle przestał padać. Na błotnistej, lśniącej kałużami ulicy panowała absolutna cisza.

„Cholera, co za pech! Co za przeklęty pech! Jeśli nie poddam się tym pajacom...”.

Z jego plecami nagle rozległo się ciche warknięcie. Plusnęły spadające w błoto kajdanki.

– Jacek, co to, kurwa, jest... – wymamrotał pierwszy z policjantów, blady jak ściana, w panice szukający klamki samochodu.

Tamten stał jak wrośnięty w ziemię i wpatrywał się w zjawisko.

– Jacek, ja pierdołę, to jakiś... To jakiś, kurwa, ten... – bełkotał policjant, usiłując dostać się do samochodu, jakby to mogło go uchronić przed długimi pazurami, które zagłębiły się w ziemi tuż obok bosej stopy Zygmunta.

– Udawaj przerażenie – wydyszał ledwie zrozumiałe wilkołak, a potem pochylił łeb i wywarczał głucho ostrzeżenie. Czerwony jęzor z mlaśnięciem przesunął się po ostrych kłach.

Sekundę później potwór rzucił się do ataku.

Jego wściekły ryk zlał się z wrzaskami przerażonych do granic policjantów, wyciem silnika pracującego na najwyższych obrotach i trzaskiem wgniatanej blachy. W głowie Zygmunta, który biegł między drzewami z modelowym

krzykiem, wirowało wiele myśli, z których najważniejsza brzmiała:
„O co mu chodzi?”.

Noc z dnia dziesiątego na jedenasty

Nie wiem, dlaczego to zrobiłem.

Przecież ten cholerny diabeł chyba chciał mnie zabić. Mnie, Natalię, może również wuja Czesia i pozostałych. Jest zagrożeniem, wrogiem, uosobieniem chaosu, a do tego jeszcze jakimś pieprzonym piekielnym korposzczurem zafiksowanym na osiągnięcie wyniku. Co gorsza, Natalia go nie znosi, co jeszcze pogłębia różnice między nami.

Najgorsze możliwe połączenie.

Tymczasem ocaliłem go przed aresztowaniem, i to w chwili, gdy mógł zniknąć bez śladu i uwolnić nas od wszelkich rozterek. Każde z nas mogłoby wrócić do swojego dotychczasowego życia. Ja użerałbym się dalej z młodzieżą w szkole, Natalia nalewałaby wódkę grubasom w stylu Kacprzaka czy Piniewskiego, Jaro przydzielałby kredyty, a Czesiu sprzedawałby swoje gupiki i neonki. Czym by się zajmował Rychu, tego tak naprawdę nie wiem, ale nie sądzę, by chciał się na tę okoliczność wykapać.

Wszystko byłoby tak jak kiedyś. Wracałbym do pustego mieszkania i wachałbym poduszki w poszukiwaniu jej zapachu. Czasami mówiłbym do niej na głos, zupełnie jakby siedziała w sąsiednim pokoju. Odruchowo nalewałbym dwa kubki kawy. Potem, kiedy już bym się wyryczał i wyzłócił na siebie, poprawiałbym sprawdziany, grał w jakąś mobę, usiłował czytać i denerwował na samą myśl o spotkaniu Krzyżaniakowej. Albo o kolejnym liście od Piniewskiego.

Czy w ogóle o kolejnym tygodniu tego nędznego życia.

Diabeł to odrażająca kreatura, ale w jakiejś formie oswojona. Dostarcza mi tego, czego potrzebuję. Nie sądzę, bym się w jakikolwiek sposób wzbogacił od chwili, kiedy pojawił się w Wyplutach, ale nie oddałbym ostatniego tygodnia za nic. Głupio, żeby go tak po prostu policja dorwała.

I właśnie uświadomiłem sobie coś jeszcze. Decyzja, by go ocalić, była oczywiście nieprzemyślanym impulsem, i to takim, za który oberwie mi się od Czesia. Wujek zawsze nas ostrzegał, byśmy nie wykorzystywali swych mocy przeciwko innym ludziom, gdyż wystarczy chwila nieuwagi, a będziemy mieli przeciwko sobie plotki, reporterów, policję i baby z różańcami. Tysiąc razy chciałem się przeistoczyć i postraszyć Piniewskiego, ale co by mi to dało? Czy dług Łukasza Straszego zniknęłoby po tym, jak przed miškami pojawiłby się wilkołak? Ze wszystkich możliwości, jakie daje moja forma, pozostało mi jedynie bieganie po lasach.

Dziś się przemogłem i chyba wiem dlaczego. Chciałem dopiec Natalii. Nie

podobało się jej, że nie mam charakteru, tak? Że nie potrafię postawić na swoim? Że użalam się i jęczę? Proszę. Ciekawe, jak spodoba się jej ten Łukasz, który decyduje za nas wszystkich.

– Co tam piszesz, Łukaszku? – spytała ciocia Marysia.

Podeszła do blatu i włączyła swoje rzeżące radyjko, poprawiła stare zdjęcie chłopca z mieczem za szybką kredensu, a potem odkręciła wodę i sprawnymi ruchami przystąpiła do mycia warzyw. Nauczyciel powoli, z rozmysłem zamknął notatnik i spojrzał w okno, znów zalane deszczem.

– Tak sobie skrobię – mruknął. – Ciociu?

– Tak, Łukaszku?

– Co ciocia właściwie widziała?

– Och, niewiele – odparła, nie odwracając się. – Podjechali ci panowie z policji i chyba chcieli wejść po parasol, ale wtedy pojawił się ten facet, goły jak święty turecki. Chyba chcieli go aresztować, ale uciekli. Danusia mówiła, że ponoć w piątek na zabawie też latał jakiś golas. Prawda to?

– Prawda. I nic poza tym ciocia nie widziała?

– Poza tym to już tylko głupoty jakieś.

Nie widział jej twarzy, bo stała odwrócona do niego plecami, ale dostrzegł, że pochyla głowę, a jej ruchy stają się bardziej energiczne, nerwowe. Mógł sobie wyobrazić, jak zaciska usta.

„Głupoty jakieś – powtórzył w myślach. – To egzorcyzm, który chroni ją przed szaleństwem. Dzięki niemu widzi świat dokładnie takim, jakim chce go widzieć”.

– Zrobić ci coś do jedzenia? – spytała.

– Nie, dzięki. – Łukasz wstał, zgarnął notes i telefon, a potem wyjrzał przez okno. – Przestało już padać. Chyba pójdę. A ten... – zawahał się. – Gdzie Natalia?

– Na górze. U wujka. – Ciocia zakręciła wodę, wytarła dłonie i odwróciła się ku młodemu mężczyźnie. – Naprawdę nie chcesz nic zjeść? Mogę ci odgrzać ogórkową.

– Naprawdę. Może pójdę z nią pogadać?

– Nie – powiedziała ciocia jednocześnie miękko i stanowczo. – Lepiej nie.

– Czemu nie?

– Nie wiem, czemu nie. Ale przypuszczalnie przez te wasze głupoty.

Po kilku minutach biegu przez las diabeł uświadomił sobie, że znów może przybrać swą naturalną postać, w której było mu zarówno cieplej, jak i raźniej. Zrozumiał też, że po wszystkim, przez co przeszedł, bieganie sprawia mu sporą przyjemność, tym bardziej że nie miał bladego pojęcia, co teraz ze sobą począć.

A więc biegł.

Przesadzał zwalone pnie, przedzierał się przez polany zarośnięte pożółkłymi paprociami, przebijał się przez gęste zagajniki, chlupotał zieloną od rzęsy płycizną leśnego jeziora, wzbijając fontanny wody. Tymczasowa pustka w głowie przyniosła mu wielką ulgę. Miał ochotę biec w nieskończoność, byleby ten stan nie minął. Byleby znów nie zacząć myśleć o zadaniu, Piekło i patrolu. I rediabolizacji.

Gnał przed siebie, sadził susami, przytupywał, huknął czasami. Oszołomiony pędem i radością chwili nie zwrócił uwagi na to, że las uległ przemianie. Że stał się mroczniejszy, że drzewa były wyższe i rozrastały się szerzej, a powietrze zapachniało dawnymi wiekami.

Uświadomił to sobie w chwili, gdy rozległa się eksplozja.

Była odległa, niematerialna, wręcz przejrzysta. Diabeł zatrzymał się jak wryty, rozejrzał dookoła, przykucnął, a potem instynktownie dotknął pnia buka strzelającego wysoko ku szaremu niebu. Odgłosy stały się krystalicznie wyraźne.

Seria z broni maszynowej przeorała pień buka, wydzierając wielkie kawałki kory, potem gdzieś dalej eksplodował granat, rozrzucając ziemię. Obłamała się z trzaskiem gałąź, pień pochylił się i runął na ziemię, z młaśnięciem odsłaniając ciemny wykrot.

Spomiędzy drzew wybiegł zgarbiony żołnierz. Zatrzymał się, rozejrzał w panice, wskoczył do wykrotu, ułożył karabin na wilgotnej trawie, przygotował się na przyjęcie niewidocznego jeszcze przeciwnika. Las jednak milczał. Żołnierz oddychał szybko, z trudem, celował to w jedną, to w drugą stronę, spięty, przerażony.

Wtedy coś dostrzegł.

Zamarł, na moment zapominając o broni i o nadciągającym zagrożeniu. Wychylił się z wykrotu i patrzył na jakąś scenę rozgrywającą się w półmroku lasu. Diabeł spojrział w tę samą stronę.

Gdzieś daleko zobaczył drogę, a przy niej rosochatą wierzbę z przepastną dziuplą. Do dziupli wspinał się mały chłopiec.

Diabeł dostrzegł jeszcze, jak żołnierz zniemacka wyskakuje z wykrotu i gna przed siebie, zapominając o karabinie. Potem potężne uderzenie sprawiło, że

świat eksplodował tysiącami iskier. Scena z wierzbą znikła, a diabeł zatoczył się w tył, trzymając się za czoło.

– O jasna kurrrr... – wybełkotał.

Zamrugnął kilka razy i uświadomił sobie, że właśnie wyrznął czołem w gałąź.

– Szlag by to, kurwa, jaśnisty...

– A ty co tu robisz?! – wrzasnął kobiecy głos.

Zaskoczony Zygmunt rozchylił z trudem powieki i ujrzał niemłodą kobietę, równie zdumioną jak on, która podnosiła się z krzaków i pospiesznie dopinała skórzaną spódniczkę, nie przestając gadać:

– Nie wiesz, że tu się nie łązi, co? Z księżycą się urwałeś?

– Nie, z Piekła – odparł diabeł, lustrując nieznaną wzrokiem.

Upięty wysoko kok platynowych włosów z ciemniejszymi odrostami. Rozkołysane kolczyki. Szminka tak czerwona, że na tle jasnego pudru usta wyglądały jak wycięte nożem. Apokaliptycznie głęboki dekolt, biała bluzeczka z cekinami. Resztę zasłaniały mu krzaki, ale był w stanie sobie ją wyobrazić.

– Z Piekła, tak? – wysapała kobieta, przedzierając się przez ostatnie krzewy, co nie było łatwe, zważywszy, że miała buty na kilkunastocentymetrowym obcasie. – Myślisz sobie, że jesteś dowcipny, co?

Nagle Zygmunt uświadomił sobie, że nieznaną widzi jego prawdziwą postać. Na każdym szkoleniu podkreślano, że przeważająca większość ludzi, nie licząc szaleńców, niektórych przyrodników, tropicieli sensacji oraz fanów fantastyki, na widok ostrych rogów, oblicza przypominającego psi pysk i mieniących się jak żar ślepi zareaguje źle, a nawet bardzo źle. Tymczasem nieznaną wzięła się pod boki i otaksowała Zygmunta od góry do dołu, szczególną uwagę poświęcając przyrodzeniu.

– A może i z Piekła – powiedziała rozkojarzonym głosem i znów spojrzała Zygmontowi w oczy, marszcząc mocno brwi. – Kudłaty, durnowaty, reperujesz stare graty?

– Nie.

– Ale nie wiesz, że tu się nie łązi?

– Nie – odparł całkiem szczerze diabeł. – Nikt mi nic nie powiedział.

– Nikt? A kim jest ten nikt?

– No, Czesław i jego dwór – zdecydował się wyjawzić Zygmunt.

Przypuszczał, że kobieta, która wyciągnęła teraz skądś papierosa, wbiła go w poślódką firkę i zapaliła bez pomocy zapalniczki czy zapałniczki, należała do tej samej słowiańskiej menażerii co Łukasz, Natalia i reszta. Pozostawało mieć

nadzieję, że łączą ją z nimi przyjazne układy.

– Aha. – Nieznajoma wydeła usta i wypuściła kłęb niebieskawego dymu. – A co tam u Łukaszką?

– Jest na L4.

– Biedak. Długo się z nimi trzymasz?

– Niecałe dwa tygodnie. A właściwie – diabeł się zawahał – właściwie to się z nimi nie trzymam. Nie potrafimy się jakoś dogadać, co w sumie... Co w sumie nie jest dziwne. Mamy inne targety. Niech pani posłucha...

– Jaka tam pani. Jola jestem. – Kobieta wyciągnęła dłoń. Mocno, bez lęku ujęła pazurzastą łapę i potrząsnęła nią, aż zabrzęczały bransolety.

– A ja Zygmunt. Dla przyjaciół Zyga. Jolu, masz gdzieś jakiś kąt, w którym mógłbym sobie parę spraw przemyśleć?

– Pewno! – Jola obdarzyła go wylewnym, krwistoczerwonym uśmiechem, jeszcze raz musnęła wzrokiem jego przyrodzenie i machnęła dłonią, odwracając się. – Co mam nie mieć. Chodź, Zyga, chodź, nic się nie bój. Winko jakies się znajdzie i coś do przegryzienia...

Zanurzając się za nowo poznaną towarzyszką w sięgające pasa krzaki, Zygmunt po raz pierwszy w swej diabelskiej karierze pomyślał, że nie zawadziłoby zakryć czymś nagości. Nawet tej diabelskiej.

Wkrótce jednak rozważania natury estetyczno-moralnej zostały wyparte przez inne myśli. Zygmunt przeanalizował osobliwe krótkie wizje, których doznawał przez ostatnich kilka godzin, i doszedł do wniosku, że przedstawiają to samo wydarzenie, tyle że obserwowane z różnych punktów widzenia.

„Z drzew – myślał, przeciskając się przez dziurę w płocie w ślad za mamroczącą coś Jolą. – Najpierw z wierzby Rokity, a potem z tamtego drzewa, w które przywaliłem głową, i z jabłunki z jemiolą. Drzewa z jakiegoś powodu zarejestrowały to wydarzenie. Ale dlaczego? Jakie ono miało znaczenie? I czemu ja je widzę?”

Pokręcił głową ze złością. Nie dość, że nie wypełnił wyznaczonego zadania i przez nieszczęśliwy zbieg okoliczności stał się kandydatem na zdrajcę, to jeszcze natrafił na ziemską tajemnicę, która w ogóle nie powinna go zajmować. Tymczasem nie przestawał o niej myśleć.

Żołnierz. Dziecko. Dziupła. Sen. Coś przerażającego między drzewami.

I eksplozje.

„Zaraz! – Diabeł aż przystanął. – Wojna. Staję się świadkiem wydarzeń z czasów wojny!”

– Jolu – odezwał się podekscytowany. – Kiedy tu była ostatni raz wojna?

Jola się odwróciła. W zapadających ciemnościach jej twarz robiła demoniczne wprost wrażenie.

– A co? – warknęła. – Aż tak bardzo ci się tu nie podoba?

Zakończony jaskrawoczerwonym tipsem palec wskazywał toń szarzejącego jeziora i wyrastający nad nim betonowy, pozbawiony większości szyb budynek z rozległym tarasem i wybiegającym nad taflę wody pomostem. Przy pomoście kołysał się samotny rower wodny. Napis nad wejściem głosił: „O.W. Relax”.

– Nie! – Diabeł błysnął zarem spomiędzy kłów. – Miałem na myśli prawdziwą wojnę.

– Wczoraj napierdalali się na rynku – mruknęła Jola. – Nie wiem o co, ale ponoć grubo było. A jeśli chodzi o świat, to coś tam było w Iraku i chyba Pakistanie, ale rzadko telewizor oglądam.

– A wcześniej?

– To chyba z Niemcami. – Jola zachichotała i przyspieszyła kroku. Szybki stukot jej obcasów niósł się echem niczym salwa z broni maszynowej. – Chodź, Zyguś, chodź! Ugoszczę cię, jak należy!

Kurtka leżała na werandzie, tam gdzie ją rzucił podczas spotkania z Zygmuntem. Podniósł ją teraz, otrzepał i włożył powoli. Deszcz już dawno przestał padać, ale nadciągał wieczór i robiło się coraz zimniej.

Łukasz westchnął żałościwie i powolnym, bardzo powolnym krokiem ruszył w stronę furtki. Piesek cioci Marysi wypadł spomiędzy łopianów, szczeknął na pożegnanie i uznawszy, że wypełnił zadanie, ponownie się schował. Nauczyciel pchnął furtkę i stanął na ulicy.

Nie miał pojęcia, co powinien teraz zrobić.

Na powrót do samotności, która czekała go w domu, nie miał najmniejszej ochoty. Natalia zaś nie miała najmniejszej ochoty z nim przebywać, Zygmunt znikł w lesie, Jaro zapewne tłukł w którąś ze swoich gier w internecie, a Rychu go onieśmiał.

Po raz pierwszy w życiu Łukasz uświadomił sobie, jak bardzo jest samotny.

„Kupię sobie psa – postanowił. – Albo kota. Kot lepiej zniesie przeciągające się rady pedagogiczne”.

Kusiło go, by wrócić do cioci, pogadać o tym i owym, może dać się namówić na talerz ogórkowej, ale nie potrafił się odwrócić. Znadto przeszkadzała mu obecność Natalii, którą czuł wszystkimi porami skóry, choć

wiedźma zamknęła się w sypialni wujka na piętrze. Nie, musiał wyjść. Musiał coś ze sobą zrobić.

„Powiniennem odnaleźć Zygmunta – pomyślał bez przekonania. – Sęk w tym, że... że pobiegł nie tam, gdzie powinien”.

Wpatrywał się w ciemniejący las i siwawe strużki jesiennej mgły wijące się między pniami. Po plecach spłynął mu dreszcz.

– Mam nadzieję, że jej nie spotka – szepnął. – Jasna cholera, ale by było...

Bez większej nadziei wyciągnął z kieszeni telefon i wybrał numer Zygmunta. Ku jego wielkiemu zdumieniu po trzecim sygnale coś stuknęło w słuchawce i rozległ się rozradowany głos.

– No, siemano, ziomal. Co tam słychać?

– Zygmunt? – rzucił zaskoczony Łukasz.

– Jaki, kurwa, Zygmunt, co? Sebastian, proszę ciebie, chyba że laleczka ci się marzy. Wtedy pan Sebastian.

– Seba? – spytał ostro Łukasz. – Seba Hoffman? Skąd ty masz ten telefon?

W słuchawce zapadła głucha cisza, przerywana jedynie chrapliwym oddechem rozmówcy i niewyraźnymi głosami w tle. Ktoś spytał: „Seba, co się tak lampisz?”, ktoś inny warknął: „Cicho, bo Mati nie może się skupić”, ktoś zaklął dosadnie.

– No... Znalazłem... – bąknął Seba po dłuższej chwili. – Serio, majster, znaczy się... panie Straszny. Serio. Na rynku leżał, przy fontannie, czai pan, po tej napierdalance. Wziąłem, bo Siwy chciał go ukraść.

– Hoffman, czy ja mam to zgłosić na policję?! – rozdarł się Łukasz, zadowolony, że wreszcie może wyładować napięcie. – Mało masz, chłopie, problemów?

– Nie no, gdzie tam, przecież ja oddać chciałem! – tłumaczył się bełkotliwie, wręcz płaczkliwie Sebastian. – Panie Straszny, przecież my teraz interes z chłopakami prowadzimy, gdzie mnie problemy...

– Interes? Jaki znowu interes?

– No, lale sprzedajemy, takie do dmuchania. – Seba nagle ryknął śmiechem, rozbawiony własnymi słowami. Zawtórował mu ktoś inny, ale uciechę przerwał trzeci głos, każąc wszystkim „trzymać ryj”.

– A skąd je macie?

– Z takiej tecz... A zresztą co to pana właściwie obchodzi? Legalny interes, no nie?

Łukasz przerwał połączenie i przygryzł wargę.

„Mają nie tylko telefon Zygmunta, ale też jego teczkę – uzmysłowił sobie. – I chyba właśnie nauczyli się z niej korzystać. Bóg jeden raczy wiedzieć, co

z niej zaraz wyciągną... Muszę im ją odebrać!”.

Kilka uderzeń serca później siedział za kierownicą i pospiesznie usiłował wepchnąć kluczyk do stacyjki. Silnik poloneza zarzęził, z rury wydechowej buchnął dym, po wnętrzu rozszedł się zapach spalanego gazu. Łukasz ogarnął przepraszającym spojrzeniem skraj lasu i wrzucił pierwszy bieg.

– Uważaj na siebie, Zyga – mruknął.

– Mam jeszcze paprykarz szczeciński – mruzczała Jola i ukłękła przed lodówką, aż jej spódniczka zaskrzypiała. – I ogórki. Nie, nie ma już. O, ale wino jest. Bądź dzentelmen i otwórz, Zyguś.

Diabeł posłusznie wyciągnął plastikowy korek. Z etykiety na butelce szczyrzyła zęby rozchełstana gwiazda porno, przypuszczalnie trzeciologowa, bo wino było ciężkie, mdłe i słodkie do obrzydliwości. Zygmunt wykrył w nim jednak sporo siarki i z ochotą wypił kilka kubków, zagryzając kilkudniowym chlebem z paprykarzem.

– To wszystko moje – oznajmiła Jola, przypalając kolejnego papierosa, i zatoczyła łuk dłonią.

Zygmunt posłusznie omiótł wzrokiem sufit z zaciekami, pod którym kołysała się pojedyncza żarówka, sterczące ze ścian kable i drzwi bez futryn, a potem pokiwał głową w nadziei, że to zamknie rozmowę.

– Po mężu – dodała Jola z zadumą, ignorując diabłą nadzieję. – Nie wykończył obiektu, ale tak też jest fajnie.

– Może jeszcze skończy – bąknął diabeł.

– Gdzie tam. Pokłóciliśmy się i zeżarłam go.

Diabeł zakrztusił się winem i odstawił papierowy kubek.

– Już nie chcę – powiedział z trudem.

– Ale ty się nie bój, Zyguś! – Jola nakryła pazurzastą łapę dłonią z papierosem. – Przecież gościem moim jesteś, a gość w dom... – spojrzała na rogi Zygmunta i się zawahała. – No, gość w dom to podstawa.

Cofnęła dłoń i zaciągnęła się łapczywie, wbijając w diabła spojrzenie z każdą chwilą cięższe i bardziej magnetyczne.

– Smakowało winko? Zrelaksowałeś się, Zyguś?

– Nie – rzekł diabeł. – Kawy bym się napił. Ale nie rozpuszczalnej czy sypanej, tylko takiej porządnej, z ekspresu. Masz tu ekspres? Udało się mężowi kupić jakiś przed waszą eee... kłótnią?

Jola przekrzywiła zalotnie głowę i pochyliła się ku Zygmunтови,

wypychając biust do przodu. Jej dekolt wabił niczym kwiat paproci, perfumy biły w nozdrza niczym salwy artyleryjskie, spojrzenie trzymało diabła w okowach.

– Wolałabym podzielić się z tobą innymi rozkoszami, Zygmucie – szepnęła ochryple i przysunęła się ku niemu nad stolikiem. Zaszurała odsuwana butelka, skrzyknął stolik turystyczny, gdy Jola oparła się o niego obiema dłońmi.

– Ale ja chcę kawy.

– Kawy – wychrypiała Jola, cofnęła się i przechyliła głowę. Jej oczy nabrały zielonkawego odcienia złowieszczonego mokradła, w silną woń perfum wdarła się stęchła woń bagien, skóra poszarzała. – Coś mi się wydaje, Zygmucie, że ty bezczelny jesteś. Gościny nie potrafisz docenić.

Zmrużone ślepią diabła buchnęły blaskiem, między kłami zamigotał żar. W pokoju zrobiło się zauważalnie goręcej, jakby wilgotne przeciągi umknęły przed złowieszczą aurą wysłannika piekieł.

– Nie jestem bezczelny. – Jego głos poniósł się echem po korytarzu. – Tylko muszę sobie poukładać kilka faktów. Będzie ta kawa czy nie?

Jola zatrzepotała sztucznie wydłużonymi rzęsami, a jej skóra powoli wróciła do normalnej barwy.

– Ale jest tylko rozpuszczalna – mruknęła, wstając.

– Może być – zgodził się diabeł.

Gdy Jola wyszła, ostentacyjnie kręcąc tyłkiem, Zygmunt natychmiast wrócił do swoich rozmyślań. Niespodziewanie szybko doszedł do wniosku, że sam fakt pojawienia się drzewnych wizji jest o wiele bardziej złowieszczy od ich treści. Bo jak świat światem, a Piekło Piekłem nikt nigdy nie słyszał, by drzewa dzieliły się czymkolwiek z diabłami. Mogło to oznaczać tylko jedno.

Zbliżało się nieznane. A nieznane na ogół bywało czymś złym.

Nad lasami otaczającymi Wypluty kokonem poprzecinanym przez tory kolejowe, szosy i rzeki, rozciągała się noc, typowo jesienna, pochmurna, nieprzyjemna. Natalia, która z reguły lubiła taką porę, tym razem nawet nie podniosła wzroku. Szybkim krokiem szła poboczem drogi, z pochyloną głową i dłońmi wbitymi w kieszenie, mrużąc pod nosem z furją:

– Dupek. Pieprzony, nieogolony egocentryk z, kurwa, śmierdzącym oddechem. Popierdółka z łbem nabitym farmazonami. Taki szlachetny, taki wspaniały, taki skrzywdzony, a jak przychodzi co do czego, to co? Pieszko idę

do Wyplut. Sama, w środku nocy!

Drogą nadciągało dudniące muzyką dyskotekową audi. Kierowca zaczął zwalniać, gdy światła reflektorów wydobyły z mroku samotną dziewczynę, ale chyba dostrzegł w jej oczach coś niedobrego, bo przyspieszył. Po chwili znów było cicho.

Rytmiczny, cichy stukot niskich obcasów. Terkot odległego pociągu. Czerwone światło na czubku fabrycznego komina migające w oddali.

– Och, jaki ja jestem nieszczęśliwy! – Natalia gestykulowała z emfazą. – Nikt mnie nie rozumie! Wszyscy mnie gnębią! Dyrektorka, katechetka, urząd miejski, burmistrz, wszyscy! Nikt nie widzi tego, jaki jestem zajebisty! Och, chyba się pogrążę w rozpacz! Wsiądę do samochodu i pojedę sobie do domu, by poużalać się nad sobą albo ponapieprzać w jakąś gierkę. A ta zdzira z restauracji niech sobie idzie pieszo do chaty! W końcu jest zła i wredna, prawda?

Jakaś myśl (prawdziwa i szczerą, a przez to nieśmiała) powtarzała jej cichutko, że od wielu dni nie okazała Łukaszowi ani cienia sympatii, a więc on właściwie nie miał obowiązku jej odwozić, ale wiedźma była nazbyt wściekła, by wziąć ją pod uwagę. Szła, otoczona chmurą przekleństw, parskając i wymachiwała rękami. Nawet nie zwróciła uwagi na betonowy przystanek PKS-u, z którego buchał wilgotny chłód. Jej nienawistne słowa odbiły się echem w jego wnętrzu.

– Zaraz, zaraz, jaka zdzira? – Natalia parsknęła złym śmiechem. – Przecież na całym świecie nie ma nikogo poza mną! Nieszczęśliwym zbawcą ludzkości, kapitanem zajebistości, megagościem z resztkami makaronu w brodzie! Najbardziej egoistycznym małym chujkiem ze sterczącymi sutkami, płaczkliwym pajacem, nauczycielem zdenominowanym.

Dziewczyna szła przed siebie ostrym, nerwowym krokiem, wpatrzona w ciemność przed sobą, skupiona tylko na własnych myślach. Minęła przystanek, drewnianego woja i tablicę z napisem „Wypluty 1”. Z szumem przejechał kolejny samochód, zalewając asfalt żółtym światłem.

Z wiaty przystankowej ktoś wyjrzał.

A potem wyślizgnął się w ślad za dziewczyną.

Zygmunt nadal nie był przyzwyczajony do ludzkiego zwyczaju spania. Nie potrafił jeszcze rozpoznać objawów nadciągającej senności i nie umiał się na nią przygotować, przez co sen, choć przyjemny jako doznanie, był dla niego

sporym zaskoczeniem. Jeszcze większym szokiem okazywało się jednak przebudzenie.

Zerwał się jak szalony, przewrócił krzesło, potrącił pustą butelkę po winie. Buchnął dymem z pyska i rozejrzał się gwałtownie, przeświadczony, że do drzwi dobija się patrol. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że rytmiczny łoskot, który wyrwał go z letargu, ma bardziej przyziemną naturę.

– Och, Rysiu, Rysiu mój – chrypiała Jola. – Tak, tak, jeszcze, mocniej...

Przerwało jej głuche, rozdzierające stęknienie. Rytmiczny stukot ustał.

– Już? – spytała zdegustowana Jola.

– No – odezwał się znajomy Zygmuntowi niski głos. – Już.

– Super. Po prostu rewelacja – zazgrzytała Jola. – Jak tak dalej pójdzie, Rychu, będziesz kończył, zanim zaczniemy.

– Cicho bądź.

Zaszurał jakiś przesuwany sprzęt, po ziemi potoczyło się jakieś szkło, zgrzytnęła zapalniczka. Chwilę później w progu stanął Rychu.

Gdyby Zygmunt nie widział wodnika wcześniej, bez wątpienia wrzasnąłby teraz ze strachu, nawet pomimo swego piekielnego pochodzenia. Obwisłe policzki Rycha nachodziły na jego usta, przez co jego oblicze jeszcze bardziej przypominało rybę, a rozczochrane włosy upodabniały go do szaleńca z koszmarów. W mętnych oczach pojawił się zły błysk, gdy Rychu stanął w progu i uważnie przyjrzał się diabłu.

– No proszę – prychnął i zaciągnął się mocno, aż zatrzeszczała spalana bibułka. – Mości diabeł. Też chcesz dupczyć?

– Nie. – Diabeł, wciąż spięty, wpatrywał się w wodnika, który nonszalancko oparł się o nieotynkowaną ścianę.

– Nie chcesz dupczyć? A więc jaka to potrzeba sprawiła, że wyrwałeś się z kipieli? – Rychu się skrzywił, udowadniając, że pojęcie „szpetota” jest bardzo obszerne. – Bo przyznam, że się, choroba, trochę napracowałem z mocowaniem tego łańcucha.

– Nie trzeba było. – Diabeł z wolna odzyskiwał panowanie nad sobą i cięty język. – Doprawdy zbyteczny wysiłek.

– Zbyteczny? – Rychu rzucił papierosa na ziemię i rozdeptał. – Natalia mówi, że to przez ciebie Czesiu leży w łóżku. Że to ty jesteś zapowiedzią czegoś złego i przez to zsyłasz na niego tę depresję.

– Jeśli tak jest, to nic o tym nie wiem. I wierz mi, o niczym bardziej nie marzę, niż żeby się wreszcie wynieść z tego zasranego miasteczka, więc, proszę cię, nie wchodź mi już w drogę – zakończył głuchym głosem Zygmunt. W jego pysku znów się coś żarzyło, spomiędzy kłów buchał dym. – Zrobię

swoje i znikam.

– Posłuchaj no. – Wodnik odepchnął się od ściany i zacisnął pięści, aż zachrząściło. – Zrób to swoje i znikaj, ale lepiej dobrze sobie przemyśl, na czym miałyby to polegać. Nie znam twoich planów i nie chcę ich znać, ale jeśli Czesiowi naprawdę coś się stanie, sierściaku, powyrywam ci kopyta i każę ci je zjeść. Znam go od dziecka i nie pozwolę, by coś mu się stało.

– Od dziecka – powtórzył zaintrygowany Zygmunt. – A to ciekawe. Byłeś może żołnierzem?

– Poli... No, znaczy się milicjantem. – Rychu udowodnił, że wciąż może spochmurnieć jeszcze bardziej. – A po co ci to? Chcesz o emeryturach mundurowych pogadać?

– Nie. – Diabeł pokręcił głową. – Ja o niczym nie chcę gadać. To znaczy chcę, ale nie z wami. Czy ktoś ma komórkę?

– Tu i tak nie ma zasięgu. – Jola weszła do pomieszczenia, podniosła pustą butelkę i skrzywiła się równie przekonująco jak Rychu.

– Dobra, nieważne. Pokażcie mi drogę do Wyplut i ten tego... Jolu, pożarłaś męża ze wszystkimi ubraniami czy może coś tam zostało?

Pobocze było puste i wąskie, a z rowu melioracyjnego cuchnęło. Nad polami uganiały się wiatry. Wypluty były rozpaczliwie daleko.

– Sukinsyn! – Głos Natalii zadrżał i przeszedł w szloch. – Tępy gnojek. Wredny, tępy...

Kolejne wyzwiska utonęły w cichym, bezsilnym płaczu. Pograżona w rozpacz Natalia szła przed siebie z pochyloną głową i zaciśniętymi mocno pięściami.

Nie widziała nikogo ani niczego.

Nie widziała ciemnej postaci, która podążała za nią od przystanku autobusowego.

Kolejny samochód nadjechał tym razem z tyłu i opryskał ją milionem drobniutkich kropelek.

– Może bliżej przejedziesz, co! – wrzasnęła Natalia za oddalającymi się czerwonymi światłami. – Może mnie rozjedź, co, dupo wołowa?

Przez jej umysł przemknął jadowity pomysł uplecenia prostego uroku i ciśnięcia w ślad za kierowcą, ale nie potrafiła połączyć rozbieganych myśli w żaden sensowny związek. Zatrzymała się i pochyliła, oparłszy dłonie na kolanach, jakby rozpacz odebrała jej resztki sił, a ich miejsce zajęły torsje.

Wbrew wszelkiej logice Natalia postanowiła usiąść pod najbliższym drzewem i siedzieć tam w nieskończoność. Zeszła z drogi i wąską, błotnistą ścieżynką podeszła do trzech topól kołyszących się na nocnym wietrze.

– I tak oto – mruknęła do siebie – szlag trafił ostatnią rzecz, co do której byłam jeszcze w miarę pewna, a mianowicie mój zdrowy rozsądek.

Poprawiła spódnicę i usiadła ostrożnie, szukając najwygodniejszego miejsca.

– Będę tu siedzieć dopóty... – powiedziała do nocnego wichru – dopóki...

„Kurwa, nie wiem co”.

I wtedy dostrzegła samotną ciemną postać, która stała na poboczu.

Jej serce na moment zamarło. Sylwetka była ledwie widoczna na tle mroku, ale Natalia z jakiegoś powodu była pewna, że ma przed sobą mężczyznę, który na nią patrzy.

Ba, skądś wiedziała, że jego intencje są złe. Bardzo złe.

Serce Natalii tłukło jak oszalała ćma o klosz lampy. Mimo zimnego, paralizującego przerażenia zdołała przywabić do siebie odrobinę mocy. Jej oczy pobiełały, spierzchnięte nagle usta wymamrotały kilka słów z dawno zapomnianego języka, a palec wskazujący wyrysował w błocie kilka znaków – tych, które sprawiały, że człowiek, choć zachowywał swą fizyczność, przestawał być zauważalny.

Była to znakomita sztuczka, skuteczna i wielokrotnie sprawdzona, działająca nawet w pracy czy w klasie szkolnej, ale Natalia miała wrażenie, że tym razem – z niejasnych powodów – może nie zadziałać. Po jej plecach zsunęła się złośliwa kropla potu, a za nią kolejna.

Obcy stał nieruchomo, a potem odwrócił się i zamachał dłonią. Nadjeżdżający powoli samochód zatrzymał się. Natalia wyraźnie widziała, jak kierowca przechyla się w stronę drzwi pasażera, otwiera je lekkim pchnięciem i o coś pyta. Nieznajomy w odpowiedzi rzucił kilka słów i odwrócił się, wymownie pokazując pola, na co kierowca zachęcił go gestem, by wsiadł.

Odjechali ku Wyplutom.

Natalia długo jeszcze siedziała pod topolami, zasłonięta mocą przedwiecznego symbolu, i rozpatrywała zdarzenie. Widziała maskę samochodu w odbłasku reflektorów, widziała jego wnętrze oraz twarz kierowcy, opromienioną światłem tablicy rozdzielczej. Nie miała więc najmniejszego pojęcia, dlaczego nie zobaczyła twarzy nieznajomego.

Wyciągnęła telefon.

– Widziałeś pan tą tam, cośmy ją właśnie minęli? – parsknął kierowca, zerknąwszy w lusterko wsteczne. – Widziałeś pan, jak się piekliła?

Zygmunt z zaciekawieniem odwrócił głowę. Przez ułamek sekundy miał wrażenie, że gestykującą wściekle dziewczyną na poboczu była Natalia, ale ciemność zasłoniła ją zbyt szybko, by mógł nabrać pewności.

– O co jej, kurwa, chodziło? – Kierowca pokręcił głową z udawanym politowaniem. – Widziałeś pan? Że niby za blisko jechałem, co?

Zygmunt patrzył, jak wydatna grdyka faceta podjeżdża w górę i opada, a usta się wykrzywiają. W nikłym blasku deski rozdzielczej jego blada twarz wydawała się gipsowym posągiem niechęci i zawziętości.

„Klient idealny – pomyślał ze znużeniem diabeł. – Gdyby wszystko potoczyło się jak należy, gdybym władał przekazem, kilka dni po naszym spotkaniu doprowadziłby do rozbicia własnej rodziny i kilkunastu awantur sąsiedzkich. Grzech szerzyłby się jak ogień po stepie. Gdyby... Ech, gdyby”.

Za oknem przemykał ciemny świat. Pola, drzewa, czasami jakieś gospodarstwo, wszystko rozmyte, ledwie widoczne, utopione w nocy. Mignął wielki szyld z napisem „Usługi koparką”, potem inny, reklamujący usługi wulkanizacyjne. Błysnęły oczy przyczajonego kota.

– Bo ludzie w ogóle to ostatnie świnię – ciągnął ze złością kierowca. – Kilka dni temu chciałem sprzedać samochód, wie pan? Gadam ci z komisarzem i już faceta urobiłem, a tu podchodzi taki dupek i zaczyna: „Panie, taki samochód chcesz pan kupić? Przecież widać, że bity, przerdzewiały, że silnik rzezi”. Słyszysz pan, żeby silnik rzeził? Słyszysz pan?

Nerwowym ruchem wyłączył radio i postukał palcem w obudowę deski rozdzielczej.

– Słyszysz pan?

Zygmunt z przekonaniem pokręcił głową.

– No właśnie – sapnął ukontentowany kierowca i zredukował bieg. Przed nimi opuszczały się migoczące na czerwono szlabany przejazdu kolejowego.

– Ale tak to już jest – podjął, zaciągając hamulec ręczny. – Ludzie to, panie, wredoty. Na każdym kroku. Ani dobrego słowa nie powiedzą, ani nic. Dla mnie, panie, nie do pomyślenia, by na ten przykład nie zatrzymać się i autostopowicza nie zabrać, no nie?

– No tak – odparł odruchowo diabeł, wpatrzony w migoczące hipnotycznie światełka rozmieszczone wzdłuż szlabanu.

„Po co mi to wszystko? – zapytał się w myślach nie po raz pierwszy. –

Czemu wręcam się w historię wuja Czesia? Czemu nie mogę przestać myśleć o tych durnych wizjach? Dlatego że podświadomie wyczuwam w tym jakiś sens? Czy może dlatego, że tak na dobrą sprawę nie mam nic innego do roboty? Czyżbym się już pogodził z tym, że do Piekła nie mam po co wracać?”.

– Ale gdzie tam! – ciągnął kierowca, nie zwracając uwagi na to, że diabeł na moment przestał słuchać. – Wszystko, kurwa, drożeje, a końca nie widać. Wiesz pan, ile musiałem za OC w tym roku dać? Przecież to wszystko się w pale nie mieści. Flaki mi się wywracają, jak oglądam dziennik i widzę tych złodziei z rządu. Kiedy wreszcie coś dadzą, co? Kiedy wreszcie tylko zabierać przestaną! Nie dość, że nas okradają, to jeszcze wszystko Niemcom sprzedają za naszymi plecami, potwory jebane.

– Potwory – powtórzył bezwiednie diabeł.

– No! – ożywił się kierowca. – A żebyś pan wiedział!

– Wie pan co? – Zygmunt odwrócił się ku niemu. – Mogę skorzystać z telefonu? Muszę tylko do kolegi przedryndać i spytać o parę rzeczy.

Kierowca z wyraźnym ociąganiem wyjął telefon, odblokował i podał pasażerowi.

– Tylko uważaj pan. Drogi był.

Trzeci sygnał przerwał zaniepokojony głos nauczyciela:

– Straszny, słucham?

– To słuchaj uważnie. Co się stało z moim laptopem?

– Zyga, to ty? – zawołał Łukasz z ożywieniem. – Ja pieprzę, nie znałem numeru i myślałem, że to ktoś od Piniewskiego! Oni tak zawsze w nocy...

– Powiedziałem ci, że Piniewskim masz się nie przejmować. Gdzie jest mój laptop? Miałem go przy sobie, gdy... No wiesz kiedy.

– Wiem. Ale o laptopie nic nie wiem. Nie przejmuj się, zaraz roześlę ziomali na poszukiwania.

– Kogo?

– No ziomali. Klub pod Obitym Ryjem. Sons of Anarchy dla ubogich. Masz gdzie spać?

– Nie bardzo.

– To wbijaj się do mnie.

Z ciemności wynurzył się pociąg i majestatycznie przetoczył się w blasku reflektorów pomrukującego samochodu. Zygmunt oddał telefon, podziękował uprzejmie, a potem wysiadł, trzasnął drzwiami i na oczach wstrząśniętego kierowcy przeskoczył nad wielkim wagonem cysterną. Następnie udał się w dalszą drogę.

Miał plan.

Dzień jedenasty

Szare chmury kłębiły się nad miasteczkiem od samego rana, coraz ciemniejsze i gniewniejsze, aż gdzieś w okolicach dziewiątej lunęło z takim impetem, jakby jakaś wyższa instancja uznała, że Wyplutom należy się gruntowne, od dawna zaległe oczyszczenie. Bura woda kłębiła się i bulgotała wokół odpływów i studzienek, a ulicami z trudem brnęły samochody. Nieliczni piesi tłoczyli się w wejściach do sklepów, zadzierali głowy ku niebu i kłeli.

Łukasz odepchnął się od parapetu w swoim mieszkaniu.

– Powtórzę, bo chyba mnie nie usłyszałeś – rzekł. – Seba i jego banda mają twoją teczkę. Tę samą, z której wyciągnąłeś forszę dla Piniewskiego, prezenty dla nich i cholera wie co jeszcze. Oni, jeśli cię to interesuje, wyciągają z niej dmuchane lale, bo to przypuszczalnie wszystko, co są w stanie wymyślić. Przyznam, że manufaktura działa prężnie: mają stronę na Facebooku i działający z wielkim zaangażowaniem dział kontroli jakości, a dystrybucję zapewnia wujek któregoś z nich, jakiś gajowy chyba, właściciel opla kombi.

– Imponujące – mruknął Zygmunt. Jego palce śmigały po klawiaturze.

– Nie chciałbyś może tej teczki odzyskać, co? Powiedziałem im, że jeśli odnajdą twojego laptopa, mogą ją na razie zatrzymać, ale...

– Nie, spoko.

– W porządku. – Łukasz wzruszył ramionami. – Ja na twoim miejscu byłbym raczej do takiego gadżetu przywiązany, ale...

– Uhm.

Łukasz westchnął i odwrócił się w stronę okna, by nie patrzeć na pracującego zawzięcie diabła. Przez chwilę panowała cisza, aż nauczyciel ujawnił swą kolejną wątpliwość.

– Ty, a właściwie to jak działa to twoje Piekło? – spytał. – Skąd oni wiedzą, co ty właściwie robisz?

– Nie wiem – burknął diabeł.

– Czemu? To tajne u was czy po prostu tego nie rozumiesz?

– Nie wiem! – powtórzył Zygmunt dobitniej i pochylił się nad klawiaturą.

Po ciemnym ekranie diabelskiego laptopa przepływały rzędy liter i cyfr, a diabeł kłął po cichu i co chwila wybierał kolejne opcje.

– A ten system, według którego was oceniają, musi podlegać jakimś kryteriom – ciągnął Łukasz. – Znasz je? Macie dokładnie wytyczne, co i jak?

– Mniej więcej. – Diabeł kilkakrotnie pacnął w owalny klawisz przypominający umiejscowieniem enter.

– Poczujesz się jakoś do tego twojego zadania?

– Niezmiernie.

– Zygmunt, ja tu rozmowę próbuję prowadzić! – obruszył się zdezorientowany Łukasz. – Mógłbyś chociaż udawać, że mnie słuchasz!

– Uhm. – W oczach diabła zamigotał żar, z uszu wypłynęły strużki dymu, palce na klawiaturze migotały coraz szybciej.

– Chcesz kawy? – Łukasz skierował się do kuchni.

– Nie – wycedził diabeł. – Ta twoja jest obrzydliwa. O, mam! – wrzasnął i huknął pięścią w biurko, aż podskoczyły puste kubki i talerze, a potem pochylił się nad ekranem tak bardzo, że niemal dotknął go nosem. Znów zaczął pisać w szaleńczym tempie.

– Co masz? – Nauczyciel odwrócił się w prog.

– Cicho.

Łukasz wzruszył ramionami i wszedł do kuchni, gdzie powitały go kapanie wody z niedokręconego kranu, stosy naczyń piętzące się w zlewie i schnąca na desce pajda chleba. Westchnął i stanął przy elektrycznym czajniku, próbując odwrócić się do bałaganu plecami, ale niewiele mu to dało. Nieporządek, który zjawiał się sam niczym upiór tańczący nad grobem, dawał mu wyraźny sygnał: nie radzisz sobie. Wszystko się sypie. Wiesz o tym, prawda?

Wyjrzał do pokoju. Płyty rozsypane wokół odtwarzacza. Zmięta pościel, niezmieniana od tygodni. Błoto na butach, kurz na parapecie, schnące paprotki. Mieszkanie, które okupił wielkim wysiłkiem i wieloma nocami stresu, coraz mniej przypominało bezpieczny azyl. Nie było już jego drugą, zewnętrzną skórą, ale stawało się obrazem jego wnętrza. To zaś...

To zaś leżało w gruzach.

– Kiedyś to ogarnę – powiedział do siebie, bez przekonania.

Krople deszczu wiły się po szybie, spływały na parapet. Szumiała gotująca się woda. Dzwoniły kościelne dzwony.

– Przynajmniej spróbuję – dodał. – Jak tylko pozbędę się gościa.

Zerknął na Zygmunta, zalał sobie herbatę i usiadł przy stole kuchennym. Strzepnął okruchy na ziemię i otworzył swój ulubiony notes.

Za dnia człowiek popełnia wiele błędów, z którymi różnie sobie radzi. Znacznie trudniej znieść te błędy, które pojawiają się w nocy, głównie dlatego, że nim błądzący cokolwiek pocznie, przygniata go sen, chwilowa utłuda, ale z całą

pewnością nie wybawienie. Sen nie pozwala o błędzie zapomnieć, jedynie marynuje go na przyszłość, na chwilę, kiedy otwieramy oczy, by powitać dzień. Wtedy wszystko spada. Gorzki prysznic.

Noc to czas źle sformułowanych myśli. Przedwczesnych wytrysków. Łokci wbitych w oko. Nienależycie dobranych myśli. Uporczywych pochrapywań. Niespełnionych pragnień, źle odczytanych intencji i gazów pod kołdrą. Czas werbalnych szpil i rozczarowań.

Gdybym mógł, nie spałbym wcale. Życie byłoby czytelniejsze.

– Mam – oznajmił diabeł i usiadł przy stole. – Mam, co chciałem.

– Super – odparł nauczyciel, nie unosząc głowy, nadal zajęty pisaniem. – Nie sądzisz, że teraz moja pora na ignorowanie rozmówcy?

– Posłuchaj lepiej, co ci mam do powiedzenia, a sam uznasz, czy warto mnie ignorować – rzekł Zygmunt z podejrzanym samozadowoleniem.

Zaintrygowany Łukasz podniósł głowę i przyjrzał mu się podejrzliwie.

– W moim komputerze zadziałała procedura bezpieczeństwa, będąca reakcją na to, że system operacyjny został uruchomiony przez śmiertelnika. Czyli ciebie – rzekł diabeł. Jego oblicze na moment spochmurniało, a w oczach zamigotał żar, ale szybko się otrząsnął, przybrał szeroki uśmiech i ciągnął: – System wydaje się zablokowany, ale przypuszczam, że któraś komórka zarządu nadal mnie śledzi. Wyłączyłem więc internet i wszedłem do baz danych w pamięci laptopa. To bardzo sprytny system, opracowany przez nasz dział IT na wypadek działań poza zasięgiem internetu. – Diabeł wpatrywał się w Łukasza z satysfakcją. – Nieźle, nie? Wystarczy nacisnąć dwa klawisze podczas wczytywania systemu i proszę! Wszystkie bazy danych potrzebne agentowi rejonowemu stoją do dyspozycji!

Łukasz siorbnął i odstawił kubek z herbatą. Długo, długo wpatrywał się w wysłannika Piekła.

– Wciskasz dwa klawisze podczas odpalania systemu i przechodzisz do zbioru supertajnych informacji?

– Genialne, prawda? – ucieszył się diabeł. – Wpadłbyś na to?

Łukasz zawahał się, czy opowiedzieć Zygmuntowi o sposobach uruchamiania BIOS-a, ale uznał, że szkoda na to sił i czasu. Znów siorbnął herbaty.

– Odnalazłem tam adresy Urzędu Interwencyjnego, zarówno piekielny, jak i ziemski – Zygmunt pokazał karteczkę z kilkoma rzędami zapisanych słów i wydmuchnął garść iskier z nosa na podłogę. – Muszę wysłać krótkiego maila, a potem ruszamy do roboty.

– Jakiego Urzędu Interwencyjnego? Do jakiej roboty? – Łukasz zmarszczył krzaczaste brwi.

– Dowiesz się niebawem. – Diabeł nieco spochmurniał. – O ile się znów nie mylę. Na razie jednak musimy znaleźć najstarsze drzewa w okolicy.

Łukasz nie miał pojęcia, które wonie naprawdę składają się na zapach wnętrza samochodu. Tapicerki? Nadmuchu? Zwietrzałych choinek kołyszących się pod lusterkiem? Dymu papierosowego i upchanych w popielniczkę petów? Smaru? Opakowań po fast foodach jeżdżących przez długie miesiące pod siedzeniami? Kosmetyków właścicieli? Sierści ich psów? Pewnie składowych było o wiele, wiele więcej, ale Łukasz nie miał ochoty się ich doszukiwać. Wystarczyło mu to, że uwielbiał zapach starych samochodów.

Zwłaszcza podczas deszczu.

Gdy polonez zatrzymał się na skraju wilgotnego jesiennego lasu, przed chwilą wychłostanego ulewą, Łukasz zapragnął wdychać zapach samochodu całą wieczność. Zwłaszcza że stanęli przed tym właśnie lasem, tym najstraszniejszym, tym, którego nie znosił. Tym, którego złowrogi wpływ powstrzymywany był jedynie przez dom wujka i cici, ledwie stąd widoczny.

Zygmunt takich skrupułów nie miał. Odpiął pas ze szczęknięciem, odrzucił go na bok i złapał klamkę.

– Idziesz? – spytał. – Pokażesz mi, gdzie te drzewa.

Łukasz spojrział na ciemne, wilgotne pnie i czającą się daleko za nimi mgłę.

– Sam sobie ich poszukaj. Trochę pada – bąknął. – I kostka mnie boli. Lewa.

– Faktycznie, pada – potwierdził diabeł. – Wszystko się przemoczy.

Pospiesznie ściągnął pożyczoną od Łukasza dzinsową kurtkę, po niej czarny T-shirt ze spranym logo Slayera i zabrał się do rozpinania spodni. W jego ciemnych oczach pojawił się jednak błysk, który Łukasz nauczył się już rozpoznawać. Nauczyciel wiedział, że diabeł uświadomił sobie coś, co go bardzo rozbawiło, i uznał, że nie ma ochoty tego słuchać.

Zygmunt jednak z definicji nie miał pojęcia, czym jest litość lub miłosierdzie.

– Boisz się Joli, co? – Uśmiechnął się, odsłaniając niepokojąco równe zęby.

– Nie znam żadnej Joli. – Łukasz odwrócił głowę.

– Ależ znasz. Na pewno znasz. Przecież ten las to jej terytorium! – Diabeł

radośnie zamachał rękami. Po jego owłosionej skórze spływały pierwsze krople deszczu.

– A właśnie że nie. – Łukasz czuł, że czerwienieje.

– Widziałem twój GPS. Nawet pokazał O.W. Relax. Boisz się jej, co?

– Wcale że nie.

– He, he! – rżał ucieszony Zygmunt. – Zagięła na ciebie parol, co? Nie martw się, młody, na razie wystarcza jej Rychu. Chociaż – zmarszczył teatralnie brwi – chociaż zaraz, jednak nie. Nie wystarcza. Więc lepiej się martw.

Przeobraził się błyskawicznie w swoją naturalną postać, zatupał racicami w kałużę i smyrgnął w krzaki, wymachując radośnie ogonem.

Łukasz odetchnął, pchnął ciężkie drzwi samochodu, które zaprotestowały skrzypnięciem, i wy dostał się na zewnątrz. Poklepał się po kieszeniach w poszukiwaniu zapalniczki i papierosów.

– Cholerny spryciarz – mruknął, gdy w wilgotnym powietrzu poniósł się ostry zapach dymu. – Cholerny, pieprzony... Ech, zresztą.

Próbował skupić się na rozmyślaniach. Usiłował jeszcze raz przeanalizować swoje szanse życiowe i zaplanować jakąś przyszłość, próbował przywołać wspomnienie twarzy Natalii i przeprowadzić symulację rozmowy, która „wszystko między nami załatwi”, potem przemocą skierował myśli ku diabłu i jego dziwnym, nietypowym zachowaniom, ale wnioski umykały mu jeden po drugim. Las w istocie napawał go lękiem, do tego stopnia, że wołał nie odwracać się do niego plecami. Nie potrafił logicznie rozumować w jego cieniu.

– *Blair Witch Project* w lokalnym wydaniu – mruknął z udawaną wzgardą.

Szczęśliwie Zygmunt wyłonił się spomiędzy drzew w chwili, gdy do pierwszego peta pływającego smętnie na powierzchni kałuży z sykiem dołączył drugi. Diabeł był w ludzkiej postaci i wydawał się wstrząśnięty.

– Co? – Łukasz uśmiechnął się sarkastycznie. – Dopadła cię?

Diabeł nie podjął zaczepki. Stał na środku zabłoconej drogi i spojrzał na dom wujka Czesia, ledwie widoczny w objęciach dzikiego ogrodu.

– To zdjęcie – wychrypiał. – Pamiętasz to zdjęcie za szybką kredensu?

– Które?

– No, to takie z chłopakiem i mieczem.

– Pewnie. – Łukasz wzruszył ramionami. – To najstarsze zdjęcie rodzinne, zrobione w maju przed wybuchem wojny. Wujek ma na nim cztery lata.

– Aha. – Diabeł pokiwał głową, pochłonięty własnymi rozmyślaniami. – Chodź, musimy się mu przyjrzeć.

Nie odwracając się, począpał w błocie w stronę domu. Łukasz przewrócił oczami, opadł na siedzenie kierowcy i wcisnął klakson. Z rozkołysanego krzaka wystrzeliła przerażona sroka. Diabeł aż podskoczył i odwrócił się na pięcie.

– Co? – zasyczał.

Łukasz podniósł dwoma palcami koszulkę z fotela pasażera.

– Wiesz, ciocia jest w stanie sporo znieść, ale mimo wszystko dobrze by było, gdybyś się ubrał.

W domu cioci Marysi i wujka Czesia spędzili zaledwie kilkanaście minut, ale to wystarczyło, by Łukasz całkowicie stracił cierpliwość.

– Posłuchaj! – warknął po wyjściu, przekręcając kluczyk w stacyjce. Przez potężne cielsko bordowego poloneza przeszło drżenie, a karmiony gazem silnik zamruczał cicho, anemicznie. – Wiem, że jesteś wypierdkiem z piekielnych czeluści, ale w domu cioci i wujka obowiązują, kurwa, zasady! Po pierwsze, jak ciocia częstuje cebulową, to siadasz na dupie i jesz, bo nigdy nie wiadomo, kiedy znów przytrafi ci się coś równie wspaniałego. Po drugie, nie wolno obwąchiwać ani już tym bardziej lizać fotografii rodzinnych. Po trzecie, nigdy nie pytaj cioci o wujkowy bimber, bo ona nie znosi alkoholu, a jeśli już wycyganisz od niej flaszkę, to chociaż podziękuj! Po czwarte, mógłbyś przynajmniej zapytać o zdrowie wujka!

– A co? – Zygmunt zamrugnął oczami, jakby był zaskoczony oskarżeniem Łukasza. – Pogorszyło mu się?

– Nie.

– No to dobrze. Jedźmy do Wyplut.

– Jasne, szefie! – warknął Łukasz i dodał gazu. Polonez strzelił kłębem spalin i ociężale wygramolił się z błota, by z poskrzypywaniem zawieszania ruszyć przed siebie. – Czego sobie zażyczysz.

W milczeniu sunęli przez wyboje i kałuże. Wycieraczki pracowicie rozsmarowywały deszcz i błoto na szybie, radio mruczało ledwie zrozumiale, Zygmunt milczał, tuląc do siebie butelkę, a Łukasz kłął pod nosem. Jego złość stygła powoli i gdy zatrzymał samochód przy wyjeździe na drogę gminną, zerknął na milczącego diabła.

– Odezwiesz się w końcu? – spytał.

Drogą przetoczył się ryczący autobus. Migacz tykał cicho.

– Co? – Zygmunt spojrzał na nauczyciela półprzytomnie. – Co takiego?

– Powiesz mi coś w końcu? Najpierw piszesz maile do jakiegoś cholernego urzędu, potem biegasz po lesie, wykazujesz niezdrowe zainteresowanie fotografiami rodzinnymi i wyłudzasz od cioci flachę bimbru. Co będzie dalej?

– Jeszcze nie wiem – odparł powoli diabeł. – Lewa chyba wolna.

Łukasz spojrzął na drogę i uświadomił sobie, że jedynym pojazdem na ich pasie jest nadjeżdżający powoli traktor. Dodał więc ostro gazu, a silnik zawył i z trudem wciągnął poloneza na asfalt.

– Co za rzech – mruknął nauczyciel. – A więc nie wiesz? No to może powiedz mi, o co ci teraz chodzi! Wcześniej, o ile dobrze pamiętam, zależało ci na rozpętaniu wielkiej zawieruchy, by pokłócić ze sobą ludzi, skłonić ich do grzeszenia i napęłnić Piekło duszami. A co teraz? Twoja misja, zdaje się, została odwołana! Jesteś skompromitowany i... Widziałeś tego debila? Na trzeciego będzie wyprzedzał!

Łukasz szarpnął kierownicą i polonez uskoczył w bok. Jadący z naprzeciwka pokraczny fiat multipla zdołał w ostatniej chwili zakończyć manewr wyprzedzania dyszącego spalinami stara, a jego kierowca pogroził Straszmemu.

– Co za debil! – Łukasz zazgrzytał zębami. – No i co? – Zerknął na diabła. – Mylę się?

– W sumie nie – bąknął Zygmunt wpatrzony w brunatne pola przesuwające się za mokrym oknem.

– No to o co ci chodzi?

– Nie wiem. Potem ci wyjaśnię.

– A może... – Łukasz westchnął. – Zobacz tego, jak jedzie. Tylko nagrywać i na policję słać. A może jesteśmy w stanie zrobić coś, żeby ci pomóc?

– Nie.

– Nie? – Łukasz uśmiechnął się przebiegle. Przy drodze wyrosły drzewa, wśród których kryła się opuszczona fabryka. – Na pewno nie? A co byś powiedział, gdybym... Jak jedziesz, pipo! Co byś powiedział, gdybym ci dał zdjęcia, dokumentujące rozróbę z rynku?

Diabeł spojrzął na kierowcę z niedowierzaniem. Ten znów się uśmiechnął, sięgnął do kieszeni bojówek i wyciągnął z nich małego czerwonego pendrive'a.

– Jaro zrobił masę zdjęć, ponad cztery giga – wyjaśnił, gdy diabeł nieufnie wziął nośnik do ręki. – Najlepsze już wrzucił na swojego bloga. Przejrzałem, są naprawdę niezłe. To doskonały dowód na skuteczność twoich czynów. Jeśli je pokażesz szefostwu, może cię docenią. Kierunkowskaz, jełopie! Co tam może. Na pewno!

– Dzięki – rzekł diabeł bez entuzjazmu.
– Dzięki? Tylko tyle?
– Wielkie dzięki. Zaparkujesz na rynku?
– Spoko – mruknął nauczyciel. – Jak tylko... Gdzie jedziesz, pajacu! Znaku nie widzisz? By cię, cholera, pogięło.

Zupełnie jakby jakaś wyższa instancja uznała, że o pogięciu kierowców amatorów nie ma mowy, ale inne kary jak najbardziej się znajdują, bo z czających się nad miastem chmur znów lunęły strugi deszczu. Zgrzytliwe wycieraczki poloneza z wysiłkiem odrzucały nadmiar wody na boki, ukazując w równo odmierzanych sekwencjach rowerzystów brnących przez kałuże i uciekających ludzi. Łukasz zamilkł skupiony i z uwagą włączył się do ruchu, ale po chwili, gdy zdołał przebić się w okolice rynku w Wyplutach, znów zaklął kunsztownie, tym razem ze zdziwieniem.

Bo na rynku znów coś się działo.

Posąg Jezusa otaczał wianuszek starszych ludzi, opancerzony parasolami, łopoczący foliowymi płaszczami, nieprzejednany i nieugięty. Drugi, złożony głównie z gimnazjalistów z przemoczonymi transparentami, strzegł drogi do kościoła, a trzeci, najgłośniejszy, wymachiwał krzyżami i różańcami przed zabitym dechami sklepem, na którym ktoś sprayem wypisał: „wypalić ognisko nieładu”.

– Tam założył swą firmę Seba. – Łukasz wskazał palcem. – Z pomocą twojej teczki zresztą. Nie chciałbyś jej odebrać, zanim wrogowie dmuchanych lał i seksu w ogóle wepchną mu ją w odbyt?

– Nie.

– To czego ty właściwie chcesz?

– Pomóc jednocześnie wam i sobie – odparł skrzywiony diabeł. – Zaparkuj tam!

Łukasz jakimś cudem wepchnął poloneza między samochód policyjny, bez wątpienia postawiony tu na straży Urzędu Miasta i Gminy, oraz poobijanego vana, który wciągnął na rynek kuchnię polową. Diabeł pchnął drzwi, wpuszczając do środka rześisty deszcz i jękliwą pieśń obrońców Jezusa, po czym wyskoczył na zewnątrz. Łukasz, wiedziony doświadczeniem, schował pozostawioną przez niego butelkę wódki pod siedzenie i pognął za diabłem, przeskakując kałuże.

– Śpiewamy! – krzyczała przez megafon pobladła katechetka, która biegła przed szeregiem młodzieży niczym generał lustrujący szyki przed bitwą. – Dalej, dzieci, śpiewajmy! Głośniej, głośniej! Przegnajmy diabła naszą miłością do Boga!

Nad zalaną deszczem ulicą zwały się dwie pieśni, przy czym każda z grup usiłowała zagłuszyć drugą. Między poszczególne wersy wbijało się zajadłe, żarliwe skandowanie wiernych szturmujących przybytek Klubu pod Obitym Ryjem, którego członkowie najwyraźniej zawczasu opuścili firmę. Wszystkiemu przez okno zakrystii przyglądał się proboszcz z kubkiem herbaty w ręku, który odstawiał co chwila, by pobłogosławić obrońców wiary.

Zygmunt przystanął na moment, zachwycony.

– Wspaniałe! – szepnął. – Gdybym miał więcej czasu... Gdybym miał przekaz...

– Nie ma w tym nic wspaniałego! – warknął Łukasz, który zdołał go dogonić. – Krzyżaniak regularnie wyprowadza młodzież z lekcji do kościoła, a dyra rozplywa się w zachwytach, widząc takie zaangażowanie. W środę popielcową szkoła jest pusta. Dzwoniłem kiedyś do kuratorium z pytaniem, czy to dopuszczalne. Powiedzieli mi, że nie, ale nie mogą interweniować, jeśli nie otrzymają oficjalnej... Zyga, czy ty mnie w ogóle słuchasz?

– Nie! – zawołał diabeł, który już się napatrzył i pędził teraz w stronę nieczynnego kiosku, zza którego widoczny był spłowieły napis „Artykuły akwarystyczne”. Łukasz, który miał gorszy refleks, większą tuszę i mokre buty po niefortunnym skoku przez kałużę, został nieco w tyle. Gdy wreszcie wpadł do sutereny, zaskoczyła go panująca w środku cisza.

Rychu, ledwie widoczny w półmroku, stał za ladą, oparty o nią ogromnymi łapskami, nieruchomy niczym posąg, posępny jak niszczycielska burza. Wpatrywał się w diabła, który zastygł przed nim z pięściami opartymi na biodrach i odwzajemniał spojrzenie. Z ciemnych kątów połyskiwały oczka szczurów, królików i papużek, w akwariach miotały się ryby, które uznały nagłe poruszenie w sklepie za porę karmienia.

– Cześć, Rychu! – Łukasz zbiegł po schodach i zatrzymał się przy ogromnym worku z karmą dla psów. – Co słychać?

Wodnik nie zwrócił na niego uwagi. Obwisłe powieki z przerzedzonymi rzęsami nakryły powoli oczy i równie powoli się uniosły.

– A co cię to, sierściaku, w ogóle obchodzi? – spytał, najwyraźniej odnosząc się do pytania, które Zygmunt zdążył zadać przed przybyciem Łukasza. – Powiedziałem ci już, że jeśli skrzywdzisz Czesia...

– Cokolwiek temu Czesiowi dolega, nie mam z tym żadnego związku. – Zygmunt wypuścił parę z nosa. – Absolutnie żadnego. Postanowiłem jednak rozwikłać tajemnicę tego cholernego miasta, a w tym celu potrzebuję paru informacji.

– Paru informacji – wycedził Rychu. – A czy ty zdajesz sobie, sierściaku, sprawę z tego, że nikt cię tu nie lubi? Ani ci nie ufa?

Spokój Rycha był ciężki i niewzruszony, a przy tym niebezpieczny jak zarośnięty rzęsą staw i Łukasz złapał się na tym, że podchodzi do lady i staje przy wodniku.

– Od rana dziwnie się zachowujesz – odezwał się nie swoim głosem. – Coś knujesz, diable, nie ma co do tego wątpliwości. Jeśli mi nie powiesz, o co chodzi...

Diabeł zgrzytnął zębami, kilka iskier przygasało na kamiennej podłodze.

– Nie mówię ci wiele, bo sam tego nie rozumiem – parsknął. – Najwyraźniej mam jakąś... jakąś umiejętność, z której istnienia nie zdawałem sobie dotąd sprawy. Otóż niektóre drzewa, zwłaszcza te starsze, przekazują mi strzępy pewnej historii, które usiłuję teraz poukładać w całość. Widzę w niej las i jakąś bitwę, eksplozje, chowających się żołnierzy i tak dalej. Widzę też chłopca, który kryje się w dziupli i zapada w sen, pomimo hałasów naokoło. Znam tego chłopca z fotografii twojej cioci.

– Wujek? – zapytał ze zdumieniem Łukasz, a Rychu mruknął pod nosem z niedowierzaniem. – Widzisz wujka w przeszłości?

– Nie tylko jego. – Diabeł zmarszczył brwi. – Widzę również jakąś ciemną istotę, mroczną, niebezpieczną. Potwora, który najwyraźniej go szuka.

Ciemny sklep akwarystyczny, pełen szumów, bulgotów i szelestów, zaludniony dziwnymi istotami niczym gabinet alchemika, zamarł w oczekiwaniu na ujawnienie wielkiej tajemnicy.

– A dziś ujrzałem żołnierza, który go z tej dziupli wyjął i z pośpiechem wyniósł w bezpieczne miejsce – dokończył diabeł. – Niemieckiego żołnierza.

– Hansa? – wykrztusił Rychu.

Zygmunt pokiwał głową.

– Przecież... Przecież to niedorzeczne! – jęknął Łukasz.

– Powiedział wilkołak do diabła i wodnika – zadrwił Zygmunt. – Jedyne, czego nie wiem, to tożsamość owego potwora, który prześladował Czesia. Nie mam bladego pojęcia, co to mogło być. A wy?

Rychu i Łukasz zgodnie pokręcili głowami.

– Kurwa – westchnął rozczarowany diabeł. – Mogę szczura?

– Nie – odparł Rychu. – Nie możesz. Ale chyba wiem, jak ci pomóc w poszukiwaniach, sierściaku. Trzeba się rozpytać tu i ówdzie.

– Rozpytać? – zdziwił się Łukasz.

– Ano. – Rychu puścił do niego oko. – Zadzwoń do Jaro. Spotkamy się po południu.

Zdanie to należało przetłumaczyć jako: „Wyjdźcie stąd obaj jak najszybciej”, czego Zygmunt i Łukasz skwapliwie usłuchali. Przesadzając po dwa, trzy stopnie, wypadli z sutereny, ale natychmiast schronili się pod okapem kiosku, gdyż bezlitosna ulewa wcale nie zelżała. Przez gwałtowny szum deszczu przedarła się kolejna pieśń religijna, którą diabeł ochoczo podjął, zagrział dzwon, gdzieś czekał pies. Łukasz wpatrywał się w zbiegowisko na rynku, które wcale nie malało, wręcz wydawało się rosnąć.

– O co im właściwie chodzi? – spytał Zygmunt, jakby i on po raz pierwszy zauważył zamieszanie.

– Tak naprawdę to nie wiem. – Łukasz wzruszył ramionami. – Co więcej, oni chyba też nie wiedzą. Dla tego narodu, diable, ochranianie symboli religijnych przed bliżej niesprecyzowanym niebezpieczeństwem jest instynktem odruchowym, wręcz bezwarunkowym.

– A gdyby tak – szepnął diabeł, a w jego oczach pojawiły się rozkołysane płomienie – a gdyby tak sprecyzować owo niebezpieczeństwo? Gdyby tak wyskoczyć na nich, ty jako wilkołak, a ja jako diabeł, rycząc i tupiąc?

– Ale by spieprzali... – rozmarzył się Łukasz. – Doszłoby do wielu cudownych uzdrowień wśród uciekających.

– Cudownych uzdrowień – westchnął diabeł. – Wy nadal w to wierzycie?

– Ja nie.

– Czyli wierzycie. Cholera, gdybym miał znaleźć się na ziemi ponownie, już wiem, od czego bym zaczął. A co do mojego pomysłu... – Zmrużył oczy tętniące nagłym żarem. – To co? Skaczemy?

Serce Łukasza zabiło szybciej.

– Wiesz, że to będzie najdziksza rzecz, jaką zrobiłem w życiu? – szepnął drżącym głosem.

– Wiem – zazgrzytał diabeł, którego oblicze gwałtownie zarastała sierść. – Ty bierz tych po prawej, ja biorę rynek. Pomszczę świętą Donatę.

– Wujek mnie nieźle opieprzy.

– Człowieku, ja mam w perspektywie rediabolizację.

– Dobra, ruszamy. – Głos Łukasza zgrubiał i ochryplł, ale sekundę później odezwała się w nim całkiem ludzka panika. – Stój! Stój! Odwołuję!

– Co takiego? Aha. – Diabeł uśmiechnął się sarkastycznie, ale tym razem powstrzymał od wszelkich komentarzy.

Z budynku biblioteki wyszła bowiem Natalia, rozpięła parasol i pospieszyła gdzieś przed siebie. Na jej twarzy, zwykle zaciętej i pochmurnej, teraz malowała się troska tak wielka, że Łukaszowi natychmiast minęła ochota do szaleństw.

– Kiedy indziej, Zyga – szepnął.

Rychu mieszkał w niewykończonym domku jednorodzinny gdzieś na skraju Wyplut, przy końcu ulicy, której asfaltowa nawierzchnia zaczęła się kruszyć, nim ludzie na dobre zaczęli jej używać. Łukasz nie chciał narażać wujkowego poloneza na starcie z drogową fuszerką, zostawił więc samochód daleko i poprowadził diabła przez labirynt kałuż.

Po kilku krokach znieruchomiał.

– Powiedz mi, że mam halucynacje – szepnął, wpatrując się w kobietę w butach na kaskadersko wysokich obcasach, usiłującą obejść kałużę kształtu i wielkości Australii. Co chwila odruchowo poprawiała to skórzaną spódniczkę, to wysoko upięte platynowe włosy i nie szczędziła przy tym przekleństw, od których uszy więdły.

– Masz halucynacje – rzekł Zygmunt.

– Naprawdę? – spytał Łukasz z ulgą.

– Nie wiem. Chyba nie, ale skoro chciałeś, żebym to powiedział, to postanowiłem cię uszczęśliwić. Od chwili spotkania Natalii jesteś, chłopie, dość rozkojarzony. Nie opieprzyłeś ani jednego kierowcy po drodze.

– Czy ty wiesz – wykrztusił z trudem Łukasz – kim jest ta zmora?

– Wedle cech opisanych w mojej sekretnej bazie danych to nie żadna zmora, tylko zwykła rusałka.

– Zwykła? – W oczach nauczyciela błysnęło przerażenie. – To niewyżyty babsztyl, który myśli tylko o rżnięciu i pożera tych, którzy jej nie sprostają.

– Eee tam. Przesadzasz.

– Nie przesadzam.

– Spytaj Rycha.

Przekomarzając się w ten sposób, zbliżali się do domu wodnika, który okazał się nieotynkowanym piętrowym budynkiem z topornie kwadratową fasadą i dachem pokrytym eternitem. Z komina snuła się smużka prawie czarnego dymu, nikła pozostałość po kłębach, które przed chwilą zapewne zalewały całą okolicę. Przed domem piętrzyły się trzy sterty piachu, między którymi rdzewiała betoniarka, gdzieś za nimi majaczyły wypełniona wodą emaliowa wanna i ogromna, bliżej niesprecyzowana machina rolnicza.

Rychu, w klapkach, dzinsach i białej żonobijce, zamknął właśnie drzwi za przeklinającą soczyście Jolą i spojrzął na kolejnego gościa, który wyłonił się nieoczekiwanie zza największej hałdy piachu. Stał na szeroko

rozstawionych nogach, założył ramiona na wąskiej piersi, przechylił lekko głowę i omiół fasadę baczny spojrzeniem.

– Panie! – odezwał się zaczepno-troskliwym tonem. – Panie, kto to panu tak spierdolił?

Rychu zmarszczył krzaczaste brwi.

– Nie wymądrzaj się, Rocky! – zawołał Zygmunt, nim wodnik zdążył odpowiedzieć. – Mamy już wszystkich, Rysiu?

– Nie nazywaj mnie tak – burknął Rychu tonem, który dawał do zrozumienia, że już żałuje swego pomysłu. – Tak, Jaro już jest. Nie ma tylko Natalii.

– Idźcie do środka – poprosił Łukasz. – Spróbuję do niej zadzwonić.

Zerknął przy tym na Rokitę, który stukał palcami w styropian, położony na jednej ze ścian i kręcił głową z dezaprobatą.

– To ty plujesz na baby przy cmentarzu? – spytał.

– Tak! – rozpromienił się Rokita. – Trza mieć jakieś hobby, co nie?

– Chodź już lepiej na górę, hobbysto – westchnął Zygmunt. – I na razie nie pluj.

Wodnik i oba diabły, kłócąc się i przeklinając siebie nawzajem bez szczególnego zaangażowania, weszli do domu, a Łukasz westchnął, zapalił papierosa i oparł się o betoniarkę. Po chwili wyciągnął telefon, westchnął jeszcze raz i zerknął na wiadomości.

Niespodziewanie serce zabiło mu żywiej.

Chwilę po tym, jak ujrzał Natalię wychodzącą z biblioteki, poczuł nieodpartą chęć, by wysłać jej chociaż krótkiego SMS-a, choć kilka prostych słów w nadziei, że ją to pocieszy. Układaniem wiadomości zajął się, gdy diabeł kazał się wysadzić niedaleko cmentarza, i zajęło mu to prawie godzinę. Efekt – zdanie o treści: „Cześć, co słychać?” – wysłał spocony z nerwów i niemal natychmiast uznał, że gorzko tego pożałuje.

Tymczasem przyszła odpowiedź.

„Bieda” – napisała Natalia.

– Bieda – powtórzył głośno Łukasz.

Słowo zabrzmiało normalnie, zwyczajnie, prawie wesoło. Idealnie wkomponowywało się w dyskurs zakochanej pary, tak zabieganej, że szczegółami swych problemów dzieliła się dopiero wieczorem, leżąc na kanapie przed telewizorem czy myjąc wspólnie naczynia. Ba, pozwalało nawet myśleć, że nic się nie stało. Że dalej się kochają. Że za parę godzin mają się znów zobaczyć, a on musi wstąpić do spożywczaka, by kupić coś na obiad.

– Bieda – szepnął Łukasz i przełknął ślinę. Oczy mu zdradziecko zwilgotniały.

Skrzypnęły drzwi wejściowe.

– Dodzwoniłeś się? – zawołał diabeł.

– Nie – burknął Łukasz i wepchnął telefon w kieszeń.

– No to chodź na górę. Pora zaczynać.

Łukasz wbiegł po surowych betonowych stopniach i wszedł do domu. Mocnym trzaśnięciem drzwi oddzielił się od Natalii i swoich rozterek, po czym narzucił sobie skupienie. Nadszedł czas, by wypełnić wolę diabła i zrealizować pomysł wodnika.

W pokoju, który kiedyś, w dalekiej przyszłości, po otynkowaniu, malowaniu i położeniu podłóg miał się stać salonem, zgromadziła się najdziwniejsza gromada, jaką Łukasz widział na oczy. Centralnie miejsce przy okrągłym plastikowym stole ogrodowym zajmował Jaro ubrany w czarną, pogrzebową koszulę. Urzędnik bankowy miał niezwykle poważną minę i udawał, że nie dostrzega Joli siedzącej o wiele za blisko, by mógł to być przypadek. Po lewicy Jaro zasiadł Rychu, który ułożył masywne, włochate łapska na stole i wzdychał ciężko, usiłując ignorować wiercącego się nerwowo, rozglądającego dookoła Rokitę. Uśmiechnięty lekko Zygmunt wskazał Łukaszowi wolne, szóste krzesło.

– Natalii nie będzie? – spytał ochryple Rychu.

– Nie odbiera – skłamał Łukasz.

Zygmunt obrzucił nauczyciela rozbawionym spojrzeniem, wstał i oznajmił:

– Zebraliśmy się tu wszyscy z mojego powodu. Chciałbym, żebyście...

– Ja, ja, ja! – przerwało mu oschłe burknięcie Rycha. Wodnik podniósł głowę i obrzucił go złym spojrzeniem. – Nie dziw się, sierściaku, że nikt cię tu nie lubi, bo gadasz tylko o sobie. Może ktoś powinien ci wbić trochę pokory do tego łba pełnego siarki?

– Próbowałem – oznajmił Łukasz. – Nie podziałało.

– Och, Łukaszku! – prychnęła Jola i przesunęła językiem po zębach. – Naprawdę?

Wbiła w niego spojrzenie tak ciężkie i intensywne, że Łukasz z największym trudem opanował chęć rzucenia się do ucieczki. Na szczęście nie dostrzegł tego nikt z wyjątkiem niezrażonego Zygmunta, który zachichotał pod nosem.

– Zebraliśmy się tutaj – Rychu powiódł spojrzeniem po pozostałych – bo życie naszego przyjaciela Czesława znalazło się w wielkim niebezpieczeństwie.

– Ech, Czesiu... – Jola westchnęła do swoich wspomnień i zapaliła papierosa, kręcąc głową.

– Nierzadko się zdarzało, że niespodziewanie zapadał we wróżebny sen – ciągnął wodnik. – Jest w końcu leszym i obrońcą tych ziem. Zazwyczaj w ten sposób dowiadywał się, jakie niebezpieczeństwo nam grozi i jak mamy się do niego przygotować, a potem się budził. Jednak tym razem... – Głos uwiązał mu w gardle. – Tym razem to nie sen wróżebny – podjął po chwili. – Czesiu zapadł w chorobliwy letarg, z którego wyrwał się na moment, ale znów doń powrócił. Zupełnie jakby ktoś chciał go wyeliminować. Jakby ktoś chciał, by znikł na zawsze.

Wszyscy słuchali z uwagą. Oczy rusałki, przesłonięte dymem tytoniowym, na moment stały się zielone niczym rżesa, Rokita stukał nerwowo pazurkami o plastik stołu. W powietrzu, nie wiedzieć skąd, pojawiło się babie lato.

– Ktokolwiek to jest – zaczął Jaro, wstając – stawimy mu czoła i...

– Siadaj, Jaro, i nie odzywaj się, póki ci nie każę – warknął groźnie wodnik. – Obecny tu sierściak odkrył, że podobne zdarzenie miało już raz miejsce. Gdy Czesiu był młodym chłopakiem, został zaatakowany przez nieznaną moc i zapadł w letarg, ale wówczas dostrzegł go pewien niemiecki żołnierz i w porę wyniósł w bezpieczne miejsce. Czesiu nigdy nikomu o tym nie opowiedział.

– Sprawdziłem kilka faktów – powiedział Łukasz. – Zygmunt twierdzi, że zdarzyło się to podczas jakiejś ostrej wymiany ognia. Jedynym zbrojnym starciem, do którego doszło na tych terenach, była potyczka między oddziałem AK porucznika Alfreda Klińskiego „Kuraka” a kilkoma drużynami niemieckiej piechoty i żandarmerii wojskowej jedenastego października czterdziestego czwartego roku.

– Czyli wczoraj – wtrącił Jaro z mądrą miną. – Zwróciliście uwagę na zbieżność dat? To nie przypadek, że...

– Cicho bądź. W starciu zginęło trzech partyzantów i dwóch Niemców – ciągnął Łukasz, wyjmując z kieszeni bojówek pomiętą wydruk z internetu. – Nie ma danych co do rannych, ale... Ale po niemieckiej stronie było również siedmiu zaginionych. Niepełna drużyna.

– Może kropnęli ich partyzanci? – rzucił w zamyśleniu Rokita.

– Może. – Łukasz pokiwał głową. – Ale nie wiemy tego na pewno.

– Wiemy natomiast – podjął Rychu – że Czesiu z jakiegoś powodu nikomu o tym nie powiedział, a wydaje mi się, że było to jedno z najważniejszych wydarzeń w jego życiu. Istnieje spora szansa, że owa moc, której wówczas uległ, usiłuje do miasta powrócić.

– Stąd ten letarg – dodał Jaro, kiwając głową i rozglądając się dookoła, czy aby wszyscy na pewno rozumieją.

Rychu westchnął, ale nie skomentował. Zamiast tego powiedział:

– Wszyscy jesteście relikdami. – Jego głos wydawał się potężnieć i nabierać szlachetności. – Wodnik, wilkołak, rusalka, jaroszek i dwa diabły. Tak, sierściaku, choć nabitó ci łeb korpomądrościami, jesteś chodzącym, podskakującym archaizmem.

– Nawet smarftona nie ma! – zachichotał cicho Rokita. – Ja mam! Tylko w dziupli zostawiłem...

– Każdy z nas zachował w związku z tym cząstkę mocy, która odróżnia nas od zwykłych ludzi – ciągnął Rychu. – Odszukajcie w sobie tę moc, bo będziemy zaraz przywoływać duchy tych, którzy byli świadkami owych wydarzeń. Skupcie się. – Postukał palcem w pomięty wydruk. – Skupcie się na tych, którzy brali udział w walce, na partyzantach i sanitariuszach, na niemieckich żołnierzach i policjantach, na każdym, kto mógłby widzieć walkę. Może ktoś dostrzegł tę moc, która ścigała małego Czesia. Może uda nam się zlokalizować i nazwać wroga.

– Do dziadów pozostało raptem parę dni – odezwał się Jaro. – Mamy niezłe szanse. Trzeba tylko...

– Nie gadaj już tyle – szepnął Rychu.

Z tymi słowami nakrył swą wielką łapą nerwową, brudną od tynku dłoń Rokity. Ten złapał mięsiste palce Łukasza, nauczyciel ujął wypielegnowaną, smukłą dłoń Zygmunta, a diabeł zmysłowym gestem nakrył ciężką od pierścionków rękę Joli. Rusalka westchnęła i złapała chudą, suchą niczym tabelka w arkuszu kalkulacyjnym dłoń Jaro, który z zapalem zamknął krąg.

– Skupcie się – nakazał ponownie wodnik.

Ciszy, która zapadła w zimnym pokoju, nie można było porównać z niczym, nawet z tą, która panowała w klasie tuż po wyjściu uczniów, uświadomił sobie Łukasz. Zauważył też, że wszyscy poważnie wzięli słowa wodnika i powoli, z namaszczaniem zamykają oczy. Poszedł w ich ślady, a wtedy odkrył, że wilgotny zapach betonu znika, zastąpiony wonią wilgotnego lasu. Coś chłodnego – czyżby duch? A może zefir? – owionęło jego twarz, coś z szelestem przysiadło w kącie pokoju i zachrobotowało. Gdzieś trzasnęły drzwi. Ktoś szepnął coś w nieznanym języku, urwał, gdy gdzieś rozległ się piskliwy śmiech.

– Skupcie się – powtórzył wodnik, ale jego głos był dziwnie zduszony, jakby rozchodził się pod wodą.

Ciemniało. Przez pomieszczenie przepłynął najpierw zapach wyprażonej

słońcem łąki, potem kumkających mokradeł, gdzieś zatrzepotały skrzydła, coś zachrapało, coś pisnęło. Łukasz miał wrażenie, że wszystko wokół niego staje się niematerialne. Nie czuł już krzeselka, na którym siedział, ani stołu, na którym oparł łokcie – jedynym kontaktem z rzeczywistością były dlań teraz dłonie obu diabłów, jedna smukła i gładka, druga twarda, krępa, chropowata. Wraz z nimi, wraz z kręgiem przedziwnych towarzyszy odpływał daleko, ku sferom, których nigdy dotąd nie odwiedzał.

– Skupcie się – głos wodnika był już ledwie słyszalny.

Wbrew wewnętrznemu nakazowi Łukasz otworzył oczy. Na dworze robiło się ciemno, a na ścianach pływały cienie, ogromne, nieprzyjazne. Jola kiwała się w przód i w tył, poblady Jaro drżał, Rokita pospiesznie otwierał i zamykał usta, jakby bezgłośnie cmokał. Rychu trwał niewzruszony, a Zygmunt, jak to on, uśmiechał się do siebie.

Niespodziewanie wodnik otworzył oczy i wbił w Łukasza przenikliwe, mroczne spojrzenie.

– Wracaj – nakazał.

Ten usłuchał.

Drzewa, rozmazane, niewyraźne, tonące w ostrym blasku zachodzącego słońca. Mężczyźni w koszulach, swetrach i starych marynarkach, niektórzy w hełmach, niemieckich bądź polskich, przedwojennych, wszyscy z bronią, maszerujący leśną ścieżką. Potem ci sami mężczyźni biegnący, zagubieni wśród mroku rozjaśnianego bladymi ognikami wystrzałów. Potężna eksplozja. Ciężarówka dygocząca na wybojach, plandeka przeszywana kulami, żołnierze zeskakujący na ziemię, przetaczający się, karni, zdyscyplinowani. Ostre komendy, chaos wystrzałów, wrzaski.

– *Links! Da sind die! Vorwärts!*

– Jezu, kropnął mnie! Józek, Józek!

– Panie poruczniku! Panie...

Echa to słaby, to potężniały. Łukasz ze wszystkich sił próbował płynąć przed siebie, odnaleźć dziuplę i małego chłopca, ale podobnie jak we śnie nie był w stanie się uwolnić. Miał wrażenie, że uwiązł wśród identycznych, powtarzających się wyobrażeń, że głuchnie od wystrzałów, jęków i eksplozji. Czuł, że napięcie w nim narasta, aż nabrał tchu i wrzasnął:

– Czesiu! Czesiu! Gdzie jesteś?

Potężny krzyk zdawał się odpychać osobliwą rzeczywistość, w której uwiązł. Wyobrażenia wokół niego bledły, traciły wyrazistość, rozplływały się, a w ich miejscu krzepły sylwetki siedzących przy stole towarzyszy. Znów trzymał dłonie obu diabłów, którzy usiłowali się od niego uwolnić, znów czuł

zapach betonu i twardy, plastikowy blat.

Zamruął oczami.

– Aleś się darł – mruknął Jaro i sięgnął po e-papierosa.

– Ktoś... – wychrypiął Łukasz, uświadamiając sobie, że wyszedł z transu jako ostatni. – Ktoś coś ma?

– Gównu – skwitował Rychu. – Zyga, dawaj no tę flachę, a ty, Jaro, idź do kuchni po kielonki. Tylko się nie wyjeb o próg, bo nie skończyłem.

– Możemy... – wybełkotał Rokita – możemy zrobić coś takiego jeszcze raz?

– Kiedy indziej – burknął gospodarz. – Teraz mamy robotę do wykonania. Pora na drugą część imprezy.

Sprawnie odbił denko i wyciągnął korek. Po pomieszczeniu rozszedł się nowy zapach, w pierwszej chwili gorzki i ostry, wręcz nieprzyjemny, ale już po chwili ujawniający inne akcenty. Kropla żywicy nagrzananej w słońcu. Smak kwiatu jabłoni i soków lipy, zapach owczego futra i włosów splątanych na ciepłym wietrze.

– Zmieniłem zdanie – oświadczył Rokita. – Już nie chcę żadnych frii-dii ekspiriens. Chcę się tego napić.

– Powoli! – Rychu ostudził go ostrym spojrzeniem, ale widać było, że i w jego oczach pojawiły się nowe iskierki. – I ostrożnie. Pijemy dla celów poznawczo-terapeutycznych.

– Wypijcie więc za mnie – rzekł Łukasz. – Całkiem mnie to frii-dii potelepało. Muszę się przewietrzyć.

Nie czekając na komentarze, zbiegł po schodach. W trakcie seansu okolicę otuliły całkowite ciemności i Łukasz o mało nie wywrócił się o skruszoną cegłę, ale dotarł do betoniarki, oparł się o nią i wyjął papierosa. Po kilku zaciągnięciach się zebrał się na odwagę i zerknął na telefon.

Zadnej wiadomości.

Rozczarowany, zaciągnął się mocniej, aż zakłuło go w płucach.

– Na pewno myśli o tobie – oznajmił Zygmunt.

Łukasz z największym trudem opanował podskok ze strachu i powoli wypuścił dym z płuc.

– Oducz się tego skradania – wycedził. – Nie przysparza ci popularności. Takich tekstów też mi oszczędź. Co, puszczano wam romantyczne komedie w ramach szkoleń z inteligencji emocjonalnej?

– Nie – odparł diabeł i usiadł na leżącym przy betoniarce pustaku.

Łukasz się skrzywił. Miał ochotę na nieco samotności i w pierwszym odruchu chciał diabła przegonić, ale niespodziewanie dla siebie uznał, że jego towarzystwo jest do wytrzymania. Zwłaszcza teraz, gdy tamten się nie

odzywał.

– Zadowolony z wyników seansu? – spytał Łukasz.

– Nie – odparł diabeł. – Niczego się nie dowiedzieliśmy. Trzeba szukać dalej.

– Gdzie?

– Nie wiem.

– Po co? – Łukasz wpatrywał się w diabła. – Po co ci to wszystko? Czemu nagle zainteresowałaś się tajemnicą wujka i naszego miasta? Tylko nie mów, że nas pokochałeś, a Wypluty stały się twoim drugim domem. Już lepiej wciskaj mi kit z komedii romantycznych.

– Powiem ci o wszystkim, gdy będzie to miało sens – odparł diabeł. – Na razie raczej nie ma.

– Kręcisz coś.

– Nie. Raczej nie.

– Nie cierpię cię – oznajmił Łukasz ze znużeniem.

– Eee tam.

W środku ktoś włączył światło. Potem rozległy się wrzaski Joli, które przerwał głośny ryk śmiechu Rokity i Jaro. Łukasz podniósł głowę w nadziei, że może pozna przyczynę zamieszania przez okno, ale wtedy skrzypnęła furtka i na ścieżce pojawił się ktoś obcy.

Diabeł i wilkołak ze zdumieniem przyjrzeni się wysokiemu, lekko zgarbionemu człowiekowi o długiej, siwej brodzie i łysinie przykrytej jarmułką. Światło padające z okien odbijało się od szkieł okrągłutkich okularów w drucianych oprawkach.

– *Szalom alejchem!* – powiedział przybysz i wspinał się po schodach.

– Żyd! – ucieszył się Zygmunt. – Najprawdziwszy! Rany, jak ja lubię Żydów! Każdy podręcznik dla agentów terenowych radzi zaczynać rozpoznanie terenu od ustalenia liczebności miejscowej diaspory...

– Diaspora w Wyplutach liczy sobie zero członków – przerwał mu Łukasz.

– Ale... – Diabeł się zawahał i zamilkł, gdy furtkę otworzył następny gość, oficer Milicji Obywatelskiej o sztywnym chodzie i nieprzyjemnej, czerwonej twarzy. Po nim zjawił się golibroda w białym fartuchu, uśmiechająca się niepewnie dama z boa i zataczający się artysta z wąsem à la Dali.

– Aha – rzekł pokornie diabeł. – Kapuję. Dziady, tak?

– Przedterminowe – rzekł Łukasz. – Ale frekwencja dopisuje.

Z entuzjazmem pozdrawiali każdego kolejnego przybysza, a zgiełk we wnętrzu robił się coraz większy. Łukasz zgasił papierosa na płycie

chodnikowej i zwrócił się do diabła:

– Nie zaszkodzi, jeśli wejdziemy do środka. Trzeba będzie przepytać całą tę zgrają. Może ktoś wie coś o tej mocy, która...

Coś zamajaczyło na skraju lasu po drugiej stronie błotnistej drogi. Łukasz zmarszczył brwi i po kilku sekundach obserwacji nabrał pewności, że spogląda na brodatego wojownika w zgrzebnej koszuli, wspartego na pokaźnej włóczni. U pasa wisiał mu topór, a rozczochrane jasne włosy schodziły aż po krzaczaste brwi.

– Ki diabeł? – mruknął.

– Co? – zainteresował się Zygmunt.

Niepodziewanie podeszła do nich Natalia.

Dla Łukasza było to zaskoczenie tak wielkie, że przez kilka sekund nie potrafił wykrztusić ani słowa. Wpatrywał się w dziewczynę i na przemian to otwierał, to zamykał usta, nie mając pojęcia, jak się do niej zwrócić. Szczęściem Natalia, której nigdy nie brakowało pewności siebie, wybawiła go z kłopotu.

– Czy ty, młotku jeden, w ogóle zrozumiałeś, co ja ci napisałam? – warknęła. – Potrafisz ogarnąć się na tyle, by choć prostego SMS-a przemyśleć?

– Ja... – zawahał się Łukasz. – Ja chyba nie wiem, o czym ty mówisz. Napisałaś...

– Bieda. Tak, wiem, co napisałam. Nie śmiej się, Zyga, bo ci w mordę strzełę.

Zygmunt spoważniał.

– Tak, oczywiście, proszę pani.

Natalia obróciła złe spojrzenie na Łukasza.

– Bieda – powtórzyła.

– Bieda – szepnął wilkołak, czując, jak mu skóra cierpnie. – Masz na myśli tego demona? Tę...

– Tak.

Słowiański wojownik nie kwapił się, by przekroczyć drogę i wejść do rozbrzmiewającego odgłosami szampańskiej zabawy domu. Stał nieruchomo niczym leśny posąg, obojętny i niewzruszony, i wpatrywał się w Łukasza, aż w pewnym momencie przywołał go ruchem głowy, odwrócił się i znikł w gąszczu.

– Opowiedz o wszystkim Rychowi, Zygmuntowi i reszcie – powiedział nauczyciel, dziwnie poruszony. – Bo ja mam chyba coś do załatwienia. Coś, co być może okaże się ważne.

– Oszalałeś? – warknęła Natalia, widząc, że Łukasz przechodzi obok niej. – Hej, co ty wyczyniasz?

– Już powiedziałem – odparł tamten i znikł w lesie. – Coś, co być może okaże się ważne.

Zygmunt uśmiechał się promiennie.

Dzień dwunasty

Choć wujkowa flaszka szybko została osuszona i w pokoju, miast goryczki przyprawionej lipą, żywicą i włosami na wietrze, rozszedł się ordynarny zapach zwykłej wódki, gości długo nie ubywało. Szarzało już, gdy Rychu wyprowadził ostatniego z nich (krępego mężczyznę w kufajce i gumiakach, który kazał się nazywać prezesem) i przeklinając pod nosem, zawrócił, by gruntownie przetrząsnąć cały dom.

Błada z niewyspania Natalia siedziała na betonowych schodach, patrzyła bez wyrazu na świt i paliła cienkiego papierosa. Nawet nie podniosła głowy, gdy Zygmunt usiadł obok niej.

– Wreszcie mamy chwilę, żeby pogadać – zaczął. – Opowiedz mi o tej Biedzie.

Spodziewał się, że dziewczyna parsknie coś z niechęcią, ale ta milczała jedynie przez chwilę, a potem powiedziała:

– Tym Biedzie. To mężczyzna.

– Co za jeden?

– Bajek nie czytacie w tym Piekło?

– Czytamy. Nazywają się założenia operacyjne, wyniki sprzedaży itp.

Natalia zaśmiała się sucho.

– Natknęłam się na niego wczoraj. Wracałam pieszo od cioci, bo temu... bo Łukaszowi nie przyszło do głowy, że może będę potrzebować podwózki, i pojechał w cholerę. W pewnym momencie uświadomiłam sobie, że ktoś za mną idzie. – Przełknęła z trudem ślinę i wypuściła dym nosem. – Nie słyszałam kroków, ale czułam jego obecność. Schowałam się za kilkoma znakami magicznymi i... I chyba mnie nie zauważył, ale... Ale chwilę później zatrzymał jakiś samochód, wszedł do niego i pojechał. Do Wyplut.

– Skąd wiesz, że to Bieda?

– Bo wiem. – Natalia zacisnęła usta. – To część mojego talentu. Wykrywam takich jak my. Myślisz, że kto uświadomił Jaro, skąd się bierze jego talent do bankowości? Stanowimy dobry zespół: wujek przewiduje nadciągające zagrożenie, ja je lokalizuję, a Rychu, Łukasz i Jaro robią z nim porządek. A przynajmniej było tak do tej pory.

– Trochę wam namieszałem?

– Nie wlewaj sobie. Od razu wiedziałam o twojej obecności w mieście.

– Przez pierwsze dni czułem na sobie jakieś uporczywe spojrzenie. –

Zygmunt otrząsnął się jak pies po kąpieli. – Niezbyt przyjemne doznanie. To byłaś ty?

– Nie, wujek. Moje złe oko wspominałbyś o wiele gorzej.

Ze skrzyknięciem otworzyły się drzwi wejściowe i na progu stanął Rychu. Trzymał za szyję jęczącego młodzieńca w mundurze przedwojennego kawalerzysty, dopinającego w pośpiechu pas.

– Świt już – warknął. – Spieprzaj stąd!

Młody chłopak obrzucił go wściekłym spojrzeniem i zbiegł po schodach, o mało nie tracąc równowagi.

– Znalazłem go u Joli – burknął. – Z roku na rok coraz bardziej nie lubię dziadów. Młoda, dasz fajkę?

Natalia bez słowa poczęstowała go papierosem. Rychu zaciągnął się łapczywie i zmierzył oboje znużonym wzrokiem.

– Nic – oznajmił. – Całą noc gadałem z tymi świrami i nic. Milicjant pieprzył o kapitalistycznych świniach, golibroda dzielił się świńskimi sekretami, a ta babka z boa tylko chichotać potrafiła. Reszta była jeszcze mniej kontaktowa i poza wódką, w niektórych przypadkach również Jolą, nie interesowało ich nic. Nikt nie słyszał o jakichkolwiek mrocznych istotach, które groziłyby Wyplutom.

– A ja się czegoś dowiedziałam – rzekła Natalia i w kilku zdaniach zreferowała wodnikowi to, o czym przed chwilą mówiła diabłu.

Zygmunt z zainteresowaniem przyglądał się zmianom zachodzącym na twarzy wodnika – Rychu przygryzł wargę, zacisnął powieki i oparł się o ścianę. Gdy znów otworzył oczy, wyglądał o kilka lat starzej.

– Co to jest za kurewstwo, ta Bieda? – spytał.

– Ten Bieda – poprawił go skwapliwie diabeł.

– Nie wiem do końca – odparła cicho dziewczyna. – Byłam w bibliotece, przeczytałam trochę. Znalazłam kilka bajek, dwa czy trzy podania, parę haseł encyklopedycznych. Okazuje się, że to nieśmiertelny demon, który wysysa z ludzi życie.

– Wampir? – zainteresował się diabeł. – Krew wypija?

– Nie, raczej szczęście. Energię, ochotę do działania, zadowolenie z życia i inne takie.

– Ciekawe. – Zygmunt pokiwał głową. – Na pierwszy rzut oka to ten cały Bieda działa u was już od wielu lat.

– Cicho bądź, sierściaku. Bo ci pizgnę. Mów, Młoda.

– W przeciwieństwie do wampirów działa nie na jednostki, ale na całe społeczności. Uczepi się, dusi, ssie, aż... Aż następuje koniec świata. Taki

mały, lokalny, z cyklu tych, co to się nie przebijają do mediów, ale dla miejscowych jedyny.

– No dobra. – Rychu splunął. – A wiesz może, jak się z tym dziadostwem walczy?

– Jeśli wierzyć bajkom – Natalia wstała i rozprostowała ścierpnięte nogi – Bieda potrafi się wcielić w przedmiot. Wtedy trzeba go znaleźć i podrzucić sąsiadowi.

– O, widzicie, jakie to proste? – ucieszył się Zygmunt. – To mi się podoba! Uwielbiam sposoby na rozwiązywanie problemów, które się biorą prosto z tradycji.

– Ja również – odezwał się Rychu. – Dlatego też następnym razem utopię cię w wodzie święconej.

– Ja zaś – Natalia znów wyciągnęła papierosa, ale spojrzała na niego ze zmęczeniem i wsunęła z powrotem do paczki – ja zaś ciągle się zastanawiam, diable, co ty tu właściwie robisz. Rokitę to jeszcze rozumiem. Z takim mózdzkiem na karierę w hierarchii piekielnej szans raczej nie ma, a poza tym mieszka w zajebistej dziupli w kształcie... No, nieważne. Ale ty? Dlaczego nagle zaczęło ci zależeć? Co tu właściwie jeszcze robisz?

– A co wyście nagle tacy podejrzliwi się stali? – Zygmunt się podniósł. – Od Łukasza to samo słyszałem.

Nie umknęło jego uwadze, że Natalia na ułamek sekundy zerknęła tam, gdzie znikł wilkołak.

– Wyjaśnijmy sobie jedną rzecz raz na zawsze – podjął. – Całe te wasze Wypluty mam głęboko w dupie mojej kosmatej, ale ten Bieda akurat mnie interesuje, i to bardzo.

Gdzieś rozćwierkał się pierwszy ptak. Z szarych chmur spadło kilka niezdecydowanych kropel. Natalia i Rychu wpatrywali się w diabła zaintrygowani, jakby czekali, aż ten uzupełni wypowiedź o jakieś fakty. Zygmunt, zadowolony z efektu, uśmiechnął się szeroko i klasnął w dłonie.

– A więc bierzmy się do roboty! – zarządził energicznie. – Nataleńko, jak wyglądał ten samochód, który zabrał Biedę do Wyplut?

– No, taki ciemny... – Natalia przygryzła wargę. – Długi.

Rychu przewrócił oczami.

– A kół ile miał? – spytał.

Spojrzenie wiedźmy miało łagodność papieru ściernego.

– Żadnych sporów, żadnych kłótni! – Osadził ich diabeł. – Natalka musi się wyspać, a Rychu posprzątać. Za kilka godzin ruszymy na polowanie i szast-prast rozwiążemy nasz problem. Ja tylko muszę krótkiego maila napisać.

Rychu, jest tu internet?

– Problemów może być więcej. – Rychu, który nie zwrócił uwagi na paplaninę diabła, zerknął na dziewczynę, a ta aż zeszywniała.

– Co takiego?

– Widział ktoś wczoraj Hansa?

Natalia i Zygmunt znieruchomieli, zaskoczeni oczywistością pytania.

– Jeszcze się nie zdarzyło, by się nie stawił po otwarciu wujkowej flachy. – Rychu pokręcił głową. – Może wyczuł klimat i skądś wiedział, że to kiepski pomysł. Na imprezie było przecież dwóch chłopaków z AK, podoficer Anders i stary Żyd. A może nie.

– A co może oznaczać jego nieobecność? – spytała dziewczyna.

– Nie wiem. Jak tylko dojdę do siebie – Rychu zakaszłał chrapliwie – skombinuję jeszcze jedną flaszkę i spróbuję szwaba przywabić. Ale to dopiero wieczorem, bo jeszcze mnie telepie. Na razie rozejrzę się po bunkrach może. No, do roboty.

Wypluty przygniotła osobliwa szara ciężkość, którą meteopaci przypisaliby zapewne niebezpiecznemu ciśnieniu, a zwykli ludzie parszywej pogodzie. W istocie, chmury wisiały tak nisko nad dachami domów, że zdawały się wręcz wysysać dymy z kominów, które pogłębiały ich czarny odcień. Bicie dzwonu kościelnego wydawało się osobliwie głuche, jakby rozlegało się pod wodą, zresztą tonęło wśród powarkiwania silników i ryku klaksonów. Ludzie, skuleni i zgorzkniali, z trudem brnęli przed siebie ze wzrokiem wbitym w chodnik, otoczeni kolczastymi, parzącymi pancierzami niechęci.

Na twarzy Natalii malował się przestrah.

– Mam niezły pomysł na biznes – opowiadał Zygmunt, który ciągnął ją za rękę. – A może by założyć gabinet kosmetyczny, który oferowałby prostowanie pokrzywionej gęby? Spójrz tylko na tę babę!

Zatrzymał się przy samochodzie stojącym na światłach. Siedząca za kierownicą kobieta rozmawiała przez telefon z grymasem niechęci na twarzy, adresowanym do kierowcy samochodu stojącego przed nią, do sygnalizacji świetlnej, do pogody, do rozmówcy bądź do dowolnej kombinacji tych rzeczy. Gdy spojrzała na diabła, ten odskoczył jak oparzony.

– Niewiarygodne – powiedział. – Tej pani darmo zafundowałbym terapię na koszt zakładu. Dla celów naukowo-badawczych.

– Musisz? – syknęła wściekle Natalia.

– Bardzo ci przeszkadzam?

– Zygmunt, rozejrzyj się! – Dziewczyna zatoczyła łuk ramieniem. – Ty się świetnie bawisz, a to przecież może być koniec świata!

– Taki prawdziwy? – Zygmunt szeroko otworzył oczy. – Cholera, no to musimy się pospieszyć! Chodź!

Złapał dziewczynę za rękę i popędził przed siebie, roztrącając przechodniów, którzy słali za nim miażdżące spojrzenia.

– Widziałaś tych? – Pani w fartuszkowi wżgardliwie pałaca papierosa przed zakładem fryzjerskim burkneła do koleżanki wchodzącej do środka z zakupami. – I pomyśleć, że o taką przyszłość walczyliśmy!

Nie była jedyną osobą, w której Zygmunt budził niechęć, bowiem w osowiałym, ociążonym miasteczku diabeł był zdecydowanie najszybciej i najżywiej przemieszczającą się osobą. Ciągąc za sobą Natalię, przebiegł przez ulicę, ukłonił się trojgu przemoczonych, milczących staruszków uporczywie strzegących posągu Jezusa, postawił przewrócony znicz przed wierzbą i wskoczył na kamienną ławkę.

– Patrz! – Wskazał zaskoczonej Natalii rząd zaparkowanych samochodów lśniących od deszczu. – Tam jest jeden. A tam masz kolejny! – Wycelował palcem w parking przed urzędem. – Widzisz go?

Oszołomiona dziewczyna spojżała na nieruchome pojazdy i pokręciła głową, zdezorientowana.

– Myślisz, że to jest takie proste? – zapytała ostro. – Była noc, a ja...

– Ten jest ciemny! – Zygmunt rozsiadł się na masce granatowego passata. – I długi!

– Zygmunt, tak nie można!

– Czemu? – Diabeł podskoczył parokrotnie.

Samochód zakołysał się, a potem zawył alarm. Zygmunt odbił się od zderzaka i wylądował na mokrym chodniku. Ze sklepu odzieżowego wyskoczył krótko ostrzyżony mężczyzna i rzucił się do biegu, ciskając obelgami.

– Aha, temu. – Diabeł pokiwał głową. Przez moment stał i wpatrywał się w nadbiegającego człowieka, a potem pacnął się w czoło. – Racja, przecież trzeba uciekać. W nogi!

Złapał dziewczynę za rękę, przeskoczył kałużę i przebiegł przez jezdnię, wywołując eksplozję rozjuszonych klaksonów.

– Jakiś taki duży samochód by mnie interesował! – wysapał Zygmunt. – Ciemny! Z czterema kołami!

Właściciel komisju poprawił czarną skórzaną kurtkę i rozdziawił szerzej usta, jakby liczył, że w ten sposób lepiej dosłyszysz. Następnie gospodarskim gestem ukazał rzędy aut upchniętych na placu wysypanym białym żwirem.

– Musiałby się pan, kolego, rozejrzeć, ale na przykład taki tu nissan, proszę. Nówka sztuka, mówię panu. Z Niemiec przyjechał na lawecie, a stan... Szczerze? No idealny. Z podłogi jeść można. Jakiś profesor nim jeździł, tylko na uniwersytet i z powrotem...

– Nie, nie! – Zygmunt zamachał rękami. – Źle się wyraziłem! Chodziło mi o to, czy ktoś może coś sprzedawał dużego i ciemnego! Na przykład dzisiaj rano!

– A pan to skąd właściwie jest? – Czoło komisarza, szerokie i gładkie niczym płyta lotniska, przeorała zmarszczka podejrzliwości. – Służby celne?

– Gdzie tam, zwykły obywatel! Istnieje podejrzenie, że takim właśnie samochodem dostał się do miasta ktoś wysoce niepożądany i...

– A idź pan w diabły! – powiedział wzgardliwie właściciel komisju i odwrócił się, by zajrzeć do telefonu.

Zygmunt zmarszczył lekko brwi, zastanawiając się, czy byłby w stanie w jakikolwiek sposób odnieść się do stwierdzenia dosłownie, a Natalia przewróciła oczami.

– Obserwowanie twoich technik śledczych to wielki przywilej – oznajmiła. Diabeł nie wychwycił sarkazmu w jej głosie.

– Dobra, wiem, co teraz! – obwieścił tryumfalnym tonem. – Poczta!

Zygmunt zamierzał wcisnąć całą twarz w otwór w okienku pocztowym, ale miejsca wystarczyło jedynie na nos.

– Pani kochana! – wyrzęził, rozplaszczony na szybie. – Szukam jakiegoś gościa, który...

– Odsuń się. – Natalia niemalże siłą odepchnęła diabła od okienka, a potem odkaslnęła i zmusiła się do uśmiechu. – Dzień dobry, pani Gieniu! Przepraszam za kolegę, spadła mu wczoraj cegła na głowę i jest nieco nieskoordynowany.

Twąz pani po drugiej stronie szyby, jeszcze przed chwilą wyrażająca urzędowe wzburzenie, załagodził niezobowiązujący uśmiech zarezerwowany dla odległych, ale rozpoznawalnych znajomych.

– Dzień dobry, Nataleńko. Co u babci?

– Właściwie nic nowego – odparła Natalia z westchnieniem i zastanowiła się nad doborem słów.

Zygmunt, który podczas szkoleń z trudem przebrnął przez konwersatorium, z podziwem obserwował naturalny talent do prowadzenia wymiany zdań. Treść dobrana przez Natalię była idealnie wyważona, by wywołać umiarkowane współczucie, nie wzbudzić niepotrzebnej zazdrości i zapewnić grunt do dalszej rozmowy.

– Średnio, szczerze powiedziaławszy. Noga jej dokucza jeszcze bardziej niż ostatnio, ale sama chodzi, nawet na spacerzy się wypuszcza. Tylko na ceny leków narzeka, wie pani. To, co ci lekarze ostatnio zapisują... Przecież głowa boli na samą myśl.

– Właśnie, właśnie. – Pani po drugiej stronie okienka pokiwała z zadowoleniem głową, jakby miała przed sobą obiecującego młodego akolitę przechodzącego trudny egzamin. – Strach chorować.

– Ano strach – zgodziła się wiedźma. – A co u pani?

– Bratowa u mnie siedzi – skrzywiła się pani na poczcie. – Ciągłe jakichś zagranicznych radiów słucha, internet se ściąga, łeb w książkach, ani człowiek o życiu pogada, ani nic. Diabli ją nadali, tyle pani powiem...

Zygmunt, który z nudów przeglądał druki pocztowe, zachichotał z rozbawieniem.

Zazgrzytały drzwi, wpuszczając podmuch chłodnego wiatru i posapującego, wycierającego nos mężczyznę z ciężką siatką.

– Poproszę dwa znaczki – powiedziała szybko Natalia. – I ten... Nie wie pani o jakimś nowym w mieście? Przyjechał ciemnym samochodem, dużym, przedwczoraj w środku nocy...

Rozmówczyni wygięła starannie wymalowane łuki brwiowe.

– Niech no pomyślę...

– Niech no pomyślę! – chichotał Zygmunt, gdy już znaleźli się na ulicy. – Niech no pomyślę! Wpadłabyś na to, że to wstęp do miejscowej kroniki towarzyskiej? Że doktor Fałszczak pisze listy z poezją erotyczną? Że woźna Walczakowa dostała list od diabła, wypisany krwią na ścianie? Że do Oazy przychodzą listy od urzędu skarbowego, a pani Krzyżaniak powinna już wyjść za mąż? Rany, to było wspaniałe! Chociaż... – Przystanął i spojrzał na dziewczynę ze smutkiem. – Chociaż w sumie trochę mi przykro. Przebywam

w Wyplutach od prawie dwóch tygodni, a wciąż nie dostałem się do miejscowych plotek.

– Jak chcesz, mogę rozpowiedzieć, kto biegał na golasa podczas festynu.

– O tym to sam mogę opowiedzieć. Chodzi mi o coś bardziej... no, nie wiem... integrującego? Rozczarowuje mnie to miasto.

– A mnie rozczarowujesz ty. Myślałam, że może masz jakieś własne, diabelskie metody na odszukanie tego Biedy, a zamiast tego skuteczniezasz jedynie chaos i zamieszanie.

– Chaos i zamieszanie czasami przynoszą niespodziewane rezultaty – odparł diabeł z uśmiechem. – Przez ostatnie dni zaplanowałem wiele rzeczy i mało co się udało. Dziwisz się, że zmieniłem metody pracy?

– Metody pracy – prychnęła Natalia. – Nie rozczulaj mnie, diable.

– Twoje metody, choć godne podziwu, również niewiele nam dały.

Zygmunt miał rację. Pani Gienia, choć dysponowała imponującą wiedzą w temacie życia towarzyskiego Wyplut, o tajemniczych przybyszach w ciemnych samochodach nie wiedziała zgoła nic. W tej sytuacji Natalia powiedziała jedyną rzecz, która miała sens:

– Chodźmy do Dyżurnej. Muszę się napić kawy.

– Super!

Właścicielka lokalu cierpiała na przewlekłą niestrawność, której Natalia wolała nie komentować, a szklarze mieli przyjechać dopiero po poniedziałku, a więc potencjalnych gości witała karteczka z napisem: „Nieczynne do odwołania”. Natalia wysupłała z torebki pęk kluczy, otworzyła drzwi, odsunęła nogą zapomnianą szufelkę pełną odłamków szkła i wślizgnęła się do środka. Po chwili zachrząścił uruchamiany ekspres i powietrze wypełnił wspaniały, kuszący zapach.

Żeby nie przyciągać niczyjej uwagi, wiedźma i diabeł usiedli tam, gdzie miejsce wybitej szyby zajmowała płyta OSB. Po restauracji nadal uganiały się przeciągi, pod podszwami nadal chrząściły okruchy szkła, ale diabeł uznał, że mimo wszystko jest to najmiłsze miejsce w Wyplutach. Upił kolejny łyk.

– Możesz nie siorbać? – spytała Natalia, pochylając się nad planem miasteczka. Wyjęła kulkę na łańcuszku, która zaczęła zataczać nad nim spokojne kręgi. – Przeszkadza mi to.

Diabeł przez chwilę przyglądał się wiedźmie, która, zapomniawszy o kawie, skupiła się całkowicie na magicznych poszukiwaniach. Jej dłoń drżała, a kulka krążyła leniwie, wręcz z lekceważeniem. Zygmunt był więc zdziwiony, gdy w pewnym momencie dziewczyna zdecydowanie zwinęła łańcuszek z kulką i oznajmiła:

– Tu siedzi. Na Wiosennej.

– Skąd ta pewność? – spytał z zaciekawieniem diabeł.

– Nie siorb. Nie wiem. – Dziewczyna westchnęła i wyjęła papierosa. – Nie wiem, i tyle. Zawsze to miałam, mówiłam ci już. Kiedyś, gdy byłam jeszcze małą dziewczynką, ubrdałam sobie, że mam anioła stróża, który zawsze nade mną czuwa. Wiesz, jak w tej dziecięcej modlitwie.

– Wiem. Przerabialiśmy to na wstępie do literatury.

– Zabawne to było. – Natalia wydmuchnęła obłok dymu i upiła łyk kawy. – Kiedy nie chciałam mieć sprawdzianu z przyrody, modliłam się mocno i bum! Następnego dnia mieliśmy zastępstwo, a nauczycielka szła na L4. Kiedy wkurzała mnie jakaś koleżanka, modliłam się i jebś. Smarkuła przewracała się i zdierała sobie kolana na asfalcie. Kiedy komuś czegoś zazdrościłam, skupiałam się na modlitwie, a posiadacz fajnego przedmiotu nagle go psuł lub gubił.

– Mam wrażenie, że połowa twoich rodaków ma podobne zdolności. Albo usilnie próbuje je w sobie rozwinąć.

– Niewykluczone. Uwierzysz, że praktykowanie wiedźmich zdolności przepelniło mnie wiarą tak głęboką, że zapisałam się do oazy?

– Super. A jak ci się udało z naszych szponów wyślizgnąć? – W przymrużonych oczach Zygmunta zamigotały wesołe iskierki.

Natalia przez moment wpatrywała się w smużkę dymu unoszącego się z papierosa.

– Chcesz powiedzieć, że ruch oazowy jest zainicjowany przez Piekło? – spytała z mieszaniną niedowierzania i pogardy.

– Użyłbym raczej słowa „zainspirowany”, ale odpowiedź brzmi: tak. Podobnie jak parę innych rzeczy, na przykład chwilówki. Zmiana czasu na letni. Totalizator sportowy. Opcje komentarza na stronach internetowych. Ruch prolife’owy.

– A antyszczepionkowcy?

– O nie. – Diabeł uśmiechnął się zimno. – To akurat wasze dzieło. Czegoś tak idiotycznego Piekło nie było w stanie wymyślić.

Upił ostatni łyk chłodnej już kawy.

– Nie siorb, powtarzam. Co robimy? – spytała Natalia nieco spięta. – Nie mam pojęcia, jak się walczy z tym Biedą, tym bardziej że jesteśmy sami. Rokita i Jola są już u siebie, Rychu szuka Hansa po bunkrach, Jaro w pracy, a Łukasz... Łukasz zaginął.

– Zaginął – powtórzył diabeł, przyglądając jej się bacznie. – Nie spieprzył, nawiał, szlag go trafił czy poszedł w długą, tylko zaginął.

– Coś insynuujesz?

– Nie – odparł Zygmunt. Odsunął się do tyłu na krześle i wyjrzał spoza płyty na miasto, wciąż pogrążone w lepkiej, szarej osowiałości. – Chodźmy na tę Wiosenną. Rozeznamy się przynajmniej w terenie.

Z początku myślałem, że mi już naprawdę odbiło.

Zważywszy na ostatnie wydarzenia, nie byłoby w tym nic dziwnego. Wystarczyłoby właściwie rozstanie z Natalią, by dostać na głowę, a tu się jeszcze zwałił na mnie diabeł, a po nim dziady. Nie wiem, czy jeden psychiatra dałby sobie radę z człowiekiem, który ujrzał aż tyle.

Naprawdę o tym myślałem, gdy szedłem w ślad za wojownikiem. Naprawdę myślałem o psychiatryku, białym kaftanie i codziennej tacce z lekami.

Minęło mi, gdy uświadomiłem sobie, że mój niekonwencjonalny przewodnik prowadzi mnie w stronę Świkieł. Mojego grodziszczca.

Minęliśmy ołtarz papieski, osobliwie dziwaczny, wręcz niedorzeczny, i zagłębiliśmy się w las, by po długiej, długiej wędrówce przez wilgotną ciemność wreszcie wspiąć się na łagodny wzgórek, który kiedyś, przed tysiącem lat, był wałem z ostrokołem. Wałem, który bronił mieszkańców grodu przed niebezpieczeństwami i gwarantował spokojne przebudzenie o świcie.

Mój tajemniczy przewodnik dał mi znak i obaj usiedliśmy. Próbowałem kilkakrotnie do niego zagadać, ale niewiele rozumiałem z jego odpowiedzi. Zarówno słowa, jak i wymowa wydawały mi się zwodniczo znajome i miałem odczucie, że sens jego wypowiedzi kryje się tuż-tuż, ale jednak mi umykał. On też nie rozumiał tego, co mówiłem, ale pogodził się z tym szybciej ode mnie i zaczął porozumiewać się ze mną gestami.

Dlatego też bez słowa wskazał miejsce, w którym kiedyś znajdowała się brama grodu.

Zobaczyłem, że mgła zaczyna jaśnieć i układać się w kształty. Dostrzegłem długie chaty kryte strzechą i niewielki placyk, zalany cieniem rzucanym przez wał. Stał tam wóz zaprzężony w woły, a na nim siedział kupiec, który unosił różne towary i zachwalał je z energią. Nie słyszałem ani słowa – cała scena była niema – ale czułem, że zebrani przed nim mieszkańcy grodu wzdychają z zachwytem.

Mój towarzysz podniósł się wówczas, ześlizgnął po zboczku wzgórek i podszedł do kupca, niezauważony ani przez niego, ani też przez zafascynowanych towarami ludzi. Wycelował weń oskarżycielsko palec, a na jego twarzy pojawiła się wściekłość przemieszana z rozpaczą. Chwilę później obraz zaczął rzednieć, przez

moment widać było dymiące zgliszcza, a potem wszystko znikło. Ostatnie, co zobaczyłem, to żal na twarzy wojownika.

Potem znikł i on.

Nie wiem, kim był kupiec. Nie mam również pojęcia, w jaki sposób jego los splótł się z losem mieszkańców grodu. Mój przewodnik najwyraźniej go o coś obwiniął. Czyżby ów kupiec uwiódł mu żonę? A może otworzył w nocy bramę bandzie rozbójników? Może okazał się kolejnym Zygmuntem, który wszystkich skłócił, albo... Albo cholernym Biedą.

Muszę opowiedzieć o tym reszcie. Wiem, gdzie jestem. Za kwadrans będę w okolicy, w której mieszka Rychu.

Wystarczyło kilka kroków po wilgotnym chodniku, by dziewczynie natychmiast przypomniał się lęk przed końcem świata. Przyglądała się z niepokojem mijającym ją ludziom, skrzywionym i niechętnym, oglądała się na trąbiących kierowców, zerknęła na nabrzmiałe szarością chmury, nawet odgoniła bezdomnego psa, który postanowił oznaczyć schody do zakładu zegarmistrzowskiego jako swoją własność. Na szczęście przeszli zaledwie kilkanaście metrów, kiedy telefon Natalii zaśpiewał *Crazy English Summer* grupy Faithless.

Zygmunt obejrzał się przez ramię i zauważył, że dziewczyna przystanęła i rozmawia z kimś przyciszonym głosem. Na jej twarzy malowało się skrajne zaskoczenie.

– W kulki sobie lecisz? – pytała. – Na serio? Właśnie tam idziemy. Nie, z nim. Z Zygmuntem. Dobra, oddzwonię później.

Odetchnęła ciężko i schowała telefon do kieszeni kurteczki, a potem podeszła do diabła i odgarnęła grzywkę z czoła. W jej oczach błyszczało zdumienie.

– Dzwonił Jaro – powiedziała. – Dowiedział się od koleżanki w urzędzie miasta, że dziś rano niejaki Tadeusz Bieda złożył wniosek o założenie działalności gospodarczej. Jako adres podał Wiosenną 6.

Diabeł zmarszczył brwi i pokręcił głową z niedowierzaniem.

– My próbujemy drania odnaleźć, a on się wcale nie zamierza chować?

W oczach Natalii tym razem pojawiła się niepewność.

– Co to oznacza?

– Pojęcia nie mam! – Zygmunt złapał ją za rękę i pociągnął za sobą. – Chodź!

Kilkanaście kroków później stali na splekanym chodniku przed kamienicą przy ulicy Wiosennej oznaczoną numerem sześć i wpatrywali się w plastikowy, emanujący nowością szyld, który głosił: „Tadeusz Bieda. Usługi dla ludności. Skuteczność gwarantowana. Całodobowo”.

Natalia poruszała ustami, jakby chciała coś powiedzieć, ale nie była w stanie wyrzucić słowa. Zygmunt mrużył oczy, jakby kalkulował. Za nimi szumiło miasteczko. Na ich twarzach osiadała mżawka.

– Słyszałaś kiedyś o całodobowych usługach dla ludności? – spytał diabeł. – Wyłączając sklepy monopolowe?

– Jak się walczy z kimś takim? – wyszeptała dziewczyna.

W tym samym momencie ponownie rozległo się *Crazy English Summer*. Wiedźma odruchowo wyjęła telefon z kieszeni, rzuciła „halo” do słuchawki, a potem otworzyła szeroko oczy ze zdumienia.

– Zygmunt – powiedziała, podając mu telefon. – Nie wiem, jak to możliwe, ale to do ciebie. Jakiś facet.

Diabeł skwapliwie ujął aparat, wysłuchał dwóch krótkich zdań i odparł krótko:

– W porządku.

Następnie oddał dziewczynie telefon i powiedział dobitnie:

– Wybacz, że podałem twój numer, ale mój telefon zmienił właściciela. Nie przejmuj się już Biedą. Idź do domu, wyluzuj się, wyśpij. Ja się nim zajmę.

Noc z dnia dwunastego na trzynasty

Późnym popołudniem atmosfera w miasteczku wydawała się nabrzmiewać niczym pęcherz. Wypełniająca go toksyczna zawartość bez skalpela chirurga, który pozwoliłby jej ujść na zewnątrz, uparcie trwała i niszczyła. Ludzie mijali się w milczeniu, trzaskali drzwiami, ze wzgardą wychodzili na przejścia dla pieszych i zmuszali samochody do ostrego hamowania. Chór obrońców Jezusa zachrypniętymi głosami recytował jakąś litanie, co irytowało przechodniów jeszcze bardziej.

Zgoła nikt nie zwrócił uwagi na to, że na trująco szarym niebie pojawiły się różowe poblaski powracającej pogody. Wszyscy z wyjątkiem Zygmunta, który wystawił twarz do słońca i uśmiechnął się błogo.

Olivier spojrzał na niego z pobbazaniem.

– Odbiło ci?

– Nie – odparł Zygmunt. – Po prostu gram swoją rolę.

Olivier uniósł brew, ale nic nie powiedział. Wyciągnął przed siebie nogi w sportowych butach, które wraz z džinsami obciętymi na wysokości kolan, jasnym T-shirtem, czapką z daszkiem i butelką napoju gazowanego w dłoni tworzyły strój zwany w procedurach operacyjnych standardowym.

– Nie musisz się już wydurniać – oznajmił. – Twoja misja dobiega końca pojutrze. Jak się uda, jeszcze dziś w nocy wrócisz do Pieła.

– O ile się uda – rzekł Zygmunt. – Dość mało wiemy o tym Biedzie. Wydaje się raczej bezczelny i pewny siebie.

– Taaa... – mruknał Olivier i spojrzał na swój zespół. Trzech roślących w wąsach w drelichach i pomarańczowych koszulkach robotników drogowych rozbierało chodnik, pieczołowicie uzupełniając każde zdanie proporcjonalną liczbą przekleństw. – Poczekaj, coś tam jednak wiemy.

Wyciągnął niewielkiego smartfona i zaczął przewijać ekran. Zygmunt spojrzał na wyświetlacz i poczuł, jak jego uśmiech przygasa, gdy dostrzegł logo Hellionu.

„Super – pomyślał. – A ja musiałem taszczyć ze sobą laptopa ważącego tyle co końskie siodło! Nawet imiona, kurwa ich mać, mają bardziej na czasie”.

– Nooo – mruknał Olivier. – Niezły zawodnik z tego Biedy, niezły.

Zza zakrętu wyłonił się pan Henryczek, który zatrzymał się jak wryty na widok robót.

– A wy co tu robicie? – zawołał. – Chodnik był wymieniany w zeszłym

roku! Cóż to znów za marnotrawstwo! Komuś odbiło? Radni natychmiast muszą się o tym dowiedzieć!

– Se pan głowy nie zawracaj. – Machnął ręką najbliższy z robotników, oparł się na łopacie i zaciągnął się papierosem. – To fundusze unijne, jakie tam marnotrawstwo.

– Aha. – Pan Henryczek ruszył w dalszą drogę, śledzony baczny spojrzeniem diabła.

– Tego tam – mruknął Zygmunt – to zabierzemy do Piekła w imię starych zasad. W ramach bonusu.

Olivier wycelował w pana Henryczka własny frustrometr, odczytał wynik i gwizdnął pod nosem. Zygmunt spojrział na dotykowy ekran urządzenia i jego humor pogorszył się jeszcze bardziej, ale baczne, przenikliwe spojrzenie kolegi otrzeźwiło go natychmiast.

– Po co mamy go brać? – spytał Olivier z zainteresowaniem. – Przecież to potencjalny klient. Odpowiednio pokierowany może osiągnąć niezły wynik. Powiedz mi, Zyga, nie za dobrze ci wśród ludzi? Nie szczęlowiczałeś ty aby za bardzo?

– Nie. Ale dowiedziałem się paru rzeczy o ich świecie, jak choćby tego, że w październiku nikt tu nie nosi krótkich spodni.

– Z wniosku, który złożyłeś online – Olivier skupił się na danych wyświetlanych na ekranie – wynika, że dowiedziałeś się również kilku innych rzeczy. Opowiedz mi coś więcej o tym, jak mu tam... Jaro.

– To taki demon polny, niegroźny. Biega jako bażant, zając czy inna kuropatwa, a jeśli go złapiesz, staje się wiernym pomocnikiem i przynosi pomyślność. Nic dziwnego, że pracuje w bankowości.

– Dobra, idziemy zbadać temat.

– A Bieda?

– To, w przeciwieństwie do Jaro, nie zając. Nie ucieknie.

Równo o godzinie siedemnastej, wedle niepisanego rytuału obowiązującego w Wyplutach, pracownicy Banku Przyszłości Gminnej opuścili swą placówkę z pośpiechem i skwapliwością, w której ustępowali jedynie personelowi Urzędu Miasta i Gminy, z tą różnicą, że tamci zakończyli pracę dwie godziny wcześniej. Nad głowami spieszących do domu mieszkańców miasta zapadał jesienny zmierzch, jakby jakieś siły wyższe dawały znać, że naprawdę nie ma już na co patrzeć, pora zjeść obiad i zasiąść przed telewizorem.

Zachowanie ekipy Oliviera sugerowało, że nigdy wcześniej się z tym rytuałem nie spotkali.

– Długo jeszcze będziemy tu czekać? – burknął któryś z diabłów, najwyraźniej rozdrażniony tym, że we wnętrzu furgonetki nie można buchać dymem z pyska.

– No właśnie? – Olivier spojrzał pytająco na Zygmunta.

Ten przytknął do oczu infernowizor, urządzenie ułatwiające obserwację grzeszników przez przeszkody terenowe, i wyregulował go dobrze. Ujrzał Jaro, pochylonego nad ekranem komputera w ciemnym pomieszczeniu. W jego okularach najpierw długo odbijał się layout popularnego portalu społecznościowego, który po chwili ustąpił miejsca drgającej rytmicznie płataninie nagich ciał w rozmaitych kombinacjach.

– Trochę jeszcze poczekamy – mruknął. – Jaro, jak sami widzicie, mimo demonicznej proveniencji jest tak naprawdę bytem cybernetycznym. To coraz częściej spotykany model człowieka, coś na kształt żywej narośli na internecie, pryszczatego polipa, który...

– Gównu mnie to obchodzi! – warknął Olivier. – Długo będzie jeszcze tak tam siedział?

– Niewykluczone. – Zygmunt omiótł wzrokiem migotliwy neon Oazy. – Po piwku?

W spojrzeniu Oliviera buchnęły płomienie. Zygmunt wiedział, że każda odzywka tego typu to kolejny dowód na jego szczęście i z pewnością znajdzie się w raporcie napisanym przez Oliviera, ale mimo to nie mógł się powstrzymać. Zerknął na czterech członków jego ekipy stłoczonych w furgonetce, nadal w pomarańczowych drelichach, i rzucił od niechcienia:

– Jak rozumiem, Bieda nie jest już priorytetem? Zamiast pogonić potężnego demona, wolicie zająć się jakimś internetowym siurkiem, którego jedynym talentem jest umiejętność zamiany w pieprzoną kuropatwę?

– Zabawne, Zyga – odparł Olivier. – Przebywasz poza Piekiełm od niecałych dwóch tygodni, a już zapomniłeś, jak ono działa.

– Co nieco pamiętam. Liczy się...

– Wyłazi! – mruknął diabeł, który przed momentem przejął od Zygmunta infernowizor.

W istocie, światło w jedynym pomieszczeniu BPG zgasło i placówka dołączyła do ciemnych, uśpionych budynków. Chwilę później przy drzwiach zamajaczyła jakaś postać, wkładająca płaszczyk. Zamigotał pęk kluczy.

– Zygmunt! – szepnął ostrzegawczo Olivier. – Pamiętasz swoją rolę?

– Pamiętam – mruknął diabeł, pchnął drzwi furgonetki i wyskoczył na

chodnik.

– Jaro! – zawołał konspiracyjnym tonem. – Jaro!

Człowiek przy drzwiach z wrażenia upuścił klucze. Odwrócił się błyskawicznie.

– Zygmunt?

– Tak, to ja! – szepnął diabeł i skinął na niego. – Chodź! Muszę ci coś powiedzieć! Odnośnie do tego Biedy!

– Co takiego? – Jaro wsunął klucze do kieszeni i zbiegł po schodkach przed bankiem. Rozejrzał się przy tym nerwowo, jakby się bał, że Bieda czai się tuż za rogiem. – No co?

– Zajrzyj no tu! – Zygmunt wskazał uchylone drzwi do furgonetki i cofnął się o krok, jakby nie chciał zawadzać. Jaro podszedł bliżej i raz jeszcze się obejrzał.

W tej samej chwili zza drzwi wychynęła pazurzasta łapa, która złapała go za poły płaszcza i wciągnęła do środka. Furgonetka podskoczyła kilkakrotnie, z wnętrza dobiegło kilka łupnięć i stłumionych przekleństw, a potem wyfrunęło pojedyncze piórko i zapadła cisza.

Któryś z diabłów zasunął drzwi. Ciszę zakłócił jedynie szum silnika przejeżdżającego w oddali samochodu. Zygmunt stał przez moment na chodniku, zastanawiając się, co dalej, gdy drzwi od strony pasażera otworzyły się i wysiadł Olivier. Spojrzał na Zygmunta badawczo i przechylił lekko głowę, jakby rzucał mu wyzwanie.

– No? – spytał. – Przerwano ci i nie dokończyłeś kwestii. Co tam pamiętasz?

Zygmunt spojrzał ku gwiazdom, ale zobaczył tylko rozpędzone chmury.

– Nie wiem – powiedział. – Chyba straciłem wątek.

– Zdarza się. – Olivier podszedł bliżej. – A więc pozwól, że przypomnę ci kilka faktów, na wypadek gdyby twoja amnezja okazała się większym problemem. Jak dotąd twoja działalność w wyznaczonym rejonie to zupełna porażka. Nie zgromadziłeś prawie żadnych punktów, a na dodatek pozwoliłeś, by rozgryzł cię człowiek.

– Nikt mnie nie rozgryzł – wyrzucił z siebie Zygmunt, choć wiedział, że kłótnia z wysłannikiem Pieła nie ma najmniejszego sensu.

– Z proceduralnego punktu widzenia tak to właśnie wygląda. – Olivier zasznurował usta. – Przełamanie kodu zabezpieczającego przez człowieka jest równoznaczne ze zdradą. Na dodatek wygląda na to, że ludzie, których nam wskazałeś, dobrze znają twoją tożsamość. Innymi słowy, jesteś spalony i w tej sytuacji nawiązanie kontaktu z nami było jedyną sensowną decyzją, którą

mogłeś podjąć. Odnalezieni przez ciebie ludzie w istocie mogą się okazać cennymi aktywami, a więc bądź grzeczny, Zyguś. Nie fikaj, tylko zaprowadź nas do pozostałych, a wtedy możesz być pewien, że dobrze cię opiszę w raporcie końcowym i być może twój zarząd postanowi cię wyjątkowo nie poddać rediabolizacji. Rozumiesz wszystko?

– Tak. Z jednym wyjątkiem. Ściągnąłem was tu po to, byście dorwali Biedę, potężnego słowiańskiego demona, który będzie dla Piekła niezwykle cennym aktywem. Wy jednakże chcecie się uganiać za pozostałymi członkami bandy Jaro, tak? Dlaczego?

– Bo to przypuszczalnie mniej roboty. I liczba cztery w raporcie wygląda o wiele lepiej niż jeden. Można zrobić fajniejszą prezentację podsumowującą i w ogóle. Jeszcze coś?

– Wszystko rozumiem – wycedził Zygmunt. – Będziemy tak stali czy może weźmiemy się do roboty? Tylko ostrzegam was: Rychu jest zawodnikiem o wiele konkretniejszym od tego tam Jaro. Nawet dla was pięciu.

– Przekonamy się.

Zawsze się dziwnie czułem w Świkłach. Zupełnie jakby ten cholerny gród chciał mi powiedzieć: skoro mnie znalazłeś, należysz teraz do mnie i powinieneś się poddać mojej woli. Powinieneś obnażyć swe pradawne dziedzictwo i powarczyć trochę do księżycy.

To może dlatego nigdy nie mogłem się skupić na wykonaniu żadnych porządnych badań.

Cud, że jestem w stanie utrzymać długopis w ręku. Chyba oszalałem do końca.

Od spotkania z dawnym mieszkańcem grodu, który wskazał mi tego, który doprowadził do zagłady całej społeczności, nie mogę wrócić do ludzkiej postaci. Udaje mi się to jedynie na chwilę, a wtedy odkrywam, że leżę na mchu w nieznanej mi części lasu. Nie mam pojęcia, gdzie jestem, nie wiem, jak tu trafiłem ani też dokąd mam iść. Wydawało mi się, że zmierzam do Rycha, ale chyba tak nie jest. Już dawno bym dotarł na miejsce. Zgubiłem gdzieś telefon, nie mam zegarka, podarłem spodnie i kurtkę, cud, że został mi plecak z zeszytem.

Pisanie trochę mnie uspokaja, może nie będzie już więcej tych napadów, bo

Furgonetka przedzierała się przez zabłoconą, wyboistą uliczkę z płaczącymi skrzygnięciami zawieszenia i stłumionymi przekleństwami wysłanników Urzędu Interwencyjnego.

– Kurwa mać! – Diabeł zgrzytał zębami za kierownicą i włączył wycieraczki, ale osiągnął tylko tyle, że rozprowadził błoto na szybie równomierną cieniutką warstwą.

– Nie marudź, Fabian – mruknął Olivier. – Trzeba popchnąć wiadomość do naszego człowieka w Urzędzie Akwizycyjnym, by zainteresowali się podkreśleniem korupcji w miejscowym wydziale do spraw transportu. Przecież takie drogi to żyła złota!

– Zaraz nam się to gówno rozwali – wycedził kierowca, a samochód, jak na potwierdzenie jego słów, podskoczył na kolejnej dziurze.

Diabeł strzegący nieprzytomnego, ale zapobiegliwie skrepowanego Jaro zwałił się na niego całym ciężarem.

– A wtedy szef będzie musiał przez tę całą żyłę złota brnąć po pas.

„Fabian! – prychnął w myślach Zygmunt. – Ale jaja. Ciekawe, jak się ci pozostali nazywają?”

Fabian zdołał uruchomić spryskiwacz i po chwili wycieraczki uporały się z błotem na tyle, by Zygmunt rozpoznał zabudowania ciągnące się wzdłuż drogi.

– Obejdzie się bez tego brnięcia – powiedział i wyciągnął rękę. – To ten dom.

– Zjedź na bok i zgaś światła – polecił Olivier, a sam błyskawicznie przytknął infernowizor do oczu. – Dobra nasza. Jedna osoba w obiekcie. Xavier, Justin, brać sprzęt. Ruszamy wedle standardowej procedury.

„Xavier, Justin, Fabian, no i Olivier” – powtórzył w myślach Zygmunt. Imienia piątego członka zespołu, którego szef oddelegował w nieznanym kierunku zaraz po przechwyceniu Jaro, nie poznał, a właśnie ten niepokoił go najbardziej.

„Po co on go odesłał? – zastanawiał się przez całą drogę. – Zwłaszcza po tym, jak nastraszyłem ich Rychem?”

Diabły wymienione przez Oliviera złapały za narzędzia przypominające widły, zrzucone na stertę wraz z łopatami, kilofami, grabiami i innymi narzędziami z tyłu furgonetki. Zazgrzytały odsuwane drzwi, do środka wtargnął zimny podmuch wiatru. Zygmunt zrobił ruch, jakby chciał wyskoczyć w ślad za pozostałymi, ale zatrzymała go mocna – i już pazurzasta – dłoń Oliviera.

– Ty, Zyguś, już się napracowałeś – warknął. – Zostań lepiej z Fabianem.

– Co? – Zygmunt zwęził oczy. – Odbiło ci? Przecież to ja ci wystawiłem tę słowiańską menażerię! Mam chyba prawo...

– Prawo! – Zaśmiał się sucho szef zespołu Urzędu Interwencyjnego. – Ty mnie chyba, Zyga, nie słuchałeś, co?

– Ten cholerny wodnik mnie zna! Będzie wam łatwiej...

– Jak będę potrzebował twojej pomocy, Zyguś, osobiście cię o nią poproszę – oznajmił Olivier i wyskoczył w błoto, a potem zatrzasnął z hukiem drzwi. Fabian zarżał i rozparł się na fotelu, który zachrząścił z protestem.

Zygmunt wciągnął powietrze w płuca i ze wszystkich sił wyciszył piekielną furię, która byłaby w stanie rozsadzić zarówno furgonetkę, jak i okoliczne budynki. Zacisnął powieki, a gdy je rozchylił, jego myśli, rozbiegane jak zeszcłe liście porwane wiatrem, nagle się uspokoiły. Szalejące serce ochłodziło i zastygło. Zimnym, mrocznym wzrokiem śledził trzy zgarbione postacie przeskakujące nad kałużami z gracją satyrów, zmierzające w stronę domu Rycha.

– Ty wiesz, jak się z tego korzysta? – spytał Fabian, który obracał w ustach e-papierosa Jaro.

– To długopis, debilu – mruknął Zygmunt i wyteżył wzrok.

Agenci Urzędu Interwencyjnego przemknęli między betoniarką a hałdami zwiru budowlanego. Pierwszy z nich – przypuszczalnie Olivier – mknął już po schodach, wznosząc trójząb. Dźgnął drzwi, które rozbłyły fioletową poświatą i rozpadły się w deszcz drobnych ogników.

– Szef się nie pierdoli – rżał Fabian, zbyt pochłonięty obserwowaniem rozwoju sytuacji, by wziąć sobie obelgę do serca. – Zobaczysz, Zygfryd, co się zaraz będzie działo.

– Zygmunt – poprawił go diabeł z naciskiem, któremu sam się zdziwił.

Ciemności we wnętrzu domu rozjaśnił kolejny fioletowy rozbłysk, a po nim następny i jeszcze jeden. Coś wypchnęło okno na piętrze i spadło, dymiąc, na kupę piachu, ale uwagę obu diabłów zaprzętnęły kolejne refleksy w środku, coraz intensywniejsze i jaśniejsze, ale złowieszczo nieme.

Potem wszystko się uspokoiło.

Kilkanaście uderzeń serca później zazgrzytały gwałtownie otwierane drzwi furgonetki i do środka wpadł rozwścieczony Olivier. Jego oczy migotały ognie piekielne, a z nozdrzy buchał dym.

– O tej jebanej rusałce to nam, Zygmunt, powiedzieć nie mogłeś? – warknął, obsypując Zygę deszczem iskier z ust.

– Jakiej znowu...

– Tej, co o mały włos nie odgryzła łapy Xavierowi!

„Rusałce? – pomyślał zaskoczony Zygmunt. – Jola nocowała u Rycha?”

Ze zdziwieniem uświadomił sobie, że bardzo go ta informacja poruszyła. Już miał ochotę spytać, czy nic się jej nie stało, ale ugryzł się w język, tym bardziej że wściekły Olivier i tak nie pozwolił mu dojść do głosu.

– Wodnika nie ma, a zamiast niego nacinamy się na jakąś dziwkę rodem z enerdowskiego pornola z paszczą jak betoniarka! – darł się. – W co ty pogrywasz, dupo wołowa! W tej chwili wystaw mi wodnika, bo cię, kurwa, na lewą stronę wywlekę i do gołej skóry obeżrę!

Ranny diabeł, wciąż dymiąc, wczołgał się do furgonetki i stękając głucho, rzucił się na podłogę obok sterty narzędzi. Trzeci z agentów wskoczył jako ostatni i wycelował widły w Zygmunta pierś. Na ostrzach migotały fioletowe refleksy. Rozbudzony Jaro przyglądał się diabłom z przerażeniem.

– O rusałce nie wiedziałem. – Wzrok Zygmunta był czarny jak koniec Wszechświata. – Skoro wodnika nie było w domu, zapewne bada jeszcze bunkry, te, które...

– Dobrze – przerwał mu z furią Olivier. – Dobrze, Zyguś, zaraz nam wszystko opowiesz. Ze szczegółami. Ale najpierw to my cię zwiążemy. I to tak porządnie. Bo jak nie podobałeś mi się od samego początku, tak teraz cię po prostu nie lubię. A to zły znak, wiesz?

Już po mnie.

Nie wiem, która godzina, nie wiem, gdzie jestem. Nie pamiętam własnego imienia. Ktoś – a może coś – chce, bym szalał.

To szaleję.

Myślę, że to koniec, choć nie wiem, jaki koniec mam na myśli. Boję się, że już nie wrócę do siebie. Że nie zrobię wszystkiego tego, co chciałem. Że już nigdy nie powiem Natalii, że ją kocham.

To chyba wraca, bo jak

Furgonetka zespołu Urzędu Interwencyjnego z rżeniem i warkotem rozbryzgiwała kałuże i podskakiwała na wybojach, rozmazując błoto wycieraczkami. Fabian za kierownicą bez litości wciskał pedał gazu, a pozostałe diabły obijały się o ściany, wpadały na siebie i przewracały.

– Zwolnij! – zawył jeden z nich, który właśnie usiadł na grabiach. – Zwolnij, do cholery!

Inny buchnął dymem z pyska i na moment wewnątrz furgonetki przesłonił dym, przenikany jedynie nikłym blaskiem zegarów na zakurzonej desce rozdzielczej. Leżący na podłodze ciasno związany Zygmunt wiedział, że lepszej okazji już nie będzie. Odwrócił głowę ku Jaro.

– Przepraszam za to wszystko – szepnął.

Jak dotąd nigdy nie zdarzyło mu się powiedzieć niczego tak szczerze. Wrażenie można by porównać z lodowatym prysznicem i diabeł z trudem powstrzymał odruch otrzeptania się niczym pies.

– Za co? – spytał równie cicho Jaro. Wpatrywał się w diabła z zaintrygowaniem.

– No wiesz, za to. – Zygmunt skinął głową w kierunku Oliviera, który trzymał się zagłówka fotela Fabiana i balansował jak surfer, zerkając na GPS we frustrimetrze i wywarkując kierowcy komendy do ucha. – Wygląda na to, że wpakowałem cię w nie lada bagno, a nic w ten sposób nie zyskałem.

– A gdyby udało ci się coś zyskać, nadal byłbyś gotów przeprosić? – Jaro uśmiechnął się chłodno.

– Nie wiem.

– Czyli nie. Wygląda na to, że szczęście masz bardziej, niż się temu pajacowi w krótkich spodniach wydaje.

Samochód podskoczył na nierówności terenu, skrzypnęła oś, któryś z diabłów padł na tylne drzwi, pogryziony przez Jolę wyrzucił z siebie stek przekleństw okraszony snopem iskier. Zygmunt zaklął głucho, gdy wpadła na niego najpierw duża nakrętka, a potem plastikowa butelka z jakimś różowym bąbelkowym napojem, odczekał, aż diabeł się pozbiera, i szepnął do Jaro:

– Popełniłem błąd.

– Widzę.

– Serio? – Zygmunt zmrużył oczy. – Od kiedy tak dobrze znasz się na zwyczajach diabłów?

– Pracuję w banku. Odruchowo wyczuwam, gdy ktoś kogoś podpierdoli.

– A uwierzysz, gdy ci powiem, że chcę to naprawić? Że chcę się pozbyć tych popaprańców, a potem pomóc wam z Biedą?

– W pierwszą część uwierzę. A to i tak dużo.

– Dobra. – Zygmunt rozejrzał się bezradnie i napiął sznury, którymi go związano, ale te, najwidoczniej wzmocnione esencją z dusz potępieńców, trzymały mocno. – Tylko najpierw musimy tym dupkom nawiać.

Niespodziewanie poczuł się tak, jakby wpadł do lodowatej wody. Albo

wsadził palce do kontaktu. Trwało to przez kilka niekończących się sekund, a gdy ustało, Zygmunt odgadł, co to oznaczało. Ktoś go wykrył za pomocą magii. Kto?

„Jeden problem naraz” – pomyślał i spojrzał na Jaro.

– Masz jakiś pomysł? – zapytał jak gdyby nigdy nic.

– Nie. – Jaro zerknął na plecy najbliższego diabła.

Furgonetką przestało trząść: wyglądało na to, że Fabian nieco zwolnił i prowadził ostrożniej, jakby znalazł się na nieznanym sobie odcinku. Zygmunt podniósł nieco głowę i w świetle reflektorów ujrzał wysokie pnie drzew przesuwające się po obu stronach drogi.

– Nie mam – powtórzył Jaro, który wbijał nienawistny wzrok w plecy diabłów. W niczym nie przypominał chudego, niepozornego młodego człowieka, który wyłaził ze skóry, by zaimponować reszcie drużyny. Zygmunt widział w nim teraz prawdziwego spadkobiercę słowiańskich demonów, gotowego zrobić wszystko, by pozbyć się wroga.

Nawet sprzysiąc się z innym wrogiem.

– Ale gdybyśmy na coś wpadli – dodał – wiem, co należy jak najszybciej zrobić.

Przechylił się i wyszeptał diabłu kilka słów do ucha. Ten pokiwał zdawkowo głową, ale jego myśli rozpoczęły karkołomną gonitwę.

Musiał znaleźć sposób, by się wyrwać na wolność.

Musiał.

Wydawało mu się, że ktoś gdzieś wypowiedział jego imię, ale odepchnął to wrażenie. Miał o wiele poważniejsze zmartwienia.

W miejscu, które na pierwszy rzut oka niewiele różniło się od innych, a drugi rzut utrudniał wysoki, gęsty żywopłot przetykany różami, paliła się świeczka. Dawała niewiele światła, które niczym ciekawski chochlik zaglądało w różne zakamarki, wydobywało z ciemnych kątów podłużne kształty narzędzi ogrodniczych, przeglądało się w przybrudzonych szybach, muskało obły plastik ogrodowych krzeselek. Opromieniało też mapę Wyplut, starą, naddartą, poprzecieraną na krawędziach, przypominającą teraz obrus na prastarym ołtarzu, i kilkucyfrowy numer, zapisany na wyblakłym kuponie totka. Leżący obok telefon pulsował rytmicznie.

– Szukaj Zygmunta – szeptał ochryply głos. – Szukaj.

Chude, lekko drżące palce ujęły papierosa, wsunęły między suche, spękane

wargi. Niebieskawy obłoczek przesłonił mapę niczym chmura kadzidła.

– Szukaj.

Druga dłoń ujęła garść suchych liści z foliowej torebki i rozsypała je nad płomieniem świeczki. Niektóre spadły na blat, ale kilka zajęło się ogniem i skreśliło w bezszelestnych konwulsjach. W powietrzu rozszedł się ostry, drażniący zapach.

– Znajdź tego debila z piekła rodem – w suchym głosie pojawiły się emocje.

– Znajdź go i przemów mu do rozumu, bo chyba mu się w tym diablím łbie poprzestawiało. Nie przejmuj się Biedą, ja się nim zajmę. Że też mu uwierzyłam... Szukaj, szukaj! Patrz, widzisz, gdzie jest? Właśnie ci go wystawiam. No, bierz go! Huzia!

Płomyk zamigotał ostrzegawczo, ostry zapach zawirował i umknął, uderzony falą zimnego, świeżego powietrza, mapę podniósł przewiew. Zaszurało gwałtownie odsuwane krzesło, coś spadło, narzędzia ogrodnicze osunęły się z łomotem.

Potem ciszę miejsca, które na pierwszy rzut oka niewiele różniło się od innych, przeciął ostry wrzask. Tylko jeden, i to bardzo krótki.

Najpierw reflektory skracającej furgonetki wydobyły z ciemności tylne światła samochodu zaparkowanego między drzewami, a potem pochwyciły stojącego na środku leśnej drogi człowieka, który oparł dłonie na biodrach i przechylił lekko głowę, jakby wierzył w to, że sama jego tusza powstrzyma rozpędzony pojazd.

Fabian wyczuł wyzwanie i się oblizał.

– A może by tak... – zaczął, a w jego oczach błysnęły płomienie piekielne.

– Ani się waż, sadysto! – warknął Olivier, który zdołał już wycelować w nieznajomego frustrometr.

Zygmunt poczuł kolejny przyływ zazdrości, gdy dostrzegł ekranik z migoczącym komunikatem: „Szukam”. Po chwili rozległo się piśnięcie i ekran zalały informacje.

„Super – pomyślał z goryczą Zygmunt. – Ciekawe, co jeszcze mają te chłystki z interwencyjnego, czego nam, agentom terenowym, poskąpiono?”

– Zatrzymaj samochód! – rozkazał Olivier. – Gość ma siedem i pół na dziesięć, klient, jakich mało!

– O ile się orientuję, mieliśmy... – zaczął, zmarszczywszy brwi, Fabian.

– Stul pysk i zatrzymaj samochód.

Fabian ze złością wbił nogę w hamulec i zaciągnął ręczny. Olivier zerknął w lusterko wsteczne, uśmiechnął się kilkakrotnie na próbę i otworzył drzwi.

– Uszanowanie, panie nadleśniczy! – zawołał, przekrzykując rwący się pomruk silnika. – Co tam słysząc u pana?

Nadleśniczy nadal stał w świetle reflektorów furgonetki, ale teraz odwrócił się w kierunku Oliviera i poprawił czapkę z daszkiem, jakby chciał w ten sposób podkreślić swój autorytet. Na jego obliczu, szerokim, wręcz nalany, pokrytym twardą szczecina, zagościła nieco wzgardliwa wyższość zdradzająca funkcjonariusza służb mundurowych na kilka lat przed emeryturą.

– Gdzie pan jedziesz, co? – szczeknął ostro.

– A co? – Olivier, zgodnie z wytycznymi przedstawianymi podczas konwersatorium, stanął na szeroko rozstawionych nogach i zadął głowę. – Nie wolno?

– A nie wolno! – Nadleśniczy wskazał coś w głębi lasu, tam, gdzie nikła droga. – To rezerwat, panie! – Parsknął z niewysłowioną wzgardą. – Tu nie ma ruchu!

– A gdzie to niby napisane jest, co? – warknął Olivier.

Diabły znieruchomiały, śledząc wymianę zdań z zainteresowaniem. Któryś puścił dym z gęby, ale natychmiast ją zamknął, szturchnięty przez kolegę. Ciemny las szumiał cicho, z groźbą, wręcz z ostrzeżeniem. Zygmunt rozglądał się skrycie z narastającą desperacją, czując, że nadarzyła się wymarzona okazja, by uciec, ale nadal nie wiedział, jak to zrobić. Więzy trzymały rozczarowująco mocno.

– Nie podoba się panu, że ludzie po lesie jeżdżą? – pieklił się Olivier. – To znak zakazu postawcie! Albo szlaban jakiś!

Nadleśniczy nabrał powoli tchu i pokręcił głową ze skrajną dezaprobatą, niczym znużony człowiek, który musi się zniżyć do tłumaczenia rzeczy oczywistych.

– Znak wieszałem, to kradli – wycedził. – Szlaban też. Złomiarze pieprzeni. Więc przykro mi, ale jest, jak jest. Ustawa mówi, że po rezerwacie jeździć nie wolno, i tyle!

– Czyli – Olivier wysunął palec ku niebu i udał zadumę – czyli żeby jeździć po lesie, trzeba najpierw ustawę przeczytać?

Wzrok Zygmunta błędził po wnętrzu samochodu. Dwie łopaty, szypa, łom... Gdyby tak udało się złapać za któryś z nich, zamachnąć... Nie zabiłby – diabła nie tak łatwo wykończyć – ale może wygrałby kilka sekund, by złapać za klamkę, odsunąć boczne drzwi i czmychnąć w las. Tam by go nie dogonili.

W las.

Drzewa szumiały, coraz bardziej rozkołysane, coraz bardziej gniewne. Mrok między nimi zdawał się gęstnieć, wręcz krystalizować, układać w ruchome kształty.

Zygmunt na moment zapomniał o nadziei na ucieczkę. Szósty diabelski zmysł podpowiadał mu, że coś się zaraz wydarzy. Coś nieoczekiwanego, coś strasznego.

Rzut oka na Jaro podpowiedział mu, że on również zdaje sobie z tego sprawę – jego oczy błyszczały niespokojnie, obracał nerwowo głową i zaciskał pięści. Pozostałe diabły, skupione na dyskursie szefa z nadleśniczym, niczego nie zauważyły.

– Coś się dzieje – szepnął Jaro.

– Coś złego?

– W tym lesie nigdy nie dzieje się nic dobrego.

– Możesz se pan krzyżeć i tupać – mówił nadleśniczy z wyższością i poklepywał się po kieszeniach skórzanej kamizeli. – Ale mandacik będzie, i tyle. Bo tabliczka, że się wjeżdża do rezerwatu, była.

– Nie było żadnej tabliczki! – zawył Olivier z udawaną frustracją. Doskonale się bawił i najwyraźniej nadal wierzył w to, że uda mu się wzburzyć nadleśniczego i pchnąć go do grzechu.

– Bo zerwali, gnoje – pouczył go ten, wciąż obmacując kieszenie. – Ale jest ustawa. O, mam.

Sapnął z zadowoleniem i wyciągnął odpowiedni bloczek, po czym pstryknął długopisem i nachylił się lekko, by odczytać numery z tablicy rejestracyjnej.

– Mógłbyś pan przemyć se te blachy – wymamrotał. – Bez okularów to ni cholery...

Naraz urwał, wyprostował się i zamrugnął oczami, jakby i on coś wyczuł, jakby długie lata picia kawy za biurkiem, ustawiania przetargów i zakrapiania wódką delegacji nie zabiły w nim resztek osobliwego zmysłu, który wyrabia w sobie człowiek obcujący z naturą.

– Nadchodzi – szepnął Jaro.

Olivier uświadomił sobie zagrożenie sekundę za późno.

– Kuur... – wybełkotał przerażony, blady jak ściana nadleśniczy.

Odwrócił się, wyszarpując z kieszeni kluczyki do samochodu, ale te wyfrunęły mu z ręki, poleciały szerokim łukiem i wylądowały gdzieś w krzakach, podczas gdy nadleśniczy stracił równowagę i runął w błoto.

Jedno uderzenie serca później ciemność wypłuła włochatego potwora,

który zaryczał głośno, odrzucił jednym ciosem Oliviera i uderzył barkiem w furgonetkę, aż ta zakołysała się z jękiem. Diabły znów powpadały jeden na drugiego, ale w obliczu prawdziwego zagrożenia żaden z nich nie zawahał się ani na moment. Fabian złapał trójzab i wyskoczył z samochodu przez drzwi od strony kierowcy, pozostali dwaj z trudem odsunęli drzwi wypaczone ciosem potwora i wygramolili się z samochodu i rzucili do walki.

– Japieeerrrr... – darł się nadleśniczy, który pędził drogą jak szalony, zupełnie zapomniawszy o swej niebagatelnej nadwadze. Wykrzykiwał również inne słowa, ale te pochłonął ryk potwora i krzyki atakujących diabłów. Niebo zajaśniało od fioletowych rozbłysków.

– Jaro! – zawołał Zygmunt. – Pomóż mi się jakoś...

Odwrócił głowę, by spojrzeć na młodego pracownika banku, ale z zaskoczeniem skonstatował, że ten znikł. Zostały po nim jedynie luźne sznury, takie same, jakimi skrupowano diabła.

– Jaro?

Bażant, który siedział na oparciu fotela pasażera, zatrzepotał skrzydłami i przekrzywił główkę, jakby dostrzegł osobliwego, nieznanego sobie dotąd owada.

– Jaro, nie rób sobie jaj – szeptał gorączkowo Zygmunt. – Uwolnij mnie, do cholery.

Bażant sfrunął na siedzenie, po czym znów pojawił się na oparciu.

– Jaro! – błagał Zygmunt. – Drugiej szansy nie będzie! Zrób coś, podziob tę linę czy coś!

Któryś z diabłów, odrzucony potężnym ciosem włochatego łapska, zmiażdżył plecami lusterko boczne. Samochód aż zadygotał, bażant zatrzepotał skrzydłami i...

Przy Zyguncie pojawił się blady, rozdygotany Jaro. Opadł na kolana obok diabła, złapał leżący obok brzeszczot i zaczął piłować jego więzy.

– Czemu to tyle trwało? – zasyczał gniewnie Zygmunt.

– Ptaki powoli kapują – wysapał Jaro. – Zanim sobie przypomniałem, o co tu chodzi...

– Dobra, piłuj!

Kolejny diabeł przetoczył się po błocie, uderzył w koło, furgonetka zadrzała. Ochryple, złowieszcze wycie uderzyło pod niebiosa, ale natychmiast przeszło w dziki skowyt. Trójzęby skwierczały, diabły klęły, las szumiał. Na czole piłującego Jaro lśnił pot.

Linka pękła trzy przekleństwa później.

Zygmunt zerwał się tak gwałtownie, że niemalże przewrócił Jaro.

Wyskoczył na zewnątrz, błyskawicznie odzyskując diablą postać. W błoto uderzyły już racice, ziemię smagnął ogon.

Zerknął za siebie, w odpowiednim momencie, by napotkać wzrok rozszalałego potwora.

„Uciekaj!” – mówiły jego oczy, żółte i przerażające, a mimo to znajome.

Zygmunt nie wahał się ani chwili.

– No i dali dyla! – stwierdził ze złością któryś z agentów zespołu Urzędu Interwencyjnego i syknął, dotykając skaleczeń na twarzy. – Nie gonimy ich, szefie?

Olivier westchnął boleśnie i raz jeszcze spróbował pomasować się po plecach. Niestety mimo desperackich prób miejsce, w które wbiły się resztki lusterka, pozostawało poza jego zasięgiem, a to oznaczało, że musiał poprosić o pomoc kogoś z towarzyszy.

„Tylko nie Fabiana – napomniał się w myślach. – Za bardzo lubi takie sytuacje”.

– Justin, weź no mi plecy obejrzyj – rzucił od niechcenia.

Sponiewierany przez potwora Justin, który desperacko usiłował wypluć błoto połknięte podczas walki, zapomniał o niedogodności i podbiegł do zwierzchnika. Ten zaś, udając, że nic się nie stało, zajął się czyszczeniem frustrometru.

– To kiepsko będzie wyglądać w raporcie – ciągnął Fabian. – Spieprzył nam ten diabeł pierdoła, uciekł ten włochaty, trzeba przyznać, że niezły z niego zawodnik, a do tego nawiała jeszcze kuropatwa.

– Kuropatwę mam – burknął Xavier, wciąż obolały po starciu z rusałką, i wrzucił podskakujący, drący się worek na tył poturbowanej furgonetki.

– Co do diabła za pierdoły... – zaczął Olivier, ale przerwał, by odczytać wiadomość, która przyszła na frustrometr. – O, fajnie. Ten cały Zygmunt nie jest naszym zmartwieniem, tylko tych jełopów z akwizycji. Włochaty również nie jest zmartwieniem, bo nie mam zamiaru go ścigać. Dla szefostwa – przymknął buchające żarem oczy – przypominam ci, Fabian, liczy się ilość, a nie jakość.

– Jeden to wciąż jeden. – Fabian wpatrywał się w zwierzchnika. Z jego nozdrzy wolno sączyły się smużki dymu.

– Kiedy złapiemy wodnika, będzie dwa – odparł pobłaźliwie Olivier. – A kiedy spotkamy się z Amadeuszem, od którego właśnie dostałem

wiadomość, będzie trzy.

– Dorwał wiedźmę? – Xavier przestał wypalać skaleczenia zapalniczką samochodową i uniósł głowę.

– Dorwał – potwierdził z powagą Olivier. – Udało się namierzyć numer telefonu, na który dzwoniliśmy, by skontaktować się z Zygmuntem. Okazało się, że ten pierdoła nie kłamał w swoim wniosku online. To naprawdę jakaś wiedźma.

Przerwał, a po chwili zerknął na Fabiana.

– Nie sądzę więc, by raport wyglądał naprawdę źle. Chyba że napiszę w nim coś o tobie.

Zamilkli. Nad leśną drogą, błotnistą i zrytą podczas walki, tu i ówdzie wciąż dymiąca, szumiały drzewa, niespiesznie, z politowaniem.

W miejscu, które na pierwszy rzut oka niewiele różniło się od innych, a drugi rzut utrudniał wysoki, gęsty żywopłot przetkany różami, nie było już żadnego światła. Diabeł pchnął zardzewiałą furtkę, która wpuściła go do środka z niechętnym skrzypnięciem, i ostrożnie, powoli wkroczył do środka.

Zamarł.

Drzwi niewielkiego domu działkowego poruszały się lekko, trącane powiewem nocnego wiatru, i zatrzymywały się na porzuconym sekatorze. Na małej werandzie białało przewrócone krzesło, drugie leżało wśród stratowanych róż.

– Natalia? – zawołał cicho Zygmunt.

Poczucie przyzwoitości, które każdy szanujący się diabeł pielęgnował w sobie po to, by wiedzieć, czego się wystrzegać, nakazywało odnaleźć i ostrzec Rycha, który miał się stać kolejnym celem zespołu Urzędu Interwencyjnego. Diabeł nie miał jednak pojęcia, gdzie wodnik jest, a na otwarte starcie z Olivierem i jego drużyną nie miał ochoty. Uległ więc niepewności i przerażeniu i postanowił odnaleźć Natalię, najpotężniejszą istotę w całej okolicy, z którą mógł się naradzić i być może ułożyć jakiś konkretny plan.

Przestrach, co uświadomił sobie w połowie drogi, nie był niczym złym, bo uchronił go przed rezygnacją. Rezygnacja bowiem doprowadziłaby go do dziupli Rokity, gdzie musiałby poprosić o azyl do końca świata.

„Jestem skończony – pomyślał. – Na, że się tak brzydtko wyrażę, amen”.

– Natalia?

Jakby w odpowiedzi w ciemnym wnętrzu domku pojawił się płomyk zapalniczki. Potem rozjarzył się papieros. Ktoś wstał, przesunął po podłodze jakiś ciężki przedmiot i podszedł powoli do drzwi. Oczom diabła ukazał się Łukasz w postrzępionych spodniach i podartej w kilku miejscach kurtce. Otaczała go woń spalenizny, sierści i rozpaczy.

– Nie ma jej – powiedział głucho. – Zabrali ją.

– Kto? – wykrztusił diabeł, choć doskonale znał odpowiedź.

– Nie wiem, czarcie. – Łukasz zszedł powoli po stopniach. Jego krzaczaste brwi uformowały grubą linię na zmarszczonym czole, złowieszczą niczym nadciągająca burza. – Ale czuję, że ty mi to wyjaśnisz. Czuję też, że ma to jakiś związek z tym tajemniczym Urzędem Interwencyjnym, o którym gadałeś u mnie w domu, co?

Mówił powoli, cedząc słowa, jakby resztki szlachetności nakazywały mu uzyskać przyznanie się do winy, nim rzuci się do ataku i rozerwie winnego na strzępy. Diabeł, choć wiedział, że stanowi wyższą formę życia, z trudem powstrzymał się przed zrobieniem kroku wstecz.

– To była moja ostatnia szansa – bąknął. – Chciałem ubić dwa zające za jednym strzałem, rozumiesz... Uwolnić was od Biedy, a samemu zaplusować w Piekło. Skontaktowałem... Skontaktowałem się z Urzędem Interwencyjnym, czego... czego w sumie nie powinienem był robić, ale jak to mówicie, tonący brzytwy się chwyta. UI łapie różnie dziwne stwory i potem leasinguje je Urzędowi Akwizycyjnemu podczas ich rozmaitych akcji. Najbardziej przydatne są mumie i inne umarłaki: jeśli chcesz znać szczegóły, to podczas ostatnich wyborów do parlamentu w waszym kraju...

– Tak, interesują mnie szczegóły. – Łukasz wyszedł z mroku, potężniejszy i bardziej złowieszczy. Zapomniany papieros dopalał się między jego palcami. – Ale inne. Kim są te diabły, Zyga? Gdzie je dopaść? Jak je pokonać?

– To nie będzie...

– Ona przez cały czas usiłowała nas uratować!!! – ryknął Łukasz, wskazując dłonią wewnątrz domku i przewrócony stolik. – Myślałem, że mi odbiło! Że mnie poniosło! Ale pomyliłem się! To ona mocą swych czarów utrzymywała mnie w postaci wilka. Pamiętasz? Twoją postacią też potrafiła sterować! A jednocześnie naprowadzała mnie na ciebie. Wyczuwała niebezpieczeństwo i wiedziała, że tylko my razem możemy mu zapobiec. Co więcej, udało się jej, więc nie zmarnujmy tego! Gdzie oni są?

„Dobra – pomyślał diabeł. – Bo, cóż... I tak już nie mam nic do stracenia”.

– Nie wiem – powiedział.

Łukasz spotęźniał jeszcze bardziej. Wydawało się wręcz, że przeistacza się

w ciemniejące tornado.

– Ale wiem, jak ich wytropić – dodał Zygmunt. – Jaro podsunął mi dobry pomysł.

– Jaro?

– Tak. Bo jego też mają. I jeśli źle się poukłada, Rycha też zaraz dorwą. Nie mamy czasu do stracenia.

Największym problemem wcale nie było to, że na skutek rozmaitych przemian obaj mieli podarte spodnie i musieli je zastąpić elementami garderoby Natalii. Niespecjalnie przeszkadzało im nawet to, że polonez wujka znajdował się gdzieś w Wyplutach i dla oszczędności czasu zdecydowali się zabrać starą vectrę nadleśniczego, nadal cierpliwie czekającą w krzakach przy leśnej drodze – diabeł dysponował jedynie szczątkową moralnością, Łukasz był zbyt zdeterminowany, by czuć opór przed wykorzystaniem czyjejś własności, zaś kluczyki, leżące na poboczu, podsunął im łut szczęścia. Nie przejęli się również tym, że vectra wypełniona była nadmuchiwanymi lalkami, upchanymi w kartonach po sprzęcie elektronicznym, a tego, że znowu zaczęło padać, nawet nie zauważyli.

Największym problemem jawiła się bowiem ciocia Marysia.

Musieli w jakiś sposób wkraść się do domu, w którym mieszkała od niepamiętnych czasów i który wydawał się służyć jej woli, i nie zwracając na siebie jej uwagi, wynieść nieprzytomnego wujka Czesia do samochodu, po czym równie niepostrzeżenie odjechać.

– Nie wiem. – Łukasz walnął mięsistą pięścią w kierownicę. – Nie mam pojęcia, jak się do tego zabrać. Ciocia ma lekki sen, schody skrzypią, a wujek, mimo wieku, jest wielki jak cholera. Widziałeś go? Musi się nachylać pod futryną!

Diabeł milczał. Wycieraczki poskrzypywały rytmicznie, odpędzając deszcz, krzyżyk pod lusterkiem kołysał się niespokojnie, jakby źle reagował na podróżujących vectrą osobników. Radio rzeziło, gubiło stacje.

– Może jakoś wywabisz ją z domu? – zaproponował w końcu Zygmunt.

– O drugiej w nocy? – Łukasz postukał w elektroniczny zegarek w desce rozdzielczej, nad którym tkwił przyklejony pluszowy piesek o niemożliwej do zdefiniowania barwie.

– Nie wiem, cholera! – rozżłościł się diabeł. – To może ją jakoś zagadasz, a ja... Nie, bez sensu. Nie wiem, jak to załatwić.

– Nie wiesz? – Łukasz z trudem krył napięcie. – Ja pieprzę, a kto ma wiedzieć? Nie masz jakiejś diabelskiej sztuczki w zanadrzu? Od wieków karmicie ludzi kłamstwami i zwodzicie ich na manowce, a teraz rozkładasz ręce?

– Wiesz, co robimy od wieków? Gadamy do was, budzimy w was pokusy, a potem zakładamy ręce i patrzymy, jak prześcigacie się w grzeszeniu! Piekło jakoś nie specjalizuje się w wyciąganiu starszych panów z łóżek!

– To co proponujesz?

– Nie wiem! A może sam coś zasugeruj, skoro to twoja rodzina!

Łukasz przygryzł wargę i dodał gazu. Silnik zawył nisko i skradziona vectra pomknęła wśród ciemnych zabudowań, ścigana światłem ostatnich latarni.

– W istocie, szczęwiczalem – mruknął Zygmunt.

– Co? – spytał Łukasz. Zredukował gwałtownie bieg, wszedł w ostry zakręt i znów dodał gazu. Kartony z dmuchanymi lalkami przesunęły się z szurnięciem w bagażniku. – Co zrobięś?

– Szczęwiczalem – warknął diabeł. – Nie mamy wyboru, Łuki. Nie ma czasu na wymyślenie niczego sensownego. Jeśli ciotka się obudzi, trzeba ją ogłuszyć, i tyle.

– Nie ma mowy.

– Chcesz odbić Natalię i resztę? Chcesz ocalić to miasto przed Biedą? Ogarnij się, chłopie. Jeśli ciotka będzie chciała nas zatrzymać...

– Powiedziałem: nie ma mowy.

– No to jak sobie to wyobrażasz?! – rozwrzeszczał się diabeł. – Co?! Jaki masz pomysł?!

– Nie wiem.

– Ja też nie i czuję, że może mnie to przestać za moment obchodzić! Bo to naprawdę nie jest moja sprawa!

– Jest. Ściągnąłeś nam ten cały urząd na głowy.

– No i co z tego? Słyszałeś kiedyś o diable z poczuciem przyzwoitości?

Samochód podskoczył na nierówności terenu, któryś z kartonów wpadł na tylne siedzenie, a potem rozlany szeroko blask reflektorów zwięził się pod naporem lasu rosnącego wzdłuż pobocza. Opony zahurkotały po kocich łbach, potem rozjechały serię kałuż. Rozkołysany krzyżyk stukał o szybę. Łukasz przygryzł wargę i zwolnił.

– Kurwa, zawsze skręcam w niewłaściwym miejscu – warknął i przyhamował jeszcze bardziej.

– Bo jedziesz jak wariat.

– Przymknij się. Masz jeszcze telefon Natalii?

– Mam.

– Uruchom GPS. Kwiecista 17.

Zygmunt wyłuskał telefon z wewnętrznej kieszeni damskiej kurteczki i przez chwilę gmerał palcami po jaśniejącym ekraniku, aż pokręcił głową.

– Nie działa.

– Co nie działa?

– GPS. Chyba nie ma tu zasięgu.

– Prędzej wyczerpała limit – warknął Łukasz i znów ostro skreślił. – Może to tu?

Znów runęła ulewa, jakby nieznane siły chciały w ostatniej chwili wybić im zamysł z głowy. Nagie, w większości bezlistne konary kołysały się i nachylały nad pojazdem, jakby chciały go poderwać i wyrzucić, ale ten mknął przed siebie, podskakując na wybojach.

– To tu! – wrzasnął nagle Łukasz.

Światła hamującego ostro samochodu omiotły najpierw wzburzony, dziki ogród, a potem ścianę z zalanymi deszczem oknami i werandę. Nie świeciło się żadne światło, dom wydawał się całkowicie opuszczony. Mokry drewniany woj w ogrodzie wpatrywał się w nich wzrokiem bez wyrazu.

Łukasz zaciągnął ręczny, ale nie wyłączał silnika.

– Co robimy? – spytał diabeł.

– Nie wiem. – Nauczyciel potrząsnął głową z rezygnacją i pchnął drzwi. Do samochodu wtargnęła ślota. – Ale coś zrobić trzeba.

Wyłączył światła, ale zostawił silnik na chodzie. Wyskoczył na zewnątrz, podciągnął pękające w szwach legginsy Natalii i ruszył zdecydowanym krokiem w stronę domu wujka. Zygmunt wzruszył ramionami i wyskoczył w ślad za nim.

Spieszyli się. Bardzo.

Piesek, który tradycyjnie wysunął łebek spomiędzy łopianów, nawet nie szczechnął, zniechęcony ulewą. Łukasz wsunął dłoń pod schody, pogmerał chwilę i wyciągnął klucz, który bez namysłu wepchnął do dziurki. Przekreślił go zdecydowanie i odetchnął z ulgą, bo szum ulewy zagłuszył cichutki zgrzyt. Ostrożnie nacisnął klamkę i pchnął drzwi, które otworzyły się z niechętnym skrzypnięciem.

Przed dwójką straceńców otworzyła się ciemna sień, strzeżona przez niewyraźne kształty płaszczy, kurtek i parasoli.

– Na górę – szepnął Łukasz. – Najciszej jak się da!

Kuchnia pachnąca detergentami i zupą. Skrzypiące schody. Stary fotel, pokraczna roślina w doniczce, nieczytelny obrazek na ścianie. Zalane

deszczem okno. Dwoje drzwi.

Łukasz położył dłoń na klamce tych, które prowadziły do sypialni wujka, gdy nagle dostrzegł niebieskawą poświatę płynącą spod sąsiednich. Zawahał się.

– Na co czekasz? – syknął diabeł. – Idzie jak z płotka!

– No właśnie – szepnął Łukasz. – Dlaczego?

Ignorując rozpaczliwe syknięcia Zygmunta, podszedł do sąsiednich drzwi i otworzył je cichutko.

Włączony zapomniany telewizor zalewał pokój migotliwym błękitnym blaskiem, w którym policzki siedzącej na fotelu cioci Marysi wydawały się trupio blade. Tknięty nagłym przecuciem Łukasz podszedł bliżej i nachylił się nad nią, ale ku wielkiej uldze poczuł jej delikatny oddech. Wyprostował się, a potem spojrzął na mały, kwadratowy budzik na stoliku nocnym.

2:15.

Odkąd pamiętał, ciocia zawsze szła do łazienki o dwudziestej pierwszej, a do łóżka kładła się równo trzydzieści minut później. Nigdy, przenigdy nie zdarzyło się jej zasnąć przed telewizorem.

– Długo będziesz tak stał? – posykiwał diabeł. – Skoro śpi, to dobrze. Łapmy wujcia i zjeżdżamy!

Łukasz, głuchy na jego apele, podniósł pilota i zmienił kanał. Cyfra na dekodерze przeskoczyła na wyższą, ale szara zamieć na ekranie nawet nie drgnęła. Podobnie jak na następnym kanale. I następnym.

– Widziałeś kiedyś coś takiego? – spytał cicho.

– Nie, bo z reguły... – zaczął opryskliwie diabeł, ale zamilkł, tknięty nagłą myślą.

Kanały przeskakiwały. Na każdym rozlewała się ta sama drgająca szarość.

– Bo z reguły w telewizji zawsze coś jest – dokończył za niego Łukasz.

– Może ciotka zapomniała zapłacić abonament czy coś? – warknął Zygmunt, opryskliwością maskując niepokój.

– Może – westchnął nieprzekonany Łukasz. – Chodźmy po wujka.

Bezszelestnie wkradli się do sypialni Czesia, jakby się obawiali, że ten się nagle poderwie i zrugą ich za zakłócanie mu spokoju. Jednak głowa wujka nadal spoczywała na miękkiej poduszce, a na jego twarzy malowała się zgryzota, jakby dręczył go trujący, toksyczny sen. Walcząc z wyrzutami sumienia, Łukasz odsunął kołdrę, złapał wujka za kostki i skinął na diabła, który ujął go pod ramiona.

Znieśli go na dół.

Ciocia się nie obudziła, gdy Łukasz uderzył kolaniem w poręcz i zaklął

zduszonym głosem. Nie obudziła się również, gdy Zygmunt wywrócił stolik w sieni, a potem trzasnął drzwiami.

Znaczenie tego, co się właśnie wydarzyło, dotarło do Łukasza w chwili, gdy wyrzucili sflaczałą dmuchaną lalę z tylnego siedzenia i ułożyli na nim wujka, którego Zygmunt z obcą dla siebie troskliwością nakrył kocem. Nauczyciel wyprostował się i zacisnął powieki.

– Już wiem! – jęknął. – Już wiem, co to wszystko znaczy!

– Co? – Zygmunt spojrział na niego ze zdumieniem, usiłując wepchnąć nogi wujka do środka i zatrzasnął drzwi.

Łukasz odwrócił się ku niemu gwałtownie. Błysnęły białka jego oczu.

– Pamiętasz ten poroniony seans spirytystyczny? Gdy odwiedziły nas dziady? Jeden z nich zaprowadził mnie do Świkieł, do tego grodziszcza, i pokazał przeszłość! Widziałem, jak jego mieszkańcy zaprosili jakiegoś gościa, a potem kładli się, zasypiali, budzili się głodni, nieprzygotowani do zimy, umierali z głodu... To było ostrzeżenie!

– Jakie znowu ostrzeżenie? – spytał Zygmunt, choć zaczynał rozumieć.

– Bieda atakuje nasze miasto! Najpierw dopadł wujka, który był jego najsilniejszym przeciwnikiem, a po nim ciocię, pewnie zaraz pojawią się kolejne ofiary! – Łukasz pospiesznie szukał kluczyków do samochodu. – Wsiadaj, musimy ruszać! Naprawdę nie ma czasu do stracenia!

– Nie – odezwał się cicho Zygmunt. – Jedź sam.

– Czemu?

– Ja zostanę w Wyplutach, Łukasz. Znajdę tego Biedę i spróbuję go zatrzymać. Tym razem już bez udziału żadnych popaprańców z interwencyjnego.

Dzień trzynasty

Deszcz ustał w chwili, gdy przemoczony na wskroś Zygmunt znalazł się na rynku Wyplut, co potwierdziło lansowaną tu i ówdzie teorię, jakoby żywioty dysponowały zбочonym poczuciem humoru. Diabeł jednakże kaprysmi pogody nie przejmował się wcale, gdyż nurtowało go o wiele poważniejsze pytanie.

W chwili gdy znalazł się na środku rynku, w miejscu, skąd doskonale widać było zarówno kościół, jak i Oazę, dwa miejsca nadające kształt miejscowemu życiu intelektualnemu, wypowiedział to pytanie na głos:

– Właściwie po co ja to wszystko robię?

Jego misja zakończyła się klęską równie dotkliwą co niezrozumiałą. Nie potrafił wykorzystać swych mocy, a konwencjonalnych szefostwo nie doceniło w żaden sposób. Co gorsza, po tym, jak hasło do jego komputera zostało złamane przez człowieka, zawisło nad nim piętro zdrajcy, a zespół Urzędu Interwencyjnego, jego ostatnia szansa na odzyskanie dobrego imienia, zamiast skupić wysiłki na schwytaniu wielkiego demona, zabrał się do wyłapywania sojuszników Zygmunta, nie kwapiąc się przy tym, by pomóc mu odbudować reputację.

Właściwie jego los był przesądzony. Mógł biernie czekać na owiany złą sławą patrol, który miał go zawlec na rediabolizację albo...

„Albo ukryć się gdzieś na ziemi – pomyślał Zygmunt. – Tak jak Rokita”.

Pokręcił głową i od niechcienia przeskoczył wielką kałużę.

Nie uśmiechało mu się żadne z tych rozwiązań, zaś trzecie – złapanie Biedy i zawleczenie go do Piekła – było niewykonalne. Jedyne wskazówki były te wyczytane przez Natalię w książce z bajkami dla dzieci, bo baza danych w jego laptopie żadnych konkretnych rad nie zawierała. Mógł mieć jedynie nadzieję, że wypali plan Jaro.

– Musi wypalić! – szepnął do siebie Zygmunt.

Wskoczył na ławkę, potem na jej oparcie i przeszedł po nim kilka kroków, balansując na wąskiej, śliskiej desce. Pomysł Jaro był banalny w swojej prostocie – skoro śpiączkę wuja Czesia przypuszczalnie wywołała jakaś obca moc, której źródło znajdowało się w mieście, być może należało go z miasta wywieźć, by się z niej wybudził? Jako leszy Czesław dysponował wielką mocą. Niewykluczone, że po odzyskaniu przytomności będzie mógł ich wesprzeć, nawet z oddali. Może udałoby mu się wskazać, dokąd zespół

Urzędu Interwencyjnego wywiózł Natalię, Rycha i Jara? Może zdołałby przegnać Biedę?

– Może – mruknął diabeł. – Może, może, może. Same niewiadome.

Przeskoczył na zardzewiały kosz na śmieci i zakołysał się, łapiąc równowagę. Rozejrzał się wokół siebie – miasto spowijała lepka, beznadziejna szarość, której nie przebijał nawet neon nad Oazą. Jeśli wierzyć wskazówkom zegara nad Urzędem Miasta i Gminy, nie było jeszcze szóstej. Po jednej z ulic snuł się samotny rowerzysta, z mgły wychynął samochód z logo piekarni i zatrzymał się przed sklepem spożywczym. Gdzieś darły się wrony. Dudnił pociąg.

– Ale cisza – uświadomił sobie diabeł i ku swemu zdumieniu poczuł lęk. – A może już po wszystkim? Może Bieda nas wyprzedził i urządził już koniec świata?

– A co cię to wszystko właściwie obchodzi? – zapytał ze złością diabelski pierwiastek jego duszy.

– Nie wiem – odpowiedział sam sobie Zygmunt i zeskoczył na mokrą kostkę brukową. Opadł na ławkę i wymacał skrytkę pod siedzeniem. Ku swemu zdumieniu znalazł tam zwiniętą kartkę w cienkiej folijce. Wyciągnął ją, rozwinął i pokiwał głową, dostrzegając znajome logo i krzykliwy, złowieszczy nagłówek.

„Kierownictwo Urzędu Akwizycyjnego Piątego Kręgu Pieła zawiadamia, iż agent terenowy o pseudonimie «Zygmunt», odpowiedzialny za sektor Wypluty z przyległościami, został komisyjnie oskarżony o kunktatorstwo, rozmyślne odejście od założeń operacji i przekazanie technologii ludziom. Z uwagi na wysokie prawdopodobieństwo szczęśliwego zwrotu zaleca się wyżej wymienionemu Zygmuntowi natychmiastowy dobrowolny powrót celem rediabolizacji. W wypadku niezastosowania się do powyższych zaleceń agent terenowy Zygmunt zostanie sprowadzony przez patrol dnia czternastego i skierowany na rediabolizację przymusową bez możliwości wcześniejszego uwolnienia”.

Zygmunt parsknął śmiechem i wrzucił kartkę do kosza. Wtedy jego wzrok padł na wierzbę, samotną, wznoszącą się nad opustoszałym rynkiem niczym święte drzewo. Na jej pniu malowała się ciemna podłużna plama.

„Dziupła? Czemu ja jej wcześniej nie zauważyłem?”

Diabeł wstał z ławki, podszedł do drzewa i nie zastanawiając się wiele, wpełzł do otworu. Tam, posłuszny nieznanemu sobie impulsowi, zacisnął powieki. Strzępy wrażeń i doznań krążące wokół niego niczym zagubione ćmy osaczyły go w jednej chwili.

Aruś dzwonił? A co, znowu coś się dzieje z tą francą? Dobra, oddzwonię, co się pieklisz...

Albercik, jeszcze popitkę jakąś weź, co? Albo nie, coś tam mam w chacie, spoko...

Znowu zastępstwo? I to jeszcze z tymi matołami? Po tych dzieciakach z czwartej D zostaje taki smród w klasie, że...

I kabanosy, tak? Jasne. Reklamówkę? Pewnie, proszę bardzo. Kartą pan płaci? Dobrze... No, proszę. PIN i zielony...

To wszystko mało powiedziane, pani kochana. Wandzia ostatnio z domu nie wychodzi po tym, jak dostała ten liścik. Mówi, że od doktora, ale po mojemu to...

Jak to, kurwa, nie działa? Co ty pierdolisz, Siwy? Musi działać i chuj! Pokaż mi to...

Zygmunt siedział w dziupli, skryty w jej prastarym mroku, a miasto szeptało do niego, podsuwało mu strzępy codziennych historii, karmiło go echem dziesiątków ludzkich istnień i dziesiątków zwykłych dni. Diabeł nie miał pojęcia, ile czasu upłynęło, ale w pewnej chwili do jego świadomości zaczęły docierać pierwsze odgłosy z zewnątrz.

Dostojne uderzenia dzwonu. Klakson samochodowy. Czyjeś głośne powitanie. Chlapanie wody i stłumione przekleństwo.

Bronił się przed wyrwaniem z błogostanu, chciał na powrót zanurzyć w płataninę głosów, osobliwie nimi zafascynowany, ale dźwięki stawały się coraz wyraźniejsze, coraz bardziej rozpoznawalne, aż wszystkie przebił nosowy zaśpiew:

Fields of fire that passed the train, the sky is victorious, but...

Pospiesznie obszukał kieszenie i wyłowił telefon:

– Halo?

Głos Łukasza dobiegał z wielkiej oddali:

– To wszystko jest do dupy! Słyszysz mnie, Zyga? Do dupy! Nie mogę wyjechać!

– Nie rozumiem – wykrztusił Zygmunt. – Jak to nie możesz?

– Nie mogę, i tyle! Nie pamiętasz? Mówiłem ci kiedyś, że są takie dni, kiedy z Wyplut nie można wyjechać? Kiedy jedziesz, jedziesz i ciągle znajdujesz się w tym samym miejscu? – Łukasz niemalże szlochał. – To właśnie jeden z tych dni, Zyga! Nie wyjadę! Nie wywiozę wujka! W niczym nam nie pomoże!

– Trudno.

– Trudno? Tylko tyle masz do powiedzenia, ty cholerny diable? Ci twoi

kolesie porwali Natkę, do miasta wkradł się Bieda, a ty nie potrafisz powiedzieć nic ponad...

– Zawieź starszego pana do domu, Łuki. Jeszcze się zaziębi – rzucił diabeł i skończył rozmowę.

Odruchowo musnął kciukiem ekran i zaczął przeglądać odebrane wiadomości. Coś z jakiegoś banku, coś od operatora sieci, dwie wiadomości od cici Ani, jedna od Krycha od komórek i kilkanaście od Łukasza. Zaintrygowany diabeł włączył pierwszą z brzegu:

„Nie miałem pojęcia, że moje mieszkanie bez Ciebie jest tak przerażająco wielkie, puste i zimne”.

„Obudziłem się dziś w nocy i zacząłem do Ciebie mówić. Nie wiem, ile razy wyznałem Ci miłość, nim się zorientowałem, że Ciebie tu nie ma”.

„Jak się nazywa organ, który rozprowadza krew po ciele po tym, jak człowiekowi wyrwą serce?”.

„Wycieka ze mnie życie. Z każdym dniem tracę go coraz więcej. I dobrze, bo bez Ciebie życie to wegetacja”.

Diabeł czytał i kręcił głową, a potem westchnął przeciągle, podniósł się i złapał za krawędź dziupli. Wydźwignął się na zewnątrz i spojrzał prosto w oczy Stanisława, który stał oparty o rower, popijał piwo i wpatrywał się w wierzbę z wyczekiwaniem. Na widok wyłażącego diabła wciągnął gwałtownie powietrze i otworzył szeroko oczy.

– Święta Donata porodziła syna! – jęknął.

– Spokojnie, panie Staszku, tylko spokojnie – burknął diabeł. – Żadne tam narodziny. Chciałem sobie tylko w dziupli posiedzieć.

Odwrócił się od wstrząśniętego menela i skierował kroki w stronę Wiosennej 6.

Pokoik był mały i duszny, a okna z plastikowymi framugami wyglądały na nigdy nieotwierane. W centralnym miejscu stało wielkie, niemalże puste biurko, a pochylony nad nim Tadeusz Bieda, ubrany w czarną marynarkę z białą koszulą i cienkim, przypominającym wstążkę krawatem, wyglądał jak pająk przyczajony w zasadzce.

– Na ogół – zaczął demon, usłyszawszy pierwsze zdanie diabła, który, jak na wysłannika piekieł przystało, na szczęście pajaków nie bał się wcale – odbywa się to nieco inaczej. Wie pan, pisze się CV i wysyła, a ja dzwonię, umawiamy się na spotkanie i tak dalej. Możemy jednak przymknąć na to oko.

Wszak czasy nastały osobliwe, prawda?

– Prawda – odpowiedział Zygmunt i przełknął ślinę. Jego wzrok błędził wzdłuż krawędzi sfatygowanego biurka, omiół plamy na linoleum i ruszył w górę po ścianie rozklekotanego regału z półkami wypełnionymi grubasnymi skoroszytami.

– Kawki?

Wzrok diabła odnalazł torebkę z rozpuszczalną kawą, tkwiącą za małym, poźółkłym ekspresem elektrycznym na parapecie.

– Nie, dziękuję! – podziękował z przestraczem.

– Dobrze. – Bieda złączył długie palce i wbił w diabła spojrzenie zaskakująco intensywne, pomimo że jego oczy były mętne, jakby zdecydowanie za mało sypiał. Błękitna żyła na skroni pulsowała rytmicznie. – Przejdźmy więc do konkretów. A więc ubiega się pan o pracę?

– Tak. – Diabeł przełknął ślinę. – Mój kontrakt z poprzednim pracodawcą... No, wygasł. Robimy w podobnych branżach, a więc uznałem, że może poszukuje pan pomocnika. Ewentualnie podwykonawcy, a nawet stażysty. Kumpel mi metę załatwi i...

– W podobnych branżach? – Bieda uniósł nienaturalnie cienkie, niemalże niedostrzegalne brwi.

Dopiero teraz diabeł zauważył, jak wysokie miał czoło, blade i pocięte żyłami.

– No, specjalizuje się pan w demoralizacjach i degrengoladach. – Zygmunt poprawił się na krzeselku. – Moje ostatnie zlecenie w sumie polegało na tym samym. Przeszedłem serię szkoleń, z których wiedzę wdrożyłem podczas działań w terenie. Znam miejscowe układy i gromadzę bazę danych, która może się stać przydatna w pańskiej działalności.

– Proszę mówić, słucham – zachęcił sucho Bieda. Jego palce, długie i guzłowate niczym odnóża pająka, ujęły długopis i zaczęły nim rytmicznie stukać.

– Poza tym. – Zygmunt przełknął ślinę. – Poza tym jestem wielkim fanem pańskiej działalności. Zrobiłem mały risercz i jestem zachwycony znakomitą organizacją pracy.

– Doprawdy? – Bieda otworzył szerzej mętne oczy i pochylił się z szelestem czarnej marynarki.

– Jedynymi osobami, które mogły panu stanąć na drodze, był ów leszy i jego menażeria, a więc postanowił ich pan wyeliminować jednego po drugim. Jak rozumiem – oczy Zygmunta rozblęły – pańską bronią jest zsyłanie snu, prawda?

– Nazwałbym to raczej narzędziem. – Bieda pokazał mocne, żółte końskie zęby, wyraźnie ujęty komplementem. – Wystarczy zesłać długi, kilkudniowy letarg na część społeczności, a jej funkcjonowanie zostaje zaburzone. Nie ma komu wypiekać chleba. Apteka zamknięta. Szlaban na przejeździe kolejowym się nie otwiera. Nie przyjeżdża autobus. Po kilku dniach człowiek się budzi, potwornie głodny i oszołomiony, tylko po to, by zastać wokół siebie chaos. Tymczasem w śpiączkę zapadają kolejni. Widzi pan rezultaty?

– Tak. – Diabeł pokiwał głową, wstrząśnięty wizją. – Bieda.

– Otóż to! – Jego rozmówca zatarł z dłonie z suchym, niepokojącym szelestem. – Wielka, niczym niepowstrzymana bieda.

– Naprawdę niepowstrzymana? – Zygmunt patrzył na rozmówcę z uwagą. – Ci ludzie mają telefony, jest internet, a do najbliższego dużego miasta jedzie się niecałe pół godziny pociągiem.

– Z tego miasteczka, jak pan zapewne zauważył, czasami trudno się wydostać. Co więcej, potrafię na jakiś czas odciąć wszelką łączność – Bieda rozparł się, aż krzesło zaskrzypiało, i uniósł głowę, odsłaniając grdykę poruszającą się niczym żywe stworzenie uwięzione pod skórą. – Razem z telewizją.

– Zauważyłem. – Diabeł oblizał spierzchnięte wargi. – I telefonią komórkową. Czy wolno mi zadać pytanie?

Bieda był ewidentnie rozanielony.

– W sumie to ja tu powinienem zadawać pytania, ale niech będzie. Słucham.

– Skoro był pan w stanie wyeliminować leszego, najgroźniejszego ze wszystkich, dlaczego oszczędził pan pozostałych? Wiedźma i wodnik są dość groźni, o wilkołaku nie mówiąc.

– Och, proszę mi wierzyć, jestem tego świadom. – Bieda odsłonił końskie uzębienie, a na jego bladej, wychudłej twarzy na moment pojawiło się obrzydzenie. – Oddałbym wiele, by móc się ich pozbyć. Wilkołaki są obrzydliwe. Nie znoszę tej ich pretensjonalnej żywotności, tej ruchliwości, atawistycznej agresji. – Demon zatrzęsł się lekko, jakby z przestraczem. – Na szczęście bez leszego cała ta banda jest w miarę nieszkodliwa, a na niego mogłem podzielać z oddali. Widzi pan, kiedyś się spotkaliśmy i dowiedziałem się o nim co nieco. Niestety, nie udało mi się go podówczas wyeliminować.

– Doprawdy? – Diabeł posłusznie udał zdziwienie. Kolejny element układanki wskoczył na miejsce.

– Na szczęście jestem cierpliwym inwestorem. – Śmiech Biedy przypominał szelest suchej trawy o nogawki spodni. – Wróciłem po latach, by podjąć

kolejną próbę, a wtedy, proszę sobie wyobrazić, odkryłem, że leszy był gotów na moje przybycie. – Bieda zwał pięści z cichym chrzęstem. – Zawczasu otoczył miasto magiczną barierą, której najważniejszymi elementami byli ci obrzydliwi wojowie z drewna, stojący przy drogach.

– Jak ten przy przystanku PKS-u? – spytał diabeł i szybko odwrócił wzrok, jakby niespodziewanie skojarzył jakiś nowy fakt.

– Otóż to. Nie byłem w stanie pokonać tej bariery, a więc skupiłem się na zesłaniu na leszego odpowiednio silnego letargu. Udało się, a tuż po tym, ku mej wielkiej radości, barierę przekroczyła wiedźma. Osłona na moment stała się słabsza, dzięki czemu mogłem się wślizgnąć do środka. Już pan rozumie?

– Tak. – Zygmunt skwapliwie pokiwał głową. – Tylko jakiś byt ze słowiańskiej menażerii, uzbrojony w odrobinę magii, mógł rozszczelnić barierę na tyle, by się mógł pan wemknąć. Idealnie!

– W istocie. – Bieda znów się pochylił i oparł łokcie o blat. – Pora więc, bym to ja przejął inicjatywę w naszej rozmowie. Nie robi pan złego wrażenia, panie Zygmuncie, doceniam na przykład pański strój. – Wskazał kobietą, już przybrudzoną kurteczkę, którą diabeł znalazł w domku Natalii. – Skromny ubiór to duży atut dla kogoś, kto robi karierę w ubóstwie. Niemniej wymagań mam jeszcze wiele. Jak pan sam widzi, mój plan rozwija się pomyślnie, a procedurę wywołania końca świata wszcząłem już wczoraj.

„Już?” – pomyślał Zygmunt i zmusił się do zachowania obojętnej miny.

– A więc jaki będę mieć pożytek z pana? – ciągnął Bieda z udawaną zadumą. – Proszę mi opowiedzieć o swoich silnych stronach.

– To długa historia. – Zygmunt zmrużył oczy. – Zacznę od tego, że wiem, gdzie są pozostali członkowie tej menażerii.

Fabian zmienił bieg i wcisnął pedał gazu, a furgonetka cierpliwie zaryczała, przyspieszając. Nadciągał poranek, cichy i mglisty. Z szarych kłębow wyłaniały się drzewa i zabudowania, na ich tle migają czerwienią przydrożne słupki. Przed jadącymi wyrosła zielona tablica.

– Wypluty siedem – odczytał zdumiony Olivier. – Czy ja śnię?

Fabian nie odpowiedział ani słowem. Justin z niedowierzaniem spoglądał przez zaparowane okno, Amadeusz, który nie spuszczał oka z trójki więźniów, pokręcił głową.

– Ja już chyba widziałem ten znak – włączył się do rozmowy Xavier i natychmiast tego pożałował, bo Olivier odwrócił się ku niemu i ryknął tak,

że z gardła buchnął mu dym:

– Tak, ja też! Cztery cholerne razy! Co tu się dzieje?

Spojrzał na więźniów. Twarz i oczy Natalii zasłaniały jej rozsypane włosy, złapany w okolicach systemu ponemieckich bunkrów Rychu leżał na brzuchu, nieruchomy niczym wieloryb wyciągnięty na brzeg, a Jaro, wpatrzony tępo w podartą tapicerkę sufitu, rytmicznie otwierał i zamykał usta. Jego właśnie wybrał Olivier.

Przedostał się na tył samochodu, chwiejąc się i zataczając, i uklęknął przy chłopaku. Dłonią z coraz dłuższymi pazurami złapał go za różową firmową koszulę i przyciągnął go do siebie. Jaro w pierwszej chwili chciał udawać nieprzytomnego, ale brutalne szarpnięcie sprawiło, że otworzył oczy.

– Co się dzieje z tym pieprzonym miastem? Zakłęte jest czy co? – Olivier buchnął siarką.

Jaro udał cyniczny śmiech.

– Będziesz sobie ze mnie jaja robił? – warknął głucho tamten.

Chłopak dostrzegł wzniesione szpony i umilkł, a w jego oczach błysnął lęk. Przełknął ślinę, odkaszlnął i otworzył usta, ale przerwał mu diabeł na siedzeniu pasażera.

– Policja – rzucił, odwracając się.

– Co? – Olivier poderwał głowę. W jego przymrużonych oczach odbijał się żar płomieni piekielnych. – Co takiego?

Spomiędzy przydrożnych zarośli wyskoczył policjant, który zamachał czerwonym lizakiem.

– Tylko tego brakowało! – mruknął szef zespołu. – Nie, nie mamy na to czasu.

Zerknął na odczyt frustrimetru, który szalał.

– Rozjedź gada – polecił. – Czas się kończy. Fabian, słyszysz mnie? Rozjedź go! Fabian!

Diabeł za kierownicą wyprostował się i zdjął nogę z gazu, a potem wrzucił migacz i zaczął hamować.

– Fabian, do cholery! Rozumiesz, co do ciebie mówię? – Olivier runął przez furgonetkę i złapał oparcie siedzenia kierowcy, ale było już za późno. Koła zahurkotały na poboczu, a silnik z wyraźną ulgą zwolnił obroty. Fabian ostentacyjnie zaciągnął ręczny i odwrócił się w kierunku ledwie panującego nad sobą Oliviera.

– Już raz kiedyś chciałem kogoś rozjechać – wycedził – to mi szef później zagroził adnotacją w raporcie. Wtedy sobie obiecałem, że już będę grzeczny.

– Rozszarpie cię na kawałki – wycharczał Olivier. – Słyszałeś?

– Słyszałem. – Fabian uśmiechnął się złowrogo. – A wy słyszeliście, chłopaki? Słyszeliście, jak szef mi grozi? Najpierw raportem, teraz pazurkami... Co to się porobiło w tym Piekło!

Przekreślił stacyjkę, silnik kaszlnął i zamilkł. Stali na poboczu puściutkiej wymarłej drogi wśród pól, nadzorowanej przez pomalowane łuszczącą się farbą figurki świętych z nieodległej kapliczki. W samochodzie ekipy budowlanej panowała cisza tak głęboka, że słyszeć było kroki zbliżającego się policjanta.

– I to teraz się szefowi na groźby zebrało? – ciągnął Fabian. – Akurat teraz, podczas wykonywania niezwykle trudnej, niebezpiecznej misji na ziemi? I to na domiar złego w krainie, gdzie niejednego dzielnego diabła uduszono różańcem czy w wodzie święconej utopiono?

Jako pierwszy zrozumiał powagę sytuacji Xavier, który dyskretnie sięgnął po trójząb. Po nim zrobili to Justin i Amadeusz, niespuszczający wzroku z trójki nieruchomych jeńców.

– Fabian, chyba cię pogięło. – Olivier również zrozumiał, że sytuacja przybiera nieoczekiwany obrót.

– Tak. Chyba mnie pogięło. – Fabian uśmiechnął się paskudnie. – Z ochotą pokażę szefowi, jak bardzo, ale najpierw...

Odwrócił się ku funkcjonariuszowi policji, który już stukał w okno. Jego kolega, oparty o maskę radiowozu, majstrował coś przy fotoradarze, co chwila pochylając głowę, by go obwąchać.

– Najpierw zapłacimy mandat.

– Dzień dobry. – Policjant zsalutował. – Starszy posterunkowy Damian Kłoska, rejonowy komisariat policji z Wyplut. Powodem zatrzymania jest rutynowa kontrola oraz zauważalny zły stan techniczny pojazdu. Jedzie pan bez bocznego lusterka i z pękniętą przednią szybą. Poproszę prawo jazdy, dowód rejestracyjny i ubezpieczenie pojazdu.

– O rany! – Fabian złapał się za głowę. – Aż tyle dokumentów? Panie władzo, kto by to wszystko woził ze sobą...

– Słucham? – Funkcjonariusz uniósł wyżej brwi, najwyraźniej zaskoczony. Skinął na kolegę, który odłożył radar i ruszył szybkim krokiem w kierunku furgonetki. – Panie kierowco, to nie czas na dowcipy. Proszę o prawo jazdy, dowód rejestracyjny i...

– Panie władzo, a czy ja wyglądam na takiego, co to żartuje? – Uśmiech Fabiana był zniewalający, ale w oczach płonęły dwa ogniki. – Ja poważny człowiek jestem. I na dodatek się spieszę. Niech więc będzie... No, dajmy na to, pięć stów.

– Próbuje mnie pan przekupić? – Policjant pobrał.
– Tak. Oczywiście dla kolegi również coś się znajdzie. Trzy stówki może być?

– Czy zdaje pan sobie sprawę z tego, że za proponowanie korzyści majątkowych funkcjonariuszowi policji grozi kara do ośmiu lat pozbawienia wolności? – zapytał starszy posterunkowy.

Fabian przewrócił oczami.

– Aleś pan upierdliwy. Dobra, niech będzie po siedem stów na łebka.

Drugi policjant zatrzymał się przed maską furgonetki i zajrzał do środka przez przednią szybę. Zignorował szeroki, czarujący uśmiech Xaviera i zatrzymał wzrok na leżącej na boku Natalii. Jego dłoń natychmiast skoczyła w stronę krótkofalówki.

Święci w przydrożnej kapliczce przyglądali się scenie z pobłażaniem.

Zygmunt rozgarnął krzaki, niby chcąc lepiej widzieć, ale naprawdę zasłonił ciałem telefon, na którym pisał krótkiego SMS-a. Bieda, który zerkał na drogę nad jego ramieniem, niczego nie zauważył.

– Nieźle – szepnął diabeł i schował telefon ze zręcznością wypracowaną przez wieki podkradania monet z tac kościelnych. – Naprawdę nieźle.

– To nic trudnego – oznajmił demon. – Zsyłanie snu to tylko jedna z form mojej działalności. W razie potrzeby sprowadzam również biedę pod postacią policji bądź innych służb mundurowych, kontroli NIK-u, karty mobilizacyjnej dla rezerwistów lub w ostateczności nawet sraczki. Zdalnie sterowanej, dodam.

– Praca dla pana będzie prawdziwym przywilejem! – westchnął diabeł. – I niezłym ubawem. Zdaje się, że ten debil próbuje przekupić policjanta.

Wyteżył wzrok i uświadomił sobie, że rozmowę z posterunkowym toczy Fabian, a nie Olivier. Jego myśli uformowały natychmiast jedyny w tej sytuacji wniosek. Zygmunt uśmiechnął się lekko.

– Debil? – zdziwił się uprzejmie Bieda, który przez moment ścierał palcem błoto z wysłużonego, poobcieranego lakierka, a potem wytarł dłoń w marynarkę.

– Ci goście są z interwencyjnego. Dobrze uzbrojeni, wyposażeni i przećwiczeni w technikach tropienia i osaczania, ale nie stać ich na wiele więcej ponad to – szepnął złośliwie Zygmunt. – Mają wiedzę sprzed dziesięciu lat...

Przyglądał się, jak jeden z funkcjonariuszy odsuwa się i nakazuje członkom zespołu wyjść na zewnątrz z uniesionymi rękami, a drugi, wciąż gorączkowo wołając do krótkofalówki, odsuwa boczne drzwi i zagląda do środka. Diabły niechętnie, z ociąganiem formowały szereg wedle instrukcji policjanta. Jako pierwszy stał wesoło uśmiechnięty Fabian, za nim Xavier, wciąż tulący pogryzioną przez rusałkę rękę, po nim Justin, nadal lekko siny, co przypuszczalnie było pamiątką po starciu z wodnikiem, Amadeusz z twarzą rozoraną paznokciami wiedźmy i zgarbiony, wściekły Olivier.

„Cudownie” – pomyślał Zygmunt i odwrócił się w kierunku Biedy, który właśnie wyłuskał z kieszeni kawałek zeschniętego chleba i oblizał go szerokim językiem z białym nalotem.

– Czy pomyłę się bardzo, twierdząc, że to przez pańskie oddziaływanie nie byłem w stanie korzystać z moich mocy? – spytał.

– Nie pomyli się pan wcale. – Bieda wbił końskie zęby w chleb i z niemałym trudem odgryzł kawałek. – Nie mogłem się nadziwić, że mimo to wiedźmie udaje się czarować.

– Miała z tym spore problemy.

– Dobrze i to.

– Zaczynałem już wątpić w swój talent.

– Całkiem niepotrzebnie.

– Czy byłby pan tak dobry i pozwolił mi na moment skorzystać z mocy? – spytał błagalnie diabeł. – Mam pewien doskonały pomysł.

– Nie wiem, nie wiem. – Bieda się zawahał. – Widzi pan, nie bez powodu usiłuję blokować zdolności istot nadnaturalnych.

– Doskonale pana rozumiem. Proszę jednak pamiętać, że nadal jestem na okresie próbnym i pragnę się wykazać.

– No dobra – zdecydował Bieda i przekrzywił lekko głowę. Chrupnęły kręgi w karku. – Ale tylko na chwilę.

Zygmunt uśmiechnął się z wdzięcznością, pochylił głowę, a potem uformował przekaz, po raz pierwszy od wielu dni bez najmniejszego wysiłku. Miał wrażenie, że nabiera w garście krystalicznie czystej źródlanej wody, i gdy pchał go w stronę Oliviera, nie mógł pohamować tryumfalnego śmiechu.

Zablokowanie nadchodzącego przekazu było dla diabła równie łatwe jak stłumienie dłonią zbliżającego się kichnięcia. Jednak diabeł zaskoczony, wzburzony, a co najważniejsze, nieświadomy zagrożenia mógł go nie wychwycić. Olivier zaś spełniał wszystkie trzy warunki.

Dwa uderzenia serca później rechoczący Zygmunt zerwał się,

błyskawicznie przybrał naturalną postać i rzucił w stronę radiowozu.

Olivier zmrużył oczy i potrząsnął głową, jakby niespodziewanie uderzyła go nowa, zaskakująca myśl, lecz pogodził się z nią błyskawicznie. Spojrzał na Fabiana, który uśmiechał się od ucha do ucha, i rozchylił usta. Na policzki rywala padł poblask ogni piekielnych.

– Damian, tu jakiś handel ludźmi się odbywa! – wrzasnął drugi z policjantów. – Jak na tym filmie z...

Nie dokończył myśli, gdyż Olivier nagle wyrzucił rękę do tyłu. Jego trójzęb rozbił boczne okno samochodu, obsypał go gradem srebrzystych okruchów i wpadł mu do ręki, a wtedy szef zespołu Urzędu Interwencyjnego zakręcił nim z hukiem i z całej siły wbił skrzące się ostrza w pierś wciąż śmiejącego się Fabiana.

– Stać! Nie ruszać się! No co ty robisz, no! – piszczał starszy posterunkowy Damian Kłoska, szarpiąc się z kaburą. – No, kurwa, stać mówię, no!

Xavier zerwał się, przypadł do otwartego boku furgonetki, odepchnął drugiego z funkcjonariuszy. Zaklekotał toczący się po asfalcie radiotelefon. Diabeł sapnął iskrami, złapał trójzęb, ale w tej samej chwili jęknął głucho, przeszyty rogami Justina, który zdążył już zmienić postać. To samo zrobił Amadeusz, ale po to, by złapać za kark zaskoczonego Xaviera i rąbnąć nim o drogę z takim impetem, że naokoło strzeliły kawałki asfaltu.

Zygmunt bynajmniej nie był zdziwiony. Przeczuwał, że w zespole Urzędu Interwencyjnego – podobnie jak w każdej innej grupie diabłów – istniały jakieś tarcia, które uwolniły się w momencie, gdy Fabian rzucił wyzwanie Olivierowi. Ba, właśnie na to miał nadzieję. Zaciekle starcie między funkcjonariuszami urzędu było mu bowiem jak najbardziej na rękę.

Nie miał pojęcia, kiedy Bieda uświadomi sobie, że jednak nie zależy mu na stażu, dlatego spieszył się i pędził jak nigdy dotąd. Przeskoczył nad starszym posterunkowym, który zapomniał o resztkach autorytetu i pełzył w stronę kapliczki z obojętnymi świętymi, grzmotnął w plecy Amadeusza, szykującego się do rozdeptania Xavierowej facjaty, i wskoczył do furgonetki.

– Natalia! Jaro! Rychu! – sapnął, siejąc iskrami. – Wstawać! Wstawać, i to szybko!

– Te cholerne sznury nie chcą puścić! – warknął wodnik, czerwony na twarzy.

– A moja magia zupełnie przestała działać! – parsknęła Natalia.

- Nic dziwnego, Bieda was blokuje! – rzucił diabeł. – Rychu, odwróć się.
- Bieda tu jest?
- Nie, kurwa, dobrobyt. Odwróć się!

Wodnik wierzgnął, odsłaniając plecy i związane ciasno nadgarstki, a wtedy Zygmunt strzelił ogniem z pyska. Rychu wrzasnął i w panice szarpnął potężnymi ramionami, zrzucając popalone sznury, a diabeł bezzwłocznie – ale delikatniej – zabrał się do uwalniania Natalii. Wiedźma dzielnie wytrzymała żar piekielnych płomieni, a gdy się podniosła, w furgonetce rozległ się chrapliwy wrzask bązanta. Jaro siedział na trzonku od łopaty i trzepotał skrzydłami, ponagłając pozostałych.

- Co teraz? – szepnęła Natalia, odrzucając włosy i zerkając przez okno.

Diabły prały się po mordach z wytrwałością maszyn rolniczych. W pewnym momencie Olivier wybił Fabianem dziurę w przedniej szybie, ale natychmiast go wyszarpnął i rzucił nim w kapliczkę, przed którą klęczał policjant, kołysząc się w rytmie choroby sierocej. Xavier wył jak szalony, nad polami niósł się ostry wiatr, gdzieś piszczwały opony hamującego samochodu.

- Spadamy stąd! – rozkazał Zygmunt. – Póki się biją!
- A Bieda? – warknął Rychu.
- Nie przejmuj się Biedą! – polecił diabeł.
- Serio? – parsknął wodnik, złapał diabła za ramię i przyciągnął do siebie.

W brudnym, splekanym okienku bocznym zaskoczony diabeł ujrzał Biedę, który unosi się ponad krzaki, rośnie i potężnieje, aż dorównuje wzrostem dwóm mężczyznom stojącym sobie na ramionach. Demon rozejrzał się powoli, jak w zwolnionym tempie, i spojrzenie jego mętnych oczu padło na sfatygowaną furgonetkę. Na jego bladym obliczu zagościł złośliwy uśmiech, tak sztuczny, że zgoła brakowało klamerek spinających policzki. Wyciągnął rękę z chudymi palcami, wiatr rozkołysał obwisły rękaw marynarki.

– Chodu! – wrzasnęła Natalia, która jako pierwsza poczuła złowrogie oddziaływanie. – On chyba...

Jaro wyfrunął z furgonetki, odbił się od pleców Amadeusza nachylającego się nad Xavierem, ale zawirował w powietrzu, jakby trafił go niewidzialny pocisk. Biegący za nim Rychu zgiął się wpół, jakby ogarnęły go torsje. Natalia zatrzymała się w drzwiach samochodu rozdygotanego od kolejnego uderzenia i spojrzała z przerażeniem na diabła:

- On nas wykończy!

Z jej lewego nozdrza ciekła krew. Nad polami poniósł się złowieszczy śmiech Biedy, aż chmury najeżyły się i przyspieszyły bieg. Rychu wił się na asfalcie i ryczał, Jaro, zataczając się, uciekał w stronę pola, diabły tłukły się

zapamiętałe. Zygmunt uniósł wzrok.

Bieda szedł – a raczej płynął – ku nim. Wyciągał ręce.

„Nie udało mi się” – pomyślał zdruzgotany diabeł.

Wtedy demon się zatrzymał.

Z opła vectry, który zahamował gwałtownie na poboczu, wyskoczył wilkołak w podartych legginsach.

Bieda zawahał się, opuścił ręce, cofnął się o krok. Przez jego wychudłą twarz przemknęło przerażenie, po czym...

Znikł.

Zygmunt, który już się szykował, by zeskoczyć na asfalt, znieruchomiał i spojrzał na dziewczynę.

– Co się z nim stało?! – zawołał.

Natalia natychmiast odzyskała przytomność umysłu.

– Zmienił się w jakąś rzecz! – szepnęła sfrustrowana i rozmazała krew pod nosem. – Pamiętasz, Zyga? – zapytała. – Tak jak w bajkach!

– Co się dzieje? – Oszołomiony Rychu podniósł głowę i spróbował wstać.

– Szybko! – zawołał Łukasz, który błyskawicznie wracał do ludzkiej postaci. Wskazywał diabły, które nadal okładały się zapamiętałe, jakby nie miały pojęcia, co się wokół nich dzieje, ale powoli traciły wigor. – To nasza szansa!

Natalia wygoniła z rżyska bażanta, Zygmunt pomógł wstać wodnikowi i wraz z Łukaszem łopoczącym strzępami legginsów przypadli do samochodu. Młasnęły zamykane drzwi, zamruczał silnik, zapiszczały opony. Kilka sekund później opel vectra z bagażnikiem wyładowanym dmuchanymi lalkami pędził z powrotem w stronę Wyplut.

Przez długą chwilę nikt nic nie mówił. Łukasz skupił się na prowadzeniu, siedząca obok niego Natalia wyciągnęła lusterko i ocierała krew z twarzy. Rychu odchylił głowę do tyłu i oddychał ciężko, a siedzący na oparciu siedzenia bażant stroszył piórka. Zygmunt odwrócił się i z ulgą odkrył, że walczący o przywództwo członkowie zespołu Urzędu Interwencyjnego zniknęli za zakrętem, a demona nigdzie nie widać.

– Ty to wszystko zmajstrowałeś, diable? – spytał chrapliwie Rychu.

– Ja – odparł diabeł z satysfakcją i rozparł się na siedzeniu.

– A można wiedzieć jak?

Vectra przemknęła obok przystanku PKS-u i mrocznego woja wpatrującego się nieprzychylnie w nadciągający pojazd.

– O, widzieliście tę rzeźbę? – Zygmunt się odwrócił. – Nie uwierzycie, ale to element magicznej bariery, która nie pozwalała temu całemu Biedzie wejść

do miasta. I pewnie nigdy by do Wyplut nie wszedł, gdyby nie odkrył, cwaniak, że któryś z nas, a raczej z was, osłabia tę barierę na tyle, że on jest w stanie wślizgnąć się w ślad za nim. Zaszył się na przystanku PKS-u i czekał na dogodną okazję, aż wreszcie wkradł się do Wyplut za Natalią.

– Za mną? – Dziewczyna spojrzała na diabła z niedowierzaniem. – Wtedy, gdy...

– Dokładnie wtedy – powtórzył Zygmunt i przewrócił oczami z zachwytem. – Tamtej nocy, kiedy Łukasz cię zostawił w domu wujka i pojechał w cholere. Wracałaś pieszo, nie?

– Ale ten, tego – wtrącił nerwowo Łukasz, chcąc jak najszybciej zmienić temat. – O ile dobrze pamiętam, byliśmy na tym samym przystanku kilka dni wcześniej. Pamiętasz, kiedy powiedziałem ci o... No, wiesz, o czym.

– Wiem. O twoim kredycie – bąknął diabeł.

– O jakim znowu kredycie? – Dziewczyna otworzyła szeroko oczy, patrząc to na jednego, to na drugiego. – O czym wy pieprzycie?

– Raczej: o czym ten diabeł pieprzy! – Łukasz, zaczerwieniony aż po uszy, spojrzał w lusterko i wbił w diabła wściekłe spojrzenie, ale on udawał, że tego nie widzi. – Bo ja zadałem konkretne pytanie. Dlaczego demon nie wlaźł wtedy za nami? Dlaczego czekał? Na co?

– Uświadomiłem sobie to samo. – Zygmunt uśmiechnął się z miną detektywa podsuwającego słuchaczom rozwiązanie zagadki. – I doszedłem do wniosku, że ktoś kiedyś poszczuł demona wilkołakiem, co ten najwyraźniej wziął sobie do serca i nigdy tego nie zapomniał. Jak widzicie, przydało się to w decydującym momencie.

– Jaki, kurwa, kredyt? – syknęła Natalia i walnęła pięścią w deskę rozdzielczą, niemal masakrując pluszowego pieska. Krzyżyk pod lusterkiem rozkołysał się z oburzeniem.

– Ja bym zadał inne pytanie – wychrypiał Rychu i przesunął się do przodu. – Czy to, że Bieda ze strachu zamienił się w jakiś przedmiot, oznacza, że koniec świata jest odwołany?

Zygmunt uświadomił sobie, że od dłuższego czasu nie usłyszał ani słowa od Jaro. Spojrzał na bażanta, który umościł się w pudle z dmuchanymi lalkami i wsunął głowę pod skrzydło.

Spał.

Satysfakcja opuściła go w jednej chwili.

– Obawiam się, że nie – szepnął. – Musimy go znaleźć.

Nikt nie miał pojęcia, gdzie należy go szukać.

Zdrowy rozsądek nakazywał szukać przedmiotu stosunkowo niepozornego i takiego, którego w danym miejscu wcześniej nie było. Rychu optował za tym, by skupić się na przedmiotach o rozmiarach człowieka, ale zakrzyczeli go. Skoro Bieda mógł osiągnąć ogromne rozmiary, pewnie potrafił się również kurczyć.

Wskazówek nie było żadnych.

Czasu też zaczynało brakować.

Nie było żadnych wyraźnych objawów, ale w atmosferze Wyplut wyczuwali coś nieprzyjemnego, oślizgłego, coś, co Łukasz przyrównał do próby duszenia mokrą ścierką do mycia naczyń. Nad miastem wisiały paździenikowe chmury, stłamszone, dławiące, sycące się czarnymi dymami z kominów. Na ulicach, mimo popołudnia, pozostało niewielu przechodniów. W ich ruchach brakowało energii, a na twarzach emocje pojawiały się dopiero wtedy, gdy patrzyli na biegnących po ulicach poszukiwaczy Biedy.

Diabeł, wiedźma, wodnik i wilkołak miotali się bowiem po Wyplutach jak szaleni derwisze. Natalia najpierw przetrząsnęła Dyżurną, potem wtargnęła do Oazy i zahipnotyzowała Grażynkę, by ta sprawdziła towar w sklepie i w magazynie, a potem, gdy jej wysiłki nie przyniosły rezultatu, popędziła do swojego domku na działce. Tam drżącymi rękami rozłożyła mapę i zawiesiła nad nią kulkę na łańcuszku, by w ten sposób spróbować odnaleźć zakamuflowanego Biedę, ale zaklęcia ostatecznie nie przynosiły żadnego rezultatu. Połykając łzy, wybiegła na uliczkę i zaczęła wypytywać osowiałych działkowców, czy ktoś nie ma u siebie czegoś, co do niego nie należy. Ścigały ją otepiąle spojrzenia i wymowne stuknięcia w czoło.

Łukasz najpierw nakłonił ziewającą bibliotekarkę, by uważnie przejrzała cały księgozbiór i zadzwoniła do niego, gdy znajdzie nadliczbową książkę, którą zostawił tam kolega doktorant, potem popędził do szkoły, by wypróbować tej samej sztuczki z woźną. Ta, osobiście otworzyła przed nim drzwi każdej sali, ale baczne oko nauczyciela, przyzwyczajone do wpatrywania się w te same miejsca przez ściśle odmierzone czterdziestopięciominutowe sekwencje, nie wychwyciło nic nowego. Łukasz wrócił więc na rynek, tam pokonał wrodzony lęk przed wujkiem Czesiem, znów przeistoczył się w wilkołaka i przystąpił do obwąchiwania kątów i zakamarków w poszukiwaniu czegokolwiek intrygującego. Nikt z nielicznych przechodniów nawet na niego nie spojrział, a Stanisław drzemający na ławce nie uniósł powiek, choć Łukasz potknął się o jego nogę.

Zygmunt zaś popadł w pierwszy w swoim życiu obłąd. Pognał na cmentarz, gdzie spenetrował wszystkie groby i zanurkował w śmietniku. Zajrzał do dziupli, w której rezydował Rokita, ale tam powitało go jedynie głuche, rytmiczne chrapanie. Przecwałował prze nawę kościoła, wbiegł na wieżę zegarową, ześlizgnął się po dachu i wylądował w bocznej uliczce, której magiczne oddziaływanie przerzuciło go na most. Przez moment przyglądał się Rychowi, który penetrował dno rzeki, a potem pognał dalej. Przegalopował przez błonia pod ołtarzem papieskim, wkradł się do zamkniętej na cztery spusty przychodni, poskakał po obu peronach stacji kolejowej, na której nie było nawet kasjerki, pojeździł wózkiem na parkingu przed supermarketem, zamkniętym po raz pierwszy od ubiegłego Nowego Roku, i spędził intensywny kwadrans na wymarłym placu zabaw. Potem, skrupulatnie licząc płyty chodnikowe, pognał na rynek.

– Hej! – zawołał ktoś, wybiegając z ciemnej bramy. – Hej, szefie! Szefuniu! Sprawę mam!

– Nie teraz, Seba! – rzucił rozpędzony diabeł przez ramię.

– Ta walizka to tego... Na gwarancji jest? Bo nie działa!

Zygmunt nie słuchał. Dziki pęd uwolnił w nim potok szalonych myśli, które wirowały, wiły się i zataczały coraz szersze kręgi niczym stado węszących ogarów, ale żadna z nich nie wracała z rozwiązaniem.

W końcu, zdyszany i zmęczony, przysiadł na wyszczerbionej ławce i zrezygnowany wbił wzrok w lampę uliczną, otoczoną mglistą poświatą. Miasteczko szumiało cicho. Gdzieś pomrukiwał telewizor, który ktoś przypuszczalnie zapomniał wyłączyć. Neon nad Oazą świecił niczym zapomniany relikwiarz umierającej cywilizacji.

Diabeł westchnął ciężko.

Zaszurały kroki. Łukasz ciężko usiadł obok diabła.

– Dupa – skwitował swoje wysiłki.

– Chuj by to wszystko wziął – dodał mokry Rychu, siadając obok nich.

Twarz Natalii, blada, ze śladami łez, mówiła wszystko.

Łukasz odwrócił wzrok i zacisnął zęby.

– Czyli przegraliśmy? – spytał.

Rychu wzruszył ramionami.– Już naprawdę nie mam pomysłu, gdzie szukać tego sukinsyna – westchnęła Natalia i przełknęła ślinę, dławiąc rozpacz.

– Przychodzi mi już tylko jedna rzecz do głowy – powiedział Łukasz i wstał z trudem. – Jedźmy do wujka i cioci. Jeśli rzeczywiście ma nadejść koniec świata, niech dopadnie nas razem. I to najlepiej przy flasce wujkowego

bimbru.

Powłócząc nogami, dotarli do nieprzepisowo zaparkowanego opła nadleśniczego i powoli, nie spiesząc się już nigdzie, pojechali uśpionymi jesiennymi drogami do miejsca, gdzie stary dom od lat toczył bój o przetrwanie z dzikim ogrodem. Łukasz wyjął klucze ze skrytki i wpuścił towarzystwo do środka. Rychu zapalił światło w kuchni i troskliwie ułożył śpiącego bażanta w kącie, Natalia bez słowa otworzyła lodówkę i zabrała się do robienia kanapek, a Łukasz poszedł na górę, pocałował wujka w czoło, nakrył ciocię kocem i zszedł po skrzypiących schodach z butelką w dłoni.

– Spodziewałem się wielu rzeczy po tych dwóch tygodniach na ziemi – oznajmił Zygmunt, myjąc kieliszki. – Ale nie przyszło mi nawet do głowy, że przyjdzie mi spędzić koniec świata z grupą dziwaków i bażantem.

– Skoro rzeczywiście mamy koniec świata – Natalia postawiła na stole talerz z kanapkami z mielonką – to może niech ktoś mi wreszcie powie, o co chodzi z tym kredytem?

– To już nie ma najmniejszego znaczenia. – W oczach Łukasza, który spojrzał na Natalię, błysnął smutek. By go ukryć, nauczyciel odwrócił spojrzenie i uderzył w dno butelki, wzbudzając rój bąbelków.

– Coś mi mówi, że ma – stwierdziła Natalia.

– Daj mu spokój, młoda – mruknął Rychu, ściągając wilgotny sweter. – Bo jeszcze rozleje.

Zapach wódki, gorzki, a jednocześnie obiecujący niezwykłą historię, rozlał się po kuchni i przegonił woń mielonki z puszki i mokrych ubrań wodnika.

„A może to nasze zmysły się wyostrzyły? – pomyślał Zygmunt, podnosząc kieliszek. – Może chcemy się nacieszyć ostatnią chwilą, zanim to wszystko się skończy?”.

W każdym razie smak, jak to zwykle bywało, okazał się o wiele lepszy od zapachu. Maliny zebrane o świcie. Wysuszone na słońcu siano. Zsiadłe mleko, odległy pomruk burzy, lipowy miód, schnąca jemiola, nieporadne bzyczenie majowego chrabąszcza i dziesiątki innych doznań przetoczyły się przez umysł diabła. Rozparł się na krześle, na moment całkowicie zapomniawszy o zemście demona, i mlasnął głośno.

– *Guten Abend* – Rozpromieniony Hans stanął na progu kuchni. – *Bin ich nicht zu spät gekommen?*

– Hans? – wykrztusił Rychu, osobliwie poczerwieniały, jakby pierwszy kieliszek nie trafił tam, gdzie powinien. – Gdzieś ty się podziewał, co? Nie było cię na ostatniej imprezie, chłopie, i się już martwić zaczęliśmy. Chłopaków z AK się wystraszyłeś, co?

Hans skwapliwie opróżnił karny kieliszek dla spóźnialskich, zamachał rękami i zaczął coś opowiadać, a Rychu, który jak się okazało, często jeździł na szkolenia do NRD, tłumaczył pozostałym to, co mu się udało zrozumieć. Okazało się, że niepotrzebnie się martwili, bo Hans jak co miesiąc musiał się wybrać do Niemiec, by odebrać socjal, ale obiecał, że powiadomi ich przed kolejnym takim wyjazdem, by nikt się o niego nie martwił.

– *Keine Sorgen* – oznajmił Rychu i uśmiechnął się do siebie gorzko. – Następnym razem na pewno damy ci znać. No, polej, Łuki. Młoda, podasz ogórki?

Zygmunt otwierał już usta, by zapytać o wojnę, małego chłopca w dziupli i zło czające się między drzewami, ale drugi kieliszek sprawił, że przestało go to właściwie obchodzić.

„Po co mam drążyć temat – pomyślał ze znużeniem. – Wszak przegraliśmy”.

Po trzecim posypały się dowcipy. Po czwartym wszyscy ryczeli ze śmiechu, kiedy Łukasz, czerwony na twarzy, nalał nieco wódki na spodeczek i ułożył go przy śpiącym bazancie. Po piątym Natalia nagle zaczęła płakać, cicho, wręcz bezgłośnie, już nie z bezsilności czy frustracji, ale ze zwykłej ludzkiej tęsknoty za tym, co kiedyś jeszcze mogło się wydarzyć w życiu. Nie patrzyła przy tym na nikogo, a w szczególności na Łukasza. Inni zaś, od razu rozgryzłszy przyczyny jej wybuchu, napełnili kuchnię sztucznie wesołym gwarem. Zabrzęczało szkło, cmoknęła odkręcana pokrywka słoika z ogórkami, Łukasz hałaśliwie wydmuchał nos.

Po szóstym, skwapliwie wysączonym kieliszku, do mieszkania wtargnęła Jola.

– Myślicie, że jakiś diabełek może mi dać radę? – oznajmiła, słysząc pytania pełne zaskoczenia i radości. – No, dziabnęli mnie raz i drugi, przyznaję, tu i tu. I bluzkę mi podarły, capy jedne. No ale co z tego? Pies im mordy lizał! Co, Rysiu? – Odwróciła się w stronę wodnika, który siedział z otwartymi ustami. – Polejesz kombatantce?

Polał. I nawet się uśmiechnął.

Zygmunt opróżnił kieliszek i zlizął ostatnie krople, a po paru minutach postanowił wyjść na świeże powietrze. Bynajmniej nie chciało mu się wymiotować, co mało delikatnie zasugerował Łukasz, nie przeszkadzała mu również postawa Joli, która umościła się na kolanach Rycha i wbiła w niego złowrogie spojrzenie, by udowodnić, że teraz to naprawdę nie boi się diabłów. Po prostu coś – tajemniczy impuls, którego nie potrafił nazwać – nakłoniło go, by wstać, wyjść z kuchni, zatrzaskać drzwi i zagłębić się

w jesienną ciemność.

Piesek wynurzył łebek z łopianów i szczeknął. Przy furtce zamajaczył Rokita.

– Zostało coś jeszcze? – spytał zdyszany. – Kurna, zasnęłam!

Zygmunt skinął głową, a gdy Rocky zniknął w domu, spojrzął na drzwi, na światło wylewające się przez kuchenne okno, na bezlistne krzewy, a potem odwrócił się ku czerni rozlewającej się między drzewami, wabiącej go czymś intrygującym.

Rozwiązaniami?

Przeszedł między kałużami, zagłębił się w wilgotne tchnienie lasu, oparł o pień. Zamknął oczy. Doznania zleciały się niczym wrony do ochłapu.

– Co? Co ty wygadujesz, Aruś? Piniewski może mi skoczyć, tyle ci powiem. I co z tego, że w ryj zarobiłem od jego chłopcików? A bo to pierwszy raz w życiu? Brzydziej i tak już nie będę, he, he, he. A poważnie mówiąc, Aruś, to weź nie pękaj. Nie będzie żadnej rozróby. Piniewski wie, że burmistrz mnie słucha. Jeden, kurwa, telefon i ma na łbie urząd skarbowy, sanepid, pepoż i chuj jeszcze wie co. Stawiam beemkę twojej mamy, że w niedzielę zadzwoni z przeprosinami. A skoro już o twojej matce... Gizela! Gizela! Weź no zrób mi jakiejś kawy, ale nie to gówno co ostatnio. Porządne ekspreso zrób.

– Romek, nie grzeb już przy tym telewizorze, ja cię błagam. Nie działa, to nie działa, i tyle, no. Po cośmy się tu spotkali, kanały zmieniać czy wódki się napić? I przymknij okno, leje jak cholera. Powiesił się ktoś czy co? W ogóle strach ostatnio po mieście chodzić, ludzie takie rzeczy gadają, że aż ciarki człowieka przechodzą. Mówiłem ci o tym gościu, którego podwoziłem wczoraj w nocy? Normalnie aż mi się zimno zrobiło. Chudy taki, prawie łysy, blady, kurwa, jak ściana, garnitur jak z nieboszczyka, oczy dziwne i pyta: Zawiezie mnie pan do Wyplut? A ja na to: Pewnie, panie szanowny, że ja miałbym nie zawieźć? Dałbyś pan ino dychę na paliwo, bo drożeje jak skurwysyn. Co, Romek, może źle mu powiedziałem? A ten mówi, że da, póki jeszcze ma to sens, bo nastają czasy biedy. Uwierzysz? No nie pogadasz z takim. Wysadziłem go przy rynku i rura do chaty, bo aż strach. Dobra, polej, Roman. Oby nam się!

– Dobrze, zapiszmy temat lekcji: Jezus jest moim Panem i Zbawicielem. Zbawicielem wielką literą. Kto z was był w kościółku w ubiegłą niedzielę? Podnosimy rączki, dobrze, dobrze... Raz, dwa, trzy... No, nieźle. A ty, Stawski, czemu nie byłeś, co? Nowak, a ty? Proszę, proszę, a do bierzmowania to pewnie chciałbyś pójść, co? Myślisz, że Bóg nie widzi waszego lenistwa? Waszego zaniedbania? Nie od dziś powtarzam, że tylko szczere, systematyczne uczęszczanie... A ty co robisz z tym cyrklem, Miziajski? Odłóż go w tej chwili, cymbale!

Cześć, tu Grażynka! Co słychać, żaba? Jak tam balejaż, trzyma się? No, mówiłam, jak chcesz coś zmienić, to tylko do Aśki. Niedrogo, fajnie, zresztą sama wiesz. Nie, nie, wszystko gra. Tak, dostałam drugi list od skarbowego, ale w dupie to mam, żaba. Wezwanie jakieś niby. Coś ty, nigdzie nie idę. W dupę niech mnie pocałują. Mają coś do mnie, to niech się sami pofatygują, ja mam za dużo spraw na głowie. Będę się przejmować... Phi! A pamiętasz tego cycka, który próbował mi sklep obrabować? Dzisiaj z kwiatkami przyszedł, przeprosić niby. Myślałem, że Aneta w majtki narobi ze śmiechu. Dobra, później pogadamy. No, spoko. Dobra. No. No. Spoko. To na razie. Trzymaj się. No, do następnego. Pewnie. Jasne, żaba. Pogadamy. Cześć, cześć, buźka. No, to na razie.

A mało to zboczeńców, pani Lusu kochana? Józia, ta, co w szkole jako woźna pracuje, mówi, że diabeł za nią łązi. Coś tam w dyżurce na ścianie napisał, potem po ulicy niby ganiał, obok kosmetyczki, wie pani. Co? Nie, gdzie tam. Po mojemu to larpy były. Nie słyszała pani? W wiadomościach mówili. Tacy młodzi, z miast, co to się po twarzach malują, szmaty jakieś dziwne noszą, rogi sobie przymocowują do głów. A, nie wiem, pani Lusu, bo skąd? Tyle dziwactw ostatnio na tym świecie...

A ja ci powiem, Siwy, że zjebałeś i chuj. I nie patrz, kurwa, tak na mnie, bo ci

wybieję i nikt ci tego nie zdejmie. Była te czus zka? Była. Były lale? Były. Była kasa? Co? Wyliczył ci Uszól, ile przypadnie na łebka, nawet jeśli odpalimy dolę wujowi za paliwo? Mało ci, kurwa, było, co? Mówiłem: powoli, bo coś zjebiesz. Mówiłem, co nie, Beton? No. A ty, kurwa, nic. Ciągniesz, pizdo jedna, lalę za lalą, no i się te czus zka zjebała. Nie ma lał, Siwy, nie ma! Możesz se w niej gmerać, aż się usrasz, jełopie jeden. Była te czka i nie ma.

Zygmunt nagle otworzył oczy.

Wstał gwałtownie, tknięty całkowicie zaskakującą myślą, i puścił się biegiem w stronę opla zaparkowanego na poboczu. Drzewa skrzypiały nad jego głową, machały potakująco konarami.

Zasyczała cicho otwierana kłapa bagażnika, zamrugła żarówka, która zalała wnętrze samochodu nikłym, żółtym blaskiem, wystarczająco jednak jasnym, by dostrzec zawartość. Para zabłoconych gumiaków. Dwie białe reklamówki. Pęknięta kobiałka od truskawek. Lewarek. Płaszcz przeciwdeszczowy. Dwa puste kartony.

Nie, nie do końca puste. Zygmunt zajrzał od obu i wyciągnął zwiniętą, związaną sznurkiem nadmuchiwaną lalkę.

Jedną jedyną.

Uśmiechnął się do siebie i pokiwał głową.

– Proszę, proszę – szepnął, wyciągnął lalkę i wrócił z nią do domu, idąc powolnym krokiem człowieka, który już nie musi się spieszyć. Wszedł do kuchni i bez słowa rzucił lalkę na stół. Wszyscy umilkli i spojrzeli na diabła z niedowierzaniem.

– To dla mnie? – zachwycił się Rokita.

Natalia, która zdążyła już opanować rozpacz, była mniej zachwycona. Wesołe iskielki w jej oczach, rozbudzone czyimś niewybrednym żartem, zgasły natychmiast.

– Możesz to jakoś, Zyga, wytłumaczyć? – spytała zimnym głosem.

– Poniekąd. – Diabeł się uśmiechnął. – Nie będzie żadnego końca świata.

Dzień czternasty

Nastroszone chmury nadal kłębiły się nad Wyplutami, ale powoli ruszały, przeganiane zbudzonym o świcie wiatrem. Na wyludnionych ulicach panował bezruch, typowy dla bardzo wczesnych niedzielnych poranków, których jednostajność zakłócali jedynie samotni imprezowicze, chyłkiem wracający do domów. Ciszę rozrywał tylko terkot żaluzji antywłamaniowej podnoszonej przez poirytowanego właściciela sklepu spożywczego.

– Zyg, wyjaśnij mi to jeszcze raz! – Łukasz tarł skronie i zaciskał powieki, ponownie doświadczając tego, że za magiczne oddziaływanie wujkowej wódki płaci się gigantycznym i całkowicie prozaicznym kacem.

– A co w tym skomplikowanego? – Zygmunt spojrział na niego bystro. – Przedmioty, które generuje moja walizka, są funkcjonalnymi, ale bardzo umownymi, a przez to nietrwałymi związkami molekuł. Ich trwałość jest obliczona mniej więcej na długość mojej misji, a ta kończy się dzisiaj. – Czyli... – Łukasz potrząsnął głową i zerknął przez ramię na Natalię, która szła chwiejnie kilka kroków za nim, trzymając pod rękę Jolę.

Rychu, Jaro i Rokita zatrzymali się przed otwieranym spożywczakiem i odliczali drobne na piwo.

– Czyli – podjął cierpliwie diabeł – dmuchane lalki, na których Seba oparł swą działalność gospodarczą, zaczęły wczoraj wyparowywać. Co więcej, teczka, z której je wyciągano, również przestała działać.

– Dlatego nie byłeś szczególnie zmartwiony, kiedy ci powiedziałem, że Seba z ziomalami wszedł w posiadanie twego cennego artefaktu z piekła rodem! – westchnął Łukasz. – Ale nadal nie kapuję...

– To słuchaj, zamiast się wymądrzać. Bieda przeistoczył się w jedną z dmuchanych lalek Klubu pod Obitym Ryjem w bagażniku opla, sądząc, całkiem zresztą sensownie, że zakamufluje się w ich tłumie. Nie zdawał sobie tylko sprawy z tego, że one znikną! My zresztą również i gdyby nie mój diabelski spryt...

– Teraz to ty się nie wymądrzaj! – Łukasz zamachał rękami. – Bo mnie tak naprawdę martwi coś innego. Skoro znikły lale, to zapewne znikną również...

– ...pieniądze, które dałeś ludziom Piniewskiego? – dokończył Zygmunt. – Ano znikną.

Łukasz, już blady i zmarnowany, pobladł jeszcze bardziej.

– Czyli wracamy do punktu wyjścia, tak? – Przełknął z trudem ślinę. –

Pojawią się Miras z Bestią, ale tym razem, zamiast rozpieprzyć mi samochód, zdefasonują mi mordę?

– Wszystko jest możliwe – powiedział diabeł. – Niewykluczone też, że Piniewski uzna swoich miśków za winnych zniknięcia forsy, może obciąży winą księgową lub kogoś z rodziny. Gdyby zaś próbował ją wyciągnąć od ciebie, wtedy... Cóż, wtedy proponuję, byś się nie oglądał na boki i zrobił z nimi porządek.

– Jak?

– Tak jak przegoniłeś policję, a potem załatwiłeś Biedę. – Diabeł się uśmiechnął. – Nawiasem mówiąc, dostrzegasz analogię?

– Dostrzegam. Ale wujek Czesiu...

– Zabronił, wiem. Nie rozśmieszaj mnie. Gdyby Lucyfer był grzecznym aniołem...

– Dobrze, już dosyć analogii.

Natalia, przeczuwając, że Zygmunt i Łukasz rozmawiają o czymś ważnym, przyspieszyła kroku mimo mamrotanych protestów Joli. Rusałka nie zdążyła upiąć tego poranka włosów i przypuszczalnie nie miała świadomości, co się stało z jej makijażem podczas całonocnej imprezy, przez co postronny obserwator mógł dojść do wniosku, że Natalia taszczy manekina sklepowego. Wiedźma była jednak niepokojąco przytomna i bystra.

– A skoro już o Biedzie mówimy... – zaczął Zygmunt, ale Łukasz pokręcił głową.

– Wiem, wiem. W poniedziałek rano zamówić kuriera i wysłać lalę do niejakiego pana Mariana, prezesa ROD-u w Tarmosicach – wyrecytował. – Wyguglałam sobie adres w poniedziałek.

– Jakbyś miał ochotę z niej skorzystać, to się nie krępuj. Bieda nie powinien mieć nic przeciwko.

– Ten tego...

– Nie wyjaśniliśmy kwestii tego kredytu – powiedziała Natalia niepokojąco ostrym, rzeczowym głosem. – Nie wiem, o czym sobie tam szeptacie, ale coś mi mówi, że to ma związek ze mną. Jestem wiedźmą, chcę natychmiast o wszystkim usłyszeć.

Łukasz miał zamiar się odezwać, ale Zygmunt uciszył go gestem.

– I usłyszysz – odezwał się. – Łuki ci o wszystkim opowie, bo nie ma co tego trzymać w tajemnicy. W końcu to wasza wspólna sprawa, czy tego chcesz, młoda, czy nie. Ty natomiast wyjawisz mu, dlaczego nie kasujesz SMS-ów, które ci przysyła.

Z tymi słowami oddał zaskoczonej dziewczynie telefon i uruchomił

szybciotki przekaz, który teraz, gdy Bieda został zaklęty w przedmiot, zadziałał idealnie.

Pożegnanie było krótkie, ale wzruszające. Zalana łzami Jola przepraszała Zygmunta, że nie zrobiła mu żadnych kanapek na drogę, a Rychu zmiążdżył go w potężnym uścisku. Rokita drżącym głosem usiłował go namówić, by znalazł sobie jakąś porządną dziuplę i mimo wszystko został w Wyplutach, a Jaro instruował go, jak założyć konto na fejsie i inście, by „pozostać w taczku”. Natalia ograniczyła się do przelotnego pocałunku w policzek i natychmiast odwróciła spojrzenie, jakby zawstydzona.

Łukasz z poważną miną uściśnął mu dłoń i spytał:

– Dasz sobie radę?

– Tak.

– A masz w ogóle jakiś plan?

– Nie. Ale do udziału w wielopoziomowych działaniach korporacyjnych mam już, jak wiesz, uraz. Poszukam dla siebie jakiegoś ciekawego zajęcia. Może się zahaczę w ubezpieczeniach? Może założę sektę? Nie wiem jeszcze.

– Do Piekła nie wracasz?

– Nie. Aha, nawiasem mówiąc, dziś pojawi się patrol. Kilku tajniaków, którzy mają mnie ściągnąć na rediabolizację. Powiedz im, że zmieniłem płeć i pracuję jako katechetka w pobliskim gimnazjum.

– Dobra. – Łukasz się rozpromienił. – Chyba już jedzie twój pociąg. Trzymaj się, diable.

– Trzymaj się, człowieku.

Do dusznego, nagrzanego przedziału wszedł wąsaty mężczyzna w okularach, napętlając wewnątrz wzgardliwym spojrzeniem i wonią spod pach. Postawił ciężką torbę na siedzeniu, a potem wcisnął się między nią a ścianę przedziału, upychając ciasniej pozostałych pasażerów. Nikt nie powiedział ani słowa, choć każdy z nich miał myśli wypisane na twarzy.

Zygmunt uśmiechnął się i spojrzał na przesuwający się za oknem jesienny krajobraz, szary, miejscami złocący się w promieniach słońca, jednocześnie odpychający i cudowny. Wydawało mu się, że gdzieś w oddali, między

kapliczką a słupem wysokiego napięcia, dostrzega pięciu wędrowców, zgarbionych, utykających i nieprzestających się szturchać, ale nie przyglądał się im zbyt uważnie. Po raz pierwszy od dłuższego czasu nie musiał myśleć o niczym.

Upił łyk kawy z tekturowego kubka i uśmiechnął się jeszcze szerzej mimo paskudnego smaku.

Siedząca naprzeciwko starsza pani odwróciła głowę, przestraszona i zgorziona tak ostentacyjną manifestacją uczuć.

Drzwi otworzyły się z głośnym szurnięciem.

– Poproszę bileciki do kontroli! – zaszcebiotała rozpromieniona konduktorka i zabrała się do stemplowania prostokątnych papierków.

– Wie pani, dlaczego nie było wczoraj końca świata? – spytał zamyślony Zygmunt, gdy kobieta kasowała jego bilet.

– Nie. – W wesołych oczach konduktorki pojawiła się nieufność.

Diabeł spojrzał na przesuwający się krajobraz.

– Głównie dlatego – powiedział cicho – że na tych ludzi nie ma siły.

Choć zasłony były dość szczelnie zasunięte, promienie słoneczne przenikały tu i ówdzie, znacząc pościel płataniną jasnych roztańczonych cętek. Wujek Czesiu przyglądał im się przez chwilę, po czym podniósł wzrok na uwijającą się po pokoju Marysię. Nie zwrócił uwagi na to, że jego kochana żona wydaje się nieco spłoszona i zawstydzona. Widział tylko jej siwiuteńkie włosy, zamieniane przez słoneczny blask w żywe złoto, i delikatne zmarszczki wokół oczu, pamiątki po niezliczonych uśmiechach.

Mógłby się jej przyglądać w nieskończoność, ale wreszcie zebrał się na odwagę, kaslnął i spytał:

– Marysiu... A zostało coś tej ogórkowej?

Redakcja: Maria Wirchanowska
Korekta: Artur Kaniewski, Ilona Siwak
Projekt okładki: Tomasz Majewski
Zdjęcia wykorzystane na okładce: © themacx/Vetta/Getty Images, © Buena Vista Images/The Image Bank/Getty Images

Skład i łamanie: Dariusz Ziach

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
00-391 Warszawa, al. 3 Maja 12
tel./faks (22) 646 05 10, 828 98 08
biuro@gwfoksal.pl
www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-3792-2

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](#)
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](#)

virtualo